

ROZMOWA „DO RZECZY”

Patryk Jaki: Polska musi stanąć
na czele kontrrewolucji kulturowej



Wygrywać i zarabiać
jak Robert Lewandowski

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 36/389 31 SIERPNIA–6 WRZEŚNIA 2020 CENA 7,90 zł (W TYM 8% VAT)



**DODATEK
SPECJALNY**
– 40. ROCZNICA
POWSTANIA
SOLIDARNOŚCI



Weselnicy
na cenzurowanym

KTO NAPRAWDĘ ODPOWIADA ZA NIEWOLNICTWO

Lewica obarcza winą białych, a to oni doprowadzili ten proceder do upadku



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
9 772299 850000
Nakład: 58 000 egzemplarzy
36>



Wygodne potwierdzanie tożsamości

Bezpłatna aplikacja eDO App pozwala zdalnie, bez wychodzenia z domu, potwierdzić swoją tożsamość.

Wystarczy dowód osobisty z warstwą elektroniczną oraz smartfonem z NFC.*

DZIĘKI APLIKACJI:



Potwierdzisz
swoją tożsamość



Założysz Profil
Zaufany



Skorzystasz
z usług e-urzędu



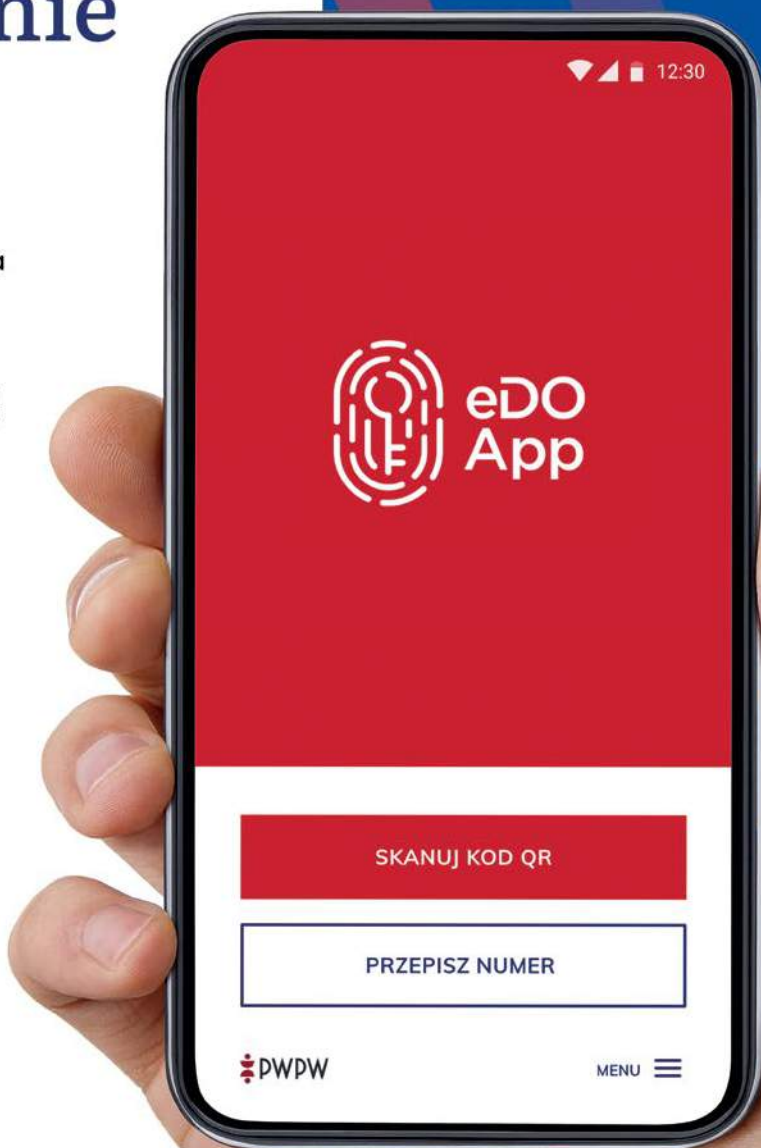
Złożysz swój podpis
w internecie



Podpiszesz wniosek
o wydanie karty
tachografowej
w serwisie info-car



*Dowiedz się więcej na www.edoapp.pl





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Partia białej flagi

Ledwo tęczyowi ekstremiści przypuścili pierwszy szturm na katolickie symbole, a już pojawili się zwolennicy kapitulacji. Właściwie można to było przewidzieć. Rewolucjoniści opanowali ten mechanizm do perfekcji. Wszędzie działają tak samo, z taką samą bezczelnością, zaciekłością i hucpą. No więc dlaczego Polska miałaby się wyłamać? Nie sądzę, by było u nas mniej tchórzów, kunktatorów i ludzi bez charakteru, a to oni zawsze pierwsi wywieszają białą flagę. W istocie kierują nimi strach, służące dążenie do podlizania się temu, co podświadomie uznają za dziejową konieczność. Niechętnie się do tego przed sobą przyznają. Większość, co naturalne, woli znajdować różne usprawiedliwienia i racjonalizacje swojej słabości. Z politycznego punktu widzenia znaczenie ma kilka.

Po pierwsze, można usłyszeć, że cała ta wojna kulturowa jest przejawem niedojrzałości. A jakie to ma znaczenie? Zwolennicy takiego podejścia patrzą z wyższością na obrońców tradycyjnych zasad i mówią z politowaniem: Kogo to obchodzi? My mamy na głowie ważniejsze sprawy. Myślimy o rozwoju, o przyszłości. Nas

wasze swary głupie nie interesują, wasze podziały, wasze wojny. Nie ważne, czy kultura jest prawicowa, czy lewicowa, byle była dobra. Co ciekawe, wyznawcy takiego podejścia lubią przedstawiać się jako nowa, lepsza, mądrzejsza, bardziej pragmatyczna prawica. W istocie ich konserwatyzm polega na pozie, na wyniosłości. Są uosobieniem pychy i narcyzmu. Udając konserwatystów, są tylko poręcznym narzędziem w rękach tęczowej sekty, której służą do osłabiania woli oporu u obrońców ładu. Ich opowieści o potrzebie pragmatycznego, rozsądnego, nowego podejścia dziwnym trafem skierowane są tylko do prawicowego zaplecza.

Po drugie, przejawem tchórzostwa są głosy różnej maści postępowych katolików, którzy nagle postanowili ogłosić, że właściwie ideologia LGBT i chrześcijaństwo w jednym stały domku. Że Jezus, gdyby żył obecnie, maszerowałby w paradach równości. Że poparcie tęczowego sekciarstwa jest tożsame z miłością bliźniego i troską o słabszych. O ile pierwsza grupa udaje, że ich wojna kulturowa nie dotyczy, o tyle druga aktywnie w niej uczestniczy, tyle że... po drugiej stronie. W Polsce są to zwykłe

ludzie związani ze środowiskiem „Więzi”, „Znaku” czy „Tygodnika Powszechnego”. Korzystają z katolickiej fasady po to, by do obozu katolickiego wpuścić przeciwnika i rozbroić Kościół. Zamiast po prostu śmiało odrzucić katolicką tradycję, wolą udawać, że łączy się ona doskonale z ideologią postępu. Trochę to perwersyjne, nieprawdaz?

Wreszcie jest i trzecia grupa, być może najliczniejsza. To ludzie, którzy zagrożenie lekceważą. Uważają, że przecież z każdym można dojść do ładu, że walka i ostre sądy są niepotrzebne, bo wszystko się samo jakoś ułoży i ustakuje. Mówią, że trzeba dialogować i poznawać, tak jakby nie byli w stanie przyjąć, że istnieją nieprzezwyciężone konflikty i niedające się zredukować różnice. Że tęczyowa ideologia to nie niewinna idiosynkrazja, ale świadomy, szatański plan wytworzenia nowego człowieka, który sam będzie nazywał dobro i zło. Sądzą, że prawda obroni się sama, a zdecydowanie i stanowczość w starciu z wrogiem przyczyniają się do wzrostu napięcia. To wyznawcy świętego spokoju – zatem radykałowie mogą ich zawsze skutecznie szantażować i powoli przesunąć centrum sporu.

Oczywiście, opisałem tu tylko pewne, powiedzmy, typy idealne. Między tymi grupami znajduje się wiele postaw pośrednich. Na szczęście do tej pory, mimo gigantycznego wsparcia mediów, ich przedstawicielom nie udało się zdominować debaty publicznej. Marna to jednak pociecha. Partia białej flagi na pewno nie zniknie. To właśnie ona potrafiła skutecznie sparaliżować pierwotnie silną wolę oporu normalnego społeczeństwa na Zachodzie. To właśnie jej zwolennicy byli tym koniecznym, pośrednim ogniwem między radykałami a większością. ©©

RYSUNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

18 GRZEGORZ KUCHARCZYK

NOWE OBLICZE AMERYKI

Kto naprawdę odpowiada za niewolnictwo

22 TERESA STYLIŃSKA

CZARNE I BIAŁE W OPARACH ABSURDU

KRAJ

24 ROZMOWA Z PATRYKIEM JAKIM

NIE JESTEŚMY SKAZANI NA PORĄŻKĘ

Polska musi stanąć na czele
kontrrewolucji kulturowej

27 TOMASZ ROWIŃSKI

TĘCZOWA PRZEMOC U BRAM

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

„MARGOT” I JEGO IDIOCI

32 MARCIN MAKOWSKI

ADMINISTRATOR CZY NOWA NADZIEJA MSZ?

34 KATARZYNA PINKOSZ

WSZYSTKIE RĘCE NA POKŁAD

36 KRZYSZTOF MASŁOŃ

IKONA POLSKIEGO GENDERYZMU

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

WESELNICY NA CENZUROWANYM



KULTURA

40 KRZYSZTOF MASŁOŃ,

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT

SIEDEMAŃCIE MGNIĘŃ WOJNY

Druka wojna światowa w literaturze

44 PIOTR GOCIEK

POD PRĄD CZASU



NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 ŁUKASZ WARZECHA

BIAŁORUŚ BĘDZIE MIEĆ SWOJEGO KEKKONENA?

Zmiany na Wschodzie

54 JAKUB ZGIERSKI

SEKSKOMUNIZM CZY IDEOLOGIA LGBT?

56 KS. PRZEMYSŁAW ARTEMIUK

APOLOGIA KATOLICKIEGO KAPŁAŃSTWA

DODATEK SPECJALNY

60 OPOWIEŚĆ

JOANNY

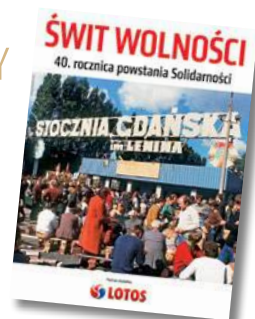
GWIAZDY

NARODZINY SOLIDARNOŚCI

Fragment książki

Anny Herbich

„Dziewczyny
z Solidarności”



62 PIOTR SEMKA

MÓJ SIERPIEŃ

64 MACIEJ ROSALAK

JEDEN DZIEŃ W STOCZNI GDAŃSKIEJ

68 ROZMOWA

Z ANDRZEJEM ROZPŁOCHOWSKIM

CZWARTE POROZUMIENIE '80

75 MACIEJ ROSALAK

WSZECOHOGARNIAJĄCE POCZUCIE WOLNOŚCI

ŚWIAT

78 MACIEJ PIECZYŃSKI

DONIECKI PARTYZANT

Inżynier, który wybrał walkę

82 PIOTR WŁOCZYK

WŁOSKI FARAGE

EKONOMIA

86 ŁUKASZ ZBORALSKI

JAK GRAĆ

Piłka nożna i pieniądze

LATO Z WOJCIECHEM CEJROWSKIM

92 WOJCIECH CEJROWSKI

WODNY ŚWIAT

Pływające miasta

FELIETONY: SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (76), PRZYBYLSKI (84), GABRYEL, WARZECHA (88), KOMUDA (94), ZALEWSKI, MAKOWSKI (97), SIEDLECKA (98)

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Kłeska zmieniła myślenie bolszewików”, „DRz” nr 33/2020

Szanowna Redakcjo, z wielkim zainteresowaniem przeczytałem wywiad z prof. Andrzejem Nowakiem zamieszczony w 33. numerze „DRz”. Oprócz wielu ciekawych wątków natury historycznej jedna sprawa szczególnie mnie zastanowiła. Mianowicie niejako końcowa konkluzja, że w czasie wojny z bolszewikami mieliśmy starcie dwóch całkowicie przeciwstawnych cywilizacji. Cywilizacji opartej na tradycji chrześcijańskiej i wartościach wynikających z niej z jednej strony i cywilizacji buntu przeciwko zastanym wartościom, niesprawiedliwościom społecznym, przeciwko zastanej naturze ludzkiej z drugiej.

Czy już takie przedstawienie stron konfliktu nic nam dzisiaj nie sugeruje? Czy ostatnio silona wywieszaniem „uciemnionych flag” kampania tzw. ruchów postępowych to nie jest współczesna bolszewicka cywilizacja buntu? Oczywiście nie ma tutaj (jeszcze?) ulicznych walk ani innej przemocy pozbawiającej życia lub zdrowia, ale liczne profanacje miejsc kultu, umiędzynarodowiona klasowość uczestników czy radykalne odchodzenie od narodowych symboli i wychowania patriotycznego są jak najbardziej cechami współczesnej „bolszewii” bardzo podobnej do tej sprzed 100 lat. Do tego dochodzi „bratnia pomoc” dla „postępowców” z zagranicy w formie wsparcia finansowego, medialnego, a nawet politycznego.

Dla mnie po tym wywiadzie jedna rzecz nasuwa się, rzekłbym, dobitnie. Czy to nie jest tak, że to tzw. światło umysłu Zachodu od czasu rewolucji francuskiej starają się nam narzucić utopijne ideologie? Najpierw poprzez wersję „hard”, czyli skrajny komunizm. A skoro ona się nie udało, bo była zbyt radykalna dla zwykłych obywateli, to przez wersję „soft”, m.in. aktualną kulturową hegemonię w postaci np. politpoprawności i licznych zakazów.

Dotychczas sądziłem, że Lenin, Pol Pot etc. to byli tacy samoistni „wprawadzacz” nowych ustrojów w swoich krajach. Patrząc na ich w mniejszym lub większym zakresie kontakty i zapatrywania na Zachód, już tak nie myślę. Skądś

musieli wziąć te wzorce? Coś w tym jest, że pierwotny wzór obalenia porządku świata wywodzi się właśnie z kolebki tego porządku. Mam nadzieję, że wielowiekowa mądrość zdecydowanej większości Polaków w nieprzyswajaniu takich „nowości” także teraz okaże się dominująca. Czego wszystkim życzę.

Pozdrawiam

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

„Dolina Muminków”, Wojciech Cejrowski, „DRz” 34/2020

Szanowna Redakcjo, z uwagą i radością przeczytałam artykuł red. Wojciecha Cejrowskiego z 34. numeru „Do Rzeczy” dotyczący twórczości fińskiej autorki Tove Jansson. Ponieważ do tekstu wkradło się niestety kilka nieścisłości dotyczących przekładu na język polski książek o Muminkach, pozwalam sobie uzupełnić te informacje.

Oprócz szeroko znanej, dziewięciotomowej, serii w polskim tłumaczeniu wydane zostały również trzy książki obrazkowe z muminkowego uniwersum. „Kto pocieszy Maciupka?” („Vem ska trösta knyttet?”) w tłumaczeniu Teresy Chłapowskiej ukazała się nakładem wydawnictwa Nasza Księgarnia już w 1980 r. Sześć lat później, spod pióra tej samej tłumaczki, wyszła książka pod tytułem „Niebezpieczna podróż” („Den farliga resan”). Oba tytuły kilka lat temu doczekały się kolejnego przekładu, tym razem za sprawą Ewy Kozyry-Pawlak i wydawnictwa EneDueRabe. Tłumaczka podjęła się również przetłumaczenia na język polski trzeciego, niepublikowanego dotąd w Polsce picture booka Tove Jansson pt. „Co było potem? Książka o Mimblu, Muminku i Małej Mi” („Hur gick det sen?”). Na początku XXI w., w ośmiotomowej serii wydawniczej Egmontu, ukazał się również komplet komiksów autorki w przekładzie Teresy Chłapowskiej. Kolejne, dwutomowe tym razem, wydanie pojawiło się kilka lat później i zawierało przekład Ewy Kozyry-Pawlak.

Wynika z tego, że polskich czytelników ominęła tylko jedna muminkowa książka: „Łobuz w domu Muminków” („Skurken i muminuset”), choć nie do końca, bo opowiadanie miało swoje pięć minut w „Magazynie Rzeczpospolitej” (2001 r.) za sprawą Teresy Chłapowskiej.

Serdecznie pozdrawiam

Zosia Gwardyś,
autorka bloga „Mała czcionka”, członkini
PS IBBY i grupy blogerów „Lokomotywa”



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, **Piotr Godiek**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemkiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Joanna Bojańczyk**, **Grzegorz Brzozowicz**,
Wiesław Chelminiak, **Dominika Coś** (*Bruselo*), **Tomasz Cukiernik**,
Krzysztof Czabański, **Piotr Gursztyn**, **Marek Jurek**,
Jacek Komuda, **Sławomir Koper**, **Piotr Kowalczyk** (*Rzym*),
Grzegorz Kucharczyk, **Tomasz Lenczewski**, **Piotr Litka**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Małkowski, **Monika Małkowska**, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**,
Gabriel Michalik, **Agnieszka Niewińska**, **Andrzej Nowak**, **Maciej Pieczyński**,
Katarzyna Pinkosz, **Tomasz Rowiński**, **Witold Repetowicz**,
Wojciech Roszkowski, **Agnieszka Rybak**, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**,
Artur Szeremeta, **Tomasz P. Terlikowski**, **Błażej Torąński**, **Szewach Weiss**,
Piotr Włoczyk, **Marcin Wolski**, **Jakub Woźniski**, **Tomasz Wróblewski**,
Igor Zalewski, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**,
Małgorzata Puzyr, **Sandra Skibniewska**, **Marcin Bugaj**, **Damian Cygan**,
Jan Fiedorczuk, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”).

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jacek Nadarowski, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Mazena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystofa**
Okładka: **The Illustrated London News 1889**/domena publiczna

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rylkaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 58 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością
karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

NA PIERWSZY OGIEŃ

Zezowate szczęście Zandberga



PIOTR SEMKA

Partia Razem wybrała swoje nowe władze. Uwagę mediów zwróciło to, że Adrian Zandberg, najbardziej wyrazisty polityk tego ugrupowania, nie zgłosił w wyborach swojej kandydatury. Pytani o to członkowie Razem wyjaśniali, że nie zdecydowała o tym bieżąca polityka, ale zapis statutu partii Razem. Artykuł 16, punkt 2 głosi: „Członkini/członek Razem może być wybierana/wybierany do tego samego organu krajowego na nie więcej niż 2 kadencje z rzędu”. Skoro Zandberg był wybierany do zarządu partii już dwukrotnie, to teraz musi poczekać jedną kadencję, jeśli chce znów wrócić do władz ugrupowania.

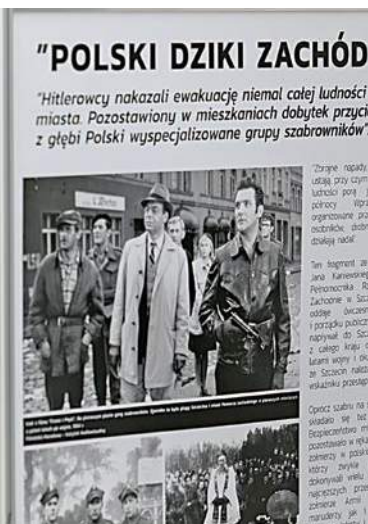
Tak pechowo dla Zandberga się jednak złożyło, że raptem miesiąc temu wiele kontrowersji wzbudziła kwestia wysokich pensji dla wierchuszki partii. Zasiadający w zarządzie: Adrian Zandberg, Marcelina Zawisza, Maciej Konieczny i Paulina Matysiak dostali od swojego ugrupowania w ubiegłym roku po ok. 200 tys. zł. Rzeczniczka Razem zapewniała, że były to jednorazowe wyższe

wynagrodzenia, których znaczne części zostały przekazane na kampanię parlamentarną Lewicy, i politycy „się na nich nie wzbogacili”. Fakt wysokich apanaży wyjątkowo nie pasował jednak do wizerunku Zandberga jako trybuna biednych i wykluczonych.

Jego odejście z władz Razem to dobra okazja do przyjrzenia się poplątanej karierze lewicowca o aparycji skandynawskiego wikinga. W polityce na wykreowanie lidera i wypracowanie jego masowej rozpoznawalności potrzeba wielu lat, sporego wysiłku i pewnej dawki szczęścia. Coś wie o tym Rafał Trzaskowski, który mimo ogromnego wsparcia liberalnych mediów i Platformy Obywatelskiej do końca swej kampanii miał problem z rozpoznawalnością poza wielkimi miastami. Tymczasem statut partii Razem dający szanse tylko na dwie kadencje we władzach partii takie lansowanie lidera znacznie utrudnia. Autorzy tego zapisu martwili się o groźbę zabetonowania grupy osób na czele partii, ale jednocześnie podcięli nogi swoim szansom na posiadanie lidera.

Zapisów statutowych partii Razem zaśmiewa się zapewne Włodzimierz Czarzasty, który trzyma SLD w garści, a na jesieni ma połknąć resztki po partii Wiosna Biedronia. I tak wracamy do postaci Zandberga – polityka zagadki. Człowieka mającego teoretycznie wszystko do bycia gwiazdą lewicy – spokojny styl przemówień i budzącą zaufanie aparycję. Co z tego, gdy mimo paru udanych wystąpień Zandberg wydaje się sparaliżowany jakąś tajemniczą niemocą. Gdyby zdecydował się na start w wyborach prezydenckich, oczywiście ugrałby więcej niż nędzne 2,2 proc. Roberta Biedronia.

Tacy publicyści lewicy jak Rafał Woś czy Jan Śpiewak rozdzierają szaty, że lewica ciągle jest jak panna na wydaniu uzależniona od obozu liberalnego. A jak ma być samodzielna, skoro jej najwyraźniejszy lider jest sparaliżowany dziwnym brakiem zdecydowania, a jego partii wymyśla statut, który blokuje wyłonienie się silnego przywódcy? Kogoś, kto stawia na Zandberga, czeka jeszcze niejedno rozczarowanie. © ©



POWOJENNY SZCZECIN W WARSZAWIE

Wystawa „Najdalsza Polska. Szczecin 1945–1948”, której pomysłodawcą jest publicysta „Do Rzeczy” Piotr Semka i którą w sierpniu można było oglądać w Szczecinie, od piątku prezentowana jest w Warszawie. Plansze stanęły na Krakowskim Przedmieściu naprzeciwko pałacu prezydenckiego przed Kordegardą Galerią Narodowego Centrum Kultury. Celem ekspozycji jest uczczenie 75. rocznicy włączenia Szczecina w skład państwa polskiego poprzez pokazanie początków życia Polaków na tych ziemiach. Autorami ekspozycji, którą otworzył w piątek w Warszawie premier Mateusz Morawiecki, są m.in. Muzeum Narodowe w Szczecinie, Archiwum Państwowe w Szczecinie i Centrum Historii Zajezdnia we Wrocławiu. Wystawę można oglądać przez miesiąc. (raw) © ©

W tym tygodniu szczególnie ciepłe pozdrowienia dla „DGP”, który w miniony czwartek odkrył, że „w obozie władzy pojawiły się rozważania o przyspieszonych wyborach i budowaniu większości w Sejmie bez Zbigniewa Ziobry”. Tak, rozważania pojawiły się w obozie władzy. Dwa tygodnie temu. A tydzień temu pisaliśmy o tym w „Do Rzeczy”.

Nadal zamierzamy jednak dostarczać kolegom dziennikarzom okazji do zdobycia w naszej rubryce „własnych newsów”, gdyż nasza dobroć nie ma granic. Oto pierwsza okazja. A gdyby tak nowym rzecznikiem praw obywatelskich została kobieta? Mogłaby to być na przykład senator Lidia Staroń. Jak mówią wiewiórki, jedyną wątpliwością jest kwestia delikatnego zdrowia pani senator. Jest więc rozważana także inna pani, po której ewentualnym wyborze towarzystwo z Eine Totalopposition zawyłoby wniebogłosy.

Szykujemy się pomału do pożegnania wicepremier i minister Jadwigi Emilewicz. Nic do niej nie mamy, ale słyszeliśmy, że trwają intensywne poszukiwania ciekawego stanowiska dla gwiazdy Porozumienia, tyle że poza granicami kraju. Szykuje się bowiem powrót na stanowisko wicepremiera Jarosława Gowina, zwanego Długim Jarosławem. No, a przecież dwóch wicepremierów Porozumienie w odchudzonym rządzie mieć nie może. Poza tym wiewiórki z Porozumienia opowiadają, że Dłугоmu Jarosławowi doskwiera rola szeregowego posła.

W kwestii wicepremierów. Pojawiające się nieoficjalne informacje o tym, że w zrekonstruowanym rządzie jednym z wicepremierów miałby zostać Mariusz Błaszczak, bardzo szybko mogą stać się oficjalne. Tym bardziej że wicepremierem wcześniej został Jacek Sasin. A przecież – jak mówią na Nowogrodzkiej – kolejność delfinów w PiS nieuwzględniająca premiera Mateusza wygląda tak: najpierw Błaszczak, potem Sasin. Teka wicepremiera dla Sasina przed Błaszczakiem była więc pewnym nietaktem.

Apropos „szybko” – w kancelarii premiera Mateusza wszyscy chcieliby, żeby zrekonstruizacja została przeprowadzona jak najszybciej, i nie rozumiemy, dlaczego trzeba czekać z tym całym ambarasem aż do początku października.

Jednak młyny Naczelnika Państwa miała powoli i z namysłem, niemal jak młyny Watykanu. Stąd maszerujemy ku rekonstrukcji nieśpiesznym krokiem.

Z życia wiceministrów. Publikatory szeroko rozpiswały się o dymisji Janusza Cieszyńskiego z resortu zdrowia i Wandy Buk z cyfryzacji. Szeroko informowano, że pani Wanda jest córką gen. Buka, który zginął w Smoleńsku. Mediom jednak umknęło to, że jest ona w związku z Cieszyńskim.

Uwaga, nie tylko rząd ma być zrekonstruowany. Szykuje się też gremialna wymiana ambasadorów. Co ciekawe, przede wszystkim ambasadorów dobrej zmiany. Zbyt wielu z nich uznało, że wyjazd na odległe placówki to takie przedłużone wczasy, podczas których, jak wiadomo, nie należy się przemęczać.



Nowe rozdanie ambasadorskie oznacza nowe życie zawodowe dla byłego szefa MSZ. Jacek Czaputowicz ma trafić do Hameryki, gdzie zastąpi Piotra Wilczka na stanowisku polskiego ambasadora w USA.

Rekonstrukcji ma być poddany również... episkopat. Otóż w Stolicy Apostolskiej narasta zniecierpliwienie brakiem postępów w zwalczaniu pedofilii. Oczywiście Watykan, który ceni sobie dyskrecję, z hukiem wyrzucać purpuratów nie będzie. Nie zdziwicie się jednak, kiedy usłyszycie, że ten czy ów hierarcha nagle zapadł na zdrowiu.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Jacek Tęczowy Champion Jaśkowiak marzy, by stać się jedną z twarzy

Nowej Solidarności zakładanej przez Rafcia Trzaskowskiego. To w dni nieparzyste. W dni parzyste prezydent Poznania bowiem marzy o tym, by stać się jedną z najważniejszych twarzy Platformy Łobywatełskiej. Ambicje rozmarzonego Jacka nie mają bowiem granic. Co nas nie dziwi, bo jeśli w Polsce 10 mln głosów może zdobyć Rafcio Trzaskowski, to znaczy, że każdy może.

Tymczasem jedną z najważniejszych twarzy Nowej Solidarności ma być dulczessa gdańska Dulkiewicz Aleksandra. To wspaniałe, że w Polsce ludzie, którzy utracili twarz, mogą mimo to być nowymi twarzami.

No i stało się. Wyszło na jaw, jak bardzo Zły Donald z Brukseli nienawidzi Platformy. Z wywiadu dla „Polityki” wynika, że jego zdaniem żeby wygrać, PeŁo musi głośno chwalić się tym, jak dobrze rządziła przez dwie kadencje. To tak, jakby feldmarszałek Paulus radził Wehrmachtowi w rekrutacyjnej ulotce napisać: „Dołącz do nas, wstąp w szeregi armii, która świetnie spisała się pod Stalingradem”.

Ze smutkiem przyjęliśmy decyzję o przeniesieniu wyjazdowego spotkania klubu parlamentarnego PeŁo. Miało się odbyć w luksusowym hotelu Krasicki w Lidzbarku Warmińskim, więc mieliśmy już przygotowaną garść cytatów z bajek biskupa, by komentować nimi dyskusję o skromności i kłopotach wizerunkowych PeŁo odbywającą się między parfait z gęsich wątróbek a schabem z dzika i tradycyjną potrawą Platformy – policzkami wołowymi.

Szczerze mówiąc, współczujemy parlamentarzystom PeŁo, ale nie z powodu utraty menu w Krasickim, lecz z powodu dezorientacji. No bo kiedy zrobili wieczór wyborczy Rafcia w Warszawie, dostali bęcki, że zamiast jechać do ludu w interior, tak jak Duda i PiS, wołają dopieszczać stolicę. A jak zdecydowali się pojechać w interior i dopieścić lud warmiński, to też wychodzi na to, że źle. A przecież każdy przedstawiciel ludu warmińskiego marzył o tym, by wreszcie na własne oczy zobaczyć sławnych ludzi, podać im mokre ręczniczki do rąk przed kolacją albo przynajmniej zanieść tacę z policzkami w ramach room service. ©©



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Z dziejów odwagi

Byłem kiedyś członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, bo uroiło mi się, że to coś w rodzaju związku zawodowego pisarzy. Okazało się, że nie całkiem. Na zjeździe, który wybrać miał władze oddziału i delegatów na obrady ogólnopolskie, dla większości mówców nadarzyła się okazja do wygłaszania kazań przeciwko PiS, lustracji czy Kościołowi, których najwyraźniej nie mieli możności wygłosić nigdzie indziej.

Nie chcę być niesprawiedliwy, spotkałem tam też ludzi o społecznikowskim zacięciu, ale – jak to zwykle u nas – na jednego chętnego do roboty zawsze jest 10 nieproszonych doradców i stu krytykujących. Gdy z czasem wspomniani mówcy, przekonani snadź, że samym należeniem „uświecni-

ją” SPP tak, iż bezczelnością byłoby domagać się od nich bodaj tylko płacenia składek, rozbezczelnili się do tego stopnia, że uznali się za uprawnionych do wymuszania politycznej prawo- (a raczej właśnie: lewo-) myślności na pozostałych, poprosiłem, by mnie z listy członków SPP skreślono.

Z jakiegoś powodu nie skreślono mnie jednak z listy e-mailingowej. Dzięki temu dowiedziałem się o sprawie, o której bodaj żadne medium nie wspomniało, ponieważ życie wewnętrzne zarówno SPP, jak i konkurencyjnego Związku Literatów psa z kulawą nogą dziś nie obchodzi.

Amianowicie: po raz pierwszy od dawna SPP zdołało coś dla swych członków zrobić, konkretnie, uzyskać dotację od Instytutu Literatury na publikację

serii książek. Chociaż dotacja nie była niczym obwarowana, to „uświecniający” doznali wzmożenia. Wreszcie okazja, by wykazać się niezłomnością! Zbluzgali aktywnych w SPP kolegów od kolaborantów, folksdojczów i faszystów, po czym na znak protestu przeciwko przyjmowaniu pieniędzy od „pisowskiego reżimu” zaczęli rzucać legitymacjami. Olga Tokarczuk, Adam Zagajewski, Hanna Krall i pomniejsi, ale ci, którzy z wydawaniem swej twórczości kłopotu nie mają, plując na mniej sławnych kolegów po fachu, na chwilę poczuili się równie ważni i odważni jak przed laty sygnatariusze Listu 34.

Jeden problem, że nikt tego heroizmu nie odnotował. No to przynajmniej ja was odnotuję... pajace. © ©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Polski D-Day

Wieli z nas ma powiedzenia, które lubi powtarzać, myśli, które lubi pieścić. Ja lubię mówić, że nasi dziadkowie sto lat temu uratowali świat, i zawsze wtedy myślę o obu moich dziadkach, żołnierzach Bitwy Warszawskiej, o tym, że wnieśli w zwycięstwo swój mały indywidualny wkład.

Ten felieton ma w tytule D-Day nie po to, by porównywać Cud nad Wisłą do lądowania aliantów w Normandii. Tamta operacja uratowała wolność połowy Europy i była zadośćuczynieniem za Monachium. Bitwa Warszawska uratowała Europę i świat, bo przecież późniejszy dramat dekolonizacji pokazał, jak skuteczny może być eksport rewolucji.

Porównanie do D-Day odnosi się do pamięci. W kolejne rocznice tamtego wydarzenia na normandzkie plaże i cmentarze przyjeżdżają od lat królowa lub członkowie brytyjskiego domu panującego, prezydenci Stanów Zjednoczonych i Francji, przywódcy z całego świata. Obchody przypominają, że Zachód sam obronił swe narody wbrew zawłaszczeniu „zwycięstwa nad faszyzmem” przez spadkobierców Stalina. Widać to, nawet jeśli nie mówi się o tym wprost, a znaki często mówią najgłośniejsze.

Dla nas międzynarodowe potępienie komunizmu i pamięć o walce z komunizmem powinny być zasadniczym orędziem historycznym w Europie i na świecie. Dlatego właśnie w Parlamencie

Europejskim zgłaszałem rezolucję na 70-lecie Jąty albo organizowałem obchody przypominające opór antykomunistyczny i ofiary komunizmu w 100-lecie puczu Lenina. Chodzi bowiem o to, by Polska była rzecznikiem pamięci uniwersalnej, łączącej Bitwę Warszawską i wojnę zimową, karlistów i obronę Republiki Wietnamu, walkę z marksistowskim terroryzmem lat 70. i dzisiejszy, tak ciągle słaby, opór wobec międzynarodowej obojętności i amnezji.

W obchodach 100-lecia Cudu nad Wisłą mieli brać udział prezydenci Węgier, państw bałtyckich, Ukrainy i Niemiec. Przeszkodziła pandemia, oby tylko chwilowo. Zamiar pokazał kierunek, ciąg dalszy musi nastąpić. © ©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O nieustraszonym łowcy faszystów

Na Weronę spadła bomba wodna, a na dodatek przez miasto przetoczył się huragan, który wyrwał z korzeniami kilkaset drzew. Ulicami płynęły rwące rzeki błota. Szkody są ogromne – tysiące zalanych mieszkań, sklepów, warsztatów, zniszczonych samochodów i zerwanych dachów.

Paolo Berizzi, dziennikarz drugiej gazety Włoch, lewicowej „La Repubblica”, która poucza postępców, jak mają żyć i myśleć, popełnił z powodu kataklizmu w Weronie haniebny tweet: „Współczuję werończykom z powodu burzy, która rzuciła miasto na kolana. Ich współmieszkańcy, naziści, faszyci i rasiści, którzy szerzą nienawiść wobec najsłabszych, życzą nieszczęścia obcym, czarnym, gejom, żydom i Włochom z południa, powinni się zastanowić nad znaczeniem słowa karma”. Zamieścić też ilustrującą kataklizm fotkę.



Innymi słowy, zdaniem żurnalisty los pokarał werończyków za to, że wielu z nich wyznaje idee Hitlera i Mussoliniego. I trudno mu ukryć radość z tego powodu. Zastanawiam się, ile trzeba ideologicznego zaślepienia, nienawiści i pogardy, żeby napisać taki idiotyzm. Okazuje się jednak, że teraz tak już można, a chyba nawet trzeba. Żaden włoski autoritet moralny, żaden apostoł poprawności politycznej nie zdobył się choćby na słówko krytyki.

Po prawdzie nazistów we Włoszech nie uświadczysz, a neofaszystowskie ugrupowanie CasaPound Italia (Od Ezry Pounda) w ostatnich wyborach dostało mniej niż 1 proc. głosów. Roi się natomiast od nieustraszonych łowców faszystów. Naturalnie faszystą jest każdy, kto myśli inaczej niż łowca. Jednym z nich jest właśnie Berizzi. W „La Repubblica” prowadzi poświęconą temu rubrykę. Kilka lat temu napisał o czteroletnim chłopcu z Cantù w Lombardii, który nauczony przez faszystowskich rodziców pozdrawiał wszystkich salutem rzymskim. Okazało się, że łowca, pewnie z braku zwierzyń, wszystko sobie zmyślił. Postępowy Związek Dziennikarzy, który jest władny na pewien czas zawieszać członków w prawie do wykonywania zawodu, pozbawiając ich pracy, wówczas też milczał. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Piłkarski poker

W ostatnim tygodniu na Twitterze politycy oraz dziennikarze roz dyskutowali się na tematy, o których nie mają większego pojęcia. Tym razem padło na piłkę nożną oraz sytuację na Białorusi. Zaczniemy od Ligi Mistrzów. „Kingsley Coman, wychowanek PSG, strzelił gola PSG i Bayern wygrał. Gryźli trawę, walczyli jak lwy, a po meczu... wszyscy podają sobie ręce, uśmiechają się. PAD wygrał niejedną bramkę, ale ponad 400 tys. głosów i długo czekał na uścisk dłoni rywala” – skomentował zwycięski finał Lewandowskiego marszałek Stanisław Karczewski.

W futbolowy klimat weszła również Beata

Mazurek. „Platforma Obciachu jeszcze w traumie po przegranych wyborach prezydenckich. Partia, której jedynym spoiwem była władza, nie potrafi odnaleźć się w innej roli. Przepraszam, łączyło ich jeszcze haratanie w gałę. Chłopcy, nie kłóćcie się” – napisała. „Pani poseł, wy osiem lat przegrywaliście wszystko i jakoś dalsie radę. A rozłamy po drodze były przynajmniej dwa. Z haratanem w gałę akurat w tych dniach bym nie szarżowała, bo wie pani, Lewandowski i puchar, i głupio robić komuś zarzut, że go piłka kręci” – ripostowała Dominika Długosz.

Najwyraźniej europoseł tylko to rozjuszyło.

„Chybiona kontra. My mieliśmy (i mamy) wyjątkowego lidera Jarosława Kaczyńskiego i mądry oraz spójny program. Przyzna pani, że trudno znaleźć kogoś takiego w Platformie. Porównanie Lewandowskiego do nieudacznika Tuska to już wyraźny odlot” – odparła z finezją Tomasz Hajty komentującego Ekstraklasę.

Na koniec zapowiedziana geopolityka. „Jest zupełnie oczywiste, że Grodno powinno, w przypadku rozpadu Białorusi, trafić do Polski. PiS to wie, ale boi się powiedzieć” – zadeklarował Tomasz Sommer. „Za chwilę PiS to ogłosi. Będą starali się podgrzać nacjonalizm jak sanacja w 1938 r. Po to, abyśmy wyszli z sojuszy z Zachodem. I zostali wspólnikami Putina, tak jak przed drugą wojną w czasie rozbioru Czechosłowacji zostaliśmy wspólnikami Hitlera. Wówczas zdobyliśmy Zaolzie. Na rok” – wtórował mu Roman Giertych. Czy tylko ja mam wrażenie, że panowie świetnie do siebie intelektem pasują? ©©



FOT. PAVEL LOBOVA

LUKSUS BYCIA NIELUBIANA

Marina Szczęsna, niespełniona piosenkarka, spełniona celebrytka i żona bramkarza polskiej reprezentacji Wojciecha Szczęsnego, wypoczywa właśnie na kolejnych już wakacjach, tym razem na greckiej wyspie. I tam właśnie naszły ją głębokie refleksje, którymi postanowiła podzielić się ze światem.

– Chyba nigdy wcześniej nie czułam się lepiej ze sobą. Nie chodzi tu o wakacje czy wygląd zewnętrzny. Jest to cudowny stan umysłu. Wchodzi w to m.in. samoakceptacja, której kiedyś nie miałam, i poczucie własnej wartości. Siła, którą w sobie znalazłam, i piękno, które w sobie odkryłam, napawają mnie energią, której nikt nie jest w stanie mi zepsuć bądź odebrać – deklaruje Marina. Dalej Marina opowiada, że przez lata bycia na świeczniku nauczyła się, że nie jest w stanie sprostać wymaganiom wszystkich. – Kiedyś się przejmowałam, chciałam walczyć. Dziś mogę sobie pozwolić na luksus bycia przez niektórych nielubianą i nie wpływa to absolutnie w żadnym stopniu na moje życie – zapewniła. Przez niektórych? Cóż za optymistyczne założenie!

JESTEM SKROMNA NIESŁYCHANIE!

Paulina Krupińska, celebrytka, była Miss Polonia, a obecnie prowadząca telewizyjną śniadaniówkę, udzieliła wywiadu magazynowi „Viva!”. Opowiada tam, jak bardzo nie pasuje do świata, w którym się obraca. – Nigdy nie chciałam brać udziału w wyścigu szczurów. Gdy niektóre moje znajome ścigały się, która będzie miała lepszą torebkę, ja odkładałam na mieszkanię – opowiada. – Bycie niezależną kobietą było dla mnie ważniejsze niż posiadanie najpiękniejszych ciuchów świata. Czy będę lepszym człowiekiem, jeśli założę bluzkę za dwa tysiące? – pyta w wywiadzie. Biedna ta Paulina! Wychodzi na to, że siłą na nią te wszystkie sukienki i bluzki, w których występuje na ściankach, wciskają. A ona broni się, protestuje, gardzi wręcz tym wszystkim. W wywiadach głównie.

ŻYCIE BEZ RZĘS

Blanka Lipińska, celebrytka i autorka powieści erotycznej wzorowanej na „50 twarzy Greya”, oznajmiła światu, że w jej życiu dokonał się prawdziwy przełom. Otóż wpadła na genialny, jak sama stwierdziła, pomysł zdjęcia sztucznych rzęs. To jest dopiero odwaga! – Słuchajcie, z Paulą wpadłyśmy dzisiaj na genialny pomysł,

że zdejmujemy mi rzęsy. To się zdarzy pierwszy raz od sześciu lat. Ona się boi, zresztą to widać, jest przerażona. Ja też się boję, bo zawsze mam wrażenie, że wyglądam jak chora. Ale tak, nie bójmy się zmian, na parę tygodni. Mam nadzieję, że wytrzymam ten miesiąc. Miesiąc, słuchajcie, bez rzęs, boję się już teraz i ja – relacjonowała na żywo, nie kryjąc emocji. To się nazywa życie na krawędzi!

ŚMIESZNY JAK KAROLAK

Aktor Tomasz Karolak nie kryje swojego wzburzenia faktem, że ochroniarz śmiał go wyprosić z zakupów w sklepie z powodu braku maseczki na twarzy. No co za tupet, jego, Karolaka, wygonić ze sklepu! Aktor dał upust swojemu oburzeniu w obszernym wpisie na Instagramie. – Właśnie doświadczyłem wyproszenia ze sklepu IKEA, dlatego że nie zasłaniałem maseczką ust i nosa – poinformował świat. – Mam badania z krwi, że wszystko jest w porządku, bo egzystuję na planach filmowych. To ja powinienem zadzwonić na policję, bo bezpodstawnie usunięto mnie ze sklepu. Zakrywanie maseczką nosa jest, jak wiadomo, sprzeczne z konstytucją. Poza tym jestem człowiekiem, który dba o własne zdrowie, i prędzej bym się od ochroniarza zaraził – stwierdził oburzony celebryta. Przy okazji dodał jeszcze, że ochroniarz był „bezczelny” i się do niego „przyczepił”. Trzeba przyznać, że ze wszystkich komedii, w których grał Karolak, ta jest zdecydowanie najśmieszniejsza!

LEGENDARNE WYCZUCIE

Informacja, która jednych zasmuciła, a innych (zdecydowaną większość) rozradowała, to ta, że Kinga Rusin po 15 latach odchodzi z telewizji śniadaniowej i nie będzie już gospodynią „Dzień dobry TVN”. Kinga mówi, że woli się teraz zająć czymś poważniejszym i chciałaby prowadzić „program ostrzejszy, bardziej kontrowersyjny”. Tymczasem jej odejście bardzo żałuje Filip Chajzer, który postanowił podziękować jej za wspólne lata pracy. „Słowa Kingi zawsze były dla mnie bardzo budujące” – napisał w swoich mediach społecznościowych. „Nie można zapomnieć, że to Kinga prowadziła pierwsze wydanie »DDTVN« Nawet nie śniło mi się wtedy, że będę miał przyjemność współtworzyć ten program. Jesteś legendą” – dodał. Legendarne to jest wyczucie Filipa Chajzera. Wiadomo, że aby zostać legendą, trzeba lat. Bardzo wielu lat. Kinga Rusin będzie zachwycona takim komplementem! ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak wiecie, niebawem rozpoczyna się w tym kraju nowy rok szkolny, festiwal oceniania, sprawdzania, nieufności, podległości i patriarchy.

Dotarliśmy do tajnych zmian w podstawie programowej, które będą naucza-
ne już od tego roku szkolnego:

- w historii świata, a Kaczafi powinien zostać ogłoszony Cesarzem Słowiańszczyzny;
- geograficzne centrum wszechświata znajduje się na Podkarpaciu w okolicach Leżajskiej;
- iż istnieją tylko dwie płcie, z lekcji biologii zostaną usunięte informacje

- w ramach lekcji przedsiębiorczości uczniowie będą się uczyć wypełniania wniosków o „500+” oraz dywersyfikacji budżetu z zasiłku na alkohol i papierosy;
- liczby nieparzyste zostaną wyeliminowane, iż jako niemające pary promują styl życia singla;

Nieźle, nie? Jeszcze pewnie będą uczyć, że Polska nie była odpowiedzialna za wybuch drugiej wojny światowej i obozy zagłady.



Dzisiaj jestem kobietą,
więc lepiej mnie
nie wkł~~aj~~ *y#!

c e z a x y k t y j z t o n j

Dowiedzieliśmy się, iż Polska jest jednym z największych na świecie producentów jabłek i jest to kolejny dowód na to, iż świat nam bardzo odjeżdża.

Europa i świat stawiają na nowoczesne technologie, nowoczesne socjologie i politologie, a w tym czasie co może zaproponować ten kraj? Jabłka? Serio?

Jak więc mamy być traktowani poważnie na arenie międzynarodowej? Nasz frend z kolektywu był ostatnio na wakacjach na Ibizie i przyznał się nieopatrnie, iż pochodzi z Polski, na co został zapytany, czy ma może przy sobie jakieś jabłko, i następnie wyśmiany oraz niezaakceptowany. I znów wstyd za ten kraj. ©©

- za pierwszy tekst zapisany w języku polskim będzie uznawane: „Daj, ać ja pobruczę, a ty idź dyskryminować mniejszości”;
- Wielkie Imperium Lechickie było najpotężniejszą monarchią

- o organizmach obojnaczych, nie będzie żaden ślimak deprawował polskiej młodzieży;
- „Murzynek Bambo” będzie lekturą obowiązkową w każdej klasie każdego rodzaju szkoły;



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ
Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)**

PODSŁUCHANE

Nowy ruch Rafała

Rafał, ten twój ruch to co to ma właściwie być? Wiesz, na wypadek, jakby się ktoś pytał.

Ojej, Sławek, nudzisz. Ja tu muszę kolejne ulice do zwężenia wyznaczyć, nie wiem które, bo wszędzie już jest słabo, a tym mi tu z jakimś ruchem...

No ale momentek, jak to: z jakimś? Przecież ogłaszasz ten... no... jak się to nazywa, przypomnij mi. Myślisz, że ja pamiętam? Czekaj... No tak, oczywiście, Nowa Wydajność. Nie... Nowa... Nowa... Zwyczajność? Normalność? Moment, sprawdzę w guglu... Nowa Solidarność.

O, właśnie, miałem na końcu języka. No dobra, ale co to ma być? Człowieku, ludzie pytają, muszę im coś mówić.

To powiedz cokolwiek, bo ja wiem – że PiS przez pięć lat...

Ale oni nie pytają o PiS, tylko o ten twój ruch.

Aleś się uczeplił. No to mów, że zgoda, że wszyscy razem, że stop podziałom, że solidarnie... Takie tam pierdu-pierdu. Mam cię uczyć? Przecież sam to doskonale umiesz.

Jak chcesz, ma być pierdu-pierdu, to będzie. A program jakiś napisany to będziesz miał?

Tak, tak. Słuchaj, co byś zwał najpierw: Marszałkowską czy al. Solidarności? ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„To władza, która jest głupia, prymitywna i kompletnie nieczuła na sztukę. Na pewno taka władza rządzi obecnie w Polsce [...]”.

JAN PESZEK, aktor, w wywiadzie dla Onet.pl

Sporym echem odbiła się ubiegłotygodniowa rozmowa tygodnika „Do Rzeczy” z przewodniczącym Forum Młodych PiS, a zarazem szefem biura Jarosława Kaczyńskiego – Michałem Moskałem. Wśród wyzwań stojących przed partią rządzącą wymienił on m.in. ochronę środowiska i zwierząt. Szef FM PiS stwierdził też nieoczekiwanie, że nie da się nagle uczynić kultury prawicową, w związku z czym wojna kulturowa z lewicą „tu i teraz” nie ma sensu, ponieważ trzeba działać w długofalowej perspektywie. Jak? Dążąc do tego, by ludzie weryfikowali informacje, oraz walcząc z bezkrytycznym przyjmowaniem niektórych treści. Moskał ocenił również, że podział na lewicę i prawicę nie przystaje do współczesnej rzeczywistości. „Nie są ważne etykiety, którymi określamy się sami czy określamy nas inni, ale to, jakie wyznajemy wartości i co dobrego możemy zrobić dla Polski i Polaków. Polska zmienia się za naszych rządów, my też musimy się zmieniać” – powiedział.

W nawiązaniu do tej rozmowy minister środowiska Michał Woś z Solidarnej Polski w rozmowie z portalem DoRzeczy.pl podkreślił, że chrześcijańskie wartości i tradycyjny model rodziny to fundament naszego społeczeństwa, a „obce ideologie infekują zwłaszcza osoby młode, które nie mają jeszcze takiego doświadczenia życiowego, by rozpoznawać fałszywych proroków”. I zaznaczył: „Dlatego ta walka jest szczególnie ważna. I nie mówi tego minister w wieku emerytalnym, ale człowiek wciąż przed trzydziestką”. Woś przyznał jednak, że w Zjednoczonej Prawicy widać dwa spojrzenia na przyszłość, z których jedno to pogodzenie się z trendami kulturowymi i upadkiem chrześcijańskiej wizji świata. „Panuje przekonanie, że taka jest konieczność dziejowa

Różne spojrzenia Zjednoczonej Prawicy

Po wywiadzie z szefem Forum Młodych PiS w „Do Rzeczy” w sprawie wojny kulturowej z lewicą głos zabrał m.in. minister Michał Woś



Michał Woś, minister środowiska
FOT. MINISTERSTWO ŚRODOWISKA

i że Polska jest na to skazana. Przecież to czysty heglizm, na którym wyrósł marksizm [...]. Drugi nurt zakłada, że nawet jeśli wydaje się, że jesteśmy na przegranej pozycji, [...] to nie ma czegoś takiego jak dziejowa konieczność. Wszystkie trendy są do odwrócenia ciężką, ciępliwą pracą” – tłumaczył.

Minister środowiska podkreślił, że postawa „wywieszania białej flagi” jest nieakceptowalna.

„Jeśli wywiesimy białą flagę, przestaniemy być wierni swoim ideom i poddamy się »konieczności dziejowej«, to przegramy. Konsekwencje tej przegranej mogą być dramatyczne i to trzeba wszystkim wątpliwym w szansę skutecznej obrony uświadomić” – ostrzegął.

Zaoponował przeciwko stwierdzeniu Moskale, że wojna kulturowa z lewicą „tu i teraz” nie ma sensu. „Żeby osiągnąć dalekosiężny cel, musimy wygrywać potyczki tu i teraz.

Postawa białej flagi sprawi, że oddamy pole przeciwnikowi, młodzi zmieniają sposób myślenia, język, zachowanie. Już ich nie odzyskamy. Przegramy dziś i pozostaniemy przegrani jutro [...]. Musimy pokazać nasze wartości właśnie jako pełnię wolności. Wolność trzeba stale zdobywać, nikt nam jej nie dał na zawsze. Dlatego nie

można złożyć broni” – podkreślił minister.

Z kolei wicereczenik Porozumienia, a zarazem szef jej młodzieżówki Jan Strzeżek w rozmowie z portalem DoRzeczy.pl ocenił, że kwestie ideowe są tożsamością i spoiwem Zjednoczonej Prawicy. Jak dodał, nie powinna ona jednak zapominać o gospodarce i nauce. „Z przykrością patrzyłem na jałowy spór dotyczący LGBT, bo wolałbym, żebyśmy spierali się o to, jak pomagać polskim przedsiębiorcom” – przyznał. Jednak o ile Strzeżek zgodził się z postulatami Moskale dotyczącymi ochrony zwierząt i środowiska, o tyle podkreślił, że prawica musi pielęgnować swoje wartości i zaszczepiać je w młodych ludziach. „Cały czas trzeba wzmacniać tożsamość narodową, a nie wystawiać białą flagę” – zadeklarował. (kg) ©



KUPUJ CO POLSKIE*

co tworzy wartość dla polskiej gospodarki

Polskie **owoce** i **warzywa**,
nabiał, **mięso** i **wędliny**.
Polskie **marki**, polskie **produkty**
wytwarzane, przetwarzane
lub konfekcjonowane w Polsce.



Kupuj to, co rodzi się
we współpracy
z przedsiębiorcami w Polsce,
co pozwala tworzyć
tysiące miejsc pracy i pomaga
w rozwoju naszego kraju.

Dowiedz się więcej na biedronka.pl/kupujcopolskie



*Szczegóły i regulamin na www.biedronka.pl



FOT. ADRIAN STOK

Numizmatyka to pomocnicza nauka historii, zajmująca się badaniem monet oraz banknotów, analizą technik ich wybijania, sprawdzaniem znaków menniczych. Numizmatyka bada także m.in. gospodarcze, polityczne oraz kulturowe aspekty związane ze środkami płatniczymi. W potocznym rozumieniu to z kolei piękne hobby dla wszystkich tych, którzy niczym zbieracze znaczków, poszukiwacze literackich białych kruków czy zapaleni modelarze interesują się przedmiotami mającymi istotną wartość historyczną, sentymentalną, artystyczną.

ZNANI POLSCY NUMIZMATYCY

Szukając rzadkich monet i numizmatów, można zdobywać wiedzę nie tylko o samych monetach czy historiach stojących za kolejnymi emisjami, lecz także lepiej poznawać dzieje Polski, Europy czy świata. Sporo można się też dowiedzieć o technicznych, a także artystycznych aspektach bicia pieniędzy. Wiele monet – wykonanych z najwyższą starannością i niezwykłą dbałością o de-

W Polsce trwa moda na zbieranie monet. I chociaż niektórzy traktują tworzenie własnych kolekcji jako inwestycję, to wielu pasjonatów za nic nie sprzedałoby swoich zbiorów. Numizmatyka to bowiem piękne hobby, które pozwala zdobyć ogromną wiedzę o historii pieniądza

tale – przypomina bowiem miniaturowe dzieła sztuki.

Wśród wybitnych numizmatyków było wielu Polaków. Żyjący w XIX w. Karol Beyer – wybitny fotograf i znany kolekcjoner monet – opracował m.in. „Skorowidz monet polskich od 1506 do 1825 r.”, a także zainicjował utworzenie pierwszego na polskich ziemiach Warszawskiego Towarzystwa Numizmatycznego. Znanym numizmatykiem był również Marian Gumowski, autor wydanego w roku 1914 „Podręcznika numizmatyki polskiej”.

Wszystkim polskim numizmatykom znany jest Emeryk Hutten-Czapski. Syn szambelana Stanisława Augusta Poniatowskiego dzięki znakomitemu wykształceniu i znajomości aż siedmiu języków obcych bez trudu kontaktował się z kolekcjonerami z różnych państw.

Rodzinna fortuna ułatwiła mu zaś dokonywanie zakupów i stworzenie ogromnej – liczącej wiele tysięcy eksponatów – bezcennej kolekcji, wśród której znalazły się takie unikatki jak pochodzący z ok. 1000 r. denar Bolesława Chrobrego GNEZDVN CIVITAS oraz dukat Władysława Łokietka. Do dziś zwłaszcza do „starego” mennictwa stosowana jest również opracowana przez Czapskiego 10-stopniowa skala rzadkości numizmatów (od R – oznaczającego, że danej monety jest w obiegu od 80 001 do 400 tys. sztuk, do R* w przypadku, gdy istnieje tylko jeden egzemplarz). Kopalnią cennej wiedzy jest również opracowany przez niego „Spis medalów i monet polskich”. Jego przepiękną kolekcję – ofiarowaną bezpłatnie przez wdowę po Emery-

ku Czapskim – można współcześnie oglądać w Gabiniecie Numizmatycznym Muzeum Narodowego w Krakowie.

Cenionym znawcą przedmiotu był także doktor historii Władysław Terlecki. To dzięki niemu przed niemiecką grabieżą udało się uratować część zbiorów Mennicy Państwowej.

Po drugiej wojnie światowej Terlecki odtworzył zaś Warszawskie Towarzystwo Numizmatyczne (WTN), którego został prezesem. Był także wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Archeologicznego oraz kustoszem Gabinetu Numizmatycznego Mennicy Polskiej i dyrektorem Mennicy Polskiej.

Jednym z najwybitniejszych polskich numizmatyków XX w. – uchodził również za znawcę numizmatyki średniowiecznej w skali europejskiej

a także „Moneta polska i obca w średniowieczu”.

WŁASNA KOLEKCJA – KROK PO KROKU

Żeby zacząć zbierać monety oraz banknoty kolekcjonerskie, niekoniecznie trzeba kończyć dodatkowe fakultety czy zdobywać ekstremalnie trudne umiejętności. Początkowo wystarczy jedynie pasja kolekcjonerska oraz podstawowa wiedza. Dzięki Internetowi kolekcjonerom łatwiej jest wyszukiwać informacje o ciekawych egzemplarzach do zbiorów. Początkujący miłośnicy numizmatyki mogą jednak nie tylko przepłacić za dany okaz, lecz także kupić falszyfikat – aby nie zostać oszukanym, warto się regularnie doksztalać.

zbior. Ze względu na to, że monety wydobywane są od tysięcy lat, nie da się nie tylko zbierać każdego rodzaju monet kolekcjonerskich, lecz także zdobyć o wszystkich wystarczającej wiedzy. Warto więc wybrać własną niszę. Dla przykładu można zbierać monety – a także banknoty kolekcjonerskie – poświęcone wydarzeniom historycznym. Wiele jest ciekawych przykładów monet i medali, które upamiętniają m.in. najważniejszych władców, znane bitwy, bohaterów narodowych czy choćby rocznice najważniejszych wydarzeń z historii kraju. Jednym ze sposobów na uporządkowanie kolekcji jest wyznaczenie sobie okresu dziejów, z którego mają pochodzić zbiory: na przykład monety ze średniowiecza lub okresu napoleońskiego.

Popularne wśród numizmatyków hobbystów są również monety poświę-

Kolekcjonerzy monet, banknotów i numizmatów

– był zmarły w roku 2006 prof. Ryszard Kiersnowski z Instytutu Historii PAN. Autor cenionych prac, takich jak „Pieniądz kruszcowy w Polsce wczesnośredniowiecznej”, „Wstęp do numizmatyki polskiej wieków średnich”, „Wielka reforma monetarna XIII–XIV w.” czy „Moneta w kulturze wieków średnich”, był wieloletnim prezesem Polskiego Towarzystwa Archeologicznego i Numizmatycznego oraz wiceprzewodniczącym Międzynarodowej Komisji Numizmatycznej.

Doprowadził do szybkiego rozwoju polskiej szkoły numizmatycznej. Stworzył także kwartalnik „Wiadomości Numizmatyczne”, który redagował wspólnie m.in. ze Stanisławem Suchodolskim. Profesor dr hab. Stanisław Suchodolski to kolejna znana postać w polskiej numizmatyce. Archeolog i historyk w latach 80. XX w. był prezesem Polskiego Towarzystwa Archeologicznego i Numizmatycznego. Jest autorem ważnych opracowań z dziejów mennictwa polskiego i europejskiego. Są wśród nich „Numizmatyka średniowieczna”,

Czym różni się moneta od numizmatu? To jedno z pierwszych pytań, które może zadać sobie początkujący kolekcjoner. Na monecie znajduje się nominał, a także znak emitenta. Wydana przez bank centralny danego kraju moneta jest również legalnym środkiem płatniczym na danym terytorium. Z kolei numizmat jako produkt kolekcjonerski nie jest legalnym środkiem płatniczym.

Na początku przygody z kolekcjonowaniem monet trzeba również poznać najważniejsze światowe mennice. Nauczyć się, jakie surowce są stosowane do produkcji monet, a także dobrze poznać chociaż podstawowy zestaw pojęć związanych z numizmatami (patrz: słowniczek). Lekturą obowiązkową dla każdego kolekcjonera są m.in. katalogi monet oraz polskie i zagraniczne plany emisyjne.

Od czego zacząć zbieranie monet i banknotów, aby po pewnym czasie móc się pochwalić własną, ciekawą kolekcją? Po pierwsze warto ustalić cel, czyli zdecydować, z czego powinien składać się autorski

cone religii, znanym sportowcom, a także przyrodzie, kulturze (np. przebojom filmowym) etc. Do monet okolicznościowych zaliczają się monety kolekcjonerskie (wykonane ze srebra lub złota) oraz monety obiegowe, upamiętniające ważne wydarzenia, postacie czy rocznice historyczne.

Monety kolekcjonerskie mogą być również uatrakcyjniane poprzez dodatek artystycznych elementów z bursztynu, szkła, drewna, cyrkonii oraz innych materiałów. Jedną z kanadyjskich mennic wypuściła np. monetę ozdobioną brokatem i imitacją szronu. Z kolei z antypodów pochodzą monety kolekcjonerskie zawierające skarby Australii: diamenty, perły, samorodki złota, szafiry oraz opale. Monety kolekcjonerskie wyróżniają też różne kolory oraz kształty – są wśród nich kwadraty, prostokąty (tzw. klipy), wielokąty, gwiazdy, a nawet monety, w którym zatopione są elementy trójwymiarowe.

Ze względu na szlachetny surowiec, z którego zostały wykonane, oraz wysoką wartość artystyczną zarówno cena

■ emisyjna monet kolekcjonerskich, jak i zazwyczaj ich wartość na rynku kolekcjonerskim są wyższe niż widniejący na nich nominał. Wartość monet obiegowych określa widniejący na nich nominał. Od monet kolekcjonerskich odróżnić trzeba tzw. monety bulionowe, zwane inaczej lokacyjnymi. Tego typu monety bite są zazwyczaj ze złota lub srebra o najwyższej próbie (określa ona masę metalu szlachetnego względem masy stopu). Z powodzeniem zastępują one więc złote lub srebrne sztabki. Przewagą monet bulionowych jest to, że poza wartością lokacyjną mają też pewną wartość kolekcjonerską.

SIEDEM STANÓW ZACHOWANIA

Całe kolekcje lub pojedyncze monety można kupować w profesjonalnych sklepach numizmatycznych, w polskich i światowych mennicach, w oddziałach banków centralnych, u antykwariuszy, na aukcjach stacjonarnych lub internetowych oraz od innych kolekcjonerów. Niektórzy sprzedawcy oferują także abonamenty numizmatyczne, w ramach których sprzedają określoną liczbę monet z rynku pierwotnego.

Aby móc bez kłopotu odczytywać opisy konkretnych egzemplarzy, konieczne trzeba poznać podstawowe skróty używane w numizmatyce np.: Ag (srebro), Au (złoto), brak (brakteat), fals. (falszyfikat), L (moneta lustrzana), men. (mennica), NG (Nordic Gold), tal. (talar), w.n. (wartość nominału), złp (złoty polski), zw (stempel zwykły).

Kolekcjoner monet musi również umieć samodzielnie oszacować, jaka jest wartość danego egzemplarza. Ta zaś zależy o wielu czynników, m.in. od rodzaju stopu, z jakiego została wybita (np. monety złote są droższe niż srebrne), próby, wielkości nakładu, wieku, stopnia rzadkości oraz od stanu jej zachowania.

Trzeba więc wiedzieć, z jakim rozmachem wybijano dane serie monet. Ogromna popularność ateńskiej tetradrachmy z VI oraz V w. p.n.e. – czyli jednej z pierwszych na świecie monet uniwersalnych, która urodą zachwycała już starożytnych poetów i filozofów – może okazać się o wiele mniej wartościowa od rzadkiej monety z czasów Mieszka II.

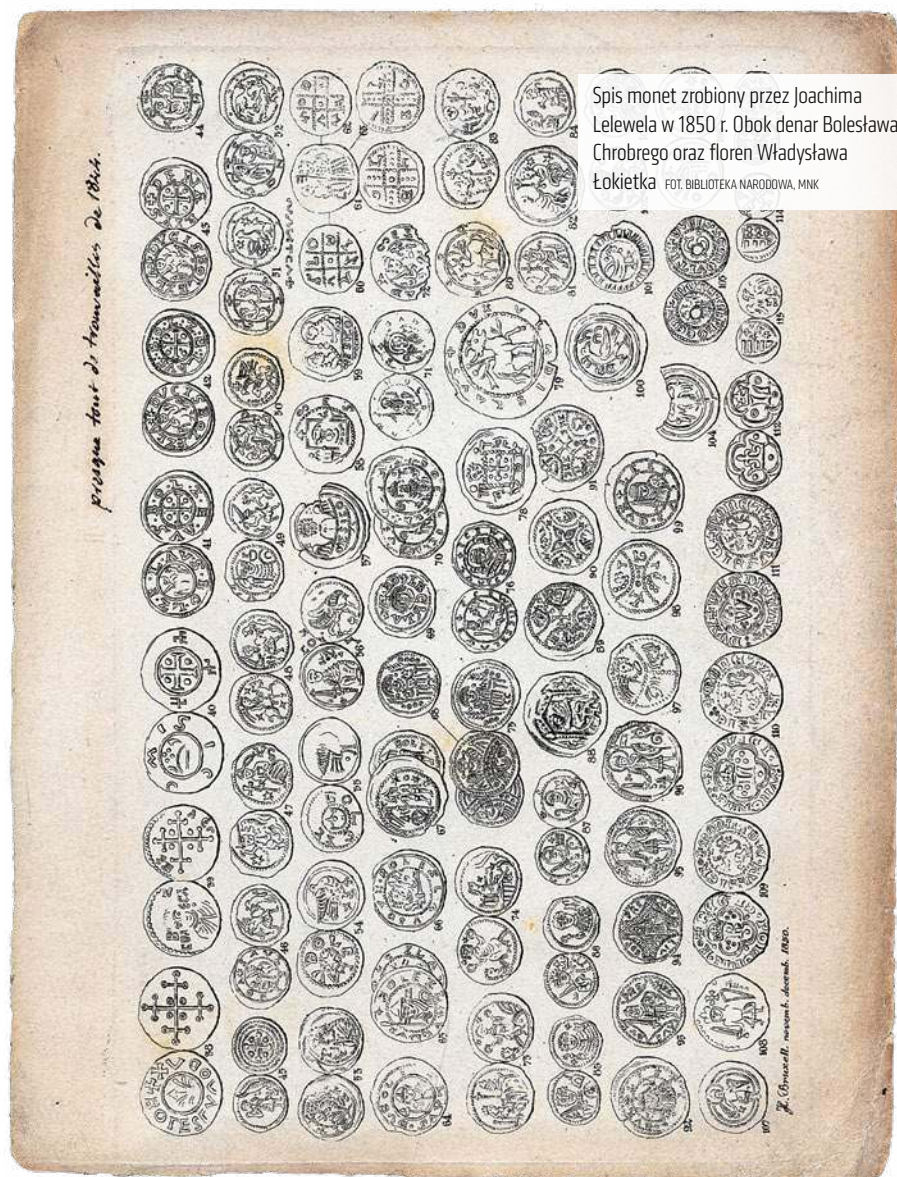
Niektóre bardzo rzadkie egzemplarze osiągają zaś na aukcjach równowartość kilkuset tysięcy czy wręcz kilku milionów złotych. Dla przykładu w połowie stycznia 2020 r. moneta wybita

w 1937 r. za panowania króla Edwarda VIII osiągnęła podczas aukcji wartość miliona funtów (ok. 4,9 mln zł) – została bowiem wybita z 22-karatowego złota i wyprodukowano jedynie sześć tego typu monet. A nie jest to wcale najdroższa moneta świata. Za najbardziej wartościową uznawany jest pierwszy dolar wyemitowany przez rząd USA. Moneta The Flowing Hair Silver – wybita w 1794 r. – składająca się w 90 proc. ze srebra i 10 proc. z miedzi w 2013 r. osiągnęła na aukcji wartość 10 mln dol., czyli ok. 30,75 mln zł. Na kolejnych miejscach znajdują się Double Eagle – złota 20-dolarówka z 1933 r. – oraz The Saint-Gaudens Double Eagle – złota 20-dolarówka z 1907 r. – obie na ostatnich aukcjach osiągnęły cenę 7,6 mln dol.

Kupując monety kolekcjonerskie, trzeba jednak pamiętać, że choć część osób robi to w celach inwestycyjnych, a ich zbiory nierzadko zyskują na wartości, to numizmatyka wcale nie daje gwarancji zysku. Podobnie jak w przypadku innych inwestycji istnieje również ryzyko, że dana moneta zamiast zyskać, wręcz straci na wartości.

Drugim – a czasem nawet pierwszym – elementem wyceny wartości monet kolekcjonerskich jest stan zachowania. W numizmatyce wyróżnia się siedem stanów, które są stosowane do oceny monet niezależnie od tego, czy zostały wybite współcześnie czy pochodzą ze średniowiecza lub starożytności.

Najcenniejsze są monety w stanie I. W Polsce nazywany jest stanem menni-





– czy
będzie to
kurz, pył,
odcisk
palca czy
nawet ślady
czyszczenia
– drastycznie
zmniejsza wartość

czym (SM), w krajach anglosaskich Uncirculated (UNC) lub Mint State (MS), we Francji Splendide (SPL) lub Fleur de coin (FDC), a w Niemczech Unzirkuliert (UNZ) lub Stempelglanz (STGL).

Moneta oznaczona w taki sposób nie tylko nigdy nie była używana jako środek płatniczy, lecz także nie ma nawet najdrobniejszych uszkodzeń, zarysowań, odcisków palców czy nawet śladów po jej czyszczeniu. Pozostałe stany zachowania monet to w Polsce (w kolejności od drugiego do siódmego): znakomity (ZN), bardzo piękny (BP), piękny (P), bardzo dobry (BD), dobry (DB) oraz zły (Z).

KLASERY, KAPSUŁY I PALETY

Aby kolekcja zachowała swoją wartość, miłośnik numizmatyki musi nauczyć się odpowiednio przechowywać, a czasem także czyścić oraz konserwować swoje monety.

Najlepiej jest elementy swojej kolekcji przechowywać w taki sposób, aby nie wymagały one nawet profesjonalnie wykonanego czyszczenia. Jeżeli jednak wymagają delikatnego odświeżenia, to trzeba pamiętać o tym, aby nie stosować silnych środków chemicznych oraz past z ziarnami, które zarysują powierzchnię monety.

Trzymanie ich w szufladzie czy zwykłych pudełkach może narazić je na porysowanie lub zabrudzenie.

Do monet o niezbyt wysokiej wartości można używać klaserów numizmatycznych. Mają one tę zaletę, że bez trudu można w przejrzysty sposób ułożyć swoją kolekcję. Poważną wadą takich klaserów jest jednak to, że przy przewracaniu stron monety mogą się uszkodzić. Są one również bardziej narażone na różne reakcje chemiczne, które mogą doprowadzić do zmiany wyglądu (szczególnie podatna na patynowanie i śnieczenie jest miedź oraz jej stopy, z kolei złe przechowywane srebro ma tendencję do ciemnienia w klaserach).

Tymczasem każda, nawet najdrobniejsza rysa oraz każde zabrudzenie

danego egzemplarza.

Bezpieczniejszym sposobem na ochronę cennych egzemplarzy jest stosowanie tzw. holderów, czyli miniksiążeczek z foliowymi okienkami, które zabezpieczają monety przed szkodliwym działaniem czynników zewnętrznych (takich jak np. promienie słoneczne czy zanieczyszczenia powietrza), jednocześnie umożliwiając podziwianie kolekcji. Same holdery można przechowywać w klaserach.

Bardziej wartościowe monety kolekcjonerskie są z kolei zazwyczaj pakowane w specjalne przezroczyste plastikowe kapsuły ochronne, zwane też kapsułami na monety.

Taka forma przechowywania zbiorów ułatwia zachowanie ich w menniczym

stanie. Warto pamiętać, że jeśli daną monetę trzeba z jakiegoś powodu wyjąć z takiego pojemnika, to zawsze robi się to w czystych białych rękawiczkach.

Najbardziej wartościowe monety mniejszej średnicy przeważnie trzymane są w szczelnie zamkniętych plastikowych kapsułach – przed włożeniem takiego egzemplarza do kapsuły zabezpiecza się go dodatkowo pierścieniem z gąbki. Dzięki temu chronione są one przed uszkodzeniami mechanicznymi i chemicznymi, ponieważ nie mają dostępu do powietrza. Czasem np. złote monety umieszcza się także w etui, do którego zazwyczaj załączony jest certyfikat autentyczności, potwierdzający najważniejsze cechy danego egzemplarza.

W przypadku większych kolekcji kapsle można przechowywać na tzw. paletach – czyli specjalnych tacach z wyciętymi otworami na monety – a te z kolei w efektywnie wyglądających szkatułach i kuferkach. Wadą stosowania palet bez kapsli jest ryzyko uszkodzenia monety podczas jej podnoszenia po to, aby móc podziwiać jej awers i rewers.

Słowniczek kolekcjonera

- **Awers** – główna strona monety, na której widnieją informacje o emitencie. Symbolem emitenta może być imię lub portret panującego, nazwa państwa lub herb emitenta. W przypadku współczesnych polskich monet jest to strona z godłem i rokiem wybicia.
- **Bok** – trzecia strona monety. Może być gładka, ząbkowana lub zdobiona napisami lub ornamentem.
- **Brakteat** – popularny rodzaj monety wybijanej jednostronnie z cienkiej blaszki na miękkiej podkładce. Taki sposób produkcji sprawiał, że rysunek widoczny był zarówno na awersie (wypukły), jak i na rewersie (wklesły). Tę formę średniowieczni europejscy władcy wprowadzili z powodu braku odpowiedniej ilości srebra i złota.
- **Egzerga** – zwana inaczej odcinkiem – to najczęściej dolna część pola monety, oddzielona za pomocą poziomej cięciwy. Właśnie w tym miejscu często wybijana jest data.
- **Legenda** – umieszczona na monecie inskrypcja. Termin pochodzi od łacińskiego słowa „legere”, czyli „czytać”.
- **Nordic Gold (nordyckie złoto)** – określenie stopu złota składającego się w 89 proc. z miedzi, 5 proc. cynku, 5 proc. aluminium oraz 1 proc. cyny.
- **Otok** – wyniesiony ponad powierzchnię monety wąski pas na obrzeżach awersu lub rewersu. Dzięki niemu moneta jest mniej podatna na złamanie i porysowanie, np. w otokach denarów Bolesława Chrobrego pierwszy raz wybito napis „Polonie”.
- **Pole** – zasadnicza część awersu lub rewersu. Czasem dzielone na część lewą i prawą. Jego dolny obszar bywa też ograniczony cięciwą (wówczas powstaje egzerga).
- **Rant** – krawędź oddzielająca bok numizmatu od awersu i rewersu.
- **Rewers** – „zmienna” strona monety. To na niej zazwyczaj pojawia się nominał oraz różnego rodzaju motywy ikonograficzne oraz elementy plastyczne, które związane są z tematem monety.
- **Stopa mennicza** – liczba monet danego gatunku wybijanych z określonej jednostki wagowej kruszcu. Im wyższa stopa mennicza, tym mniejsza jest waga oraz wartość pojedynczej monety.
- **Znak menniczy** – swoisty identyfikator, który mają monety oraz numizmaty. Stanowi on potwierdzenie autentyczności. Jest też dowodem jakości wykonania.



Grzegorz Kucharczyk

„Projekt 1619” ma zmienić prawdziwą historię USA

W sierpniu 2019 r. na łamach „The New York Times Magazine” ukazał się specjalny dodatek – zbiór esejów poświęconych historii niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych. Jak pisała w artykule anonującym dodatek czarnoskóra redaktorka magazynu i projektodawczyni suplementu, Nikole Hannah-Jones, jego zasadniczym celem było „przeformatowanie amerykańskiej historii”. I rzeczywiście po lekturze zamieszczonych na łamach nowojorskiego czasopisma artykułów ktoś czerpiący tylko z tego źródła wiedzę o historii USA może dojść do wniosku, że dzieje Ameryki to z pewnością nie jest opowieść o kraju wolności, konstytucyjnego ładu utworzonego przez ojców założycieli, ziemi obiecanej dla milionów imigrantów, którzy ciężką pracą mogli przejść drogę „od pacybuta do milionera”.

Autorzy zebrani przez Hannah-Jones twierdzą bowiem, że wszystko to kłamstwo. Historia Stanów Zjednoczonych jest od początku istnienia angielskich kolonii na Wschodnim Wybrzeżu historią zniewolenia i wyzysku. Właściwym początkiem Ameryki nie było przybycie na obszary dzisiejszego Massachusetts pierwszych purytańskich uchodźców z Anglii w 1620 r. ani uchwalenie w 1776 r. Deklaracji Niepodległości czy ogłoszenie w 1787 r. amerykańskiej konstytucji. Wszystko zaczęło się – jak twierdzą autorzy publikujący w „The New York Times” – w 1619 r., z chwilą przybycia do Wirginii pierwszego transportu czarnych niewolników z Afryki.

Hannah-Jones we wstępie lapidarnie określiła istotę rzeczy: „Ameryka nie była demokracją, dopóki nie uczynili ją taką Afroamerykanie”. Sprawa jest jasna. Wszyscy „biali, martwi mężczyźni” – Washington, Franklin, Madison, Jefferson (właściciel niewolników!), Lincoln (zwolennik segregacji) – mogą, a nawet muszą być „przeformatowani”. Przecież, jak utrzymuje Hannah-Jones, właściwą przyczyną wybuchu w 1776 r. amerykańskiej wojny o niepodległość była



chęć obrony instytucji niewolnictwa zagrożonego przez Koronę Brytyjską. Od początku więc nie chodziło o wolność, tylko o zniewolenie.

SŁODZISZ? JESTEŚ RASISTĄ

Autorzy esejów w „NYT” z niewolnictwem wiążą dosłownie wszystko, czym chlubi się Ameryka. Zły jest przede wszystkim kapitalizm – „przedłużenie niewolnictwa”. Odpowiada on nawet za korki na amerykańskich ulicach. Czystego sumienia nie powinni mieć również ci Amerykanie, którzy słodzą kawę lub herbatę, bo za konsumpcją cukru tkwią cierpienia tysięcy niewolników przymuszanych do pracy na plantacjach trzciny cukrowej. A cóż dopiero powiedzieć o tych wszystkich

– po obu stronach Atlantyku – którzy chętnie chodzą w bawełnianych koszulkach! Drżycie producenci, BLM wcześniej czy później upomni się o stosowne „retrospektywne odszkodowania” (jakieś parę miliardów dolarów) w imieniu tych, którzy w pocie czoła wbrew swojej woli pracowali na plantacjach bawełny w stanach amerykańskiego Południa.

Zredagowany przez Nikole Hannah-Jones historyczny dodatek do „The New York Times Magazine” zapoczątkował tzw. Projekt 1619. Opublikowane na tych łamach eseje zostały przygotowane do dystrybucji w szkołach, gdzie mają stanowić podstawę do nowego „programu edukacyjnego” idącego tropem „przeformatowanej” amerykańskiej

Muzułmanie dłużej niż Europejczycy i Amerykanie utrzymywali niewolnictwo. Na ilustracji z 1849 r.: targ niewolników w Kairze. FOT. DOMENA PUBLICZNA

W grudniu 2019 r. grupa wybitnych (bynajmniej niezwiązanych z prawicą) amerykańskich historyków w liście otwartym skierowanym do autorów „Projektu 1619” wytknęła im selektywność w doborze materiału źródłowego i bałamutność stawianych tez, na czele z tą głoszącą, że prawdziwym tłem amerykańskiej wojny przeciw Koronie Brytyjskiej w 1776 r. była chęć obrony niewolnictwa. Autorzy ustami Hannah-Jones odpowiedzieli w duchu „ani kroku w tył”. Żadnych sprostowań i korekt.

WZBUDZIĆ WSTYD

Nie od dziś bowiem wiadomo, że „pokutna historiografia” jest jednym z ulubionych narzędzi neomarksistowskiej lewicy w „przeformatowywaniu” nie tylko historii, lecz także sfery kultury i polityki w państwach po obu stronach Atlantyku. O ile w Europie Zachodniej taką rolę odgrywa „retrospektywna nazwyfikacja pamięci” (początki hitleryzmu są równoznaczne – według tej koncepcji – z początkami cywilizacji chrześcijańskiej, z której wyrosły kolonializm, obozy koncentracyjne i patriarchalna, autorytarna rodzina), o tyle w Ameryce zadanie to wypełnia tzw. nowe spojrzenie na dzieje niewolnictwa.

Mathieu Bock-Côté, kanadyjski antropolog i badacz ideologii wielokulturowości, pisze w tym kontekście o tym, że „dyskurs nieczystego sumienia Zachodu” ma być „założycielską narracją społeczeństwa multikulturowego”. Natomiast kwestia początków Ameryki (jej odkrycia, genezy europejskiej kolonizacji i niewolnictwa w utworzonych przez białych osadników koloniach) znajduje się – jak pisze ten sam badacz – „w centrum multikulturowego imaginarium, w tej mierze, w jakiej chodziłoby tu o pierwszy, inauguracyjny akt ludobójstwa dokonany przez zachodni imperializm. [...] Historia rozwoju cywilizacji zachodniej zostaje odtąd zaliczona w poczet zbrodni przeciw ludzkości”.

BIADA DYSYDENTOM

Tak pojęta „kryminalizacja przeszłości” nie znosi żadnych niuansów i wyjątków. Wiadomo, kto był (na początku) i jest (teraz) winny. A kto by nie dorósł do takiego „cnotliwego” spojrzenia na dzieje „cywilizacji białego człowieka”, tego odpowiednio sformatuje cenzura w służbie postępu i tolerancji. Stara jakoś bińska zasada, że „nie ma wolności dla

Ameryki

historii. „Projekt 1619” doczekał się już specjalnych audycji telewizyjnych i stron internetowych utrzymanych w tonie jak najbardziej afirmatywnym.

Znając upodobania „stada niezależnych umysłów” galopującego po amerykańskim świecie medialnym i akademickim, niespecjalnie dziwi mnie fakt, że w tym roku prestiżową Nagrodę Pulitzera w kategorii komentarz otrzymała właśnie Nikole Hannah-Jones za swój tekst z sierpnia 2019 r. „wyjaśniający” prawdziwe korzenie amerykańskiej niepodległości i demokracji.

Być może wielu z wandalów burzących wiosną i latem 2020 r. pomniki Kolumba, św. Junipera Sierry czy generałów Konfederacji, nauczyło się amerykańskiej

historii z materiałów podsuwanych im w szkołach oraz w Internecie przez autorów „Projektu 1619”. Na naszych oczach spełnia się dictum Józefa Szujskiego, że „fałszywa historia jest mistrzynią fałszywej polityki”.

Idee głoszone przez autorów „Projektu 1619” nie są zresztą czymś nowym. To jest właściwie powtórzenie sloganów komunistycznej propagandy z okresu międzywojennego, opracowywanej i rozpowszechnianej w USA przez agentów i „pożytecznych idiotów” na służbie Kominternu oraz Komunistycznej Partii USA. Był to zresztą wzór („zniewolenie do czasu komunistycznego wyzwolenia”) powielany wszędzie tam, gdzie panował sowiecki komunizm.

„wrogów wolności” na początku XXI w. przeżywa prawdziwy renesans.

À propos Francji – Chantal Delsol na kartach opublikowanych u nas w 2018 r. „Kamieni węgielnych” wspomina represje, które spadły na współczesnego francuskiego historyka Oliviera Pétré-Grenouilleau. W 2006 r. opublikował on monografię pt. „Handel czarnymi niewolnikami. Esej o historii globalnej”. Napisał w niej, że „Czarna Afryka była zarazem ofiarą i aktorem handlu niewolnikami”, nawiązując w ten sposób do tego, że gros niewolników, którzy dostali się w ręce handlarzy żywym towarem, było sprzedawanych przez swoich ziomków lub trafiali tam na skutek wojen międzyplemiennych. Francuski historyk przypomniał również znany przecież od dawna historykom (nie ideologom) fakt, że zanim na Czarnym Łądzie pojawili się Europejczycy handlarze niewolników, taką działalnością już od VII w. w Afryce parali się mużmańscy.

Bardzo szybko okazało się, że w ten sposób francuski historyk popełnił „zbrodniomysł”. Z paragrafu o ściganie rasizmu i negacjonizmu (w tym przypadku „zbrodni białych kolonizatorów”) wytoczono mu w jego ojczystym kraju kilka procesów. Rzecz jasna, wszystko w imię tolerancji, otwartości i swobodnej debaty akademickiej.

NIWYGODNE FAKTY

„Przewinienie” Pétré-Grenouilleau polegało na tym, że nie tylko uderzył w założycielski mit całej lewicowej „pokutnej historiografii” głoszący wyłączną winę białych za cierpienia czarnych niewolników, lecz także zakłócił lewicową narrację, wedle której przypominanie jakichkolwiek agresywnych działań islamu z przeszłości jest wyrazem „islamofobii”.

Rzetelne badania historyczne potwierdzają jednak zasadnicze tezy rozprawy Pétré-Grenouilleau. Warto zresztą przypomnieć, że np. w basenie Morza Śródziemnego, włączając w to Afrykę Północną, we wczesnym średniowieczu (VII–X w.) o wiele częściej niż ludność czarna na targach niewolników sprzedawani byli biali Europejczycy, chrześcijanie pochodzący z wojen prowadzonych w Europie przez mużmańskich agresorów. Powstrzymanie przez Franków pod Poitiers (732 r.) pochodu Arabów w głąb Europy znacznie ograniczyło dopływ świeżego „towaru”. Co nie oznaczało, że handel białymi niewolnikami na mu-

żmańskich targowiskach całkowicie zamarł.

W wiekach IX i X wykształciła się cała sieć pośredników dostarczających tym razem z Europy Środkowej i Wschodniej nowych partii niewolników dla mużmańskich nabywców na Bliskim Wschodzie, w Afryce Północnej oraz w kalifacie kordobańskim. „Linie zaopatrzeniowe” zapewniali wikingowie, a ważnym portem przerzutowym żywego towaru do krajów mużmańskich była Wenecja. Kto wie, może żydowski kupiec z mużmańskiej Hiszpanii, Ibrahim ibn Jakub, dzięki któremu mamy pierwszy opis państwa Mieszka I, przyjechał do państwa gnieźnieńskiego z misją udrożnienia coraz bardziej kulejącego handlu niewolnikami pochodzącymi z ziem na wschód od Odry? Nieprzypadkowo konsolidacja w X w. monarchii pierwszych Piastów, Przemysławów i Arpadów zbiegła się z ostatecznym wyschnięciem tego źródła lukratywnego handlu.

Pozostała więc Afryka. Mużmańscy handlarze niewolników już od VII w. docierali do wschodniej Afryki (Nubia), z biegiem czasu rozszerzając pole działania na dzisiejsze Tanzanię i Mozambik. W IX–X w. docierali oni już do całej Afryki Subsaharyjskiej, w tym do zachodniej Afryki (dorzecze Nigru i Zatoka Gwinejska). W tym czasie chrześcijańska Europa dawno już dzięki duszpasterskiej i kulturowej pracy Kościoła pożegnała się z niewolnictwem.

W „okrutnym” i „ciemnym” średniowieczu Kościół nie tylko zwalczał niewolnictwo. Tworzył nawet specjalne zakony, które miały wykupywać chrześcijan, którzy dostali się w ręce mużmańskich handlarzy. Taki cel przyświecał założonemu w XII w. zakonowi trynitarzy (Zakon Trójcy Przenajświętszej) oraz powstałej w XIII w. Kongregacji Najświętszej Maryi Panny od Wykupu Jeńców (mercedariusze). Ten ostatni zakon miał w swojej regule dodatkowy ślub przewidujący oddanie się w niewolę w zamian za wolność innego niewolnika. Ocenia się, że do wybuchu rewolucji francuskiej tylko te dwa zakony przyczyniły się do uwolnienia niemal 600 tys. niewolników i jeńców przebywających w mużmańskiej niewoli. W tym gronie był również Miguel Cervantes. Autor „Don Kichota” dostał się do niewoli berberyjskich piratów, monopolizujących w drugiej połowie XVI w. handel niewolnikami w zachodnim basenie Morza Śródziemnego.

Senegalski historyk Tidiane N'Diaye ocenia, że od VII w. do początków wieku XX z Afryki do krajów mużmańskich trafiło ok. 17 mln czarnych niewolników. Inni badacze kwestionują tę liczbę, redukując ją do 11–14 mln. Niemniej jednak faktem poza dyskusją jest to, że w momencie, gdy z początkiem XIX w. zaczyna się w Europie ruch abolicjonistyczny (autorzy „pokutnej historiografii” starają się przy tym „zapomnieć”, że był on przede wszystkim motywowany religijnie – jak w Wielkiej Brytanii, która zniosła niewolnictwo w swoich koloniach w 1807 r.), mużmański handel czarnymi niewolnikami w Afryce przeżywa renesans. W pierwszej połowie XIX w. koncentruje się on przede wszystkim we wschodniej Afryce, gdzie głównym targowiskiem staje się sułtanat Zanzibaru. Z tej wyspy niewolnicy (według niektórych obliczeń: 50 tys. rocznie) są przerzucani do nabywców w krajach mużmańskich nad Oceanem Indyjskim. Chodzi o obszar dzisiejszej Arabii Saudyjskiej, Omanu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Dopiero pod naciskiem Brytyjczyków w 1873 r. sułtan Zanzibaru oficjalnie zakazał handlu niewolnikami na swojej wyspie. Taka była wersja oficjalna, bo faktycznie handel „żywym towarem” trwał nadal, aż do bezpośredniego przejęcia władzy nad tym państwem przez Europejczyków.

Niewygoda bowiem dla propagandystów w rodzaju autorów „Projektu 1619” prawda jest taka, że czynnikiem, który w drugiej połowie XIX w. w decydujący sposób przyczynił się do ograniczenia handlu niewolnikami na Czarnym Łądzie (uprawianemu już wtedy tylko przez mużmańskich handlarzy i ich czarnoskórych dostawców), była rozbudowa europejskich imperiów kolonialnych. Chociaż przykład prywatnego imperium króla Leopolda II Belgijskiego w Kongu czy eksterminacja na początku XX w. ludu Herrero przez Niemców w dzisiejszej Namibii pokazują, że nie było tutaj prostej reguły.

GEHENNA KOBIEC

Do reguły natomiast należało przez cały wiek XIX, że specyfiką mużmańskiego handlu niewolnikami było okrutne traktowanie pędzonych do niewoli nieszczęśników. Ocenia się, że wędrowni z Afryki Subsaharyjskiej do Zanzibaru lub innych targowisk „żywym towarem” nie przeżywało trzech z czterech

czarnych niewolników, co w porównaniu z transatlantyckim handlem ludźmi (ginęło ok. 20 proc.) było liczbą zatrważającą.

David Livingstone – znany brytyjski odkrywca i podróżnik – zanotował w swoim dzienniku podróży po Afryce Subsaharyjskiej pod datą 19 czerwca 1866 r.: „Minęliśmy kobietę przywiązaną za szyję do drzewa. Już nie żyła. Miejscowi wyjaśnili, że nie była w stanie nadążyć za resztą pochodu, a jej pan zdecydował, że po wyzdrowieniu nie może stać się własnością kogoś innego”.

Kobiety, zwłaszcza młode dziewczęta, były „towarem” najbardziej poszukiwanym przez mułmańskich nabywców. To także ich odróżniało od europejskich organizatorów transatlantyckiego handlu niewolnikami z Afryki do kolonii w obu Amerykach. Tam poszukiwani byli przede wszystkim silni mężczyźni do pracy na plantacjach. Dla mułmańskich klientów najważniejsze było natomiast zaludnienie haremów. Zanim to się jednak stało, czarne niewolnice przeżywały w rękach handlarzy istną gehennę.

W 1814 r. szwajcarski podróżnik Johannes Burckhardt pozostawił taką

Kraje mułmańskie bardzo późno – i dopiero pod naciskiem Europy oraz USA – formalnie zakazały niewolnictwa

relację z tego, co widział na mułmańskich targowiskach niewolników na pograniczu dzisiejszego Egiptu i Sudanu: „Często byłem świadkiem scen wyuzdanego bezwstydu. W roli głównej występowali handlarze, którzy tylko z tego się śmiali. Ośmielam się twierdzić, że tylko bardzo mało niewolnic, które skończyły dziesiąty rok życia, dotarło do Egiptu i Arabii w stanie dziewictwa”.

Warto przypomnieć, że podobny los był udziałem tysięcy ormiańskich kobiet i dziewcząt w czasie ludobójczej eksterminacji Ormian prowadzonej przez Turków od 1915 r. Wiele z nich stało się niewolnicami swoich tureckich i kurdyjskich oprawców. Podobny los spotkał tysiące ormiańskich dzieci. Genocyd chrześcijan na początku XX w. w Turcji otworzył

również wielkie targowisko niewolników na całym Bliskim Wschodzie. Jak pokazuje dzieje Państwa Islamskiego, powtórka nastąpiła na początku XXI stulecia.

TAK SIĘ TRUDNO ROZSTAĆ

Równie symptomatyczny jest fakt, że kraje mułmańskie bardzo późno – i dopiero pod wyraźnym naciskiem Europy i USA – zdecydowały się na formalne zakazanie na swoim terenie niewolnictwa. Katar uczynił to w 1952 r., Arabia Saudyjska i Jemen 10 lat później. Malawi taką decyzję podjęło dopiero w 2007 r., podobnie jak Mauretania, która w ten sposób została zmuszona do powtórzenia swoich wcześniejszych deklaracji (1961, 1981) – jak widać, mało respektowanych.

Na koniec warto przytoczyć słowa Chantal Delsol, która w kontekście „sprawy Pétré-Grenouilleau” napisała: „Nie potrafimy zaakceptować wyjątkowości naszego humanizmu i zapewne dlatego wolimy raczej sami pójść na dno, niż szukać dla niego uzasadnień”. Wychowani na „Projekcie 1619” młodzi hunwejbini pokazują, że ta umiejętność szybko ginie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



Biogen – jesteśmy pionierami neuronauki

Prowadzimy pionierskie badania naukowe, które poszerzają wiedzę na temat układu nerwowego. Dzięki zastosowaniu nowych technologii cyfrowych oraz włączeniu doświadczeń społeczności pacjenckich możemy pogłębić rozumienie oraz chronić cechy i wartości fundamentalne dla człowieka.

www.biogen-poland.pl



Biogen-60776

Rzecz dzieje się w Madison, stolicy stanu Wisconsin, a usunięcia pomnika Lincolna domagają się studenci uniwersytetu. Pomnik stoi na Bascom Hill, przed głównym budynkiem uczelni, góruje nad kampusem i miastem. – To samo w sobie stanowi symbol supremacji białych – dowodzi w miejscowej gazecie „Wisconsin State Journal” Nalah McWhorter, przewodnicząca Black Student Union, związku czarnoskórych studentów. W gazecie uniwersyteckiej panna McWhorter wyjaśnia: Lincoln, owszem, „zrobił parę dobrych rzeczy, ale rzeczy złe, jakich się dopuścił, zdecydowanie przeważają”. W dodatku był rasistą, bo choć uważał, że ludzie są równi, był też zdania, że biali i czarni się od siebie różnią.

W Madison na celowniku znalazł się nie tylko Lincoln. Pod koniec czerwca, gdy miejscowa policja zatrzymała jednego z członków Black Lives Matter, tłum rozjuszonych barbarzyńców zniszczył pomnik Hansa Christiana Hega, dając tym samym pokaz czarnej niewdzięczności – bo Heg, który poniósł śmierć w jednej z bitew wojny secesyjnej, był przeciwnikiem niewolnictwa i szczerym abolicjonistą. Figurze odrąbano głowę i wszystko wrzucono do jeziora.

W dobie BLM w modzie jest też dociekanie, czy ludzie wybitni nie mieli aby czarnych przodków. Ofiarą takich sugestii padł Ludwig van Beethoven, zapewne nie bez wpływu okoliczności, bo w tym roku przypada 250. rocznica jego urodzin. Beethoven miał ciemną karnację i kędzierzawe włosy, więc a nuż? Bardziej gorliwi doszukują się nawet afrykańskich rytmów w beethovenowskich symfoniach i sonatach!

NIEZAMIERZONY KOMIZM

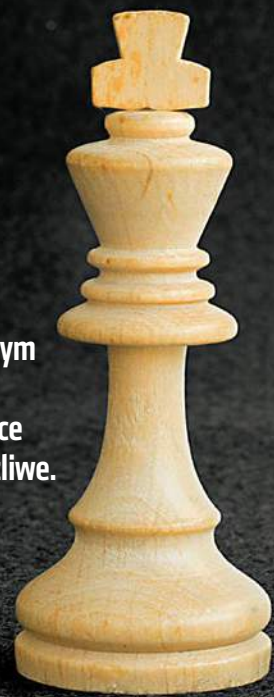
W krainie nonsensu, jaką opisywaliśmy niegdyś w „Do Rzeczy” (nr 16/2019), zaroilo się ostatnio od nowych mieszkańców. Łączą ich barwy: czarna i biała. To, przypomnijmy, pokłosie wydarzeń w Minneapolis, gdzie niejaki George Floyd, tzw. Afroamerykanin, zatrzymany za drobne przestępstwo, zmarł wskutek przyduszenia przez policjanta. Stało się to zaczątkiem masowych demonstracji i istnej antyrasistowskiej hysterii, której przejawem rzecowym było m.in. demolowanie pomników rasistów prawdziwych i urojonych, ideowym zaś – doszukiwanie się przejawów rasizmu, gdzie tylko się da.

O ile zapędy niszczycielskie są bardzo groźne, o tyle przejawy ideowe często by-



Teresa Stylińska

Abraham Lincoln bardzo by się zdziwił, gdyby wiedział, że półtora wieku po zniesieniu niewolnictwa, co w dużym czy wręcz decydującym stopniu było jego zasługą, potomkowie niewolników zechcą strącić go z cokołu. W epoce burzycieli pomników wszystko jest jednak możliwe. Nawet to, że abolicjoniście zarzuca się rasizm



Czarne i białe w

wają zgola humorystyczne, tym bardziej że tropiciele rasizmu nie zdają sobie sprawy z własnej śmieszności.

Nie chodzi tylko o to, że wytykają postaciom historycznym takie czy inne postęпки i wypowiedzi, z całkowitym pominięciem kontekstu czasów i okoliczności. Rzecz w tym, że czarne i białe to dla nich oczywiste symbole dobra i zła. Biel to synonim wyższości, lekceważenia, pogardy, eksploatacji, rasizmu, kolonializmu, słowem – wszelkich możliwych grzechów. Czerń natomiast generalnie zasługuje na uznanie, ale tylko wtedy, gdy jest nieudawana. Nie daj Boże jednak, gdy zostanie potraktowana z przymrużeniem oka.

Czy można na przykład wysmarować się czarną pastą i udawać Murzyna? Przecież w ten sposób obraża się całą społeczność czarnych! Z błędu młodości zdał sobie sprawę kanadyjski premier Justin Trudeau, który za młodu tak właśnie wystąpił na jakiejś imprezie. Zachował się jednak jak należy i jako prawdziwy wzór postępu w świecie polityki po latach przeprosił za, jak to się obecnie mówi, „nieumyślną obrazę”.

ŚWIĘTY MICHAŁ DUSI FLOYDA

Autorzy MercatorNet, brytyjskiego portalu internetowego, który deklaruje się

jako medium respektujące rodzinę, wartości i godność człowieka, oraz prześmiewczego konta twitterowego pod nazwą @Titania McGrath, pokusili się o zebranie kilkudziesięciu – nazwijmy to wprost – najdurniejszych pomysłów z czarnym i białym w tle. Wybór jest bogaty, palma pierwszeństwa należy się jednak, moim zdaniem, idei przeprojektowania brytyjskiego Orderu św. Michała i św. Jerzego, wysokiego odznaczenia przyznawanego m.in. za zasługi w sferze polityki zagranicznej. Na awersie orderu widnieje archanioł Michał depczący szatana, a to nasuwa bardzo niedobre skojarzenia: biały depcze czarnego. Według strażników antyrasizmu na orderze widnieje obraz śmierci Floyda.

Większości pomysłów człowiek rozsądny by na pewno nie wymyślił. Okazuje się, że rasistowski charakter ma na przykład sygnalizacja świetlna, ponieważ przez ulicę można przejść dopiero wtedy, gdy ukaże się postać ludzika – białego, niestety. Jazda rowerem – bo cyklistami są głównie biali (w Londynie stanowią 86 proc. rowerzystów-mężczyzn i aż 94 proc. kobiet). Gra w golfa – a to ze względu na turniej Masters. Słowo to oznacza „mistrzów”, ale także „panów”. A z czym może kojarzyć się pan, jeśli nie z posiadaniem plantacji i niewolników? Dodajmy od siebie, że podobna przewina



oparach absurdu

cięży na tenisie, tym bardziej że tradycyjnie tenisiści grali w białych strojach.

Rasistowskie są bez wątpienia „białe skały Dover”. „Fakt, że nazywane są »białymi«, przypomina o dominacji i przywilejach białych w kraju, gdzie żyje wielu czarnych i wielu przedstawicieli mniejszości etnicznych” – ubolewał lokalny portal Kentonline.

Również żywienie nie jest wolne od rasizmu. Niejeden weganin czy wegetarianin żyje w błogiej nieświadomości, że je na sposób rasistowski. Jakżeby inaczej, skoro wegetarianizm praktykował Hitler? Prawdziwie rasistowskim napojem jest z kolei mleko. Stanowi ono – jak można dowiedzieć się ze strony internetowej PETA, organizacji ochrony zwierząt – prawdziwy symbol supremacji białych, nie tylko z uwagi na kolor. Stwierdzono bowiem, że wskutek mutacji genetycznych biali ludzie lepiej trawiają laktozę.

WALKA NA ŚMIERĆ I ŻYCIE

W takiej atmosferze pod pręgierz musiały trafić szachy. Czy to w porządku, że pierwszy ruch w grze należy do białych? Przez to na szachownicy białe zawsze mają przewagę.

Zaczęło się od decyzji YouTube, gdzie chorwacki szachista Antonio Radić pro-

wadzi bardzo popularny kanał szachowy pod nazwą Agadmator. Ostatnio program nieoczekiwanie został zablokowany. Autor odwołał się od decyzji, ale odwołanie zostało odrzucone, bo – jak orzeczono – prezentowany film „zawierał treści szkodliwe i niebezpieczne”.

Radić nie ma wątpliwości, że wpływ na tę decyzję miała obecna kampania przeciwko rasizmowi. Co robić, gdy w filmiku pada opinia, iż „białe zawsze są w lepszym położeniu”? „Wówczas, przy obecnej sytuacji, łatwo uznać film za niewłaściwy i go zdjąć – tłumaczył Radić na łamach brytyjskiego dziennika »The Sun«. – Jeśli tak właśnie było, jestem pewien, że wszystkie moje filmy, a jest ich 1800, zostaną zdjęte. Bo w szachach czarne i białe toczą ze sobą walkę na śmierć i życie”.

Sprawa stała się na tyle głośna, że australijska stacja radiowa ABC postanowiła zająć się tematem. Jak mówił później autor audycji, chodziło wyłącznie o wy tłumaczenie słuchaczom, dlaczego grę zaczynają białe. Zanim jednak sprawa się wyjaśniła, rozpętała się burza. Australijski szachista John Adams zarzucił stacji doszukiwanie się w szachach rasizmu i chęć zainicjowania dyskusji, czy obowiązujących zasad nie należałoby zmienić. Przy okazji opinia publiczna dowiedziała się, że zasadę, iż

pierwszy ruch należy do białych, międzynarodowa federacja szachowa podjęła w latach 80. XIX w. Wcześniej wybór koloru należał do tego, kto zaczynał grę.

Mimo to jednak... Wiosną ubiegłego roku dwaj szachiści ze ścisłej czołówki – Magnus Carlsen, mistrz świata, i Anish Giri, czwarty na świecie – rozegrali partię, w której grę rozpoczęły czarne. Był to, jak oznajmili, „gest symboliczny”, świadome złamanie zasad jako wyraz poparcia dla międzynarodowego dnia walki z rasizmem (21 marca). Czarnymi grał Carlsen. Czy wygrał, nie wiadomo.

Ciekawe, czy za rasistowską zostanie kiedyś uznana sztuka pianistyczna. Klawiatura fortepianu też jest przecież czarno-biała. No i w dodatku białych klawiszy jest więcej.

BAMBO NA SZTANDARACH

Murzynek Bambo nie chce się kąpać, bo bardzo się boi, że może się wybielić. Tym, którzy w niewinnym wierszyku dopatrują się przejawów rasizmu, należałoby uświadomić, że ludzie postępu powinni raczej wziąć Bambo na sztandary. Nie chce bowiem wybielania. Woli być czarny.

W wielkich światowych firmach kosmetycznych nikt o małym Bambo nie słyszał, a mimo to każda z nich postępuje tak, jak gdyby brała z niego przykład. L’Oreal, Unilever, Johnson & Johnson i Procter & Gamble zgodnie deklarują, że z opakowań ich kosmetyków zostaną usunięte wszelkie słowa, które mogłyby sugerować, iż jasna skóra jest lepsza od czarnej. Nie będzie zatem takich określeń jak „jasny”, „rozjaśnianie”, „biały” czy „wybielanie”. Chociaż same produkty oczywiście zostaną. Bo któż by chciał z własnej nieprzymuszonej woli tracić wielomilionowe zyski? Popyt na kosmetyki rozjaśniające skórę jest w Indiach czy na Bliskim Wschodzie ogromny. A na zasadne przecież pytanie, czy wybielanie zębów też jest przejawem rasizmu, nikt jak dotąd nie udzielił odpowiedzi.

Składane deklaracje nie mogą jednak nie budzić rozbawienia. Okazuje się, że koncernom zawsze chodziło o to tylko, by być jak najbardziej „inclusive” – czyli nie różnicować odbiorców i każdego z nich traktować z szacunkiem. Postępowaliśmy bardzo źle, oferując klientom środki rozjaśniające i przekonując, że jeśli ich skóra będzie jaśniejsza, to odniesie sukces w życiu – wyjaśniają jednym głosem, dodając, by nikt nie miał cienia wątpliwości: przecież każdy kolor skóry jest tak samo dobry.

JACEK PRZYBYLSKI: Wirus LGBT prowadzi do dehumanizacji społeczeństwa – stwierdził na antenie łódzki kurator Grzegorz Wierchowski. I jest już byłym kuratorem. Rząd Zjednoczonej Prawicy zaczął walkę z homofobią?

PATRYK JAKI: Okoliczności odwołania były bardzo niefortunne. Jednak minister edukacji wskazuje na inne przyczyny tej dymisji.

Czyli w Zjednoczonej Prawicy nie ma sporu w kwestii homofobii?

W naszym obozie toczy się dyskusja o tym, jak mają wyglądać nasze dalsze rządy, jakie są największe wyzwania dzisiejszego świata i priorytety dla Polski.

W mojej ocenie najważniejsza walka toczy się dziś o świadomość społeczną procesu, któremu poddane jest nasze państwo. Jeżeli ją przegramy, to stracimy coś, co jest cenniejsze od jakichkolwiek zdobyczy ekonomicznych. Polska poddana jest procesowi wrogiej socjalizacji, który już spowodował „gramscizację Europy”. Zachwyty elit UE nad Antoniem Gramscim, który żądał „totalnej laicyzacji życia, zwyczajów i stosunków międzyludzkich” oraz „zsekularyzowania jedności duchowej i społecznej”, a także neomarksistowskimi ideami połączonymi ze zrobieniem głównym „bohaterem Europy” Altiera Spinello, który dążył do stworzenia „państwa europejskiego” kosztem państw narodowych – to ogromne zagrożenie inkorporowane po zwycięstwach na Zachodzie do Rzeczypospolitej.

Polska kolejny raz w historii stała się miejscem wojny cywilizacji. Z jednej strony mamy świat uniwersalnych i ponadczasowych wartości, a z drugiej świat, który nazywam „róbta, co chceta”. Jeżeli w Polsce, tak jak w wielu państwach Zachodu, wygra ta neomarksistowska rewolucja, to trwale zniszczone zostaną takie wartości jak rodzina, patriotyzm czy wspólnota odwołująca się do polskiego kodu kulturowego, a główną wartością społeczną stanie się niczym nieograniczony hedonizm czy indyferentyzm moralny. Wówczas bałbym się o przyszłość naszego państwa. Polska zostałaby bowiem pozbawiona swej najważniejszej broni, czyli kodu kulturowego, który Polacy od wieków przechowywali i dzięki któremu przetrwali jako naród 123 lata zaborów. Ten kod jest absolutnie unikalny w Europie. Był katalizatorem postaw naszego narodu, które zmieniały losy świata. Od Grunwaldu do Wiednia, ale również tworząc pierwszą wyjątkową na te czasy unię (lubelską), pierwszą konsty-



FOT. INSTYTUT NAUK O POLITYCE I ADMINISTRACJI



Z Patrykiem Jakim, europoseł PiS, byłym wiceministrem sprawiedliwości rozmawia Jacek Przybylski

Nie jesteśmy skazani na porażkę

tucję w Europie, rozbijając komunizm. Kod, dzięki któremu Polacy przez lata nie dali się zasymilować różnym „kulturkampfum”, a podczas pierwszej czy drugiej wojny światowej nie dali się przekonać do takich „cywilizacyjnych wynalazków” jak ideologia marksistowska, jest dziś w sprytny sposób niszczone. Ten nowy, neomarksistowski świat wprowadza się w białych rękawiczkach. Bez użycia czołgów i fizycznego przymusu.

A może jednak lepiej zamiast skupiać się na ideologii, walczyć o przewagę konkurencyjną kraju?

Moim zdaniem to zachowanie polskiego kodu kulturowego – podczas gdy rak neomarksizmu wyniszczy już całkowicie europejskie wartości i korzenie w innych państwach – będzie naszą przewagą konkurencyjną. Będzie czymś, co stanie się jeszcze raz siłą Polski.

Po prostu Rzeczpospolita jako kserokopiarka Europy to wizja, z którą się nigdy nie zgodzę. Myślą państwo, że z jakiego powodu akurat w Polsce nigdy nie przyjęły się w większości społeczeństwa ideologie takie jak nazizm, popierane swojego czasu przez większość Niemców? Ze względu na nasz unikalny kod kulturowy. Jeśli bowiem np. ktoś wychodzi z kościoła z modlitwy adorującej Maryję, to trudno sobie wyobrazić, aby poszedł np. „zabijać Żydów”. Dlatego Polacy moralnie wygrywali z systemami totalitarnymi, bo byli silniejsi w duchu niż inne narody. Dlatego nie mamy się co wstydzic Polski. Powinniśmy być z niej dumni. I pokazywać te fakty z podniesioną głową w Europie.

Po co tracić siły na „wojnę cywilizacyjną”, skoro na Zachodzie lewica dawno już ją wygrała, więc i w Polsce ta walka skończy się podobnie?

Wielu osobom tak się wydaje. I rzeczywiście Polska tę walkę już zaczyna przegrywać, np. wśród osób młodych, w dużych miastach, w wielkich korporacjach, w zdominowanych przez lewicę ośrodkach kultury, w liberalnych mediach czy na zachodnich portalach społecznościowych.

Nie oznacza to jednak, że cała Polska już tę bitwę przegrała. Po 1945 r. marksieści, którzy również byli przekonani, że uda im się swoimi antywartościami podbić Europę Środkowo-Wschodnią, największe problemy napotkali... w Polsce i na Węgrzech. Dziś sytuacja wygląda podobnie: choć wiele miejsc w Europie jest już podbitych, to Polacy i Węgrzy jeszcze się trzymają. Uważam więc, że wcale nie jesteśmy skaza-

ni na porażkę w wojnie z neomarksistami ubranymi w genderowe szaty.

Marksieści w przeciwieństwie do aktywistów gender czy LGBTQ+ nie byli wspierani przez Hollywood, Netflix, HBO GO. Poza tym Polakom trudno jest bronić tradycyjnych wartości, skoro ideologię gender promują tak potężne koncerny jak IKEA. Mimo to ciągle pan wierzy w zwycięstwo konserwatystów?

Wierzę w zwycięstwo racjonalistów. Wiem, że również w obozie Zjednoczonej Prawicy są ludzie, którzy nie chcą tej walki, bo uważają, że wszystko jest już przegrane. Ja jestem innego zdania. Jestem też przekonany, że tak jak skompromitował się marksizm, tak w końcu skompromituje się też neomarksizm. Oczywiście trudno jest skutecznie walczyć o świadomość społeczną, skoro największe platformy komunikacyjne, takie jak Facebook czy Twitter, znacząco ograniczają możliwości równej walki na tym polu. Tak samo jak zdominowane przez lewicową ideologię media. Za Polską uniwersalnych wartości stoi jednak wiele silnych argumentów. Po pierwsze, ten chrześcijański kod kulturowy nadal jest pielęgnowany w wielu miejscach naszego kraju. Ten kod zakłada zarówno wiarę w Boga, jak i poszukiwanie prawdy obiektywnej. Dzięki temu, gdy druga strona zaczyna snuć opowieść o 56 płciach i o tym, że walkę klas zastąpiła walka płci, możemy powiedzieć wprost, że to tylko okropny lewicowy bełkot. Teoria walki płci, którą współczesna lewica próbuje sprzedawać ludziom, jest jeszcze słabsza intelektualnie od dawnej wojny klas. I to należy wykorzystywać, wskazując na absurdy ich pseudosocjologicznego wywodu i kontrastując ich kłamstwa z dowodami naukowymi czy choćby z biologią, która jasno mówi, że nie ma 56 płci.

Świat, o który walczą rewolucyjni ideolodzy gender i LGBTQ+, ma być łatwiejszy, przyjemniejszy, bez kościelnych zakazów, nakazów wierności, kazań o grzechu, a może nawet bez policji. Nie czuje się pan tak, jakby pod koniec XVIII w. próbował zatrzymać rewolucję francuską?

Rewolucja francuska to dobry przykład tego, do czego może doprowadzić sytuacja, w której ludzie stawiają się w roli Boga. I choć mogę wydawać się zbyt optymistą, to wierzę, że tak jak rewolucja francuska poniosła klęskę, tak również postmarksizm przegra.

Jestem przekonany, że gdy młodzi ludzie zdobędą własne doświadczenia i zobaczą, jak ważna w ich życiu jest rodzina, odrzuca-

świat ideologii gender, w którym rodzina jest największym wrogiem. Wierzę, że Polacy w końcu zadadzą sobie sprawę, iż neomarksistowskie ideolodzy kreślą przed nimi utopijne wizje, a w rzeczywistości ich ideologia prowadzi do anarchii, obalania pomników czy zamieszek na ulicach, które obserwujemy np. w USA czy w miastach zachodniej Europy. I trudno się temu dziwić w świecie, w którym brakuje odwołania do chrześcijańskiej miłości będącej czymś więcej niż wypełnieniem bieżącego pożądanego, i w świecie szalejącego relatywizmu, w którym każdy ma swoją rację. Przed tą dyktaturą relatywizmu ostrzegał już papież Benedykt XVI. Di Mattei pisze o tym procesie: „Konformizm przeszłości był konformizmem udzielania odpowiedzi, podczas gdy w swojej najnowszej postaci objawia się jako konformizm zakazu”. Zakazu stawiania pytań. Nawet same pytania: „Od kiedy istnieje ludzkie życie?”, „Czy można nie zgadzać się z ideologią gender, skoro zaprzecza ona faktom i biologii?”, są poddane ostracyzmowi. Wygrywa konformizm zakazu.

Dlatego ludzie w końcu sami zaczną to dostrzegać. I jeśli będziemy konsekwentnie walczyć o świadomość społeczną, to zaczniemy w końcu wygrywać. A za Polską i Węgrami z czasem pójdą inne narody, które już zaczynają się dusić w gorsecie lewicowej „poprawności politycznej”. Co widać było ostatnio w zaskakującym liście lewicowo-liberalnego salonu w „Harper’s Magazine”.

Powiem więcej. My, jako rodacy św. Jana Pawła II, mamy szczególnie zobowiązanie, aby o tym mówić i aby dążyć do powrotu do tradycyjnych wartości. Papież Polak pisał bowiem o tym, że „demokracja bez wartości łatwo przemienia się w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm”. Jako naród, który – miejmy nadzieję – zachowa w sobie najwięcej odwołań do prawdy obiektywnej, musimy więc stanąć na czele kontrrewolucji kulturowej w Europie.

Aktywiści LGBTQ+ przypominają, że kilkadziesiąt lat temu Martin Luther King był nazywany ekstremistą, a teraz jest bohaterem. Być może za kilkadziesiąt lat „Margot” i homokomanda przejdą do historii jako tęczyowi bojownicy, którzy pokonali Jakiego i Ziobrę.

To niestosowne porównanie, ponieważ Martin Luther King walczył o to, by wszyscy byli traktowani tak samo. Tymczasem aktywiści LGBT już teraz mają dokładnie takie same prawa jak każdy inny

obywatel RP. Oni oczekują jednak nie równości, ale przywilejów, które od zawsze należały się tylko tradycyjnej rodzinie. I które należą się jej nie z powodów ideologicznych, ale dlatego, że rodzina jest tym środowiskiem, które jest odpowiedzialne za wychowanie dzieci i wzrost siły narodu.

King żądał też prawa do wolności...

Chrześcijaństwo jest religią, w której centrum znajduje się wolny człowiek. Z kolei liderzy genderowej rewolucji i ideologii marksistowskiej, choć dużo mówią o wolności, to używają jej jako pałki, odmawiając tej wolności wszystkim tym, którzy myślą inaczej niż oni. Tam, gdzie oni już wygrali, polityk głośno mówiący o wartościach chrześcijańskich nie może już obejmować niektórych urzędów. Do kodeksów karnych trafiają zaś zapisy, na mocy których za poglądy zgodne z doktryną Kościoła katolickiego, ale sprzeczne z ideologią LGBT, można już trafić do więzienia.

Niestety, środowiska, które dziś chcą w Polsce bronić świata uniwersalnych wartości, mają dwa potężne problemy. Pierwszy to przemoc medialna. Drugi to słabość Kościoła instytucjonalnego, który podczas wojny cywilizacyjnej powinien przewodzić kontrrewolucji moralnej, a tymczasem w wielu miejscach nie radzi sobie nawet z własnymi problemami. Z kolei przemoc medialna bywa dziś bardziej dotkliwa niż przemoc fizyczna. Wystarczy bowiem, by odważny ksiądz powiedział podczas kazania prawdę o wojnie cywilizacji, aby stał się pośmiewiskiem liberalno-lewicowych mediów. Żyjemy w czasach, gdy wyszydza się ludzi, którzy ośmielią się publicznie stwierdzić, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny.

A skoro pod medialnym pręgierzem stawia się dziś praktycznie każdego, kto odwołuje się do uniwersalnych wartości i do doktryny Kościoła katolickiego, to jednym z najważniejszych wyzwań, które stoją dziś przed Zjednoczoną Prawicą, powinna być obrona właśnie przed tą formą przemocy.

Sposobem na to ma być zapowiadana od dawna repolonizacja mediów?

Tak. Ona jest konieczna, bo ataki na ludzi walczących o tradycyjne wartości często dokonywane są właśnie przez media, które mają jasny profil polityczny, są finansowane z zagranicy i których szefowie świadomie stosują taktykę osłabiania Polski. Do dekoncentracji powinno dojść jak najszybciej, ponieważ media nie

są dziś już czwartą, ale często pierwszą władzą.

Pan mówi o przemocy medialnej, tymczasem aktywiści LGBTQ+ nie ukrywają, że nie zamierzają dłużej przestrzegać prawa. Nowe radykalne działania planuje m.in. tzw. kolektyw Stop Bzdurom, a szef warszawskiego „homokomanda” stwierdza wprost: „Mili już byliśmy”. Policja powinna odpuścić, aby uniknąć kolejnych prowokacji?

Jeżeli ktoś stosuje przemoc, to państwo zawsze powinno stanowczo działać. Przykre jest to, że nawet w tej sprawie w środowiskach szerokiej prawicy nie ma konsensusu. Część osób tłumaczy, że aktywiści tylko liczą na interwencję policji i prokuratury. Ale czy w takim razie mamy pozwalać im na burzenie wszystkich najważniejszych elementów, na których zbudowana jest Polska? Wszyscy na prawicy powinni zrozumieć, że bezkarność rozzuchwała. Państwo nie powinno więc pozwalać na tego typu prowokację, zwłaszcza że chodzi o ściganie przestępstw, które w Kodeksie karnym są od dekad.

Pan nawiązuje do religii chrześcijańskiej, tymczasem ideologię LGBT niczym nową religię promują już ONZ czy UE. Polskę za zatrzymanie „Margot” skrytykowała m.in. komisarz Rady Europy, wzywając do natychmiastowego uwolnienia aktywistki o imieniu Michał. Komisja Europejska ukarała już też gminy, które ogłosiły się „strefami wolnymi od LGBT”. Czy Polska za obronę tradycyjnych wartości może stracić miliony euro?

Tego się obawiam. W Parlamencie Europejskim wpycham się do wszystkich małych i większych, oficjalnych i nieoficjalnych grup zajmujących się tzw. praworządnością i prostuję ich bzdury. Ponadto ten termin wprawdzie ładnie brzmi, ale przecież równie ładnie brzmiały hasła równościowe marksistów. Problem w tym, że pod płaszczykiem tzw. praworządności kryją się totalitarne zapędy.

Publikacja raportu Komisji Europejskiej ws. praworządności planowana jest już na wrzesień. Szykuje się kolejny miesiąc biczowania Polaków?

Niestety, tak. Od września czeka nas więc kolejna bitwa o wizerunek polskiego państwa, a także bitwa, której celem jest obrona naszych suwerennych uprawnień dotyczących kształtowania własnego systemu edukacji, sprawiedliwości czy dystrybucji środków publicznych.

Dla przeciwników Polski łamaniem tzw. praworządności jest bowiem np.

uchwalanie własnego systemu edukacji, w którym nie będzie miejsca na promocję ideologii gender. Łamaniem praworządności jest też dla nich obrona tradycyjnych wartości czy nieprzyznawanie publicznych pieniędzy aktywistom LGBT. W ostatnim raporcie Komisji Europejskiej za naruszenie praworządności uznano nawet próbę obrony dobrego imienia Polski. Ci ludzie chcą odebrać Polsce miliony euro – które nam się po prostu należą – za to, że otworzyliśmy swoje rynki dla zagranicznych podmiotów. Duże państwa zarobiły dzięki „ulidlowieniu” Polski dużo więcej, niż dostaliśmy z tzw. funduszy spójności.

Ostatni szczyt w Brukseli pokazał, że Unia Europejska po brexicie będzie chciała narzucać krajom członkowskim, jak i o czym należy uczyć i za jakie homofobiczne wypowiedzi wtrącać do więzień. Będzie pan wówczas namawiał do polexitu?

Polska powinna podjąć twardą walkę o to, aby Unia powróciła do takiej formy, jakiej chcieli jej ojcowie założyciele. W dzisiejszej Unii Europejskiej Robert Schuman, żarliwy katolik, który publicznie mówił o Bogu, nie mógłby już pełnić żadnej funkcji i byłby otwarcie dyskryminowany. Poza tym idea Unii Europejskiej opierała się na wolnym przepływie ludzi, towarów i usług, a nie na promocji neomarksizmu.

Czy chociaż w tym jednym punkcie w Zjednoczonej Prawicy panuje zgoda, czy to też jest przedmiotem ostrego starcia na linii Morawiecki-Ziobro?

Nie ma takiego starcia i mam nadzieję, że do niego nie dojdzie. ZP jest ogromną wartością, której trzeba bronić.

Zupełnie publicznie w opublikowanym niedawno tekście „Quo Vadis Zjednoczona Prawica?” oskarżał pan swój własny obóz polityczny o „uplatformienie”. Naprawdę wierzy pan, że Zjednoczona Prawica zmieniła się w Platformę i teraz tylko czekać na ośmiorniczki?

Nie, nie zmieniła się. Mówiłem tylko o niektórych grupkach w naszym obozie, które rzeczywiście chciałyby iść w kierunku polityki „ciepłej wody w kranie” i które uważają, że wojna cywilizacyjna jest już przegrana i trzeba się skupić na czymś innym. Tymczasem wierzę, że walka o zachowanie polskiego kodu kulturowego stanie się najważniejszą agendą całej Zjednoczonej Prawicy. Polska bowiem to nie tylko podatki czy prawa LGBT. To coś znacznie więcej. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Protest LGBT podczas demonstracji działaczy Młodzieży Wszechpolskiej i Ruchu Narodowego 16 sierpnia w Warszawie. FOT. JUSTYNA ROJEK/EAST NEWS

Tęczowa przemoc u bram



Tomasz Rowiński

Poziom skłonności do agresji lewicowych i tęczowych działaczy jest niepokojąco wysoki

Jak państwo myślą, jakim zdjęciem liberalny tygodnik opatrzy wywiad z profesorem socjologii zatytułowany „Cofnęliśmy się społecznie. Wracamy do czasów, w których najważniejsza jest siła”? Oczywiście jakimś obrażającym manifestacją patriotyczną z flagami biało-czerwonymi w tle.

Tak wygląda wizytówka niedawnej dość ciekawej rozmowy z Miroslawą Marody w „Newsweeku” (nr 33/2020). Jak wiadomo, jako odbiorcy mediów stosunkowo mało czytamy, częściej scrollujemy, przeglądamy leady i w ten sposób oceniamy treść kryjących się za wizytówkami tekstów. Gdy przyglądam się zdjęciu, które na stronie „Newsweeka” można obejrzeć także w lepszej rozdzielczości niż na miniaturce, ludzie na nim uchwyceni wyglądają zupełnie normalnie. Widzę uśmiechnięte twarze kobiet i mężczyzn, nie są też agresywni – nie są żadnymi narodowymi szturmowcami.

Jednak miniaturka zdjęcia od razu narzuca skojarzenie z obrazowaniem „zła”, które znam z liberalnych mediów. „Dobrzy Polacy patrzą na faszyzm (i go nie widzą)”, „Faszyzm w rocznicę Powstania. Te zdjęcia mówią same za siebie” – to tylko dwa losowo wybrane tytuły, pierwszy z samego „Newsweeka”, a drugi z portalu OKO.press. Przy obu, tak jak przy wielu innych tekstach, zdjęcia z Marszu Niepodległości, z Godziny „W”, Polacy z flagami, czasem w mundurach historycznych, czasem z banerami wyrażającymi sprzeciw wobec ideologii, czasem w koszulkach z napisem: „Śmierć wrogom Ojczyzny”. Hasło to ma złą sławę, ale przecież jeśli Polska miałaby dziś prawdziwego wroga szturmującego nasze granice, to należałoby chwycić za broń. Czyż nie? Urabiany stereotyp spr-

większeniem się aktywności politycznego ruchu homoseksualnego pod tęczą flagą – istnienie procesu odczłowieczania przeciwników, jawnej przemocy, jej usprawiedliwiania, zachęty do dyskryminacji i wykluczenia po stronie, która rytualnie takie zachowania piętnuje.

Kiedy przeczytałem pytanie dziennikarza „Newsweeka” – czy teraz po wyborach „przestaniemy szczuć” – przypomniało mi się drobne osobiste doświadczenie z ostatnich dni. Podczas wizyty w warsztacie, w którym często serwisuję samochód, w radiu podano wiadomość o prawdopodobnym otruciu Aleksieja Nawalnego. Na to jeden z obecnych mężczyzn rzucił, że „powinni tak otruć tego kurdupla, co nami rządzi, on jest chory psychicznie”. Poszukiwanie kozła ofiarnego, na którego zrzuca-

– prawdziwe w swojej treści – równocześnie ułatwiały stawianie znaku równości między słowami „ksiądz” i „pedofil”?

Zresztą wyobraźmy sobie reakcję mediów liberalnej opinii publicznej na takie ewentualne zajścia. Jedno jest pewne – byłaby ona histeryczna, wroga i właśnie agresywna. Tymczasem chulikański postęp Michała Sz. i zamieszki z powodu decyzji sądu o jego aresztowaniu, podczas których dochodziło do słownych ataków na policję, zachowań agresywnych i niszczenia mienia, doczekały się już uzasadnienia z poziomu liberalnej teorii politycznej. „Zdolność do rozróżniania między aktami nieposłuszeństwa obywatelskiego a pospolitymi przestępstwami jest jedną z cech odróżniających współczesne demokracje od dyktatur czy totalitarnych tyranii” – cytował na Facebooku swój tekst sprzed dwóch lat, podkreślając jego aktualność, Paweł Marczewski, publicysta związany z „Tygodnikiem Powszechnym” i Fundacją Batorego.

Czy na takie samo tłumaczenie mogą liczyć osoby, które reagują na bierność policji wobec należących do tożsamości Marszów Równości aktów obsceny kwalifikujących się jako atak na moralność publiczną i wypełniających znamiona czynu zabronionego? Nie, ponieważ lewica i liberałowie za wartości konstytucyjne uważają tylko te z nich, które są zgodne z ich własną filozofią polityczną.

Zwykle pobicie, w którym wziął udział Michał Sz., próbowano przedstawiać także jako „zatrzymanie obywatelskie”. O jakie przestępstwo jednak miałoby chodzić? Kodeks karny w jasny sposób określa, czym jest takie zatrzymanie i jakie są jego warunki. W paragrafie 242 kk czytamy: „Każdy ma prawo ująć osobę na gorącym uczynku przestępstwa lub w pościgu podjętym bezpośrednio po popełnieniu przestępstwa, jeżeli zachodzi obawa ukrycia się tej osoby lub nie można ustalić jej tożsamości”. Po ataku – przecież nie jedynym – na ciężarówkę Fundacji Pro – Prawo do Życia z dnia 28 czerwca na facebookowym profilu „Stop bzdurom” prowadzonym m.in. przez Michała Sz. pojawiła się relacja z wydarzenia, którą trudno określić inaczej niż jako lekko zakamuflowaną zachętę do dalszego stosowania przemocy.

„Nie pochwalamy wandalizmu i myślimy, że wszystkie osoby, które rozpierdoliły tę ciężarówkę, bardzo się wstydzą i żałują. Przemoc nie jest rozwiązaniem.

Chulikański postęp Michała Sz. i zamieszki z powodu decyzji sądu o jego aresztowaniu doczekały się już uzasadnienia z poziomu liberalnej teorii politycznej

wia, że czytelnik liberalnego tygodnika, zanim kliknie w wywiad z prof. Marody, już wie, kto jest tym „złym” w artykule – jest nim prawicowiec, patriota, może jeszcze katolik.

PROCES ODCZŁOWIECZANIA

Jednak Mirosława Marody mówi rzeczy dużo ciekawsze, niż chcieliby usłyszeć redaktorzy i – zapewne – czytelnicy „Newsweeka”: „To znane od wieków mechanizmy propagandowe, które służą kreowaniu kozłów ofiarnych, mających odwrócić wszelkie nieszczęścia od „my”, z którym się identyfikujemy. Podobne straszaki są wykorzystywane od wieków, by ściągać gniew ludzi na konkretne grupy [...]”. I dalej: „Zmiana języka jest pierwszym krokiem, bo pozwala odczłowieczyć pewną grupę, zacząć o niej myśleć: »przecież to nie ludzie, więc nie ma się co przejmować«. Czy nie tak właśnie działają liberałowie i lewica oraz ich media, kiedy obrazują swoich przeciwników politycznych niczym bezimienną masę, kler, patriarchat, PiS-owców, katoli, fanatyków itd.? Zwykle ostrze tego typu socjologicznej krytyki jest w publicystyce skierowane w stronę – nazwijmy ją tak umownie – konserwatywną. A jednak bardzo dobrze widzimy – razem ze

odpowiedzialność za własny dysonans poznawczy, frustrację, ma różne barwy polityczne.

Znamiona takiej symbolicznej przemocy miał także atak Michała Sz. ps. Margot na furgonetkę Fundacji Pro – Prawo do Życia, na której znalazły się wymyki ze statystyk o związkach homoseksualizmu z pedofilią oraz informacje o planach edukacyjno-deprawacyjnych politycznego ruchu homoseksualnego. Od dawna banery te podawano jako przykład „kłamliwej akcji propagandowej łączącej homoseksualność z przestępstwem pedofilii” – jak mówili przedstawiciele skarżącej Fundację Pro Fundacji Tolerado. Jak wiadomo, sąd stwierdził w 2019 r., że w niektórych przypadkach Fundacja Pro – Prawo do Życia faktycznie posunęła się za daleko w ilustrowaniu środowiska LGBT. Dostosowała się jednak do decyzji sądu, zostawiając tylko te z banerów, które uznał on za zgodne z prawem.

Na przykładzie Michała Sz. można łatwo pokazać, że poziom skłonności do agresji lewicowych i tęczyowych działaczy jest niepokojąco wysoki. Czy mieliśmy do czynienia – w ramach obywatelskiego sprzeciwu – z rozruchami inspirowanymi przez księży lub świeckich katolików po filmach braci Sekielskich, które to filmy

Z każdą furgonetką należy wejść w dialog. Wiecie jak". Po tym zdaniu do dziś we wpisie możemy zobaczyć ikonkę zaciśniętej pięści.

FALA CHRYSTIANOFOBII

Chociaż zeszłoroczne manifestacje, a szczególnie wydarzenia w Białymstoku, próbowano przedstawiać jako polskie Stonewall (podobnie zresztą jak aresztowanie Michała Sz.), to warto przypomnieć, że w bliskim czasowym sąsiedztwie Miesiąca Dumy doszło w 2019 r. do motywowanych ideologicznie ataków na księży, które zostały przemilczane przez media liberalne i lewicowe. „Agresja wobec chrześcijan ustępuje chyba tylko tej wobec art. 18 konstytucji [definiującego, czym jest małżeństwo – przyp. T.R.] i jest w gruncie rzeczy tym samym atakiem na fundamenty ładu społecznego. Fala chrystianofobii i ataków motywowanych nienawiścią wobec chrześcijan jest świadectwem tej samej emocji politycznej, która ma być wehikułem przejęcia władzy i zbudowania nowego ładu politycznego i społecznego. To, że dochodzi do eskalacji i mamy do czynienia z atakami na księży, z nożownikami we Wrocławiu, z pobiciem w Szczecinie, z atakiem we Włocławku, to, że mamy do czynienia ze zwalnianiem pracowników za cytowanie Pisma Świętego, jest poprzedzone miękką nienawiścią w postaci plakatów z Najświętszą Maryją Panną w sześciobarwnym nimbie, z parodią mszy świętej, z tym, co się działo w Gdańsku [chodzi o kpiny z procesji Bożego Ciała – przyp. T.R.]. Państwo wobec tego wszystkiego pozostaje bierne” – mówił mi w zeszłym roku w sierpniu Jerzy Kwaśniewski, prezes Ordo Iuris.

„Akty pogardy i nienawiści antykatolickiej” – jak formułuje to uchwała Sejmu, której inicjatorem był Marek Jurek – są nieustannie obecne w galeriach sztuki, w teatrach, podczas ulicznych manifestacji. Bierność państwa w obronie konstytucyjnych zasad ładu publicznego powodowała coraz większą śmiałość w ich łamaniu przez radykalne grupy.

Tęczowa rewolucja ma też coraz wyraźniej wypowiadających się w mediach głównego nurtu celebrytów. Pisarka Sylwia Chutnik, która po wieloletnim związku z mężczyzną ogłosiła się lesbijką, jest tego dobrym przykładem. „Jak długo można dyskutować, używając racjonalnych argumentów? Jak długo można pracować u podstaw, organizo-

„Akty pogardy i nienawiści antykatolickiej” są nieustannie obecne w galeriach sztuki, teatrach, podczas manifestacji

wać kampanie społeczne, które mają sprawić, że społeczeństwo zaakceptuje mniejszość? To wszystko dzieje się od lat i nie przynosi większych rezultatów. Nic dziwnego, że grupy dyskryminowane czują gniew i frustrację. I wybierają inną strategię walki” – mówiła Renacie Kim w „Newsweeku” (nr 34/2020). „Wierzę, że niestety tylko walką można wyszarpać sobie wolność. Tyle że to nie jest tak, że zrobi się rewolucję i można w spokoju rozejść się” – dodała Chutnik.

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jedną radykalną dystynkcję zawartą w tym wywiadzie – możesz być tylko LGBT i sojusznikiem lub homofobem. Nie ma już miejsca na dyskusję. Arbitralne uznanie przez polityczną społeczność LGBT za homofoba – jak się zdaje – ma odbierać takiej jednostce prawa moralne. Trzeba zapytać, czy według Chutnik dotyczą takich jednostek prawa człowieka, których zamierza ona bronić za pomocą rewolucji.

CORAZ WIĘCEJ REWOLUCJONISTÓW

Chór rewolucjonistów, którzy z coraz większą agresją tworzą alternatywną wizję porządku rewolucyjnego w Polsce, jest coraz większy. Profil facebookowy pisarza Jacka Dehnela może być bardzo pouczającą lekturą dla każdego, kto chciałby „zaszczepić” się na propozycje nowego wspaniałego świata pod tęczową flagą. Strumień wpisów i komentarzy nie ma tam końca. Weźmy jeden przykład, wydarzenie z sierpnia – policja zapobiega kolejnemu zbiegowiskowi mającemu prawdopodobnie na celu atak na furgonetkę Fundacji Pro – Prawo do Życia. Dehnel udostępnił film z komentarzem „Jak napisał Filip Springer: »Polski OMON broni faszystów«. Sojusz tronu i ołtarza, KatoZOMO”. Budowanie oderwanej od rzeczywistości semantyki czystej nienawiści – liczy się utrwalanie emocji. Tymczasem zgodnie z art. 254 Kodeksu karnego: „Kto bierze czynny udział w zbiegowisku, wiedząc, że jego uczestnicy wspólnymi siłami dopuszczają się gwałtownego zamachu na

osobę lub mienie, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”. Okazuje się, że konstytucja, prawo są tylko wtedy godne obrony, gdy zgadzają się z aktualną ich wykładnią tęczowych bojówkarzy oraz ich intelektualnego zaplecza. To ten sam duch, który dialogiem nazywa pracę pięściami.

Chutnik i Dehnelowi wtóruje Tomasz Kozak, artysta spekulatywny i teoretyk kultury, dawniej członek redakcji kwartalnika „Kronos”, który mógł zostać zauważony przez konserwatywnego czytelnika także dzięki książce Pawła Rojka pt. „Awangardowy konserwatyzm”: „Polsce potrzeba kulturowej rewolucji, która zasadniczo zrewiduje dominującą, dysfunkcyjną, miescami psychopatyczną hierarchię społeczną. Tej zmiany nie zrobią grzeczne ciocie. Tu potrzeba młodego, bezkompromisowego »pedalstwa«. Queerowy radykalizm jest w tej sytuacji niezbywalnym momentem koniecznego procesu”. Kozak kontynuuje z rewolucyjnym zapałem: „Jeśli chcemy rewolucję przyspieszyć [...], musimy »terroryzować« [...] wrogów zewnętrznych. Spychać ich na skompromitowane, skorumpowane, zbydlęcone pozycje, w dłuższej perspektywie niemożliwe do obrony. Niech neonaziści bronią Kościoła, a Kościół wraz z policją niech promuje i osłania neonazistów – to przyspieszy ślizg pisowskiego reżimu w przepaść...”

Z drugiej strony »terror« rewolucyjnej opinii publicznej musi dyscyplinować szkodników wewnętrznych. Wymuszenie rezygnacji z funkcji prezesa radia Nowy Świat na Piotrze Jedlińskim to przykład [który] uczy – »sowieckimi kolbami« – jak w ramach antyreżimowej mobilizacji mówić [...] racjonalnie, bez alienacji”.

Jeśli ktoś ma wątpliwości, to ten ruch jest całkowicie na poważnie, a rządzący Polską powinni się zastanowić, czy rozkręcanie emocji było na pewno najlepszym sposobem mierzenia się z tą powagą. Robienie z politycznego ruchu homoseksualnego bastionu praw człowieka to umacnianie go, ale też tworzenie presji na osoby o skłonnościach homoseksualnych, by identyfikowały się politycznie poprzez ideologię genderową. Mam przecucie graniczące z pewnością, że eskalacja, z którą mamy dziś do czynienia, została instrumentalnie uruchomiona przez rządzącą centroprawicę już w prezydenckiej kampanii wyborczej. Tęczową flagę dziś przytulają rzesze ludzi, którym jeszcze niedawno nie przeszłoby to na myśl.



Rafał A. Ziemkiewicz

Trudno dziwić się „Newsweekowi” czy „Gazecie Wyborczej”, że tak głośno krzycząc o „solidarności z »Margot«”, wykazały się zarazem zupełnym brakiem dociekliwości, z kim i z czym się solidaryzują

W sprawie Michała Sz., aktywisty LGBT, prawdziwe jest chyba tylko to imię i nazwisko, zapisane w rejestrze PESEL. Cała reszta to groteskowy splot zmyśleń i urojeń, świadomej dezinformacji, machinalnych przeinaczeń oraz przykładania do nich wziętych zupełnie skądinąd propagandowych szablonów. Nawet pseudonim Margot, pod którym Sz. występuje w życzliwych mu mediach, nie jest do końca pewny, bo „osoby partnerskie” z jego kolektywu mówią o swym przywódcy z angielska „Margot” (akcent na ostatniej sylabie). A wszystko razem sprawia wrażenie absurdałnej komedii, zrodzonej w umyśle jakiegoś nowego Mrożka.

WIELOKĄTY I TROLLING

Rozplątywanie tej groteski, skoro emocje trochę już ochłodyły, a sprawa zeszła z pierwszych stron, zacząć trzeba od tego, że Michał Sz. wcale nie jest homoseksualistą ani transseksualistą, ani nawet transwestytą. Za żądaniem, by mówić o nim jako o kobiecie i używać w stosunku do niego wyłącznie żeńskich form gramatycznych, nie idzie wcale deklaracja, że czuje się kobietą. Bynajmniej, czuje się „osobą queer”, wymiennie określającą się jako „niebinarna”. A „osobę queer-binarną” nazywanie kobietą obraża tak samo jak nazywanie mężczyzną i tak samo stanowi to „formę przemocy”. Poczyła o tym media wypowiadająca się w imieniu Michała Sz. jedna z jego „osób partnerskich”, przedstawiająca się jako „Łania M.”. Brak na razie informacji, czy używane przez nią zamiast imienia Zuzanna „Łania” to pseudonim, czy może kolejna „queerowa” identyfikacja i czy po ewentualnym aresztowaniu Zuzanny M. rzecznik praw obywatelskich nie będzie się domagał, aby trzymaną ją w zoo i karmiono paszą dla sarenek.



Wszyscy, którzy zobaczyli w Michałe Sz. drugą Annę Grodzką, dali się więc wyprowadzić w pole. Sz. nie ma nic wspólnego ze znanymi medycznie przypadkami niezgodności „płci mózgu” z cechami płciowymi ciała, nie ma też nic wspólnego z podniecającymi niektórych perwersyjnymi przebiegami. Nie odwiedza lekarzy, nie zażywa hormonów ani nie przebiera się za kobietę. Deklaruje swoistą „bezpłciowość”, ale taką, która nie kłóci się z bujnym i całkowicie „heteronormatywnym” życiem seksualnym.

Na jednym z dostępnych w Internecie filmów z życia „anarchokomuny” zamieszkującej „squat” na Wilczej uwieczniono scenę nieodparcie kojarzącą się z misterium „wielkiego trzynastego” w serialu „Kariera Nikodema Dyzmy”. „Łania” i kolejne dziewczyny „kolektywu” podchodzą do zajmującego centralne miejsce „Margot”, całując się z nim namiętnie, ten zaś bezceremonialnie poklepuje je po pośladkach i miętosy biustu – a wszystko komentowane jest wesoło zza kadru przez jeszcze jedną, nagrywającą to, kobietę. Michał Sz. jawi się tu jako posiadacz niby-lesbijskiego haremu, czegoś w rodzaju hipisowskiej „rodziny” Charlesa Mansona.

W cytowanym już wywiadzie „Łania” potwierdza zresztą, że nie jest jedyną, lecz niejako pierwszą z wielu „osób partnerskich” – sam Michał Sz. zaś o swych wcześniejszych „czworo- i pięciokątach” pisze otwarcie na facebookowym profilu „Stop bzduram”.

W dostępnych w Internecie wypowiedziach Michała Sz. często powtarza się słowo „zabawa”. „Mamy nową zabawę, polowanie na furgonetkę homofobów” – oznajmia na przykład rozradowanej Renacie Kim z „Newsweeka”; w wywiadzie dla „Gazety Stołecznej” zaś, udzielonym w ubiegłym roku jako Małgorzata Sz., nazywa swoje ataki na namiot, w którym zbierali podpisy pro-liferzy, „potańcówkami” i zaprasza na nie „queer-dzieciaki”. „Bawcie się dobrze!” – krzyczał też z policyjnego radiowozu do skaczących na policyjne samochody „queerów” usiłujących odbić go z rąk policji.

Zbierając wraz z „Łanią” pieniądze w Internecie (w ciągu niecałego tygodnia tylko jedna z tych zbiorów przyniosła im ponad 300 tys. zł), zapowiada przeznaczanie ich na „kolejne dzikie akcje”. Michał Sz. lubi wprawdzie opowiadać o doznawanych prześladowaniach (twierdzi, że podczas zatrzymania policjanci



W dostępnych w Internecie wypowiedziach Michała Sz. (na zdjęciu podczas szarpaniny z policją) często powtarza się słowo „zabawa”.

„Mamy nową zabawę, polowanie na furgonetkę homofobów” – oznajmia w jednym z wywiadów

FOT. JAKUB KAMINSKI/EAST NEWS

idioci

„sadyście wykręcali mu ręce”, i złożył z tego powodu oficjalną skargę, określając się w niej jako ofiara tortur), ale we wszystkich materiałach „kolektyw” widzimy go uśmiechniętego i zadowolonego z siebie. Cała jego „niebinarność” wydaje się wielką zgrywą, „trollingiem” – szczególnie że i sam „Margoł” często zapomina się i łatwo znaleźć nagrania, na których mówi o sobie jak mężczyzna: byłem, robiłem etc.

ZDEGENEROWANY ŚWIAT

To jedno oblicze Michała Sz., trochę przypominające – w zmienionych na współczesne realia – rewolucjonistę ze sztuki Tadeusza Słobodzianka „Młody Stalin”, którego żywot jest jedną wielką zabawą: przy kielichu, z podziwianymi go kobietami i w strzelanie do żandarmerii. Dla odmiany na filmach udostępnionych przez policję „Margoł” sprawia wrażenie człowieka niezrównoważonego, histerycznego, niepotrafiącego zapamiętać nad agresją. Nie tylko wtedy, gdy rzuca się na kierowcę furgonetki „Prawa do Życia”, lecz także gdy miota obelgami na spokojnych, stojących mu na drodze policjantów, każdą z nich coraz bardziej wprawiając w szal.

Popularność, którą przyniosło mu aresztowanie, wykorzystał Sz. do przypomnienia w Internecie tekstu, który – jak informuje – napisał już dawno, ale nie mógł go rozpowszechnić wskutek działań bliżej nieokreślonej klikki, wspierającej w środowiskach lewicowych Klementynę Suchanow. Autorka biografii Gombrowicza, której większą sławę przyniosły rzucanie jajkami w limuzynę prezydenta Dudy i zdobycie wtedy nimb „męczennicy”, którą policja „brutalnie rzuciła twarzą na chodnik”, oskarżona została przez „Margoła” o uwiedzenie i przemoc, głównie psychiczną.

Jest to tekst trudny w lekturze, sprawiający wrażenie pisanego przez osobę chorą, bełkotliwy i pełen logicznych sprzeczności. Można w nim znaleźć opowieść o chłopcu, uciekinierze z prowincji, uwiedzionym przez dwukrotnie starszą kobietę, a potem wyrzuconym przez nią z domu, tak że musiał mieszkać na dworcach i spać pod mostem. Przy czym wyrzucenie spowodowane być miało nieakceptowaniem przez Suchanow „wielokątów” jej młodego kochanka, a zwłaszcza odkrycia przez niego w sobie „queerbinarności”. Przeciwnie, miała go wtedy demonstracyjnie „misgenderować”, zwracając się per „nie podskakuj, młody”.

Warto nadmienić, że – choć rzecz jest ewidentnie procesowa – autorka rewolucyjnego manifestu „To jest wojna” nie zdecydowała się dochodzić ochrony swych „dóbr osobistych”, tylko postanowiła obrócić sprawę w żart, składając do prokuratury błazeńskie doniesienie na samą siebie. Szkoda, bo jeśli świat lewicy jest choć w części tak zdegenerowany i toksyczny, jakim jawi się w wyznaniach Michała Sz., to proces byłby świetną okazją do szerszego zaprezentowania go przeciwnemu Polakowi.

Odkładając na bok, czy Sz. jest bardziej cwaniakiem, czy ofiarą zaburzeń, trzeba stwierdzić, że wszystko to dostępne jest doprawdy na wyciągnięcie ręki, wystarczy kilka kliknięć. Tymczasem lewicowo-liberalne media, snując propagandową narrację o PiS-owskim reżimie prześladowującym „aktywistkę” za „jej” orientację seksualną i o „desperacji osób LGBT”, których radykalne działania mają być tylko „krzykiem rozpaczy” wobec doznawanej „przemocy” (polegającej na nazywaniu mężczyzny wbrew jego żądaniu mężczyzną), absolutnie nie chcą najoczywistszych faktów o swej „bohaterce” przyjmować do wiadomości.

Ich narracja pomija nie tylko sprawy osobiste i kwestie obyczajowe, lecz także poglądy głoszone otwarcie przez „kolektyw”. Wstydliwie pominęły na przykład ten fragment przemowy „Łani” na wiecu „solidarności z »Margot«”, w którym mówiła ona o „rozje..niu państwa prawa”. Tymczasem nie było to przejęzyczenie, ale część ideologii „anarchokomuny” – dość prymitywnej zresztą, zgoda szczeniackiej. Głosi ona całkowite odrzucenie państw i narodów, a także prawa – każdego prawa – jako głównych źródeł opresji. W publikacjach zamieszczonych na wspierającym „kolektyw” profilu facebookowym „Wolna Lewica” możemy znaleźć dokładniejszy wykład, z którego wynika, że bezpośrednim wrogiem „queerów” nie jest wcale prawica, ale „zgniła”, liberalna lewica, która głosi fetysz „państwa prawa” i tym samym sankcjonuje zło narzucania ludziom, jak mają żyć, a także odcina się od rewolucyjnej przemocy, co jest postawą głęboko zacofaną i kapitulanką. Dostaje się zresztą także tradycyjnym, by tak rzec, homoseksualistom, którzy w przeciwieństwie do podobnych Michałowi Sz. „queerów” szukają sobie miejsca w opresyjnym społeczeństwie, zamiast starać się je zniszczyć.

UNIEWAŻNIENIE FEMINIZMU

Trudno dziwić się „Gazecie Wyborczej” czy „Newsweekowi”, że tak głośno krzycząc o „solidarności z »Margot«”, wykazały się zarazem zupełnym brakiem docieklowości, z kim i z czym się solidaryzują. Odruch, nakazujący wspierać wszystko, co przeciwko PiS, Kościołowi i tradycji, uczynił je zakładnikiem środowisk, o których trudno powiedzieć, czy bardziej są groźne, czy bardziej śmieszne, ale które na pewno zaprzeczają wszystkiemu, co od zawsze te salony głosiły. Nawet tym najnowszym, najbardziej lewicowo zaawansowanym ideom spod sztandarów „gender” i LGBT – bo przecież przesunięcie akcentu z homoseksualizmu i transseksualizmu, zjawisk niewątpliwie realnie istniejących, na wymyśloną przez ideologów „queerbinarność (zwaną też „płynną” tożsamością, „gender fluid”) unieważnia tak naprawdę wszystkie kategorie, na których opiera się i feminizm, i emancypacja homoseksualizmu.

Dawno już leninowskie pojęcie „pożyteczni idioci” nie pasowało do nikogo tak doskonale, jak dziś pasuje do „solidarnych z »Margot«” liberalnych salonów.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Administrator czy nowa nadzieja MSZ?



Marcin Makowski

Pomimo znaczącego dorobku akademickiego prof. Zbigniew Rau do tej pory był raczej politycznym outsiderem, znanym zwłaszcza w profesorskich kręgach Prawa i Sprawiedliwości. Kim jest nowy szef polskiej dyplomacji?

O tym, że chciałby odejść z resortu, były szef MSZ Jacek Czaputowicz wspominał w mediach już w połowie lipca. Ze swoją decyzją – podobnie jak Łukasz Szumowski – nie zamierzał czekać do jesiennej rekonstrukcji rządu. W czwartek 20 sierpnia stało się jasne, że trzeba szukać następcy. Jak zwykle w takich sytuacjach media zajęły się gieldą nazwisk potencjalnych kandydatów. Na „shortlist” mieli być szef Gabinetu Prezydenta RP Krzysztof Szczerski, minister Konrad Szymański oraz były wicepremier Jarosław Gowin. Ten ostatni propozycję rzekomo otrzymał, ale jak w zakulisowych

rozmowach twierdzili politycy Porozumienia – stanowisko odrzucił.

Dla nikogo nie było jednak tajemnicą, że obejmowanie tak okrojonego w kompetencjach ministerstwa w momencie rewolucji na Białorusi jest zadaniem co najmniej karkołomnym. Ktoś taki się jednak znalazł.

PERSONALNE UKŁADANKI

Kiedy dyskutuje się z politykami prawicy dobrze obeznanymi w sprawach międzynarodowych o kulisy nominacji prof. Zbigniewa Raua (o takiej możliwości pisaliśmy w „Do Rzeczy” jako pierwsi), konkurują ze sobą dwie narracje. Jedna

zakłada objęcie przez prof. Raua teki szefa MSZ w efekcie osobistego „lobbingu” wicepremiera Piotra Glińskiego i znajomości z Łodzi, z którą Rau związany jest osobiście i naukowo od urodzenia.

Według moich informatorów w zrealizowaniu tego scenariusza pomóc miało wsparcie również związanej z Łodzią prawniczki, działaczki PiS oraz przyjaciółki Jarosława Kaczyńskiego Janiny Goss.

– Rau został wybrany pomimo kandydatury wiceszefa MSZ Pawła Jabłońskiego, za którym stał Mateusz Morawiecki – mówi naszemu tygodnikowi wpływowy urzędnik związany z resortem.

Według drugiego scenariusza nie było żadnej realnej konkurencji o fotel ministra spraw zagranicznych, a sam premier Morawiecki miał jego kandydaturę wspierać, znając Zbigniewa Raua jeszcze z czasów kierowania bankiem BZ WBK oraz uczęszczania na wykłady z prawa prowadzone przez profesora na Uniwersytecie Łódzkim. – Nominacja Raua była ustalana z kierownictwem partii i prezydentem kilka tygodni przed dymisją Jacka Czaputowicza. To nie jest kandydat awaryjny – twierdzi jeden z ministrów. Jak uściśla, kandydatury ministrów Szczerskiego i Szymańskiego od początku wydawały się nierealne, a informacje o Jarosławie Gowinie traktuje jako element budowy pozycji negocjacyjnej partii przed rekonstrukcją. – Dobrze, że do tej zmiany dochodzi teraz, a nie wcześniej. Sierpień to generalnie sezon ogórkowy, oczywiście mamy rewolucję na Białorusi, ale nowy minister będzie miał czas na wejście w relacje z innymi partnerami – dodaje polityk.

WOJEWODA, AKADEMIK, OUTSIDER

Kim w takim razie jest zaprzysiężony przez prezydenta Dudę w środę 26 sierpnia nowy szef MSZ? Trzeba przyznać, że pomimo znaczącego dorobku akademickiego Zbigniew Rau do tej pory był raczej politycznym outsiderem, znanym zwłaszcza w profesorskich kręgach Prawa i Sprawiedliwości. Na wykłady prowadzone w Katedrze Doktryn Polityczno-Prawnych UŁ uczęszczało wielu obecnych posłów lub senatorów Zjednoczonej Prawicy. To właśnie w obszarze prawa przez lata budował swoją pozycję. Po wstąpieniu do NSZZ „Solidarność” w 1980 r. ostatnie dziewięć lat Polski Ludowej oraz początek III RP upłynęły mu na licznych stypendiach zagranicznych – od Holandii, Wielkiej Brytanii i Niemiec, do USA i Australii.

Na to doświadczenie zwraca uwagę poprzednik Jacka Czaputowicza. – Profesor Rau wykładał i mieszkał na Zachodzie, rozumie, jak działają tamte systemy prawne i społeczeństwo. Był senatorem, wojewodą, teraz jest posłem i szefem komisji spraw zagranicznych. Ma też pewne obycie w polityce zagranicznej, ponieważ funkcjonował w naszej delegacji parlamentarnej do Rady Europy. Zwykle zmienników w MSZ poszukuje się wśród sprawujących funkcje szefów komisji spraw zagranicznych, to kryterium również zostało spełnione – mówi „Do Rzeczy” Witold Waszczykowski. Tym samym łączy fakt czteroletniego zarządzania dużym województwem oraz politycznych wpływów Raua (choć pomimo bycia posłem z ramienia PiS pozostał bezpartyjny) z przygotowaniem merytorycznym do objęcia nowego zadania. Ta opinia nie jest w partii odosobniona, zwłaszcza w kontekście porównania z ministrem Czaputowiczem, który działał w charakterze eksperta-urzędnika, bez większych ambicji i wpływów na Nowogrodzkiej.

Opozycja szybko skrytykowała jednak wybór byłego wojewody, a zwłaszcza moment tego wyboru. „Wymienić ministra od dyplomacji ze słabego na kompletnie pozbawionego kompetencji, w samym środku kryzysu za wschodnią granicą, w trakcie poważnych negocjacji unijnych, kiedy pozycja Polski w świecie jest słaba jak nigdy. Takie rzeczy tylko z PiS-em” – pisał na Twitterze Marek Belka. „Rau ministrem spraw zagranicznych. Kolejny Czaputowicz. Od poprzednika różni go to, że ucinając dyskusję na temat Białorusi na komisji sejmowej, mówił, że »sytuacja nie jest jasna«. No nie jest. Przede wszystkim dla Polski” – dodawał Bartłomiej Sienkiewicz z KO. W samym ministerstwie zmiany przyjmowane są jednak z ostrożnym optymizmem. – To może być próba przywrócenia podmiotowości MSZ, ale czy Rauowi się uda, nie wiadomo. Tak czy inaczej, trzymam kciuki – przekonuje jeden z urzędników z al. Szucha.

Na tym polu, tj. wskazania kierunku obranego przez ministerstwo, jego nowy szef dosyć szybko będzie mógł udowodnić, do jakiej roli de facto został powołany. Kontynuatora pasywnej roli MSZ w obecnym układzie władzy czy polityka z ambicjami odbudowania pozycji resortu? – Ostatni czas dwóch, trzech tygodni, gdy Czaputowicz zapowiedział dymisję, a do niej nie dochodziło, wprawił cały resort w niepewność. Potrzebujemy twardego szefa, który będzie wyznaczał kierunki, a nie kogoś,

kto jest jedną nogą gdzie indziej – mówi mi jeden z zastępców Jacka Czaputowicza.

Marginalizacja Ministerstwa Spraw Zagranicznych to bardzo powszechna, również wśród opozycji, opinia. W praktyce krok po kroku sprowadzono je do roli egzekutora polityki zagranicznej pałacu prezydenckiego, który do spółki z MON przejął tematykę transatlantycką, militarną i energetyczną, oraz wykonywania wytycznych płynących z kancelarii premiera, dotyczących polityki europejskiej. Na al. Szucha niemal otwarcie wyraża się również nadzieję, że Zbigniew Rau dostrzeże potrzebę aktywniejszego niż dotychczas korzystania z „zasobów ministerstwa”. – Przez lata brakowało u nas korzystania z wiedzy ekspertów. Profesor Rau ma doświadczenie w zarządzaniu dużym urzędem, był wojewodą. Może to coś ruszy? – zastanawia się jeden z dyplomatów.

Otwarcie o tym zadaniu mówi natomiast Witold Waszczykowski. Gdy pytam go o wyzwania stojące przed nowym kierownictwem MSZ, odpowiada: „Bezpieczeństwo, wpływy polski w regionie”, ale jako najważniejszy punkt wymienia „odzyskanie resortu”. – Za czasów ministra Czaputowicza grupa urzędników z dyrektorem generalnym na czele przejęła urząd. Tak nie może być. Minister musi mieć własne zdanie, decydować o kadrach, mieć coś do powiedzenia – słyszę. Jak przekonuje, Polska ma kilka lat, żeby na nowo zdefiniować rolę i pozycję szefa spraw zagranicznych. To spór o jego „regionalizację” do pozycji kontaktów z grupą V4 i państwami bałtyckimi z jednej, a ambitniejszym wkroczeniem na arenę globalnej geopolityki z drugiej strony. Niektórzy jego rolę widzą jednak w obszarze kadr. – Nie dziwię się lewicowym wypowiedziom, zwłaszcza panów Cimoszewicza i jemu podobnych. Byli zaskoczeni, że na stanowisko szefa MSZ wybrany został prof. Zbigniew Rau, tym bardziej że w gmachu dalej pozostaje wiele zlogów postkomunistycznych – stwierdził w Polskim Radiu 24 były szef MON Antoni Macierewicz.

„BĘDZIE BARDZIEJ WAŻYŁ SŁOWA”

Niewątpliwie pewnym problemem dla nowego ministra na arenie międzynarodowej może być jego wyraziste stanowisko w kwestii sporów światopoglądowych oraz społeczności LGBT. „Ostatnio jeden ze szwedzkich naukowców zgłosił nawet potrzebę rozważenia legalizacji... kanibalizmu. Tak, pod płaszczykiem obrony klimatu, chce się zredukować człowieka już nie

tylko do zabawki seksualnej, lecz także do zwykłego posiłku” – pisał na Facebooku Rau. „Dla zachodnich »rzeczników« nowoczesności nie ma żadnych świętości. Ich barbarzyńskie działania wiodą wprost do isticie piekielnej »cywilizacji śmierci«, przed którą próbował nas ostrzegać św. Jan Paweł II” – oceniał, przestrzegając przed „wpuszczeniem do szkół” programów „seksualizujących dzieci”.

W MSZ niemal otwarcie wyraża się nadzieję, że Zbigniew Rau dostrzeże potrzebę aktywniejszego niż dotychczas korzystania z „zasobów ministerstwa”

– Opozycja, także dziennikarska, stara się dokleić ministrowi gębę, wyciągając jego opinie światopoglądowe, które wygłaszał jako poseł lub akademik. Sytuacja, gdy jest szefem dyplomacji, całkowicie to zmienia. Jako minister będzie mówił nie tylko w swoim imieniu, lecz także Polski, na pewno będzie bardziej ważył słowa – mówi „Do Rzeczy” jeden z polityków PiS, pytany o opinie na temat poglądów nowego ministra.

Podobną przestrozę dla prof. Raua ma również Witold Waszczykowski. – Profesor nie powiedział rzeczy, które nie byłyby zgodne z faktami, ale po swoim doświadczeniu radziłbym panu ministrowi uważać i unikać wchodzenia z dyskusją w dziedziny ideologiczne. Zostawiłbym to innym politykom i skoncentrował się na prerogatywach szefa MSZ – mówi były szef resortu. Niektórzy w owej stanowczości widzą jednak atut, który może się przełożyć na własne zdanie i asertywność w rozmowach z partnerami dyplomatycznymi. Moi rozmówcy wskazują jednak na problem większy niż post na Facebooku. Chodzi o przestrzeń medialną. – Nigdy nie słyszałem jego wypowiedzi o polityce zagranicznej, nie wiadomo, jakie do końca ma poglądy, jak poradzi sobie w mediach. Zbigniew Rau był szefem komisji spraw zagranicznych w Sejmie, ale specjalnie poza nią się nie udzielał. Oby, mając doświadczenie i wiedzę, nie poległ właśnie na tym polu – słyszę od jednego z ministrów. Jedno jest pewne, wyzwania ministrowi spraw zagranicznych w najbliższych miesiącach nie zabraknie.



Adam Niedzielski, dotychczasowy szef NFZ, zastąpił Łukasza Szumowskiego na stanowisku ministra zdrowia FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wszystkie ręce na pokład



Katarzyna Pinkosz

– To moje przesłanie: swoje działania chciałbym oprzeć na dialogu, otwartości i współpracy – zapowiada Adam Niedzielski. Pierwszy od wielu lat minister zdrowia nielekarz musi dać sobie radę z wielką niewiadomą, która czeka nas w najbliższych miesiącach

Adam Niedzielski, dotychczasowy szef NFZ, nie był w gronie głównych kandydatów na stanowisko ministra zdrowia. Mimo to większość ekspertów wybór przyjęła z dużą nadzieją. Ciepłych słów nie szczędzili nawet krytycy wielu decyzji ministra Łukasza Szumowskiego. Doktor Paweł Grzesiowski ocenił, że „jest bardzo zaangażowany w walkę

z pandemią, zna dobre i słabe strony systemu”, prof. Krzysztof Simon: „Doskonały fachowiec, sprawdził się jako szef NFZ, jestem pewny, że sobie poradzi”.

Będzie pierwszym od wielu lat nielekarzem na stanowisku ministra zdrowia. Obejmuje resort w trudnym momencie: przed spodziewaną „drugą falą” COVID-19, nałożeniem się jej na epidemię grypy

i możliwym paraliżem systemu ochrony zdrowia, gdyby codziennie – jak to bywało – do lekarzy rodzinnych zgłaszało się 200 tys. osób z infekcją. Do tego już dziś lekarze wielu specjalności alarmują o skutkach lockdownu: chorzy zgłaszają się w bardziej zaawansowanych stadiach choroby. To efekt odsuwania badań diagnostycznych i zabiegów planowych, lęku pacjentów przed zgłaszaniem się do szpitali, zamknięcia wielu poradni i masowego przestawienia się na udzielanie teleporad. Do tego dochodzą przedepidemiczne problemy systemu ochrony zdrowia: niedoinwestowanie, braki personelu medycznego. Z tym będzie musiał zmierzyć się nowy minister.

SYSTEMOWIEC

Do NFZ trafił z Ministerstwa Finansów, gdzie był generalnym dyrektorem

(tam poznał się też z obecnym premie-rem). Niedzielski jest doktorem nauk ekonomicznych, ukończył w SGH ekonomię oraz metody ilościowe i informacyjne. Pracował m.in. w NIK, ZUS, Ministerstwie Sprawiedliwości. Jeszcze podczas pracy w Ministerstwie Finansów został członkiem Rady NFZ, w lipcu 2018 r. zastępcą prezesa do spraw operacyjnych, rok później p.o. prezesem, a od października ubiegłego roku był już prezesem. Zaczął tę instytucję zmieniać. – Pierwszą rzeczą, którą zrobił, było wypracowanie pięcioletniej strategii. Zapoczątkowaliśmy te prace już wcześniej jako zespół Rady NFZ – mówi dr n. ekon. Małgorzata Gałązka-Sobotka, dyrektor Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia Uczelni Łazarskiego i członek Rady NFZ.

Gdy na początku kadencji prof. Piotr Jankowski w imieniu Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego pytał go o plany, odparł, że chce, żeby NFZ stał się prawdziwym Narodowym Funduszem Zdrowia: żeby każdemu pacjentowi w Polsce gwarantował takie samo leczenie. Podkreślał, że onkologia i kardiologia już są priorytetami, jednak za najważniejszą rzecz nie uznał żadnej konkretnej dziedziny medycyny, tylko przeorganizowanie systemu ochrony zdrowia, tak by pacjenci w większym stopniu korzystali z pomocy lekarza rodzinnego i specjalistów, a rzadziej trafiali do szpitali. Za drugi priorytet uznał stworzenie opieki długoterminowej, a za trzeci – profilaktykę. – Nie może ona być listkiem figowym, bo jeśli nie zmniejszymy zachorowalności, to zderzymy się ze ścianą, czego żaden system nie wytrzyma – podkreślał.

Kolejny priorytet: chciał, żeby NFZ nie płacił za sam fakt, że ktoś jest leczony, tylko za efekty. – Stale powtarza: „Jestem gotowy inwestować, ale chcę mieć efekt” – potwierdza dr Małgorzata Gałązka-Sobotka. W czasie epidemii COVID-19 podjął kilka dobrych szybkich decyzji, m.in. szybko uruchomił teleporady dla osób podejrzewających zakażenie koronawirusem, dzięki którym można było otrzymać m.in. e-receptę i e-zwolnienie, infolinię dotyczącą COVID-19 i dla osób potrzebujących wsparcia psychologicznego. Szybko udało się też zorganizować system szpitali jednoimiennych i izolatorów.

#NIECUKRZ I #MASKUJSIE

Na TT często wrzuca swoje zdjęcia, jak jeździ na rowerze (często po 40–50 km

dziennie) i biega, zachęcając, by iść w jego ślady. Podczas jednej z debat na temat cukrzycy w „Do Rzeczy”, wspomniał, że do zmiany stylu życia skłoniły go przeżycia osobiste: mając czterdziestkę, ważył ponad 100 kg, zaczął mieć problemy ze zdrowiem. Wtedy wziął się za siebie: zmienił dietę, zaczął ćwiczyć, jeździć na rowerze, biegać. Patrząc na niego dziś, trudno uwierzyć, że kiedykolwiek miał problem z wagą. – Zobaczył związek: nie dbasz o siebie, to są skutki; zaczynasz zdrowo żyć: widzisz benefity. Jest ekonometrykiem, widzi, jakie zachowania przynoszą dobre efekty, a jakie złe – mówi Marta Pawłowska, dyrektor stworzonego przez prezesa Niedzielskiego w NFZ Biura Profilaktyki Zdrowotnej.

To właśnie dzięki niemu profilaktyką pierwszy raz w Polsce na poważnie zajęła się rządowa instytucja. Sam też aktywnie włącza się w programy edukacyjne i profilaktyczne. Promuje akcję #NieCukrz, wprowadzenie podatku cukrowego, „Środy z profilaktyką” (w oddziałach NFZ przed epidemią COVID-19 można było bezpłatnie wykonać wiele badań i uzyskać poradę). – Gdy zaczął się COVID-19, w 48 godzin zorganizowaliśmy „Poranne rozciąganie z »Pytaniem na śniadanie« i NFZ”. To by się nigdy nie udało, gdyby nie jego wsparcie – dodaje dyr. Pawłowska. Jako prezes NFZ brał udział w filmach z ekspertami „Bezpieczni w czasie epidemii”, które już wkrótce znajdą się na YouTube. Kolejny pomysł: akcja #MaskujSie, którą promuje na Twitterze, namawiając do mody na noszenie maseczek w miejscach publicznych.

– Choć działa w systemie ochrony zdrowia stosunkowo od niedawna, to dał się poznać jako osoba „nakierowana na wartość zdrowotną”. Szybko rozpoznał, że głównym celem jest poprawa kondycji zdrowotnej Polaków. Wie, że musimy inwestować w profilaktykę. Dlatego NFZ stał się w ostatnim czasie jednym z najaktywniejszych promotorów zdrowego stylu życia, odpowiedzialności za zdrowie – dodaje dr Małgorzata Gałązka-Sobotka.

DIALOGI NA TWITTERZE

– To szef, z którym dobrze się będzie pracowało osobom, którym chce się pracować. Albo wsiadasz z nim do autobusu i jedziesz, albo siedzisz w fotelu. Jeśli ktoś woli fotel, to nie będzie mu z nim po drodze – mówi dyr. Marta Pawłowska.

Zdecydowany, konkretny, stanowczy: tak mówią o nim współpracownicy, choć przyznają, że momentami bywa oschły. – Jest jednak otwarty na dialog, wsłuchuje się w argumenty, potrafi podjąć trudne tematy – dodaje dr Gałązka-Sobotka.

Szacunek wzbudzał tym, że jako prezes NFZ spotykał się ze środowiskiem lekarzy, farmaceutów, pacjentów. Nie stroni od dyskusji na Twitterze. – Potrafi przyznać, że nie wszystko przebiega idealnie, ale nie bagatelizuje osób, które mają inne zdanie. Gdy widzi sygnały od różnych środowisk, często mówi: „OK, obiecuję, że tym się zajmiemy”, a nie: „Wiemy, robimy wszystko, co w naszej mocy”. Nie stosuje propagandy sukcesu i mam nadzieję, że to się nie zmieni, gdy będzie ministrem – mówi dr Małgorzata Gałązka-Sobotka. Jej zdaniem, cechy charakteru stwarzają szansę, że uda mu się zrealizować to, co zamierza. – Zgodnie z teorią motywacji ludzi można podzielić na tych, u których dominuje potrzeba władzy, potrzeba przynależności i osiągnięć. Nowy minister jest osobą nakierowaną przede wszystkim na cele: wyznacza je sobie i jest zdeterminowany, by je osiągać – dodaje dr Gałązka-Sobotka.

Firmom farmaceutycznym nie będzie z nim łatwo. Próbką była niedawno: chodziło o zmianę w przepisach dotyczących przedłużania decyzji refundacyjnych. Nie zaważał się wprost napisać, że w taki sposób „świadome państwo broni się przed narzucaniem przez przemysł dowolnej ceny leków”. Jednak jako ekonomista doskonale wie, że państwu opłaca się inwestować w skuteczne, nawet drogie terapie. Bo liczy się efekt.

TRUDNA JESIEŃ

Ustawa o 6 proc. PKB na zdrowie gwarantuje, że mimo kryzysu gospodarczego nakłady na zdrowie będą rosły. – W latach 2020 i 2021 procent PKB na zdrowie będzie liczony od naszych najlepszych lat w gospodarce. Paradoksalnie w takiej sytuacji łatwiej podejmować trudne decyzje. Przez trzy lata nie będzie żadnych wyborów. Te trzy fakty: stabilność finansowa sektora, kryzys i „okno polityczne” powodują, że nowy minister ma szansę na poważną zmianę systemu ochrony zdrowia – podkreśla dr Gałązka-Sobotka.

Chociaż więc nowy minister mówi: „Wszystkie ręce na pokład”, to wcale to nie oznacza, że wraz z „drugą falą” okręt musi tonąć.



Krzysztof Mastoń

Droga wiodąca prof. Marię Janion do ideologii oznaczanej dziś skrótem LGBT swoje początki wzięła z marksizmu

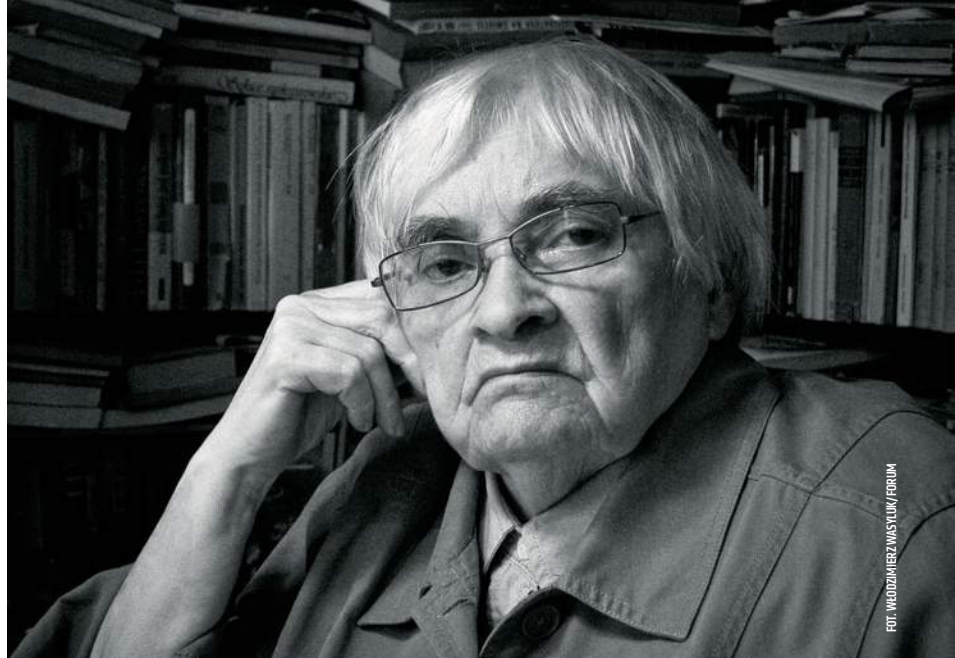
W jednym z wywiadów zmarła 23 sierpnia Maria Janion powiedziała: „Polska kultura musi się odnowić, między innymi z tego względu, że jest w swej tradycyjnej odmianie romantycznej kulturą tanatyczną, konstruującą się po stronie śmierci. [...] Polskiej kulturze potrzebne są wątki antytanatyczne. Za jeden z nich uważam feminizm”. A „bez wolności kobiet – dodała – nie ma demokracji. To trzeba wiedzieć”. Ci wszyscy, dla których ta badaczka literatury, szczególnie literatury romantycznej, była wyrocznią także i w innych sprawach tego świata, wiedzieli również, że demokracji najbardziej szkodzą rasizm, antysemityzm, homofobia i, naturalnie, mizoginia. To było abecadło Mistrzini, jak ją nazywali.

Świadoma była wagi wchodzącej w ostrą fazę wojny kulturowej i nie zaważała się oddać całego swojego autorytetu naukowego do dyspozycji jednej ze stron tego sporu. I to ona, w dużej mierze, sprawiła, że ideologia gender swój główny bastion znalazła w Polsce nie w mediach czy polityce, lecz w szkołach wyższych. To z uniwersyteckich katedr promowana jest nowa wizja dziejów, podważająca kulturowe i narodowe tradycje. A to jest coś znacznie poważniejszego od kwestii wyboru czy równości płci.

Droga wiodąca prof. Marię Janion do ideologii oznaczanej dziś skrótem LGBT, znacząca niekwestionowanymi osiągnięciami badawczymi i literackimi („Gorączka romantyczna”, 1975) była długa, a swoje początki wzięła z... marksizmu.

CHCIEJSTWO PARTYJNE

Urodzona w roku 1926 Maria Janion przypisywana była do pokolenia „pryszczatych”. Po wojnie, po tzw. repatriacji z Wilna, w którym przeżyła dwie okupacje – niemiecką i sowiecką – jej rodzina osiedliła się w Bydgoszczy. Eksternistycznie zdała maturę w Toruniu, by jesienią 1945 r. rozpocząć studia polonistyczne na Uniwersytecie Łódzkim. W „Kuźnicy”



FOT. WŁODZIMIERZ WASTUK/FORUM

Ikona polskiego genderyzmu

zaczęła publikować w roku 1947, tym samym, w którym wstąpiła do Akademickiego Związku Walki Młodych „Życie”. Dwa lata później, już całkiem naturalną drogą, znalazła się w PZPR.

Na studiach zaprzyjaźniła się, na życie całe, z inną wybitną badaczką romantyzmu Marią Żmigrodzką. W 2013 r. w rozmowie z Kazimierą Szczuką zdementowała plotki, jakoby obie panie łączyło coś więcej niż tylko zamięłowania literackie. W tym samym wywiadzie dokonała zresztą coming outu, deklarując swoje lesbijstwo, co skądinąd od dawna nie było już żadną tajemnicą. A w początkach swojej kariery naukowej wchodziła w skład, rzecz można, „trójki krytycznoliterackiej”, działającej niczym trójka murarska, wraz ze Żmigrodzką właśnie i z Tadeuszem Drewnowskim, potem przez lata kierownikiem działu kultury tygodnika „Polityka”. Napisał on szkic „Łódź – moja rewolucja”, w którym przybliżając atmosferę łódzkiego środowiska zetwuemowskiego, tak np. opowiadał o swoich partyjnych początkach: „Należeliśmy do komórki partyjnej (jak się wówczas mówiło) przy Komitecie Miejskim PPR, której członkiem egzekutywy był szef miejscowego Urzędu Bezpieczeństwa, Mieczysław Moczar. Tak

więc do partii przyjmował mnie Moczar, zaś rekomendacji udzielali mi dwaj moi ówcześni przyjaciele – Leszek Kołakowski i Ryszard Herczyński. Tak wyglądały ówczesne konstelacje personalne”.

Misia Janion była jeszcze wtedy bezpartyjna, ale chodziła do kawiarni Pickwicka, gdzie był klub Pod Kuźnicą, w którym mogła spotkać nie tylko Żółkiewskiego, lecz także – co wiemy ze wspomnień innej ważnej osoby literackiej, Andrzeja Brauna – samego Moczara. Czy tam właśnie uwiaryła w to nowe przyniesione na sowieckich bagnietach? W „Hańbie domowej” akcentuje: „[...] wielu rzeczy nie wiedziałam i nie słyszałam o tym. Ale to nie jest ważne. JA CHCIAŁAM. [...] W co chciało się uwiaryć? No więc, w dwie najpiękniejsze rzeczy, jakie mogą być na tym świecie: w pokój i socjalizm”.

Już wcześniej za to odrzuciła Boga: „Wiarę straciłam dosyć wcześnie. Ja nie mogłam przyjąć katolickiego wyjaśnienia świata, nie mogłam, bo dla mnie było to naiwne, nieprawdziwe. Na swój dziecinny sposób przeżyłam dramat teodycei. Dramat uzasadnienia Boga wobec zła”.

Dla swoich uczniów, a zwłaszcza uczennic, była mistrzynią, tak też o niej mó-

wiono i pisano (oczywiście wielką literą). Zaproponowane przez nią nowe widzenie romantyzmu (dziś zapomina się o tym, że miało one marksistowskie podglebie, o czym świadczą nie tylko jej najwcześniejsze prace, lecz także swego czasu głośne, a potem wyciszane i nieprzypadkowo niewłączone do edycji „Pism wybranych” dzieło „Romantyzm, rewolucja, marksizm”) znalazło entuzjastów.

„Owszem, prawda jest taka, że i ja, za romantykami, kreśliłam apologię polskiego romantycznego szaleństwa. I ja idealizowałam Polaków jako naród wybitnie bohater-ski. I ja widziałam w naszym mesjanizmie przede wszystkim słuszną gloryfikację polskiego cierpienia”. Miała się od tego zdecydowanie odciąć. W 2000 r. wydała książkę, której tytuł zrobił zawrotną karierę: „Do Europy tak, ale z naszymi umarłymi”. To był czas wchodzenia Polski do Unii, mogło się wydawać, że słowa te odnoszą się do polskiej martyrologii, godnej w tym momencie do przypomnienia, okazało się jednak, że chodziło o Holocaust i, owszem, pamięć o zagładzie, ale żydowskiej.

W 2007 r. za książkę „Niesamowita Słowiańszczyzna: fantazmaty literatury” trafiła do finału nagrody Agory – Nike. „Rozmyślając nad przedchrześcijańską Słowiańszczyzną – opowiadała – nieraz miałam przed oczyma podbój Meksyku – azteckiego imperium Montezumy przez Cortésa”. To na bazie tego podboju stworzyła wizję kolonizatorstwa Polski, tak chętnie przywoływaną obecnie przez jej uczniów, naśladowców i epigonów.

W wywiadzie dla wychodzącego w Polsce białoruskiego tygodnika „Niwa” urodzona w podlaskich Mońkach (a nie żadnych podwileńskich, co powtarzają rozliczne niedouki) Janion mówiła o Kresach: „Polska ma za sobą przeszłość kolonizatorską, opiewaną przez Henryka Sienkiewicza, który uchodzi za wcielenie polskości. W XIX w. uczyniono z Polski kraj poddany kolonizacji, ale marzenia o kolonizowaniu innych – Ukrainy i Białorusi – wcale przecież nie wygasły, co objawiło się w dwudziestoleciu międzywojennym. Cięży nad nami też brzemień postkolonialne – panowania sowieckiego w Polsce powojennej, pojałtańskiej. Nasz stosunek do Ukrainy uważam za dwuznaczny. Przykładem chęć tworzenia choćby Muzeum Kresów Polskich. [...] jest to fałszywe posunięcie. Kresów nie mamy i już nigdy ich mieć nie będziemy. Po co doprowadzać do takich zadrażnień z Ukrainą, nazywając jej część kresami Polski?! Kiedyś do Instytutu

Badań Literackich w Warszawie przyjechała delegacja litewska. Rozmawialiśmy o współpracy kulturalnej. Przedstawiłam pewne projekty. Zauważyłam jednak, że oni odnoszą się do nich z obawą. Pojęłam potem, że boją się oni polskiej dominacji, że niby mówię tak pięknie, a w istocie chodzi o to samo, czyli o zdominowanie kulturowe. Zrozumiałam, że mimo najlepszych chęci nie dojdzie do porozumienia, ciąży nad nami bowiem potworne brzemień historyczne i nie wydobydziemy się z niego tak łatwo. I do współpracy nie doszło”.

W 2016 r. w liście do uczestników Kongresu Kultury pisała już bez ogródek: „Jakże niewydolny i szkodliwy jest dominujący w Polsce wzorzec martyrologiczny! Powiem wprost – mesjanizm, a już zwłaszcza państwowo-klerikalna jego wersja, jest przekleństwem, zgubą dla Polski. Szczerze nienawidzę polskiego mesjanizmu”. Tyle że to ten ostatni decyduje o unikatowości polskiego romantyzmu. Bez niego byłby popłuczynami po romantykach niemieckich czy angielskich. A tak, to przepraszam, ale to inni mogą nam sznurowadła wiązać, co – jak widać – wyraźnie kłóci się z przyjętą ostatecznie przez Marię Janion wizją świata, współczesności i historii.

MISIA A, MISIA B...

W jej wizji romantyzmu, znaczonych świetnymi interpretacjami „Marii” Antoniego Malczewskiego czy „Zamku kaniowskiego” Seweryna Goszczyńskiego, zupełnie odrębne miejsce zajmował, na przykład, Zygmunt Krasiński, którym zajęła się jeszcze w latach 50. i którego niebawem ogłosiła twórcą mitu założycielskiego polskiego antysemityzmu. W jej prywatnym rankingu gorszy od niego był chyba tylko Stanisław Staszic jako autor „Przestróg dla Polski”. A w romantyzmie podkreślała to wszystko, co było w nim nienormalne, a więc wszelkie zaburzenia z seksualnymi na czele, somnambulizm, wreszcie wampiryzm. Z czasem uznała wampira za postać symboliczną, skrywającą w sobie sekret obecności zła w ludzkim życiu. Ta fascynacja wampiryzmem („Wampir: biografia symboliczna”, 2002) spowodowała zapewne jej – najdelikatniej mówiąc – dziwaczne wyprawy intelektualne w kierunku kultury masowej, głównie filmu, ale i komiksów i książek tandetnych. Nie przeszkodziło to Marii Janion w triumfalistycznym ogłoszeniu końca romantycznego paradygmatu w polskiej kulturze.

W PZPR dotrwała niemal do końca lat 70., przetrzymując m.in. marzec 1968 r.,

choć w życiorysie jej eksponowany jest fakt zwolnienia wtedy z pracy w gdańskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej.

Z PRL wyszła (już jako bezpartyjna, bo z przodującą siłą narodu rozstała się po 30 latach) z opinią wybitnej literaturoznawczyni, a do tego opozycjonistki. Zakładała bowiem niezależne Towarzystwo Kursów Naukowych, poparła strajk w sierpniu 1980 r. i powstanie Solidarności, wystąpiła też na przerwanym wprowadzeniem stanu wojennego Kongresie Kultury Polskiej.

Krótko należała do Unii Pracy, by niebawem przeorientować się całkiem na lewo. Stała się m.in. patronką feministycznych poczynań Porozumienia Kobiet 8 Marca, pierwszych „manif”, podpisała m.in. „List 100 kobiet” skierowany do Parlamentu Europejskiego domagający się legalizacji aborcji, wspierała bluźnierstwa Doroty Nieznańskiej i apelowała o nowelizację ustawy antynarkotykowej. To jej uczennice uruchamiały gender studies na polskich uczelniach. Była inicjatorką powołania Fundacji Gender Center. Nie kryła za to swojej negatywnej i pogardliwej oceny dla rządów PiS, a w Kościele katolickim w Polsce postrzegała samo zło.

Po „Niedobrym dziecięciu”, głośnym wywiadzie rzece, udzielonym Kazimierzemu Szczuce, nie wytrzymała nawet jedna z najbliższych jej osób w środowisku naukowym – prof. Małgorzata Czermińska. Zarzuciła Szczuce, że w sporządzonej przez nią „ideologicznej wyliczance” zgubiła fenomen mistrzyni i ukradła ją prawowitym spadkobiercom, rozwijającym idee humanizmu polonistycznego, przekabacając na stronę lewicowości i feminizmu. Profesor Misia orzekła wtedy, że Czermińska była zawsze zdecydowaną katoliczką i to, zdaje się, było przyczyną zdarzających się między nimi nieporozumień. Łagodząc podsycany przez Szczucę spór, prof. Czermińska zauważała wówczas, że choć Janion „określała siebie jako materialistkę, to stale mówiła o prymacie ducha nad materią, nie w sensie religijnym, ale kulturowym, intelektualnym. Powtarzała, że to kultura kształtuje naturę, a nie odwrotnie. Wywiodła to właśnie ze swojej fascynacji romantykami”.

W zeszłym roku w „Tygodniku Powszechnym” można było przeczytać takie wyznanie autorki „Żyjąc tracimy życie” (2001): „Ludzie wierzą, że starcy mają coś ważnego do powiedzenia. Tymczasem na ogół jest to – jak sądzę – coś głęboko pesymistycznego, o czym lepiej milczeć, bo nie należy ludzi martwić”.



Weselnicy na cenzurowanym

FOT. ANDRZEJ STOK



Agnieszka Niewińska

Przed udziałem w weselach przestrzega resort zdrowia, koronawirusem na przyjęciu straszą media. Chociaż branżę ślubną odmrożono w czerwcu, to wiele firm nie przetrwa pandemii

W połowie sierpnia bawiłam się na weselu przyjaciół – opowiada Monika, 30-latką z Warszawy. – Wahałam się, czy iść, ze względu na doniesienia o ogniskach koronawirusa na weselach, ale trudno było odmówić, bo pierwotnie ślub był zaplanowany na maj. Narzeczeni zdecydowali się go przenieść na sierpień. Do uroczystości było dużo czasu, myślałam, że epidemię uda się zatrzymać, więc potwierdziłam obecność. Teraz nie chciałam cofać danego słowa. Od uroczystości minęły dwa tygodnie. Czuję się dobrze, a z sanepidu nikt nie dzwonił, więc wygląda na to, że nikogo zarażonego nie było – śmieje się.

Na wszelki wypadek jednak przez pierwsze kilkanaście dni po imprezie uprzedzała osoby, z którymi umawiała się na spotkanie, że była na weselu.

W dobie pandemii informowanie o zaślubinach, które się świętowało, stało się wręcz elementem *savoir-vivre'u*. – Część osób unika kontaktu z tymi, którzy niedawno byli na weselu. Rozumiem to i dlatego uprzedzam – wyjaśnia Monika.

STRACH NARZECZONYCH I GOŚCI

Nieufność wobec weselników to efekt doniesień o zakażeniach, których źródłem są wesela. Media prześcigają się w informowaniu o przyjęciach, na których pojawił się zakażony i rozprzestrzenił wirusa. W lipcu za najpoważniejsze ognisko zachorowań na COVID-19 w Małopolsce uznano wesele we wsi Nowowoja. Po dwóch tygodniach u dziewięciu uczestników wesela wykryto wirusa, więc badaniom poddano pozostałych gości, którzy zdążyli już przez ten czas skontaktować się z wieloma kolejnymi osobami. Efektem wesela było ponad 150 zakażeń i 1 tys. osób poddanych kwarantannie.

Po uroczystości w Mszanie Dolnej z 8 sierpnia u kilku osób potwierdzono zakażenie SARS-CoV-2, 120 osób trafiło na kwarantannę. Po weselu w tzw. żółtej strefie znalazła się Biała Podlaska. Koronawirusa wykryto u 30 osób, które w nim uczestniczyły lub miały kontakt z weselnikami. W Warszawie nowe ognisko wirusa wykryto po weselu w dzielnicy Rembertów. Wirusa potwierdzono u 17 osób.

– Powstrzymajmy się od obecności na weselach, jeżeli nie musimy na nich być,

jeżeli nie jesteśmy najbliższą rodziną – apelował na konferencji prasowej rzecznik Ministerstwa Zdrowia Wojciech Andrusiewicz.

Katarzyna Gajek, rzeczniczka Polskiego Stowarzyszenia Branży Ślubnej i właścicielka agencji ślubnej Aspire, przyznaje, że medialne doniesienia o zakażeniach na weselach i apele, by nie brać w nich udziału, powodują strach zarówno wśród młodych par, jak i zapraszanych gości. – Tymczasem obliczyliśmy, że takich wesel, podczas których doszło do zakażeń koronawirusem, było ok. 30 na kilkadziesiąt tysięcy uroczystości, które się odbyły od 6 czerwca, kiedy to rząd złagodził obostrzenia i pozwolił na organizowanie uroczystości do 150 osób. To naprawdę niewielki odsetek. Piętnuje się wesela, których wiele tego lata odbyło się dla bezpieczeństwa w plenerze, a o tłumach na Krupówkach czy sopockim moście milczy – zwraca uwagę Katarzyna Gajek.

Zaznacza, że choć od trzech miesięcy wesela można już organizować, to branża ślubna jest w trudnej sytuacji. – Wiele par zdecydowało się na przełożenie uroczystości. W tym roku ślubów jest o ok. 50 proc. mniej niż w analogicznym okresie ubiegłego roku, a organizowane uroczystości są mniej liczne – zwykle uczestniczy w nich 50–100 gości. Imprez na 150 osób w zasadzie nie ma. Branża nie udało się odbić, a perspektywy na przyszły rok też są nie najlepsze. Rynek się zweryfikuje, wiele firm nie przetrwa pandemii, a warto podkreślić, że przy ślubie pracują nie tylko agencje ślubne, lecz także firmy z branży muzycznej, gastronomicznej, dekoracyjnej, kwiaciarskiej – wylicza Katarzyna Gajek.

Jan Bondar, rzecznik GIS, tłumaczy, że problem z weselami polega na tym, iż mamy wiele osób w zamkniętej przestrzeni. – Na weselach się śpiewa, przez co emitujemy wiele kropelek śliny, co może doprowadzić do zarażenia, jeśli wśród nas jest osoba zakażona. Do tego o ile na początku wesela jeszcze utrzymujemy dystans społeczny, o tyle z kolejnymi godzinami on się zmniejsza – mówi rzecznik GIS.

Decyzję o tym, czy na wesele iść, czy nie, każdy gość musi podjąć sam. Pan Józef, emerytowany rolnik spod Sokołowa Podlaskiego, w lipcu wraz z żoną bawił się na weselu. – W telewizji straszą, żeby nie chodzić, ale to bliska rodzina, narzeczeni planowali ślub od dawna, mieli zarezerwowaną salę. Nie wypadało nie iść

– opowiada pan Józef. – Wszystko odbyło się normalnie. Po ślubie przed kościołem do pary młodej ustawiła się kolejka. Były całusy, uściski. My z tego akurat zrezygnowaliśmy, na wszelki wypadek – zaznacza.

Monika, 30-latką z Warszawy, opowiada, że wesele, w którym uczestniczyła, nie różniło się za bardzo od tych organizowanych przed pandemią. – Na sali weselnej nie było żadnych środków do dezynfekcji rąk, przy stołach żadnego dystansu – siedzieliśmy łokciem w łokieć. Kelnerzy nie mieli maseczek. Jedyną osobą w maseczce był operator kamery. Nawet podczas ceremonii w kościele tylko nieliczne osoby miały na sobie maseczki. Okazało się, że zarówno narzeczeni, jak i część ich rodziny powątpiewają w zagrożenie koronawirusem, stąd takie podejście – opowiada.

Jan Bondar jest zdania, że do wesel trzeba podchodzić z rozsądkiem. – W składaniu życzeń nie widzę nic złego. Nie musimy z tego rezygnować. Trzymajmy dystans i dbajmy o osoby starsze oraz te z grup ryzyka. Seniorzy i osoby obciążone niektórymi chorobami, np. ciężką cukrzycą, chorobami układu krążenia czy leczeni onkologicznie, mogą

pojawić się na początku wesela, ale powinni rozważyć skrócenie czasu swojego pobytu na przyjęciu.

TOAST ZAMIAST CAŁUSÓW

Katarzyna Gajek podkreśla, że wesele da się zorganizować tak, by było bezpiecznie. – Wiele obiektów profesjonalnie podchodzi do zabezpieczenia gości. Dbają o środki do dezynfekcji, ozonowanie sali, maseczki czy przyłbice dla personelu. Wiele jednak zależy od podejścia narzeczonych i ich rodzin. Jedni rozumieją zagrożenie i nie chcą narażać swoich gości, ale są i tacy, którzy w pandemię nie wierzą. W ubiegłym tygodniu organizowałam dwie uroczystości ślubne. Z jedną z par zdecydowaliśmy, że przy wejściu do kościoła ustawimy kosze z jednorazowymi maseczkami. Efekt był taki, że niemal wszyscy goście mieli na sobie maseczki. Druga para nie chciała narzucać gościom ich zakładania, więc w kościele miało je na sobie najwyżej 20 proc. uczestników – opowiada rzeczniczka Polskiego Stowarzyszenia Branży Ślubnej.

Zaznacza, że konsultanci ślubni doradzają młodym parom, by zrezygnować z weselnych zabaw, które wymagają

bliskiego kontaktu, z indywidualnych życzeń oraz uścisków z gośćmi i zastępować je toastem wzniesionym przez rodziców czy świadków.

– Są też pomysły na to, jak zadbać o seniorów. Niektóre pary decydują się, by po uroczystości przygotować dla nich obiad poślubny w wąskim gronie, a młodych zaprosić na imprezę już po obiedzie. Można też seniorów zaprosić jedynie do uczestnictwa w początkowej części wesela, w błogosławieństwie i z przygotowanym pakietem weselnym odwiedzić ich do domu – podpowiada Katarzyna Gajek.

Szef WHO oświadczył w ubiegłym tygodniu, że pandemia koronawirusa może się skończyć w ciągu dwóch lat. Im odleglejsza data, tym trudniej przewidzieć sytuację, dlatego część narzeczonych, którzy z początkiem pandemii przełożyli ślub na przyszły rok, zmienia zdanie i decyduje się na zaślubiny natychmiast. – Zwykle przygotowania do ślubu trwały około roku, teraz zaczynamy specjalizować się w ślubach last minute – mówi Katarzyna Gajek. – Niektóre pary dochodzą do wniosku, że w sytuacji, jaką teraz mamy, tylko plany krótkoterminowe mają sens.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



ODWIEDŹ STRONĘ **filmopedia.org**
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Filmopedia ★
FILM
od 1946 roku

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej


POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ



Krzysztof Masiński



Tomasz Zbigniew Zapert

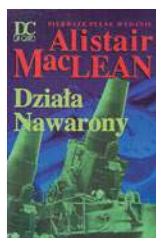
Przed 75 laty – 2 września 1945 r. – kapitulacja Japonii zakończyła drugą wojnę światową. Ułożoną alfabetycznie, subiektywną listę jej wizerunku w prozie przedstawiamy poniżej. Nie uwzględniliśmy książek polskich ani obozowych, a także poświęconych Holokaustowi, zasługujących na odrębne potraktowanie



„CIENKA CZERWONA LINIA”

– rok 1942. Nad Guadalcanal, z zadaniem wyparcia Japończyków, lądują siły amerykańskie. Zrazu operacja

przebiega pomyślnie, krwawe walki wybuchają dopiero w głębi wyspy. Jeden z oddziałów dostaje rozkaz zdobycia silnie obwarowanego wzgórza i w kolejnych natarciach ponosi



„DZIAŁA NAWARONY”

– powieść z 1957 r. szkockiego pisarza Alistaira MacLeana, sfilmowana przez J. Lee Thompsona w gwiazdorskiej obsadzie z Gregorym Peckiem, Davidem Nivenem, Anthonym

Quinnem i Irene Papas. Akcja toczy się w czasie wojny w roku 1944. Kapitan Keith Mallory, Nowozelandczyk w armii angielskiej, znany z osiągnięć wspinacz-

by w końcu wysadzić monstrualne działa, które wałęsały się do morza w chwili, gdy brytyjski konwój ewakuacyjny dopływa do cieśniny.

MacLean w czasie wojny wstąpił do Royal Navy, był torpedzistą na krążowniku pływającym po różnych morzach, także Śródziemnym. A pod postacią dowódcy wyprawy, twardego budzącego podziw swą odwagą i skutecznością działania, uczcił wybitnego przedwojennego alpinistę George’a Mallory’ego, który zginął podczas próby zdobycia Mount Everestu w 1924 r.



„GENERAŁ I JEGO ARMIA”

– powstałe w 1994 r. dzieło życia Gieorgija Władimowa, rosyjskiego pisarza i dysydenta, w roku 1983 zmuszonego do emigracji,

wcześniej autora znakomitej, zatrzymanej przez sowiecką cenzurę książki „Wierny Rusłan”, o obozowym psie, który po likwi-

Siedemnaście

poważne straty. Niektórzy z żołnierzy są zdolni do heroicznych czynów i poświęcenia dla kolegów, lecz decydującą rolę na polu walki odgrywa wszechobecny strach. Maszerujący wśród falujących traw żołnierze, obławiani śmiertelnościami akcesoriami, mijają półnagich tubylców, dla których walczący są obcy, gdyż burzą panującą tu odwieczną harmonię. Tak streszcza się ta wyborna batalistka Jamesa Jonesa (miał w życiorysie wojenny epizod na Pacyfiku) wydana w roku 1962. Ćwierć wieku później uwiecznił ją w kadrze reż. Terrence Malick. Z olśniewającym skutkiem!

kowych i dywersyjnych, dostaje zadanie zniszczenia dwóch wielkich dział niemieckich umieszczonych przez Niemców w fortecy na niedostępnej skale na wyspie na Morzu Egejskim. Blokują one przepływ okrętów przez cieśninę o strategicznym znaczeniu. Tylko przez nią można ewakuować 1,2 tys. angielskich żołnierzy odciętych na innej greckiej wyspie i skazanych na zagładę. Na czele małej grupy sabotażowej Mallory przybywa na Nawaronę (w rzeczywistości nieistniejącą) kutrem rybackim, stacza całą masę walk, boryka się z nieprzewidywanymi trudnościami, wychodzi cało z pułapek zastawianych na komandosów, rozszyfrowuje zdradę,

dacji łagru nie potrafi żyć za wolności, bez władzy swoich zniewolonych panów.

„Generał i jego armia” skupia się na dwóch teatrach drugiej wojny światowej: bitwie o Moskwę w roku 1941 i forsowaniu Dniepru dwa lata później. Bohaterem jest fikcyjny gen. Kobrisow, który pragnąc zminimalizować straty, usiłuje wybierać takie miejsca do walki, gdzie będzie możliwe ocalenie życia wielu żołnierzy. Natrafia jednak (w najlepszym razie) na mur obojętności i zdecydowaną wrogość oficera sławnego Smierszu, któremu zależy wyłącznie na wzięciu do niewoli „zdrajców”, niezależnie jakim kosztem. W końcu przeprowadza on zamach na generała, „przypadkowo”

ostrzeliwując go z haubicy, w wyniku czego Kobrisow zostaje ciężko ranny, a jego towarzysze giną. W tle tej wielkiej powieści, nawiązującej do najlepszych tradycji rosyjskiej literatury batalistycznej, mamy galerię wielkich postaci historycznych ze Stalinem i Żukowem, Własowem i Guderianem na czele.

W Rosji książka podzieliła czytelników. Jedni uznali ją za arcydzieło, drudzy – jakże by inaczej – jedynie za rehabilitację uznanego za zdrajcę i powieszonego po wojnie w Moskwie gen. Andrieja Własowa oraz 800 tys. jego żołnierzy tworzących ROA (Rosyjską Armię Wyzwoleńczą), z których wielu podzieliło los swojego dowódcy.



„KAPUTT”

– ważna powieść Curzia Malapartego (naprawdę Kurta Ericha Suckerta), syna Włoszki i Niemca, attaché kulturalnego Włoch w Polsce w czasie wojny z bolszewikami

1920 r., w czasie drugiej wojny światowej korespondenta prasowego z Polski, Finlandii, Rumunii, Bałkanów. „Kaputt” wydał w roku 1944; książka bywa nazywana reportażową, co jest jednak nieporozumieniem, niezależnie od faktu, że jej autor – o czym opowiada w swoim utworze – rozmawiał z takimi postaciami, jak Galeazzo Ciano, Ante Pavelić czy Hans Frank. Książka Malapartego (pseudonim powstał od słowa znaczącego „złą część”, bo „część dobra” – Bonaparte, była już – jak mawiał pisarz – zajęta) przedstawia wojnę z przesadnym nawet okrucieństwem, jest odważna i antyniemiecka, co przysporzyło autorowi kłopotów. Ukazał Europę w chwili rozpadu, ale nie roni łez nad tym, co zostało utracone, nie rozpacza, dzieląc się

jedynego syna na froncie, pisze pacyfistyczne hasła na kartach pocztowych i kolportuje je w Berlinie. Ich poczynania wywołują niewielki odzew, gdyż czytających paraliżuje strach, a gestapo jest czujne.

Hans Fallada (de facto Rudolf Ditzen) napisał tę książkę w 1947 r., kilka tygodni przed nagłym (zawał serca) zgonem. Wiódł awanturniczy tryb życia. Za młodu wraz z kumplem zamierzał popełnić samobójstwo upozorowane na pojedynek. Przyjaciel zmarł, a Ditzen przeżył i trafił do kliniki psychiatrycznej. Leczył się też z powodu alkoholizmu i morfinizmu. W Republice Weimarskiej żył z posady zarządcy dóbr i z pracy w izbie rolniczej w Szczecinie. Był dwukrotnie skazywany na karę więzienia, gdyż dopuszczał się malwersacji, aby pokryć koszty narkomanii. Na podstawie donosu sąsiadów do SA został uwięziony. W maju 1945 r. zamieszkał w Berlinie kontrolowanym przez Sowieców i zgłosił akces do partii komunistycznej. Wkrótce poddał się kuracji odwykowej.



„IGŁA”

– zanim przeczytałem [TZZ] tę wielce emocjonującą lekturę, napisaną przez Kena Folletta w roku 1978, obejrzałem (wideokaseta) zrealizowany trzy lata

mgnień wojny

później film nią inspirowany – z bodaj życiową rolą Donalda Sutherlanda.

Albion, wiosna roku 1944. Trwają przygotowania do utworzenia drugiego frontu we Francji, gdy brytyjski wywiad wpada na ślad niemieckiego szpiega. Jego bezpośrednim zwierzchnikiem jest sam Adolf Hitler, zaś celem działania przekazanie szczegółowych informacji dotyczących miejsca i czasu planowanej inwazji aliantów. O krok od urzeczywistnienia tych zamierzeń, na drodze agenta staje odważna kobieta, nieszczęśliwa mężatka, żyjąca na niewielkiej wyspie u boku kalekiego małżonka, małoletniego syna i sędziwego pasterza.

z czytelnikami swoją wiarą w nowy, zbudowany na gruzach, lepszy świat. Utopie były mu bliskie; w młodości sympatyzował z ruchem faszystowskim, później jego idolem był Trocki, a u schyłku życia stał się maoistą. Jednak jego „Kaputt”, oznaczający potwora – strasznego i radosnego zarazem, jest książką wielką.



„KAŻDY UMIERA W SAMOTNOŚCI”

– beznamiętnie przedstawiony opór przeciętnych Niemców przeciwko nazizmowi. Małżeństwo Quangelów na wieść o śmierci

Jej skutkiem ubocznym okazała się powieść „Każdy umiera w samotności”, której wydania autor nie doczekał. Może i dobrze, bo zrazu wyszła w wersji ocenzurowanej.



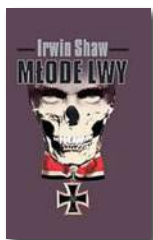
„LOS CZŁOWIEKA”

– opowiadanie czołowego twórcy literatury sowieckiej, Michaiła Szołochowa z 1957 r. Jego bohaterem jest Andriej Sokołow, ślusarz z Woroneża, uczestnik

wojny domowej, w której walczył – jakżeby inaczej – po stronie

■ bolszewików. Ma żonę, troje dzieci, jest nawet właścicielem małego domku. Powołany do wojska, służy jako kierowca ciężarówki i w maju 1942 r. dostaje się do niewoli. Bity, głodzony i poniżany przez Niemców niewolniczo pracuje w Saksonii, Bawarii i Zagłębiu Ruhry. Unika śmierci, co zawdzięcza m.in. mocnej głowie, gdy zmuszony przez komendanta obozu do wypicia wódki za niemieckie zwycięstwo, odmawia spełnienia toastu, pije natomiast po kolei trzy szklanki gorzały za swoją śmierć, do tego nie zakąszając, co wzbudza niekłamany podziw Niemca. Wyglądać to może na komiks, ale wcale nim nie jest. Sokołowowi udaje się uciec i przedostać do swoich, gdzie dowiaduje się o śmierci żony i córek, które zginęły pod bombami, a w dniu zakończenia wojny jego syn zostaje zabity przez snajpera. Bohater przygarnia wówczas małego Wanie, sierotę wojennego, udając przed nim powracającego z wojny ojca. Ma znów dla kogo żyć...

W ekranizacji „Losu człowieka” z 1959 r. w postać Sokołowa wcielił się reżyser obrazu, Siergiej Bondarczuk.



„MŁODE LWY”

– narracja Irwina Shawa z 1948 r. – w znacznym stopniu dyskontująca autobiografię autora – przedstawia paralelnie losy trzech żołnierzy: Niemca, Amerykanina i amerykańskiego Żyda.

Autor ukazuje wojnę jako traumatyczne doświadczenie życiowe.

Pisarz, urodzony w Nowym Jorku pod nazwiskiem Shamforoff, potomek żydowskich emigrantów z Rosji, służył w US Army w Europie. Jego najślawniejsza proza – obok „Pogody dla bogaczy” – doczekała się głośnej adaptacji filmowej w reżyserii Edwarda Dmytryka z udziałem: Marlona Brando, Deana Martina i Montgomery Clifta.

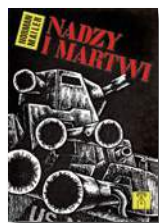


„MOST NA RZECIE KWAI”

– powieść francuskiego pisarza Pierre’a Boulle’a z 1952 r., opowiadająca historię 500 brytyjskich żołnierzy wziętych do niewoli przez Japończyków. Akcja rozgrywa się

w Birmie, w roku 1943. Jeńcy zostają zmuszeni do budowy mostu, mającego stać się ważnym elementem tzw. kolei śmierci. Sadyistycznemu japońskiemu komendantowi obozu przeciwstawia się najwyższy rangą wśród jeńców pułk Nicholson, rzecz można – oficer doskonały, zwolennik wojskowej dyscypliny, ściśle przestrzegający zasad, które w nieludzkich obozowych warunkach wydają się anachroniczne. Ściśle trzymając się regulaminów i wymagając od swoich żołnierzy rzetelności, wpada jednak w pułapkę, gdyż wykonywana przez nich praca w ostatecznym rachunku służy złej sprawie i okazuje się, że alianci zechcą gotowy już do użytku most, dzieło ich rąk, wysadzić w powietrze. Gdy dochodzi do akcji sabotażowej, Nicholson w obronie mostu ginie, podobnie jak jego japoński antagonistista.

Pierre Boulle sam trafił do niewoli w roku 1943, tyle że... francuskiej. Był bowiem alianckim szpiegiem, schwytanym nad Mekongiem przez lojalistów służących rządowi Vichy. Po udanej ucieczce, którą mu umożliwiono, resztę wojny spędził w Kalkucie, w brytyjskiej jednostce specjalnej. Ogromny sukces odniosła ekranizacja tej prozy – rok 1957 – w reżyserii Davida Leana z Alekiem Guinnesssem w roli Nicholsona, partnerującym mu Williamem Holdenem i chwytliwym marszem skomponowanym przez Malcolma Arnolda.



„NADZY I MARTWI”

– chyba najwybitniejszy w literaturze amerykańskiej utwór antymilitarystyczny. Powstał dwa lata po zakończeniu wojny.

Pluton żołnierzy pod dowództwem gen. Cummingsa, maniaka ogarniętego obsesją awansu, wyrusza w głąb dżungli, na okupowaną przez Japończyków wyspę Anapopei. Nie ma ona żadnego znaczenia strategicznego. Między żołnierzami stale dochodzi do scysji. Każdy myśli tylko o tym, aby wydostać się z tego piekła. Misja okazuje się niepotrzebna, Japończycy kapitulują, a marines na powrót przemierzają dżunglę, tym razem dźwigając ciała poległych.

Autor, Norman Mailer, potomek niemieckiego Żyda, walczył na Filipinach, co

stało się tworzywem dla jego błyskotliwego debiutu prozatorskiego, w którym przetworzył frontową autopsję.



„NOC W LIZBONIE”

– fabuła powieści Ericha Marii Remarque’a, czołowego literackiego pacyfisty, przenosi czytelnika do stolicy Portugalii A.D. 1942. Niemiecki emigrant, usiłujący

dostać się na statek, który nazajutrz ma odpłynąć do USA, spotyka nieznanego, oferującego bilet na ten rejs pod warunkiem wysłuchania historii jego życia. Subtelna narracja książki napisanej w roku 1962 traktuje o losach wojennych uchodźców. Remarque też został zmuszony przez hitlerowców do opuszczenia swej ojczyzny, wiedział więc, o czym pisze. Drugiej wojnie światowej poświęcił również powieść „Czas życia i czas śmierci”, w której wnikliwie ukazał III Rzeszę w chwili klęski.



„OKREĆ”

– Lothar-Günther Buchheim, niedoszły plastyk, w 1940 r. zgłosił się na ochotnika do Kriegsmarine. Początkowo pływał na trałowcach, potem na niszczycielach.

Tytułowy okręt wzorował na U-96, którym odbył rejs w charakterze korespondenta wojennego, zaś pierwowzorem dowódcy, książkowego „Starego”, jest kpt. Heinrich Lehmann-Willenbrock. Książka z 1973 r. doczekała się przekładu na 19 języków, a film pod tym samym tytułem, zrealizowany w RFN przez Wolfganga Petersena, zapewnił reżyserowi przystań w Hollywood.



„PARAGRAF 22”

– akcja tej groteskowej powieści z 1961 r. amerykańskiego pisarza Josepha Hellera rozgrywa się w czasie drugiej wojny światowej, w wojskowej bazie

lotniczej na włoskiej wyspie Pianosa na Morzu Śródziemnym. Bohaterem jest

kapitan pilot Yossarian, który po wykonaniu odpowiedniej liczby lotów bojowych domaga się zwolnienia z jednostki i powrotu do kraju, jednak dowództwo konsekwentnie podnosi limit, co w nieskończoność przesuwając upragniony koniec służby. Yossarian symuluje zatem różne choroby, głównie psychiczne, ale napotyka na mur w postaci legendarnego, być może w ogóle nieistniejącego „paragrafu 22”, według którego troska o własne życie w obliczu zagrożenia jest dowodem zdrowia psychicznego. W istocie uchodzący za wariata pilot, np. odbierający krzyż zasługi w stroju adamowym, jest bodaj jedynym normalnym człowiekiem w gromadzie psychopatów i ewidentnych kretynów. Poczucie wszechogarniającego absurdu doprowadza bohatera kapitana najpierw do odmowy udziału w lotach, a w końcu do dezercji.

Autor książki w czasie wojny służył w lotnictwie, stacjonując we Włoszech i w Afryce. „Paragraf 22” sfilmował w 1970 r. Mike Nichols, w roli Yossaria na obsadzając Alana Arkina.

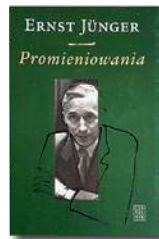


„POCIĄGI POD SPECJALNYM NADZOREM”

– tragikomiczna, wzruszająca powieść Bohumila Hrabala z 1965 r., dziejąca się na prowincji w czasie niemieckiej okupacji Czech.

Jej bohaterem jest 20-letni Milosz Pipka pracujący na stacji kolejowej, przez którą przejeżdżają niemieckie transporty. W gruncie rzeczy tylko one są dowodem na to, że toczy się wojna. Chłopak ma zresztą inne zmartwienie, gdyż niepowodzeniem kończą się jego próby inicjacji seksualnej. Zgnębiony tym usiłuje nawet popełnić samobójstwo. W końcu jednak wciągnięty przez dyżurnego ruchu w działania ruchu oporu, otrzymuje zadanie wysadzenia zdążającego na wschód transportu, a w tajniki erotyczne wprowadza go ze znanstwem konspiracyjna emisariuszka. Milosz staje się stuprocentowym mężczyzną, wysadza pociąg i rani niemieckiego konwojenta, ale sam postrzelony umiera. Tak zdobywa doświadczenie i dojrzałość do... śmierci.

W filmie Jiříego Menzla z 1966 r. postać Pipki odtwarzał Václav Neckář, bardziej znany jako piosenkarz.



„PROMIENIOWANIA”

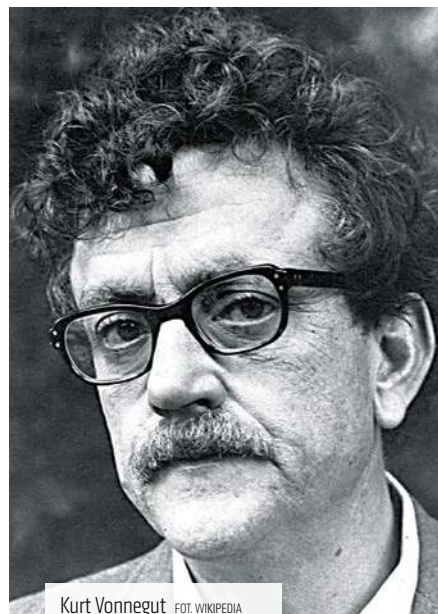
– kluczowy fragment monumentalnego cyklu dzienników Ernsta Jüngera powstałych w latach 1939–1998. Obejmuje on czas pobytu pisarza – oficera Wehrmachtu w Paryżu

(luty 1941–sierpień 1944 r.) oraz inspekcyjną podróż na Kaukaz u progu roku 1943. Zapiski przynoszą niezmiennie wyrazisty zapis kresu świata wywołanego globalnym konfliktem zbrojnym. Mierniki totalnej katastrofy widzi Jünger (1895–1998!) – twórca w PRL przemilczany – nie tylko w stratach ludzkich i materialnych, lecz także w upadku duchowym. Wojna to dlań niekontrolowany, zagrażający cywilizacji żywioł stosujący zdobycze techniki. Pozornie błahe, polifoniczne notatki zawierają moc metafizycznych refleksji dotyczących człowieczego osamotnienia w pejzażu hekatomb.



„RZEŹNIA NUMER PIĘĆ”

– Kurt Vonnegut, autor powieści, w czasie wojny żołnierz amerykański, w grudniu 1944 r. podczas ofensywy w Ardenach został wzięty do niewoli niemieckiej i osadzony w Dreż-



Kurt Vonnegut FOT. WIKIPEDIA

nie, gdzie 13 lutego 1945 r. przeżył bombardowanie miasta przez aliantów, podobnie jak Billy Pilgrim, bohater „Rzeźni numer pięć, czyli Krucjaty dziecięcej, czyli Obowiązkowego tańca ze śmiercią”. Wydana w 1969 r. książka okazała się bestsellerem, wzbudzając jednak liczne kontrowersje, nie tylko dlatego, że autor przedstawił masakrę ludności cywilnej stolicy Saksonii w wymiarze isticie apokaliptycznym. Z drugiej strony bowiem, zderzając te brutalne obrazy z fantastyką (Vonnegut wyspecjalizował się w science fiction), osłabił – zdaniem niektórych krytyków – autentyzm i tragizm prezentowanych wydarzeń. Bohater powieści podróżuje w czasie i przestrzeni, w pewnym momencie – jak twierdzi – zostając porwany przez kosmitów i wywieziony na przedziwną planetę o nazwie Tralfamadoria, wolnej – co najważniejsze – od wojen. Od, cytując Churchilla, krwi, znoju, potu i łez.



„08/15” – pochodzący z Ostródy Hans Hellmut Kirst napisał 59 książek, w większości wojennych. Uznanie przyniósł mu tryptyk, potem rozszerzony do pięcioksięgu, relacjonujący losy kilku przyjaciół

wcielonych do Wehrmachtu. Tytuł zaczerpnął z arsenału Bellony. Cyfry określają wzór karabinu maszynowego systemu Maxim, który w armii niemieckiej dwukrotnie unowocześniano – w latach 1908 i 1915 – i w związku z tym określenie zero-osiem-piętnaście nabrało idiomatycznego znaczenia w języku potocznym.

Kirst w latach 30. – jako hufcowy Hitlerjugend – organizował obozy dla nastolatków w pobliżu Morąga i Gietrzwałdu. Uczestniczył w kampanii wrześniowej, zajmował Francję, bił się na froncie wschodnim. Pod koniec wojny wykładał w bawarskiej Szkole Wojennej. Jednym z jego uczniów był Franz Josef Strauss, później czołowy polityk zachodnioniemiecki. Wywarł on duży wpływ na życie przyszłego literata. Najpierw doniósł Amerykanom, że Kirst pozostał nazistą, toteż obwiniony stanął przed Izłą Orzekającą o denazyfikacji. Jej przewodniczącym był... Strauss. Zapewnił prozaikowi dwuletni zakaz druku.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pod prąd czasu

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Piotr Gociek

„Tenet” Christophera Nolana to film idiotyczny, chociaż w wielu partiach świetnie zrobiony

Tenet” jest katalogiem chwytów stosowanych przez Christophera Nolana w filmach od dawna. Mamy tu sceny akcji jak z trylogii o Batmanie, mamy odkształcanie rzeczywistości przypominające „Incepcję” (choć inną metodą), mamy suspens oparty na manipulowaniu wiedzą o przeszłości (jak w „Memento”), choć tu chodzi

o ujawnianie (częściej ukrywanie) wieści z przyszłości. Jest wreszcie wątek melodramatyczny, który ma równoważyć wielki spektakl i przekonać widza, że film i reżyser mają serce. Udało się to w „Interstellar”, gdzie relacja ojciec-córka była kluczowa dla opowieści, nie wyszło w „Tenecie”, w którym relacja matka-syn wydaje się doczepiona na siłę. Jest i w epizodzik Michael Caine, który nie gra tym razem ani opiekuńczego lokaja Batmana, ani genialnego naukowca, ale zachowuje się, jakby grał obydwa.

Zaczyna się jak thriller w duchu „Mission: Impossible” – grupa terrorystów atakuje kijowską Operę Narodową. Wśród interweniujących miejscowych specjalsów mamy także grupkę podszywających się pod nich przybyszów z zagra-

nicy. Nie o terroryzm bowiem tu chodzi, nie o zakładników, nie o rywalizację między mocarstwami, ale o...

IMPONUJĄCO NA PAPIERZE, RÓŻNIE NA EKRANIE

Zdradzanie zakrętów fabuły oznacza odarcie najnowszego filmu twórcy „Prestiżu” z jednej z jego niewielu zalet. Spróbuję więc, omijając detale: główny bohater (nie znamy jego imienia, sam siebie nazywa Protagonistą) to weteran tajnych amerykańskich operacji, zwerbowany do akcji nie dość, że najtajniejszej z tajnych, to jeszcze takiej, od której zależą losy świata. A precyzując: losy wszystkich żywych istot na powierzchni Ziemi. Thriller szpiegowski szybko zamienia się w fantastykę, choć Protagonista wprowa-

dzany jest w sekret bardzo pomału, wybiórczo. Ze strzępów informacji dowiadujemy się, że ktoś w przyszłości prowadzi wojnę przeciwko współczesnej ludzkości. Narzędziem tej wojny jest technologia umożliwiająca wysyłanie do naszych czasów przedmiotów o „wstecznej entropii” – skoro podróżują pod prąd naszego strumienia czasu, to też zachowują się odwrotnie. Wystrzelone kule wskakują z powrotem do lufy pistoletu, upuszczone przedmioty rwą się ku górze, by znów znaleźć się w dłoni, która je wypuściła itd.

Dlaczego to takie niebezpieczne? I dlaczego jest oznaką zimnej wojny temporalnej? Zanim widz pozna odpowiedź na to pytanie, będzie musiał zanurzyć się w świat sekretnego śledztwa, w którym Protagonista towarzyszy inny tajny agent, Neil. Para ta zwiedzi kawałek świata, jakby była to kolejna odsłona Bonda, a emocje rodzinne, o których wspominałem na początku, zapewni niedobrana para: podejrany rosyjski bogacz i handlarz bronią Andriej Sator oraz jego piękna żona Kat.

To dobry moment, by spojrzeć bliżej na obsadę. W roli Protagonisty widzimy Johna Davida Washingtona, który był niedawno najjaśniejszym punktem filmu Spike’a Lee „Czarne bractwo. BlackKlansman” (2018). Towarzysza jego eskapad gra Robert Pattinson, który na dobre zerwał z wizerunkiem romantycznego piękniśa z serii „Zmierzch” i wybiera role ciekawe oraz nieoczywiste, takie jak w filmach „Zaginione miasto Z” (2016) czy „Latarnia” (2019). Okrutnym i niezwykle bogatym Rosjaninem jest Kenneth Branagh (wybór dość dziwny, bo i angielski z akcentem rosyjskim w wykonaniu Branagha brzmi dziwnie), a jego piękną, ciemieżoną żonę gra Elizabeth Debicki (ostatnio udane występy w filmach „Wdowy” i „Obraz pożądania”).

Zestaw na papierze wygląda imponująco, na ekranie bywa różnie. Branagh i Debicki tworzą postacie jednowymiarowe. Enigmatyczny Protagonista, czyli John David Washington, ma kłopot z pokazaniem, jak jego serce topnieje pod wpływem Kat, miał być tajemniczy i twardy jak głaz, okazuje się nużąco jednostajny. Ciekawą zagadkę niesie ze sobą postać Roberta Pattinsona (wyjaśnienie dostaniemy w finale filmu), w ogóle relacja Protagonisty z Neilem jest jaśniejszym punktem filmu. Nie zmienia to faktu, że wszyscy ci boha-

terowie wydają się jedynie mało znaczącymi pionkami w wielkiej układance fabularnej, którą wymyślił Nolan (jest też scenarzystą). Autor „Incepcji” jest tak zajęty wprawianiem w ruch stworzonej przez siebie maszyny, tak skoncentrowany na kawałkach akcyjnych i pseudonaukowych puzzli, że nie wystarcza mu już ciepła, uwagi i troski dla pojawiających się na ekranie ludzi. Jeśli ktoś miał kiedyś wątpliwości, czy rację mają krytycy zarzucający Nolanowi, że jest reżyserem filmów estetycznie interesujących, ale zimnych, wykalkulowanych, to „Tenet” powinien przekonać go do tego zdania ostatecznie.

KOTLET Z RECYKLINGU

Niektóre obrazki rzeczywiście zapadają w pamięć. Sceny batalistyczne z ostatniej części filmu, chwilami ciekawe zabawy z „odwrotnymi” wydarzeniami (tylko chwilami, bo kilka wygląda po prostu głupio), krótkie ujęcia na morzu przy gigantycznych wiatrakach. Kijów, Tallin, Londyn, Oslo, Wietnam – Nolan dba o eleganckie pokazanie rozmaitych lokacji, problem w tym, że zanurzenie się w świat przedstawiony, tak bardzo potrzebne dla fantastyki zawieszenie niewiary, przychodzi widzowi z trudem.

Po pierwsze, dlatego, że zagrożenie jest abstrakcyjne. Wydana przez przyszłe pokolenia wojna czasowa ma doprowadzić do wydarzenia, które ciężko sobie wyobrazić, a którego na ekranie z powodów oczywistych nie zobaczymy. Groźne przestrogi, dramatyczne dialogi i zafrasowane miny bohaterów niewiele pomagają – ot, gawędzą sobie o tym, że zdarzyć się może coś strasznego. Po drugie, naukowa warstwa „Teneta” jest idiotyczna, stworzono tę podbudowę tylko po to, by pokazać kilka bardzo efektownych scen akcji, jakich jeszcze nigdy w kinie nie było, ale, na Boga, film trwa dwie i pół godziny (i okrutnie się dłuży). Po trzecie, los bohaterów interesuje nas umiarkowanie, bo są po prostu umiarkowanie ciekawi.

Co do oryginalności – każdy średnio odczytany miłośnik fantastyki naukowej ujrzy, że Christopher Nolan mieli i lepi swojego wizualnego kotleta z motywów, które pisarze SF rozpracowywali dekady temu i doprowadzali do perfekcji.



★★★★★
REŻ. CHRISTOPHER
NOLAN
„TENET”
USA 2020

wyst. John David
Washington, Robert
Pattinson, Elizabeth
Debicki

Chcecie opowiedzieć o biegnących naprzeciw sobie strumieniach czasu? Sięgnijcie choćby po powieść „Kurs na zderzenie” Baringtona J. Bayleya, przełożoną jeszcze w PRL. Szukacie modelowego paradoksu czasowego o autorze temporalnych manipulacji wpływającym swoimi działaniami nie tylko na bieg wydarzeń, lecz także na własny los? Wróćcie do opowiadania Roberta A. Heinleina „Wszyscy wy zmartwychwstali”.

Cóż, taki jest dziś Hollywood, żyjący z recyklingu i podkradania staroci, które po wypolerowaniu i odpowiednio efektownym opa-

kowaniu sprzedaje jako nowinki. Jeden koncept, przyznam, jest jednak w „Tenecie” fascynujący, choć jednocześnie uwikłany w unieważniający sam siebie paradoks. To przygotowywanie ataku temporalnego przez „okrażenie” – połowa żołnierzy podejmuje zwykłą akcję bojową, zdobywając wiedzę dla drugiej połowy, która w tym czasie, cofając się pod prąd czasu, może wykorzystać doświadczenie zdobywane przez kolegów.

TYLKO DLA FANÓW NOLANA

Być może wszystko to stanie się jasne po drugim lub trzecim obejrzeniu filmu? Może to łamigłówka, która zaprasza widza do współuczestnictwa? Niestety nie, i jeszcze raz nie. Niczego więcej tam nie ma, cały ten bałagan bałaganem pozostanie. Przesłanie też jest słabiutkie, bo wszystko to, wicie-rozuminie, ma być okazją do przypomnienia nam, że nieładnie traktujemy swoją planetę i że przez nasze działania cierpieć będą przyszłe pokolenia.

Christopher Nolan zrobił film skrajnie nolanowski, manieryczny i ostantacyjnie idiotyczny – fani reżysera być może będą zachwyceni, reszta niespecjalnie, nawet jeśli uwiedzie ich wizualna warstwa filmu. Ja byłem znużony i rozczarowany, a zaliczyłbym siebie do tych, którzy mocno Nolanowi kibicowali. Do jego trylogii o Batmanie wracam co jakiś czas, bo to ładny kawałek komercyjnego kina. „Prestiż” oglądać mogę bez końca. Po „Incepcję” sięgam od czasu do czasu. „Interstellar” przyjąłem początkowo chłodno, ale po drugim obejrzeniu stał się jednym z moich ulubionych filmów fantastycznych. „Tenet” obejrzałem raz i nie czuję potrzeby, by kiedykolwiek do niego wrócić.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIALY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Power off



★★★★★
REŻ. HENRY JOOST, ARIEL SCHULMAN
„POWER” („PROJECT POWER”)
USA 2020

wyst. Joseph Gordon-Levitt,
 Dominique Fishback,
 Jamie Foxx

Pięć minut – na tyle pigułki sprzedawane nielegalnie na ulicach Nowego Orleanu wyzwalają twoje ukryte moce. Ale uważaj – nie wiadomo, jak zareagujesz. Jedni dzięki pigułce stają się nadludźmi, innych nowy produkt zabija w okrutny sposób. Cóż, nigdy nie wiesz, kotku, co masz w środku.

Pomysł ciekawie odświeżający opowieści o superbohaterach napędza film „Project Power” na dłużej niż pięć minut. Ale niewiele dłużej. Wprowadzenie jest intrygujące, szybko na ekranie pojawia się kilka ciekawych postaci. Joseph Gordon-Levitt gra gliniarza, który chcąc chronić swoje miasto przed zbirami używającymi nowego dopalacza, sam łyka pigułki,

żeby sprać im skórę. Dominique Fishback, wielce utalentowana młoda aktorka (pokazała to w „Kronikach Times Square”), wciela się w nastolatkę marzącą o karierze raperki, a po godzinach zaopatrującą gliniarza w towar.

Ta nietypowa przyjaźń mogła być wielkim atutem filmu, ale ponieważ mamy do czynienia z wakacyjnym kinem akcji, twórcy szybko porzucają ten trop i proponują mocno konwencjonalną porcję strzelanin, pościgów i mordobić. W roli czarnych charakterów obsadzając, oczywiście, wstrętnych biznesmenów z firmy zajmującej się militarnymi technologiami. Z ową firmą na pieńku ma Jamie Foxx, występujący tu jako twardziel poszukujący córki.

N

Pary w kotłach starcza na pół godziny, potem filmowi rozpaczliwie zaczyna brakować oryginalności. Dialogi okraszone są niezbędną w produkcjach Netflixu porcją wywodów na temat tego, jak czarni, kobiety i biedni są prześladowani w Ameryce przez system. Aktorzy w rolach bandziorów robią wrażenie znudzonych rutynową robotą (zwłaszcza przyjezdna szefowa kartelu z Ameryki Południowej). Ostatecznie film duetu Henry Joost/Ariel Schulman zatrzymuje się gdzieś na poziomie „Bez litości”, czyli flagowego wakacyjnego akcyjniaka Netflixu sprzed miesiąca, albo ciut niżej, bo nakręcony jest z mniejszym rozmachem.

Panowie wcześniej nakręcili m.in. dwa filmy z serii „Paranormal Activity” oraz dwa średnio ekscytujące thrillery: „Viral” i „Nerve”. „Średnio ekscytujący” – to bez wątpienia sformułowanie, które najczęściej powinno być w użyciu, jeśli chodzi o większość ostatnich netflixowych premier. ©©



NOWE SERIALE: „LEGO MARVEL”

Nie tyle klasyczny serial, ile antologia historyjek o przygodach znanych bohaterów komiksów i filmów Marvela. A ponieważ nic tak nie poprawia wpływów do kasy jak łączenie znanych marek, to są to filmiki w wersji LEGO. Wśród tytułów, które z końcem sierpnia pojawiły się na platformie HBO GO,

są m.in. „Spider-Man: Wkręcony w Venoma”, „Czarna Pantera: Wakanda ma kłopoty”, „Strażnicy Galaktyki: Nikczemny plan Thanosa” czy „Avengers znowu zjednoczeni”. ©© **Piotr Gociek**

• **autorzy różni „LEGO Marvel”, USA 2020, animowane, HBO GO**

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- autorzy różni „**W domu (Finlandia) („Eristyksissa – Finland”)**, antologia filmowa, Finlandia 2020
- reż. Marco D'Amore „**Nieśmiertelny („L'immortale”)**, Włochy 2019, CINEMAX
- reż. Brett Haley „**Prowie jak gwiazda rocka („All Together Now”)**, USA 2020 obyczajowy

Ścigany za młodu



Joe Turner, absolwent MIT, wstąpił do Centralnej Agencji Wywiadowczej z pobudek idealistycznych: chciał zmienić system od środka. Namierzając mocodawców islamskiego terroryzmu, który próbował wywołać epidemię dżumy w Ameryce, zadarł z kimś o wiele potężniejszym. W rezultacie łebski analityk traci współpracowników i staje się zwierzyną łowną. Brzmi znajomo? Twórcy serialu z powieści „Sześć dni Kondora” wzięli jedynie kilka nazwisk, część tytułu i fabularny szkielet. Obudowali go retrospekcjami i wątkami pobocznymi. Mimo epatowania cytataми z Dantego, Woltera, Stalina czy Konfucjusza wciąż jest to szpiegowski thriller, próbujący wydeptać ścieżkę między Ludludem

i LeCarre'em. W pierwszym sezonie wychodziło to lepiej, w drugim gorzej. O ukłonach w stronę feminizmu i LGBT szkoda gadać, bo to we współczesnych tasiecmach norma. Przekaz jest meganaiwny. Źródłem zła okazuje się bezduszny i pazer-ny kapitalizm, nierozumiejący że „Arabowie też kochają swoje dzieci”. W służbach zaś,



★★★★★
„TRZY DNI KONDORA” („CONDOR”) USA 2019

wyst. Max Irons, Kristen Hager, William Hurt

jak przyznaje jeden z dyrektorów CIA, pracują miernoty i psychopaci. Irons junior Redfordowi (patrz: ekranizacja z roku 1975) nie dorównuje. Z młodych aktorów rzuca się w oczy zabójca Leem Lubany. Wśród starszaków rządzi William Hurt, a metamorfoza, którą przeszedł Brendan Fraser, daje do myślenia. ©©

Wiesław Chełmniak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „FROSTPUNK: NA KRAWĘDZI”

Pogrążona w wiecznej zimie alternatywna wersja historii „Frostpunk” doczekała się drugiego dodatku fabularnego. Tym razem polski deweloper zabiera nas w podróż do dalszych losów ostatniego miasta ludzkości – Nowego Londynu. Potężna zamieć śnieżna odkryła porzucone przed

czasem kryzysu magazyny wojskowe. Czy okażą się źródłem potrzebnych do przeżycia surowców i technologii? Odpowiedź na to pytanie zależy od gracza, który otrzymuje do dyspozycji nową lokację na zboczu góry, nowe relacje dyplomatyczne ze stolicą oraz jeszcze bardziej rozwinięty system



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MĘSKIE GRANIE



★★★★★
REŻ. ROBERT ALDRICH
„PARSZYWA DWUNASTKA” („THE DIRTY DOZEN”) USA 1967

wyst. Lee Marvin, John Cassavetes, Charles Bronson

Wojna jako naturalne środowisko kryminalistów. Niby wszyscy to wiedzą, lecz mówić głośno nie wypada. Tym bardziej pokazywać na dużym ekranie. „Parszywa dwunastka” trafiła do kin w epoce obyczajowego przewrotu i osłabienia (auto) cenzury. W Hollywood wymuszona prostoduszność zastąpił wy kalkulowany cynizm. Skoro publiczność łaknęła widowisk efektywnych w formie i szokujących w treści, to należało je stworzyć. Konserwatywny John Wayne z obrzydzeniem odrzucił propozycję zagrania głównej roli. Lee Marvin, otrząskany w rolach gangsterów, skrupułów nie miał. Batalistyczne super-produkcje o twardzielach podejmujących się misji z gatunku samobójczych, królowały w kinach przez następną dekadę. Echo filmu Aldricha wciąż słychać, choćby w twórczości Quentina Tarantino, jednak sam pomysł został zarżnięty przez trzy żałosne sequele oraz idiotyczny serial. Ostatnio chodzą słuchy o remake'u. Apage, Satanas!

SILNE KOBIETKI

W KINACH



★★★★★
REŻ. PETER CATTANEO
„POJEDYNEK NA GŁOSY” („MILITARY WIVES”) WIELKA BRYTANIA 2019

wyst. Kristin Scott Thomas, Sharon Horgan, Amy James-Kelly

Operacji „Cool Britain” ciąg dalszy. Tym razem promowane są chóry żon wojskowych – kolejne dziwactwo rodem ze Zjednoczonego Królestwa. Fabuła do wymyślnych nie należy. Gdy panowie wyruszą z misją do Afganistanu, połowice próbują walczyć ze stereotypem kobietek tęskniących za silnymi facetami. Robótki na drutach to nie ich bajka, przyjemniej jest spuścić parę, śpiewając kawałki z „Top of the Pops”. Z czasem rozochoczone prowincjuszki wzbogacą repertuar o własny utwór. Jednocześnie trwa walka o przywództwo w stadzie między zasadniczą Kate i wyluzowaną Lisą, co stawia pod znakiem zapytania podbój Londynu. „Pojedynek na głosy”, klasyczny przedstawiciel gatunku „feel-good movie” padł ofiarą pandemii. Wielkich pieniędzy nie zarobi, nadszarpniętego wizerunku Wielkiej Brytanii nie poprawi. Kristin Scott Thomas jak zwykle jest lepsza niż film, w którym występuje. Taka karma. ©© **recenzuje Wiesław Chełmniak**

dostaw zaopatrzenia. Ciekawy epilog do dobrej gry. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** Strategia/ekonomiczna
- **Platforma:** PC
- **Producent, dystrybutor:** 11 bit studios
- **Klasyfikacja PEGI:** 16+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Przypowieści **abchaskie**

Wydana właśnie książka zmarłego cztery lata temu piszącego po rosyjsku pisarza abchaskiego Fazila Iskandera składa się z dłuższej powieści „Króliki i dusiciele” oraz krótszego, ale szczególnie smakowitego, tytułowego utworu, któremu warto poświęcić więcej uwagi.

Bohaterem „Uczt Baltazara” jest Sandro Czegemski, naprawdę Czegemba, tancerz w zespole pieśni i tańca, ale przede wszystkim człowiek bliski samemu Nestorowi Apollonowiczowi Łabodzie, namiestnikowi Stalina w Abchazji. Ów Łaboda rywalizować będzie z Bериą o stalinowskie względy i rywalizację tę przegra. W 1936 r. Beria zaprosi go do siebie, ugości kolacją, następnie pojadą do teatru, tam Łaboda dostanie mdłości i – coś podobnego! – umrze. Po śmierci obwołany zostanie wrogiem ludu i trockistą, liczni jego krewni i przyjaciele pogonieni zostaną ze stanowisk, zapewne też nagle zakończy się tak świetnie rozwijająca się kariera Sandra. To jednak będzie później. Na razie mamy sierpień roku 1935, a może poprzedniego, i bankiet w Gagrze z udziałem Stalina, a i Berii, Kalinina, Woroszyłowa, całej ówczesnej wierchuszki. Wypoczywają nad Morzem Czarnym, a pobyt tam umilają im pieśniarze i tancerze, a między nimi Sandro, wspinający się na wyżyny sztuki tanecznej, zwracający uwagę samego Stalina, któremu jednak twarz wyróżniającego się tancerza wydaje się znajoma. A Sandro też sobie przypomni z dzieciństwa, gdzie widział już tego niewysokiego, dziobatego człowieka i w jakich okolicznościach wyszeptał mu on do ucha: „Tylko piśniesz, to wrócę i cię zabiję...”.

„Uczt Baltazara” są fragmentem najważniejszej książki Fazila



FOT. KLEMENTY MAKHAL / TASSEFORUM

Iskandera „Sandro z Czegemu”, dwukrotnie wydawanej w Polsce na przełomie lat 60. i 70. zeszłego wieku, oczywiście bez tego niecenzuralnego ustępu, bo ze Stalinem – jak utrzymywano – rozliczył się już towarzysz Chruszczow na XX Zjeździe KPZR i więcej Sołżenicynów nie potrzebował. Iskander nie sprawiał zresztą władzy sowieckiej specjalnych kłopotów, pisząc i wydając swoje książki, ciesząc się dużym powodzeniem czytelnictwem. Wykorzystywał w nich wspomnienia z młodości, ukazywał specyfikę swojej Abchazji, opowiadał o życiu zamieszkujących ją prostych ludzi, chłopów, pasterzy, rzemieślników. Mógł się podobać, i podobał, prostoduszny humor, którym przesycona była jego proza, wpisująca się w nurt największych osiągnięć literatury sowieckiej, bo w końcu takie osiągnięcia miała. Czasem tylko zaskakiwał takimi swoimi opowiadaniem jak „Malutki gigant wielkiego seksu” (1979), w których ukazywał się jako krytyk rzeczywistości Kraju Rad.

Bóg dał mu długie, 87-letnie życie, u którego schyłku stał się absolutnym klasykiem literackim, a Abchazja – jak powiada znawca zarówno problematyki kaukaskiej, jak i twórczości autora

„Sandra z Czegemu” Wojciech Górecki – „kochala go tak, jak Polska Jana Pawła II. I tak samo go nie słuchała”. Od końca lat 80. coraz częściej wypowiadał się w publicystyce na tematy polityczne. Przed wybuchem wojny abchasko-gruzińskiej, toczącej w latach 1991–1992, o której tak naprawdę nic nie wiemy, apelował – pisze Górecki – „do obu stron, m.in. na łamach »Prawdy«, »Izwestii« i »Litieraturnoj Gazety« o opamiętanie się i niedopuszczenie do przelewu krwi, zaś gdy walki już rozgorzały, jego dramatyczne wezwanie do zawieszenia broni i rozpoczęcia rozmów opublikowała »Die Zeit« i kilka innych europejskich periodyków. Skutek tych wystąpień był odwrotny do zamierzonego; nikt nie posłuchał pisarza, on sam zaś w Gruzji zaczął uchodzić za publicznego wroga, w Abchazji za ugodowca i przeciwnika niepodległości republiki”.

Na szczęście jego proza oparła się politycznej weryfikacji. I po staremu imponuje mądrością opowiadanych historii mających swoje źródła w kulturze ludowej. Historii wcale nie oczywistych. Fazil Iskander tak na przykład wspominał: „Mama pochodziła ze wsi, z Czegemu. Była półanalfabatką. [...] opowiadała mi różne mądrości, można je nazwać czeremskimi przypowieściami. Według jednej z nich człowiek, który coś ukradł drugiemu, ma na sumieniu jeden grzech, popełniony wobec tego okradzionego, natomiast człowiek, któremu coś ukradziono, popełnia znacznie więcej grzechów, bo podejrzewa o kradzież wiele osób. Nie wie, kto zawiń, ale podejrzewa jednego, drugiego, trzeciego, czwartego i sam grzeszy w ten sposób wobec szeregu uczciwych ludzi. Pamiętam, że bardzo mi się ten przykład podobał”. ©©



★★★★★
FAZIL ISKANDER
„UCZTY
BALTAZARA”
WYDAWNICTWO
KEW, WROCŁAW-
-WOJNOWICE
2020



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Koniec zabawy

Zdecydowanie zbyt długa powieść Claire North oparta jest na dobrym pomysle. Jej głównym bohaterem jest Zwiastun Śmierci. Uwaga, to zawód, a nie jedna postać. Przez stulecia i tysiąclecia Śmierć zatrudniała sobie rozmaitych pomagierów, w książce „U schyłku dnia” przyglądamy się przygodom najnowszego. Ponieważ sporo w tej historii groteski, pracę Zwiastuna Śmierci koordynuje zupełnie zwyczajna korporacja rezerwująca mu bilety lotnicze i noclegi w hotelach. Inni głosiciele niezbyt dobrych nowin też się pojawiają: Zwiastun Zarazy, Zwiastunka Głodu, Zwiastunka Wojny.

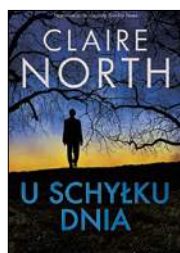
Praca lekka nie jest. Bohater podróżuje we wskazane miejsca, by odnaleźć wskazane osoby, przekazać im podarek od Śmierci, a następnie... cóż, bywa różnie. Jedni umierają od razu, inni nazajutrz, dla jeszcze innych wizyta Zwiastuna jest jedynie ostrzeżeniem. Wysłannik Śmierci patrzy, słucha i staje się jednocześnie świadkiem (czasem ostatnim lub jedynym), pamięcią (jakże wielu wskazanych umiera samotnie), chodzącą kroniką okropności (trafia w miejsca dotknięte rozmaitymi nieszczęściami).

Wiele tych spotkań jest głęboko wzruszających, niektóre naprawdę przerażające, kłopot z powieścią

North polega jednak na tym, że jest ich za dużo. Dawno nie czytałem książki, w której dzieje się tak wiele (bohaterowie są w nieustannych podróżach), a jednocześnie tak niewiele (wszystkie owe peregrynacje niespecjalnie służą napędzaniu fabuły i rozwojowi postaci).

Claire North stworzyła wielki katalog lęków współczesnego młodego człowieka, następnie wyliczyła je wszystkie, wykrzykując nieco po pensjonarsku swoją niezgodę na tak niedobry świat. Świat, który zresztą za chwilę się skończy, bo przesłanie jest ponure, a nastrój chwilami elegijny: nie daliśmy sobie rady z planetą, nie daliśmy rady z własnym człowieczeństwem, o czym świadczy bezmiar nieszczęść. Zabawa więc wkrótce się skończy, koniec bajzlu nadchodzi.

Cień nadziei w sztuce. Gdy przychodzi finał, pisarka przypomina nam, że sztuka właśnie łączy ludzi różnych religii, pochodzenia i majątku. Prawdziwe, choć mało oryginalne.



★★★★★
CLAIRE NORTH
„U SCHYŁKU DNIA”
ŚWIAT KSIĄŻKI
2020

Jest w tej książce wiele gniewu i oburzenia, są ładnie napisane fragmenty, z całością jest problem, bo kawałków zabawnych i melancholijnych nie udaje się ze sobą odpowiednio zszyć. A przecież jest to możliwe, wspomnijcie choćby prozę Vonneguta czy Hrabala. ©©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Obszerna biografia Brunona Schulza autorki książki „Kobiety i Schulz”. Cele dwa: popularyzatorski oraz walka z półprawdami na temat autora „Sklepów cynamonowych”. Research godny uznania, styl mógłby być mniej afektowny.



ANNA KASZUBA-DĘBSKA
„BRUNO. EPOKA GENIALNA”
ZNAK

Zbiór krytycznych rozważań znakomitego tłumacza i wydawcy, który przekładał Hellera, Vonneguta czy Dicka i redagował „Nową Fantastykę”; ale jest także jednym z ciekawszych polskich publicystów konserwatywnych.



LECH JĘCZYNEK
„ŻYCIE JAKO OKRĘT WIDZIANY OD SPODU”
STALKER BOOKS

Przygód Harry'ego Boscha tom 21. Bosch po odejściu z policji zostaje prywatnym detektywem. Samotny bogacz wynajmuje go do wyjaśnienia zagadki sprzed lat: Co się stało się z pewną młodą Meksykanką i jej dzieckiem?



MICHAEL CONNELLY
„PO ZŁEJ STRONIE POŻEGNANIA”
SONIA DRAGA

Wznowienie chyba najlepszej i najważniejszej powieści science fiction o klonowaniu. Mocny głos w obronie człowieczeństwa i przeciw pomysłom ratowania ludzkości cudownymi metodami, które mogą tylko zaszkodzić. ©© **poleca Piotr Gociek**



KATE WILHELM
„GDZIE DAWNIEJ ŚPIEWAŁ PTAK”
REBIS

KOMIKS TYGODNIA: „ANGEL WINGS”

Ciąg dalszy zbiorczej edycji świetnej komiksowej serii wojennej. W tomie pierwszym widzieliśmy z bliska wojnę lotniczą w Birnie i Chinach (każde przerzucone przez Himalaje tysiąc ton kosztowało życie trzech pilotów), w tomie drugim trafiamy na front na Pacyfiku. Główną bohaterką serii jest dziewczyna łącząca pracę pilota samolotów transportowych z sekretną robotą dla wywiadu. W Azji



YANN, ROMAIN HUGAULT
„ANGEL WINGS, TOM 2”
SCREAM COMICS
2020

trofiła japońskich szpiegów, teraz zbliża się do rozwiązania zagadki, która sprawiła, że rok wcześniej podczas szkolenia zabito jej siostrę. Imponujące kadry walk powietrznych, wartka akcja i cierpki humor. Czegoż trzeba więcej? ©© **poleca Piotr Gociek**

Rozbudzone nadzieje



FOT. FACEBOOK.COM/KATHIAUSE

Sześciu utworowa epka „Town” jest zapowiedzią planowanej na przyszły rok płyty długogrającej. Czy to także zapowiedź ciekawej kariery? Poznajcie Katię, 18-letnią songwriterkę z Poznania. „Nie pomyślałabym pół roku temu, kiedy powiedziałam do Bartka z Borówka Music: »Cześć, jestem Kasia i chcę grać ludziom swoją muzykę«, że pojadę z nim w trasę. Wszelkie światy działa bardzo dziwnie. Była to przygoda mojego życia” – pisała Kathia na początku sierpnia na Facebooku. Pod koniec wakacji wrzuciła już zdjęcia z własną epką w rękach: „Czasem tak patrzę na stos płyt ulubionych artystów w moim pokoju i mój mózg nadal nie może przepracować tego, że jedna z nich jest moja”.

Różnorodna muzycznie, dobrze przyjmowana epka jest zbiorem dotychczasowych singli Kathii i jednego

nowego utworu. „Jest to moje pierwsze dziecko, które wyprodukowałam u siebie w studiu domowym (tak teraz nazywam swój pokój). Jestem z tej płyty bardzo

dumna – pisze Kasia. – Jest na niej sześć utworów, z moimi tekstami i moją muzyką. Tworzyłam ją powoli, nawet nie myśląc, że kiedyś powstanie w wersji fizycznej.

Nadal nie dowierzam, że jest to całkowicie moja robota” (choć są i goście).

Na okładce zdjęcie... babci Kasi z młodych lat. W środku jest i dziadek („Chciałam, żeby nie tylko muzyczna część płyty, lecz także wizualna była autentyczna i zgodna z moim sumieniem”). O ojcu Kasia pisze tak: „Poznajcie Sławka – najlepszego Tatę pod słońcem, kierowcę, kucharza, grafika, tour managera i kompana na jam session przed każdym koncertem! Ten człowiek wspiera mnie we wszystkich moich dziwnych marzeniach – szczególnie właśnie w tym jednym, związanym z muzyką. Co ja bym bez Ciebie zrobiła? Dzięki, Tato”. Dojrzałość ponad swój wiek słysząc nie tylko w głosie.

Epka „Town” jest do kupienia w sprzedaży wysyłkowej. Po szczegóły odsyłam na Facebooka Kathii. ☺☺

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Witaj, przyjacielu

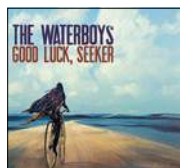
Szkot zakochany w muzyce celtyckiej w końcu wydał intrygujący album. Zaskakujący w porównaniu z jego wcześniejszymi dokonaniem, ale muzycznie niespecjalnie odkrywczy.

Od 2000 r. Mike Scott ponownie wydaje płyty pod nazwą „The Waterboys”, choć tak naprawdę już od czwartego albumu grupy są to jego solowe projekty. Na 14. płycie ze starych znajomych pojawia się tylko skrzypek Steve Wickham.

Płyta zawiera eklektyczny zestaw utworów, których wspólnym mianownikiem jest mistycyzm tekstów. Już pierwszy utwór zaskakuje tanecznym rytmem i aranżacją na sekcję dętą. „The Soul Singer” opowiada o kłótliwym geniuszu, którym najprawdopodobniej jest James Brown. Hołdy dla innych

twórców są jednym z wyróżników płyty. Obok electro-funkowej, kiczowatej ody do aktora Dennisa Hoppera usłyszymy Scotta deklamującego teksty brytyjskiej okultystki Dion Fortune („Good Luck, Seeker”) i amerykańskiego filozofa Williama Jamesa („Beauty in Repetition”).

Muzycznie jest różnie. Przeważają pogodne, rozśpiewane melodie w większości oparte na przestarzałych elektronicznych bitach. Jednak kiedy Scott sięga po starą szkocką pieśń „Low Down in the Broom” i aranżuje ją na akustyczne instrumentarium, efekt jest doskonały. Dla wielbicieli starego The Waterboys perłą będzie blisko siedmominutowa „My Wanderings in the Weary Land”. To opowieść o długiej drodze ku osobistemu i artystycznemu odkupieniu. ☺☺



★★★★★
THE WATERBOYS
„GOOD LUCK,
SEEKER”
COOKING VINYL



★★★★★
THE KILLERS
„IMPLoding THE
MIRAGE”
ISLAND

Zostało ich dwóch. Po serii nieudanych albumów w końcu uciekli od rutyny, a ich opowieści o dusznych relacjach zawierają prawdziwe emocje. Flowers i Vannucci zaprosili do studia zacnych gości i brzmią jak uwodzicielski Fleetwood Mac połączony z patosem Springsteena.



★★★★★
NUBYA GARCIA
„SOURCE”
CONCORD

Pierwsza dama nowego brytyjskiego jazzu (Maisha, Nerija) debiutuje jako solistka. Będąc wierną tradycji, Nubya przepięknie łączy jazz z dub reggae, nu-soulem, kolumbijską cumbią i wokalem Akenyi. Album z klasą wart polecenia wielbicielom Kamasiego Washingtona. ☺☺

Jak można się było spodziewać, prezentowany w Polsce Festiwal Weselnych Przebojów w Mrągowie wprawił w euforię nie tylko widzów, lecz także publiczność, która z amfiteatru nad jeziorem Czos wyniosła moc niezapomnianych wrażeń, a czy również zarażenie koronawirusem, to się o tym dopiero przekona. Biorąc pod uwagę to, że ostatnimi czasy wynikiem co bardziej okazałych godów jest ok. 100 zakażonych i 600 skierowań na kwarantannę, pofestiwalowych atrakcji nie powinno zabraknąć.

Generalnie jeśli chodzi o pieśni weselne, to najbardziej podobało mi się we wczesnej młodości „Wesele” krakowskiego zespołu Szwagry, a to ze względu na muzykę do tego utworu poza Polską bardziej znanego jako „She’s a Woman” niejakiego Paula McCartneya, mniej może na spolszczenie tekstu dokonane przez pierwszego męża Anny Dymnej. Szło to jakoś tak:

*Oddałbym całe złoto,
Lecz obudź się, niecnoto.
Biała suknia na wesele,
ksiądz już czeka nas w kościele,
a ty wciąż jesteś śpiąca.*

Grano taki bigbit na weselach, dominowały jednak na nich tradycyjne pienia w rodzaju „Pije Kuba do Jakuba”, 21 lat temu zastąpione przez wyśpiewaną przez Kayah do muzyki Gorana Bregovicia opowieść o tym, jak to przepija „Prawy do lewego”.

W PRL o festiwalach weselnych zapiewajków nikt oczywiście nie marzył, choć festiwale trzymały się mocno, najbardziej – piosenki radzieckiej. A teraz ta sama Kayah, produkująca się na tych ostatnich jako Katarzyna Szczot, a obecnie przez organizatorów mrągowskiego spędu reklamowanego skromnie jako „boska”,



Kayah i Viki Gabor. FOT. VIPPHOTO/EAST-NEWS

Polska zdziecinniała



Krzysztof Masłoń

mogła pokazać nie tylko swoje odrestaurowane wdzięki, lecz także w utworze „Dawaj w długą” zapewnić: „Moja szminka stygnie” i żądać od wirtualnego lubego: „Do cholery, bądźże szczerzy”. W tym samym dziele udowodniła, że jako weteran-

ka walk ze zniechęconym kacyzmem oraz reprezentantka Partii Kobiet i KOD nie traci nieprzyjaciela z oczu: „Powiadali o dwóch takich, co księżyc skradli raz. / Dobrze wiemy, że możemy razem skraść księżyc dwa”.

Boska Kayah nie pozwoliła w ostatnich dniach zapomnieć o sobie także na innym festiwalu z Polsatowym słońcem w herbie. A był to Earth Festival Gwiazdy dla Czystej Polski w Uniejowie, którego ideą – co przypominano – jest „inspirowanie oraz uświadamianie społeczeństwa, jak w prosty sposób można wprowadzić zmiany na lepsze, dla dobra naszej planety i przyszłych pokoleń”. Do realizacji tych wzniosłych celów Kayah nadaje się jak najbardziej, jako że segreguje śmieci i nie jada mięsa. Odśpiewała więc radośną pieśń „Ramię w ramię” do spółki z młodszą od siebie o 40 lat Viki Gabor. Było pysznie!

Nasycony głębokimi treściami, w które obfitował festiwal, informując przy okazji, że nie jest prawdą, jakoby Polska miała w dobie SARS-CoV-2 urządzić trzy oddzielne Konkursy Piosenki Eurowizji dla dzieci, a to dla średniaków, starszaków i działwy z klas I-IV. Będzie jeden, w listopadzie, i to nie w hali, a w telewizyjnym studiu. Może.

To zresztą nie jest zmartwienie Polsatu specjalizującego się w festiwalach, owszem dla osób zdziecinniałych, ale przecież już nie dzieci. Na przykład fanów innej ozdoby imprezy w Uniejowie, Beaty Kozidrak. Kto jej tam nie widział i nie słyszał, ten niech żałuje, bo nawet emocje, które dawał konkurencyjny, transmitowany w tym samym czasie finał Ligi Mistrzów – mecz Bayernu z PSG – nie wytrzymują porównania ze wzruszeniami, od tylu to już lat towarzyszącymi występom wykonawczyni ekologicznego klasyka: „Nie ma wody na pustyni” (bo – jak utrzymują niepoprawni politycznie dowcipnicy – wypili ją Murzyni).

Ocierając łzy, z niecierpliwością czekam na następne festiwale Polsatu. Dobrego nighy za wiele. ©©



FOTO: MICHAEL KUMINTEV / SPUTNIK / KREMLIN / POOL / EPA / PAP

Białoruś będzie mieć swojego Kekkonena?



Łukasz Warzecha

Układ na Białorusi, którego gwarancją stabilizacji był Łukaszenka, został rozchwiany, a potencjał buntu uruchomiony. Co to oznacza dla Polski?

Przebudzenie Białorusinów – tak to już chyba można nazywać – pobudziło polską dyskusję o polityce wschodniej. Pozornie podział przebiega dobrze znaną linią: między zwolennikami wstrzemięźliwości, wskazującymi na korzyści z trwania Łukaszenki przy władzy, oraz entuzjastami, którzy uważają, że powinniśmy Białorusinom kibicować. W istocie jednak problem jest głębszy, a sytuacja nie tak oczywista.

Odłóżmy na bok typowe dla Polaków sentymenty, każące rwać się z pomocą każdemu, kto jest w jakiegokolwiek opre-

sji. To emocja bardzo szkodliwa i zaciemniająca racjonalne myślenie o własnych interesach. Ten interes zaś nietrudno zdefiniować. Jako że terytorium Białorusi odgradza nas od Rosji, która jest dla nas pod wieloma względami zagrożeniem, powinno nam zależeć na Białorusi jak najbardziej autonomicznej i stanowiącej jak najtwardszą barierę przeciwko rosyjskim planom strategicznym. Te zaś zakładają powolne wchłanianie naszego sąsiada. Idealnie byłoby, gdyby była to Białoruś wciągnięta mocno w sferę zachodnich wpływów – ale to pozostaje na razie poza zakresem realnych możliwości, jak się wydaje, nawet w przypadku obalenia Łukaszenki. Pozostawmy zatem przy tym, co jest możliwe.

SCENARIUSZE

Co mamy na stole? Po pierwsze – autentyczny sentyment białoruskiego społeczeństwa. Nawet gdyby przyjąć założenie, że protesty były z początku częściowo inspirowane przez jakieś siły zewnętrzne (to założenie czysto hipotetyczne), to dziś są na tyle rozlane, liczne (w ubiegłym tygodniu ponad

100 tys. osób w Mińsku) oraz powszechne, że trudno uznać, iż ktoś nimi steruje. Ten sentyment oznacza, że nawet gdyby z czasem Łukaszenko udało się opór przełamać, przeczeć kłopoty i zmęczyć demonstrujących, a robotników z wielkich białoruskich fabryk nastraszyć tak, że całkowicie porzucą strajki, to i tak prezydent będzie siedział na beczce prochu.

Po drugie – mamy Łukaszenkę, który walczy o życie, mając zapewne pełną świadomość, że walczy nie tylko we własnym imieniu. Dla Moskwy nie jest czynnikiem niezbędnym. Jest pożyteczny jedynie o tyle, o ile jest w stanie realizować jej interesy. Gdy stanie się nadmiernym obciążeniem lub okaże się nieskuteczny, na przykład nie będąc w stanie kontrolować sytuacji, zostanie natychmiast porzucony.

Po trzecie – jest Rosja, która od lat dąży do ściślejszej integracji z Białorusią. Łukaszenka był tu sojusznikiem momentami kłopotliwym, ale nigdy nie przekroczył granicy. Jego utarczki z Kremlem, na przykład w sprawach energetycznych, były retorycznie ostre, jednak ostatecznie nigdy nie na-

ruszały średniej status quo. W opublikowanej na portalu Klubu Jagiellońskiego analizie „Stawianie na Łukaszenkę to przejaw braku realizmu politycznego” Marek Menkiszak z Ośrodka Studiów Wschodnich opisuje między innymi poziom uzależnienia białoruskiej armii od armii rosyjskiej.

Po czwarte – jest białoruska opozycja, której twarzą stała się Swiatłana Cichanouska, a której przedstawiciele skupili się w Radzie Koordynacyjnej. To grupa ludzi o bardzo różnych poglądach i trudno tutaj mówić o jakimś jasnym, czytelnym, strategicznym programie poza deklaracją chęci rozwiązania kryzysu powyborczego. Z pewnością nie mógłby on zresztą iść wbrew odczuciom Białorusinów, a ci – na razie przynajmniej, odmiennie niż wielu Ukraińców u progu pomarańczowej rewolucji – nie są masowo nastawieni ani antyrosyjsko, ani prozachodnio. „[...] emocje protestujących przeciwko Łukaszence Białorusinów nie są antyrosyjskie, co czyni porównania z rewolucją godności na Ukrainie nieuprawnionymi” – piszą w analizie „Przyjaciół w potrzebie. Rosja wobec protestów na Białorusi” analitycy OSW.

Dalej w tym samym tekście czytamy: „Wsparcia Łukaszence nie udzielili też rosyjski aparat propagandy. Tamtejsze media państwowe z rezerwą relacjonowały wyniki wyborów na Białorusi, informując raczej o »ogłoszeniu Łukaszenki zwycięzcą« niż o jego wygranej. Wymowne milczenie prezydenta Putina w kolejnych dniach po wyborach kontrastowało z tonem narracji w kremlofskich mediach, opiniami rosyjskich polityków oraz bliskich władzy ekspertów i dziennikarzy, którzy otwarcie mówili o prawdopodobnej czy wręcz nieuniknionej porażce Łukaszenki”. To czynnik grający w tej układance dużą rolę.

ROSYJSKIE WNIOSKI PO INWAZJI

Rosja, patrząc strategicznie i wyciągając wnioski ze swojego działania na Ukrainie, gdzie antyrosyjski resentyment wzrósł radykalnie po inwazji na Krym, nie chce powtórzenia tego scenariusza na Białorusi, bo nie sprzyjałby on jej celom. Stąd względnie oszczędna jak dotąd odpowiedź Moskwy na wydarzenia. Jak w rozmowie z „Do Rzeczy” wskazuje Marek Menkiszak, nie ma żadnych dowodów na to, że Rosjanie w jakikolwiek sposób zaangażowali się na Białorusi

militarnie – czy to dla ratowania Łukaszenki, czy jego obalenia (bo wspólne planowe ćwiczenia się odbywają). Rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow wypowiadał się jak dotąd o sytuacji u naszego sąsiada zdecydowanie wstrzymując. Potępiał oczywiście – to stała rosyjska retoryka – rzekome próby zewnętrznej interwencji w wydarzenia na Białorusi, ale mówił zarazem, że to, co się tam dzieje, jest wewnętrzną sprawą tego kraju i nie ma planów udzielania pomocy Łukaszence w ramach Organizacji Traktatu o Bezpieczeństwie Zbiorowym. Tak brzmiała wypowiedź z 19 sierpnia i nic się od tego czasu nie zmieniło.

Interpretacja postępowania Moskwy jest bardzo ważna, bo na tej podstawie możemy starać się wyczytać, jaki rozwój wypadków uważa ona za korzystny dla siebie – a zatem jaki byłby niekorzystny dla nas. Problem w tym, że tu właśnie pojawiają się możliwe wieloznaczne interpretacje. Z jednej strony można bowiem zakładać, że skoro Kreml wydaje się od Łukaszenki dystansować, to znaczy, że nie uznaje jego upadku za katastrofę. Może nawet przeciwnie: w ewentualnym nowym układzie dostrzega dla siebie szansę.

Możliwa jest jednak i inna interpretacja. Jak wskazuje Menkiszak, dla Rosji najkorzystniejszy jest słaby Łukaszenka, niemogący stawiać Kremlowi żadnych warunków. Ale uwaga: Łukaszenka nie może być zbyt słaby, bo gdyby nie kontrolował sytuacji we własnym państwie, stałby się zbędny.

Nie wiemy, czy z powodu wybuchu społecznego niezadowolenia z punktu widzenia Moskwy została już przekroczona granica: Łukaszenka skazany na siłowe zduszenie buntu stał się dla Kremla niewygodny. Mało tego – powstaje ryzyko, że w końcu rezultatem represji i szarż OMON na pokojowych demonstrantów będzie umocnienie się nurtu zwolenników siłowej walki z reżimem; to z kolei oznacza ewentualność kompletnego chaosu i krwawego przewrotu ze skutkami dla Rosji niewiadomymi. To zresztą nie byłoby też w polskim interesie. Owszem, protesty mają na razie charakter niemal wyłącznie pokojowy, ale zdarzały się już sytuacje, w których opowiadający się za twardszą postawą spirali się ze zwolennikami utrzymania pacyfistycznego charakteru demonstracji. Tak było na przykład podczas protestu pod siedzibą ministerstwa zdrowia, gdzie część ludzi

chciała blokować wyjazd ministra, co mogło się skończyć linczem polityka.

SATRAPA TO NIESTABILNOŚĆ

Na początku fali niepokoju można było uznać, że Łukaszenka gwarantuje pewną stabilność sytuacji – faktycznie relatywnie korzystną z polskiego punktu widzenia. Dzisiaj można już chyba stwierdzić, że białoruski satrapa tej stabilności gwarantować nie może. Układ został rozchwiejany, potencjał buntu uruchomiony i nawet jeżeli wybraniem w sfałszowanych wyborach prezydentowi uda się przetrwać kolejne miesiące, to będzie to zwycięstwo pyrrusowe.

Marek Menkiszak uważa, że o skieroowaniu Białorusi jednoznacznie na Zachód marzyć w bliskiej przyszłości nie ma co, ale aby powstrzymać powolne osuwanie się tego kraju w ręce Rosjan, konieczna jest tam poważna zmiana polityczna i gospodarcza, a tej już Łukaszenka nie dokona. W tym sensie – zdaniem analityka OSW – upadek Łukaszenki byłby dla Polski korzystny.

Nie zapominajmy jednak, że swoje chce na tej sytuacji ugrać również Kreml, gdy więc ostatecznie spisie Łukaszenkę na straty – co jeszcze raczej nie nastąpiło, choć może jesteśmy blisko tego momentu – zacznie pracować wydajnie nad tym, aby nowy układ również zapewnił przynajmniej zachowanie stanu poprzedniego, gdy chodzi o realizację rosyjskiego interesu.

Polska na razie działa rozważnie. Premierowi udało się doprowadzić do zdalnego spotkania Rady Europejskiej w sprawie Białorusi – to dobrze, bo Polska ma atuty pozwalające nam przyjąć rolę nieformalnego pilotującego sprawę, wspierającego się autorytetem całej UE. Z ostrożnym optymizmem można też przyjąć zaskakującą zgodę polskich sił politycznych co do wydarzeń za wschodnią granicą. Za sprawą sieci korespondentów telewizji Bielsat mamy na Białorusi coś w rodzaju zorganizowanego białego wywiadu. Musimy być gotowi na miękkie działania, w tym na przyjęcie prawdopodobnej fali politycznych uchodźców.

Realistycznym i zarazem pożądanym rezultatem pełzającego białoruskiego przewrotu mogłaby być – przy wszystkich zastrzeżeniach, bo nie jest to analogia doskonała – swego rodzaju finlandyzacja Białorusi. Tylko czy Cichanouska lub ktokolwiek w opozycji ma zadatki na białoruskiego Kekkonena?

Sekskomunizm czy ideologia LGBT?



Jakub Zgierski

Ideologia LGBT – jedni znajdują w tym sformułowaniu trafną nazwę dla zjawiska, które obserwują na ulicach miast, drudzy oburzają się, apelując o niedehumanizowanie homoseksualistów. Jakże rzeczywiście są korzenie ideologiczne ruchu LGBT?

Tytułem wstępu oczywiście w tym miejscu jasno komunikuję: lesbijski, homoseksualiści, biseksualiści, transseksualiści etc. są ludźmi i nikt poważny nie odbiera im człowieczeństwa. Nie można jednak abstrahować od faktów, a one wskazują wprost na to, że poza jednostkami mamy również do czynienia z formacją polityczno-ideologiczną. Zasadniczo ruch wyzwolenia homoseksualistów pojawił się w latach 60. XX w. i jest najmocniej kojarzony ze słynnymi zamieszkami w 1969 r. w gejowskim klubie Stonewall w Nowym Jorku. Miesiąc po feralnej interwencji policji powstał

Gay Liberation Front, a niedługo później wyłoniło się wiele bliźniaczych organizacji walczących o prawa różnych mniejszości seksualnych. Tyle, jeżeli chodzi o podręcznikowy opis sytuacji. Teraz przejdźmy do konkretów.

NICZYM NOWY PROLETARIAT

Na pierwszy rzut oka można uznać, że ruch wyzwolenia homoseksualistów (i innych) narodził się dosyć spontanicznie, na fali protestów przeciwko brutalności służb porządkowych. Powiem więcej – trzeba zgodzić się z głosami podnoszącymi problem dyskryminacji i nietolerancji

(tej prawdziwej), który panował nie tylko w USA, lecz także w wielu europejskich krajach. W skrótowym ujęciu stanowił on pokłosie protestanckiej, a właściwie purytańskiej mentalności, która głęboko wsiąkała w wiele społeczeństw Zachodu. Najprostsze porównanie – i z naszego punktu widzenia dosyć chwalebne – pokazuje, że choćby w Polsce nigdy nie istniało jakieś systemowe zwalczanie homoseksualistów. Nie licząc zaborów, nie mieliśmy żadnego ustawodawstwa karzącego za stosunki seksualne między mężczyznami. Kochający inaczej – że tak to ujmę – cieszyli się względną swobodą, chociaż na aprobatę liczyć nie mogli. I w sumie nic dziwnego.

Jeżeli już ustaliliśmy, że mniejszości seksualne miały rzeczywiste powody do niezadowolenia, to możemy przejść do najważniejszego. W jaki sposób realne nastroje społeczne zostały wprzęgnięte do gry polityczno-ideologicznej? Innymi słowy: Jacy ludzie wykorzystali homoseksualistów niczym nowy proletariat? W tym pytaniu niejako sam udzieliłem

już odpowiedzi, posługując się znamienym określeniem. Tak, mówimy o proletariacie. A jeżeli o proletariacie, to siłą rzeczy także o marksistach. Teraz ktoś mógłby zapytać, co ma wspólnego Karol Marks z gejostwem. A ja zapytam inaczej: Co ma wspólnego Karol Marks z robotnikami? Właśnie o to wszystko się rozbija. Należy odróżnić ideologów czy aktywistów (a zwłaszcza sponsorów), którzy samodzielnie ogłaszają się trybunami ludowymi wspólnej sprawy, od warstwy wyzwalanej. Wyzwalanej, jak to często wyglądało, niezależnie od jej woli.

Jak podaje prof. James H. Billington w swojej monumentalnej pracy „Płonące umysły. Źródła rewolucyjnej wiary”: „Najgłębszym i najbardziej fundamentalnym konfliktem w środowisku rewolucjonistów społecznych był powracający spór między intelektualistami, którzy chcieli przemawiać w imieniu ludzi pracy, a robotnikami, którzy starali się przemawiać językiem intelektualistów. Marks, intelektualista w pełnym tego słowa znaczeniu, prowadził dwa najwcześniejsze i najbardziej zawzięte spory z dwoma fizycznie pracującymi działaczami, którzy najsukuteczniej wyrażali rewolucyjną sprawę klasy robotniczej lat 40. XIX w.: Wilhelmem Weitlingiem i Pierre-Josephem Proudhonem”.

Badacz, charakteryzując Marksa, uznał go za myśliciela, „który jest przekonany, że rozumie interesy ogólnie pojętej klasy robotniczej, obojętny wobec opinii pojedynczych robotników, a zarazem gardzący krótkowzrocznymi przywódcami pokroju Weitlinga, którzy porywają za sobą masy, nie mając żadnych dobrze przemyślanych powodów swojej działalności». Dlaczego przytaczam te cytaty? Otóż chciałbym unaocznić, że wbrew pozorom marksizm nie był ruchem robotniczym stworzonym przez robotników, ale ideologią skonstruowaną rękoma zawodowych rewolucjonistów, niemających zbyt wiele wspólnego z grupą, na której czele stają. Ze środowiskiem LGBT jest bardzo podobnie. Wystarczy spojrzeć z jednej strony na uniwersalny schemat wyzwolenia, który opracował ojciec komunizmu, a z drugiej strony – uzupełnioną historię narodzin instytucjonalnego ruchu homoseksualistów.

MARKSIZM ŻYJE

Aby marksizm był marksizmem, muszą zostać spełnione cztery podstawowe warunki. Rzecz jasna pozostałe cechy także

są istotne, ale to bez tych kardynalnych zasad cała ideologia traci swój wyjątkowy charakter. Po pierwsze, określamy system, którego funkcjonowanie u podstaw prowadzi do nierówności, a przez to represji: kapitalizm, patriarchat, heteromatriks, postkolonializm. Po drugie, identyfikujemy grupę uprzywilejowaną, która korzysta ze swojej lepszej pozycji, świetnie odnajdując się w tym układzie: kapitaliści, mężczyźni, heteroseksualiści, biali ludzie. Po trzecie, wskazujemy warstwę uciskaną, która cierpi z powodu swojego położenia i jest skazana na opresję: robotnicy, kobiety, homoseksualiści, imigranci. Po czwarte w końcu, odgórnie uznajemy, że konflikt, który występuje między zbiorowym katem a zbiorową ofiarą, ma charakter strukturalny, a przez to nierozwiązywalny z powodu „genetycznej” wadliwości tego systemu: wyzysk, seksizm, homofobia, rasizm.

Nie bez przyczyny podałem kilka przykładów zastosowania tej strategii. Jak się okazuje, marksizm klasyczny nie zginął po upadku Związku Sowieckiego, tylko przetrwał i ma się dobrze jak nigdy wcześniej. Na początku XX w. ideologia Karola Marksa podzieliła się na trzy główne odłamy: reformistyczną socjaldemokrację, rewolucyjny komunizm sowiecki oraz neomarksizm, który osiadł w zachodnich placówkach uniwersyteckich. Ostatni z nurtów kojarzymy przede wszystkim ze szkołą frankfurcką oraz szkołą z Birmingham. Zaczniemy od Frankfurtu nad Menem, czyli w porządku chronologicznym. Instytut Badań Społecznych powstał w latach 20. XX w., ale dopiero dekadę później krąg intelektualistów zgromadzonych wokół Maxa Horkheimera zdołał dokonać swoistej rewizji marksizmu, nie odrzucając przy tym jego pryncypiów. Jak się to odbyło?

Frankfurtczycy, wśród których było kilku lewicowych freudystów, zdołali wykorzystać psychoanalityczny aparat pojęciowy służący do krytyki konserwatywnej mentalności mieszczańskiej. Innymi słowy, wyrazili marksizm w języku Freuda. Jak wyjaśnia Dariusz Rozwadowski w swojej książce „Marksizm kulturowy. 50 lat walki z cywilizacją Zachodu”:

„Jednym z psychoanalityków, który postulował połączenie psychoanalizy z marksizmem, był Wilhelm Reich. Twierdził, że system kapitalistyczny i jego kultura tłumiły naturalny instynkt seksualny, żeby z człowieka zrobić bezwolną maszynę roboczą. Rewolucja seksualna zdaniem Reicha była niemożliwa w warunkach

kapitalistycznych, dlatego powinna być poprzedzić ją rewolucja społeczna, w wyniku której musiała zostać zniszczona tradycyjna rodzina, religia chrześcijańska, moralność i wychowanie. [...] Erich Fromm doszedł do wniosku, że Wilhelm Reich w swoich założeniach popełnił błąd, bo to rewolucja seksualna powinna być poprzedzać rewolucję społeczną, a nie odwrotnie. Fromm był przekonany, że rewolucja seksualna zniszczy podstawy edukacji i wychowania, czyli głównych mechanizmów reprodukcji kultury, a w konsekwencji – doprowadzi do upadku systemu kapitalistycznego”.

Badacze ze szkoły z Birmingham, czyli z Ośrodka Współczesnych Badań nad Kulturą, który został założony w 1964 r., niejako kontynuowali dziedzictwo towarzyszy z Niemiec. Zajęli się głównie odświeżeniem pism włoskiego komunisty Antonia Gramsciego, który w I połowie XX w. stworzył podstawy swego rodzaju „wojny pozycyjnej”. W 1967 r. przywódca niemieckich komunistów Rudi Dutschke określił omawianą strategię mianem „długiego marszu przez instytucje”. Miał wtedy na myśli powolne, ale systematyczne wnikanie marksistowskich aktywistów do najważniejszych instytucji życia społecznego: mediów, placówek kulturalnych, ale przede wszystkim uniwersytetów i szkół. Proces rozpoczął się w latach 70. XX w., gdy rewolta studencka kojarzona z symbolicznym 1968 r. zakończyła się niepowodzeniem.

Ruch homoseksualny nie przypadkiem wystartował właśnie w tym okresie. Narodził się w łonie Nowej Lewicy, czyli formacji ideologicznej, która czerpała z dorobku Frankfurtu. Tworzyli ją marksiści „na lewo od tradycyjnych partii komunistycznych” (za Marcusem), czyli rewolucjonisci uważający stalinizm w najlepszym wypadku za reakcję, a w najgorszym – za czerwony faszyzm. Nie dziwi więc, że David Thorstad, założyciel słynnej organizacji Gay Activists Alliance, przez wiele lat był politycznie zaangażowanym trockistą działającym w Socialist Workers Party. Inny przykład to nestor ruchu LGBT Harry Hay, który przed wojną był członkiem Komunistycznej Partii USA. Powodem odejścia okazało się „homofobiczne” nastawienie ówczesnych komunistów uznających homoseksualizm za efekt zdegenerowanego świata burżuazji. Cóż, jak mawiają – zmienia się mądrość etapu...

Apologia katolickiego kapłaństwa



ks. Przemysław Artemiuk

Istotą kapłaństwa jest sprawowanie kultu. To on jednoznacznie definiuje posługę kapłanów. Wystarczy sięgnąć do wczesnej tradycji Kościoła, aby odnaleźć potwierdzenie tej tezy. Tak też czyni Benedykt XVI w „Z głębi naszych serc”

Wraz z Synodem Biskupów dla Amazonii, odbywającym się w Rzymie jesienią 2019 r., na nowo powróciły pytania o kształt katolickiego kapłaństwa, celibat duchownych, święcenie viri probati czy diakonat kobiet. Ostatecznie w „Querida Amazonia”, posynodalnej adhortacji papieża Franciszka, nie zostały zapisane reformatorskie postulaty, niemniej jednak publiczna debata, odbywająca się w tym czasie, dała impuls do wzmocnionych dyskusji, a także pobudziła teologów i historyków Kościoła do systematycznej

refleksji. Z radością należy przywitać głos Benedykta XVI, który przekazując kard. Robertowi Sarahowi krótki tekst, w sposób jednoznaczny i wyraźny wypowiedział się na temat istoty kapłaństwa katolickiego. Głosa ta jest o tyle ważna, że papież emeryt stawia sprawę jasno: „U podłoża poważnej sytuacji, w jakiej znajduje się dzisiaj kapłaństwo, tkwi błąd metodologiczny: odejście od przyjmowania Pisma Świętego jako Słowa Bożego”. Benedykt XVI, badając genezę kapłańskiego urzędu, sugeruje, aby sięgnąć do tekstów biblijnych i zastosować wobec nich hermeneutykę ciągłości, to

znaczy odczytać wybrane fragmenty Nowego Testamentu w łączności ze starotestamentową ideą kultu. Kanoniczna metoda interpretacji, którą Benedykt XVI zaproponował w „Jezusie z Nazaretu”, okazuje się także tutaj najwłaściwsza. Wydaje się, że nie ma innej drogi do zrozumienia tej kwestii. Spojrzenie na kapłaństwo w szerokiej perspektywie biblijnej, uwzględniające wczesną tradycję Kościoła, okazuje się najlepszym sposobem. Zanim zaczniemy więc cokolwiek reformować w tej kwestii, sugeruje Benedykt XVI, najpierw podejmiemy pogłębioną analizę i zobaczymy, co mówi Duch do Kościoła.

Tekst papieża seniora składa się z dwóch wyraźnych części. Pierwsza przedstawia kształtowanie się nowotestamentowej teologii kapłaństwa, w drugiej Benedykt XVI sięga do trzech reprezentatywnych fragmentów, Ps 16, 5–6; Pwt 10, 8 i 18, 5–8; J 17, 17, które rzucają światło na istotę urzędu kapłańskiego. Odnoszę wrażenie, że w całej publikacji, zatytułowanej „Z głębi naszych serc”, zawierającej



Papież emeryt Benedykt XVI w otoczeniu kardynałów, Watykan, 2014 r.

FOT. FRANCO ORIGLIA/GETTY IMAGES

obok wypowiedzi papieża jeszcze tekst autorstwa kard. R. Saraha, wykład Benedykta XVI jest kluczowy, słowa prefekta rzymskiej dykasterii stanowią zaś cenny komentarz do niego.

JEZUS I KULT

Papież emeryt zaczyna od niezmiernie ważnej uwagi. Stwierdza: „Rezygnacja z chrystologicznej interpretacji Starego Testamentu doprowadziła wielu współczesnych egzegetów do teologii, w której umniejsza się znaczenie kultu. Nie rozumieli oni, że Jezus bynajmniej nie usunął należnego Bogu kultu i oddawania czci, ale je przyjął i wypełnił w akcie swojej ofiary. Niektórzy posunęli się do odrzucenia konieczności autentycznego kultowego kapłaństwa w Nowym Przymierzu”. To prawda, że wspólnota uczniów Jezusa, ustanowiona przez Niego i określona mianem „Dwunastu” (greckie: dodeka) była grupą ludzi świeckich. Widać to wyraźnie w okresie przedpaschalnym. Na co dzień nie mieli oni do czynienia ze

starotestamentowym kapłaństwem. W Galilei spotykali się głównie z faryzeuszami, którzy pełnili rolę nauczycieli. Sytuacja zmieniła się, kiedy przybyli do Jerozolimy. Tutaj dopiero doświadczyli siły arystokracji świątynnej. Tworzyli ją saduceusze. Kontrolując przestrzeń religijną, zwrócili uwagę na oryginalny ruch Jezusa i doprowadzili do procesu. A zatem to właśnie oni, saduceusze, byli odpowiedzialni za śmierć Chrystusa.

Sprawa Nazarejczyka, stwierdza Benedykt XVI, każe nam zwrócić szczególną uwagę na specyfikę żydowskiego kapłaństwa. Było ono związane ze Świątynią Jerozolimską, ponieważ tylko tam odbywał się kult. Kapłanem nie można było zostać samodzielnie. Ten przywilej dziedziczyło się. „Ktoś, kto nie wywodził się z rodu kapłańskiego, nie mógł zostać kapłanem”. Posługi charakterystyczne dla wspólnoty zgromadzonej wokół Jezusa z kolei „nie mieściły się w ramach kapłaństwa starotestamentowego”. Niemniej jednak, stwierdza papież senior, „świecki charakter pierwszego ruchu Jezusa oraz niekultowy i niekapłański charakter pierwszych posług nie wynikają z jakiegoś wyboru antykultowego i antyjudaistycznego”. Raczej stanowią one „konsekwencję szczególnej sytuacji kapłaństwa Starego Testamentu”. Przypomnijmy, że było ono zastrzeżone wyłącznie dla pokolenia Aarona-Lewiego. Ani faryzeusze, ani esenicy, ugrupowania żydowskie znane nam z czasów Jezusa, również nie dziedziczyły funkcji kapłańskich, chociaż odnosili się z szacunkiem do samego kultu. Także w ruchu Jezusa, stwierdza Benedykt XVI, nie pojawiły się postulaty „desakralizacji”, „delegalizacji” czy też odrzucenia kapłaństwa i hierarchii.

Kluczem do rozumienia idei kapłaństwa pozostaje relacja Jezusa do świątyni i kultu w ogóle. Jako 12-letni chłopiec pielgrzymuje on wraz z najbliższymi do Jerozolimy. Fakt ten świadczy o jego wierności prawu religijnemu. Jezus chce być w sprawach Ojca, ponieważ wie, że miejsce, w którym przebywa, pozostaje szczególnym znakiem Bożej obecności. W toku publicznej działalności Świątynia Jerozolimska staje się punktem odniesienia dla działalności Nazarejczyka. Po Jego śmierci i zmartwychwstaniu także wspólnota uczniów regularnie tam przebywa, nauczając i modląc się.

Wyrażną cezurą, punktem zwrotnym w kwestii kultu, pozostaje dokonane przez Jezusa oczyszczenie świątyni. Nie chodzi tutaj jedynie, podkreśla Benedykt XVI, o kwestię nadużyć. Scena ta, zapisana

u św. Marka (Mk 11, 15–18) i św. Jana (J 2, 13–22), mówi zdecydowanie więcej. Posługując się tym znakiem, „Jezus chciał wprowadzić dogłębnie nowy akcent”. Jaki? Pierwsi chrześcijanie, podkreślając autentyczność tego wydarzenia, w słowach Jezusa rozpoznawali Jego autentyczny głos. On sam interpretuje je „jako ukształtowanie i zorganizowanie nowego i ostatecznego kultu”. Oczyszczenie świątyni – prorocki znak Jezusa, zdaniem Benedykta XVI – „stanowi zapowiedź nowej formy oddawania czci Bogu, a w konsekwencji odnosi się do natury kultu i kapłaństwa”.

Oczywiście wspomniany znak, chociaż niezwykle ważny, nie jest jednak decydujący dla Jezusowej idei kultu. To Ostatnia Wieczerza okazuje się najbardziej reprezentatywna „dla zrozumienia, czego Jezus chciał, a co odrzucił w związku z kultem”. W tym wydarzeniu Mistrz z Nazaretu wychodzi wyraźnie poza tradycję żydowską, przekracza ją. Przedstawia siebie jako nowego Mojżesza, a wypełniając Jeremiaszowe proroctwo, podkreśla nadzieje Nowego Przymierza. Sam staje się ofiarnikiem i ofiarą, „Tym, który daje siebie [...] w swoim cieple i w swojej krwi, [...] uprzedzając Krzyż i zmartwychwstanie”. Zdaniem Benedykta XVI, „ukrzyżowanie samo w sobie nie jest aktem kultu”, to w rzeczywistości egzekucja całkowicie pozbawiona znamion kultyczności. Kluczem pozostaje Ostatnia Wieczerza, która uprzedza śmierć i zmartwychwstanie Jezusa. To w tym wydarzeniu dokonuje się przemiana. Akt ludzkiego okrucieństwa zostaje zastąpiony przez akt miłości i ofiary z siebie. Zdaniem papieża, tutaj należy widzieć źródło odnowy kultu, który już na zawsze będzie ważny i obowiązuje.

NOWE SPOJRZENIE

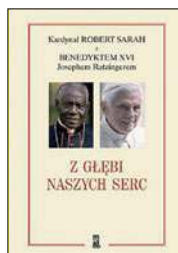
Cały czas jesteśmy jeszcze na drodze do wyjaśnienia kwestii kapłaństwa. Widać już jednak wyraźnie, że tradycja, znana z kart Starego Testamentu, ulega zmianie, „następuje wyjście poza dawny porządek Aarona i Jezus sam jawi się jako arcykapłan”. Benedykt XVI stwierdza wprost, że „w Jezusie tradycja kultowa sięgająca Mojżesza i krytyka kultu przez proroków stapiają się ze sobą. Miłość i ofiara stają się jedno”.

Wróćmy jeszcze na chwilę do historii Świątyni Jerozolimskiej. Jej zburzenie w roku 70 jest niezwykle istotne nie tylko dla egzystencji Żydów, lecz także ze względu na kult, który wraz z jej upadkiem się kończy. Benedykt stwierdza, że to wy-

darzenie „zostaje przychylnie przyjęte przez Boga”. Skoro nie ma murów świątyni, to zmienia się także przestrzeń oddawania czci Bogu. Nie jest nią już miejsce, ale Osoba. Od tej chwili staje się jasne, że to Jezus Zmartwychwstały będzie przestrzenią kultu dla człowieka. Upadek świątyni oznacza zatem, „że teraz już nic nie staje między, z jednej strony, językową i egzystencjalną przestrzenią prawodawstwa Mojżeszowego, a z drugiej – przestrzenią ruchu skupionego wokół Jezusa. Posługi chrześcijańskie i funkcje unormowane przez prawo Mojżeszowe odąd stoją obok siebie. Teraz można je identyfikować jedne w odniesieniu do drugich w nowym świetle”.

Pod koniec I w., co potwierdza chociażby w swoim w „Liście do Kościoła w Koryncie” Klemens Rzymski, krystalizuje się chrystologiczna interpretacja Starego Testamentu. Biblia Żydów staje się księgą chrześcijan, ale tylko dlatego, że w niej rozpoznają zapowiedzi dotyczące Chrystusa. Ten rodzaj interpretacji zostaje określony mianem „alegorycznej”, jednak sama alegoria, podkreśla Benedykt XVI, „nie jest tutaj środkiem literackim, mającym sprawić, że tekst będzie można wykorzystać do nowych celów. Jest [ona] wyrazem historycznego przejścia, które odpowiada wewnętrznej logice tekstu”.

W tej perspektywie należy sytuować także pasję Jezusa. Wprawdzie Krzyż nie ma charakteru kultowego, jednak to właśnie w tym wydarzeniu najpełniej uwidacznia się Jezusowy radykalizm miłości, „pojednanie między Bogiem a światem naznaczonym grzechem”. Dwie linie, zstępująca (katabatyczna) i wstępująca (anabatyczna), na Krzyżu łączą się w jeden akt, który ma fundamentalne znaczenie dla istoty przyszłego kultu. „Przez Krzyż, stwierdza Benedykt XVI, ciało Chrystusa staje się nową świątynią w chwili zmartwychwstania. W celebracji Eucharystii Kościół, a nawet ludzkość są nieustannie przyciągane i włączane w ten proces. W Krzyżu Chrystusa krytyka kultu proroków ostatecznie osiąga cel. Jednocześnie jednak zostaje ustanowiony nowy kult. Miłość Chrystusa, który jest zawsze obecny w Eucharystii, jest nowym aktem czci. W konsekwencji kapłańskie funkcje Izraela zostają »unieważnione« w służbie miłości, która zawsze oznacza równoczesne oddawanie czci Bogu”. Benedykt XVI



KARD. ROBERT SARAH
Z BENEDYKTEM XVI
„Z GŁĘBI NASZYCH SERC”
WYDAWNICTWO
SIÓSTR LORETANEK
2020

zauważył, że w chrześcijaństwie nastąpiło przezwyciężenie starotestamentowej „literary”.

Niestety, w dobie II Soboru Watykańskiego problemem okazało się przeciwstawienie posługi ministerialnej kapłaństwu. Oprócz tego „alegoria” jako „duchowe przejście od Starego do Nowego Testamentu” przestała być zrozumiała. Soborowy dekret poświęcony posłudze i życiu przezbiterów nie zajmuje się tym zagadnieniem. A szkoda, ponieważ ta istotna kwestia w czasach posoborowych „przekształ-

ciła się w kryzys kapłaństwa, który trwa w Kościele po dzień dzisiejszy”. Wie o tym doskonale Benedykt XVI, który szczerze przyznaje, że w tamtych czasach sam postrzegał kapłana jako głosiciela Słowa Bożego, a nie „fachowca od kultu”. Dopiero z czasem zrozumiał, jak bardzo mylące było takie spojrzenie. „Prawdą jest, że rozważanie słowa Bożego jest ważnym i podstawowym obowiązkiem kapłana Boga w Nowym Testamencie. Jednak to Słowo stało się ciałem. Rozważanie go zawsze oznacza również karmienie się Ciałem, które jest [...] dane w Przenajświętszej Eucharystii jak chleb z nieba”. Nie można więc definiować posługi przezbiterów, odwołując się tylko do przepowiadania. Istotą kapłaństwa jest sprawowanie kultu. To on jednoznacznie definiuje ich posługę. Wystarczy sięgnąć do wczesnej tradycji Kościoła, aby odnaleźć potwierdzenie tej tezy. Tak też czyni Benedykt XVI. Najpierw zwraca uwagę na ustanowieniu Siedmiu, których później utożsamiona z diakonami (Dz 6, 1–7). Jest to pierwszy akt sukcesyjny Kościoła, w którym tak wyraźnie widać, że „nowe funkcje nie przechodziły z pokolenia na pokolenie [jak w Izraelu], lecz opierały się na wybraniu przez Boga i na Bożym powołaniu”.

PRYMAT EUCHARYSTII

Druga kwestia to regularne, codzienne sprawowanie Eucharystii. Stało się ono dla Kościoła sprawą najważniejszą. Wydaje się, że dzisiaj nie do końca rozumiemy tę sakramentalną rzeczywistość, a przecież łączy się ona ściśle z celibatem duchownych i jest w pełni zrozumiała dopiero wtedy, gdy odkryjemy analogię ze starotestamentowym kultem. Kapłańska wstrzemięźliwość w Izraelu była w powszechnej świadomości niezwykle

istotna, kapłani musieli jej rygorystycznie przestrzegać w określonych okresach. Oczywiście można było pogodzić małżeństwo i kapłaństwo, ponieważ kult nie odbywał się codziennie, a jedynie w pewnych okresach. Sytuacja diametralnie się zmienia wśród kapłanów Kościoła. Skoro całe ich życie zostaje złączone z tajemnicą Boga, to wymaga to od nich całkowitego oddania, „wyłączności w odniesieniu do Boga”. Konsekwencją jest brak innych więzi, które byłyby totalne, całościowe. Liczą się tylko Bóg i jego miłość, która ma być całkowita. Benedykt XVI podkreśla, że z regularnego sprawowania Eucharystii zrodził się „stały stan służenia Bogu”, który samorzutnie spowodował „niemożność podjęcia więzi małżeńskiej” przez duchownych. Można nawet powiedzieć, że „wstrzemięźliwość seksualna, która wiązała się ze sprawowaną funkcją, samoistnie przeobraziła się we wstrzemięźliwość ontologiczną. Tym samym jej motywacja i jej znaczenie przemieniły się

Nie można definiować posługi przezbiterów, odwołując się tylko do przepowiadania. Istotą kapłaństwa jest sprawowanie kultu

od wewnątrz i do głębi”. Proces ten nie ma nic wspólnego z manicheizmem, nie oznacza też w żaden sposób deprecjonowania ciała i seksualności. Chodzi tutaj o coś całkowicie innego. Już w Kościele starożytnym „zdolność do rezygnacji z małżeństwa” staje się „jednym z kryteriów posługi kapłańskiej”. Dotyczyło to także żonatych mężczyzn, którzy „mogli przyjąć sakrament święceń tylko pod warunkiem, że zobowiązali się do respektowania wstrzemięźliwości seksualnej, a zatem do przeżywania tzw. małżeństwa św. Józefa”.

Tak więc „prawdziwym fundamentem życia kapłana, stwierdza Benedykt XVI, solą jego egzystencji, ziemią jego życia jest sam Bóg”. Tylko na tej podstawie „można zrozumieć i ostatecznie przeżyć” celibat. Zdaniem papieża Franciszka stanowi on niezbywalny dar dla Kościoła i nie może być rozumiany opcjonalnie.

© All rights reserved

Autor jest teologiem fundamentalnym, doktorem habilitowanym, profesorem UKSW, przewodniczącym Stowarzyszenia Teologów Fundamentalnych w Polsce.

ŚWIT WOLNOŚCI

40. rocznica powstania Solidarności



Partner dodatku:



Joanna i Andrzej Gwiazdowie
z dumnym monументem
trzech krzyży w tle

FOT. DZIĘKI UPRZEJMOŚCI WYDAWNICTWA FRONDA



Narodziny Solidarności

Oczy całej Polski były zwrócone na Wybrzeże. Joanna Gwiazda wspomina przebieg sierpniowego strajku w Stoczni Gdańskiej

Sytuacja na miejscu była napięta. Wielki strajk wisiał w powietrzu. Bezpośrednim bodźcem okazało się wyrzucenie z pracy Anny Walentynowicz. W czwartek 14 sierpnia rano mieliśmy już wszystko przygotowane. Ulotki, apele, instrukcje, „jak strajkować”. Tego dnia stocznia stanęła, a w ślad za nią inne zakłady Wybrzeża. Między innymi Stocznia im. Komuny Paryskiej w Gdyni.

16 sierpnia dyrekcja zaakceptowała część postulatów robotników. Między innymi zgodziła się na podwyżkę płac o 1,5 tys. zł. W efekcie Lech Wałęsa poddał strajk! Wraz z Andrzejem i działaczką opozycyjną Marylą Płońską nie zostaliśmy wpuszczeni do sali BHP, gdzie trwały negocjacje komitetu strajkowego z dyrekcją stoczni.

Słyszeliśmy za to wszystko przez megafony.

To była decyzja Wałęsy, że nie zostaliśmy wpuszczeni. Wraz z nim działał Bogdan Borusewicz. Po tym, gdy poddał strajk, Wałęsa zaczął śpiewać hymn. Nikt mu jednak nie zawtórował. Ludzie czuli, że stało się coś niedobrego. My też tak uważaliśmy.

Czym prędzej pobiegliśmy do pobliskiego Elmoru, czyli Zakładów Okrętowych Urządzeń Elektrycznych i Automatyki. Cel: zorganizować tam nowe centrum dowodzenia. Chodziło o to, żeby inne zakłady, które podjęły strajk, nie zaprzestały go tak jak stocznia. Musieliśmy ratować sytuację.

W Elmorze odzyskaliśmy wiarę w ludzi. Załoga tego zakładu zachowała się

bohatersko. Wszyscy jak jeden mąż stali na placu. Strajk trwał. Kiedy przyszedł Andrzej, wszyscy chcieli się dowiedzieć, co robić dalej.

– Słuchajcie! – krzyknął Andrzej.

– Stocznia zdradziła. Musimy powołać międzyzakładowy komitet strajkowy. Jedziemy namawiać pozostałych strajkujących do przyłączenia się do nas, ale wcześniej musimy znać odpowiedź na pytanie...

Andrzej zawiesił głos, na placu zapadła cisza jak makiem zasiał.

– ... czy Elmor nas nie zdradzi? – dokończył. – Musicie świadomie podjąć decyzję, bo gra toczy się o wielką stawkę. Mogą spaść na was ciężkie represje. Może dojść do tego, że Elmor zostanie rozwiązany. Możecie znaleźć się na bruku, bez pracy i bez perspektyw. Taka może być zemsta komunistów. Kto jest z nami, niech podniesie rękę.

Natychmiast nad tłumem wzniosł się las rąk. Nie podniosły ich chyba tylko ze dwie osoby.

Z Elmoru wzięliśmy starą zakładową nysę. Benzyny w baku było na styk, ale jakoś udało nam się wszędzie dotrzeć. Objechaliśmy wszystkie duże zakłady i wszędzie wzywaliśmy robotników, aby kontynuowali strajk. Nie kapitulowali. Kiedy wracaliśmy do Elmoru, zauważyliśmy na murze stoczni młodego robotnika z białą-czerwoną flagą. Powiedział, że strajk się utrzymał, zostało niewielu ludzi, więc wszyscy siedzą na murach, żeby miasto wiedziało, iż zakład się nie poddał.

Anna Walentynowicz, Alina Pienkowska i Ewa Osowska powstrzymały robotników przed wyjściem z zakładu. Wałęsa musiał zgodzić się na wznowienie strajku. Centrum znowu przeniosło się do stoczni. Tam powołaliśmy Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Liczba strajkujących zakładów szybko rosła i należało to wszystko skoordynować.

Oboje z Andrzejem weszliśmy w skład prezydium komitetu. W nocy z 16 na 17 sierpnia opracowaliśmy słynne 21 postulatów, które zostały postawione władzom. Chodziło o legalizację niezależnych związków zawodowych, zniesienie cenzury, ukrócenie partyjnego nepotyzmu i zwolnienie więźniów politycznych. A także o poprawę bytu robotników. Podwyżkę płac, poprawę zaopatrzenia w żywność, dostępność mieszkań i przedszkoli.

Od tamtej pory, kiedy strajk rozpoczął się na dobre, dzień zlewał się z nocą. Właściwie prawie w ogóle nie spaliśmy. Tyle było do zrobienia!

Ania Walentynowicz prawie całą noc musiała przekonywać ks. Henryka Jan-kowskiego, aby w niedzielę 17 sierpnia odprawił mszę świętą w Stoczni Gdańskiej. Z kolei ks. Hilarego Jastaka nie trzeba było namawiać do odprawienia mszy w stoczni gdyńskiej. Wziął taksówkę, a kiedy milicja ją zatrzymała, ks. Jastak wysiadł z samochodu i z hostią w rękach ruszył do stoczni. ZOMO-wcy na ten widok uklekli.

Przez dwa tygodnie spaliśmy na złożonych krzesłach, na stołach lub na podłodze. Gdzie popadnie. Za szczęściarza uważał się ten, kto dorwał wycieraczkę. Z jedzeniem też był kłopot, bo przecież nie jest łatwo wykarmić 16 tys. strajkujących ludzi. Od pierwszych dni z pomocą pośpieszyli nam mieszkańcy Trójmiasta. Podawali przez bramę lub płot jedzenie. Potem dołączyli okoliczni rolnicy, którzy przywozili do stoczni większe ilości żywności.

Milicji to się oczywiście nie podobało i wprowadziła blokadę. Chciano wziąć nas głodem. Wtedy Andrzej wpadł na pomysł, żeby powiedzieć dziennikarzom – było wśród nich wielu zagranicznych korespondentów – że niektóre wydziały postanowiły rozpocząć głodówkę. Bez żadnego przygotowania. Ostrzegł reporterów, że to może się fatalnie skończyć. Następnego dnia milicja dopuściła żywność do stoczni.

Mieliśmy dużą salę BHP, w której zawsze toczyły się obrady Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Na ogół obradowaliśmy do późnej nocy. Strajk to

nie był dla nas rodzaj urlopu – jak to niektórzy sobie wyobrażają – to była ciężka, wyczerpująca praca. Padałam z nóg.

Władze nie chciały uznać MKS. 19 sierpnia wysłaliśmy do premiera Edwarda Babiucha pismo wzywające rząd do rokowań. Nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi. Kontrastowało to wyraźnie z nastrojami społeczeństwa. Przed stoczną zbierały się olbrzymie tłumy, oczy całej Polski – i nie tylko – były zwrócone na Wybrzeże.

Komuniści starali się nas ograć. Przyśleli do Gdańska komisję – na jej czele stał wicepremier Tadeusz Pyka – która starała się dogadać za plecami komitetu z załogami niektórych strajkujących zakładów. To było poważne zagrożenie. Komuniści za wycofanie się ze strajku oferowali bowiem znaczne podwyżki płac. Czuliśmy, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Dwa duże zakłady – Stocznia Remontowa i Stocznia Północna – podjęły negocjacje z Pyką i jego ludźmi.

W takich sytuacjach wpada się na najlepsze pomysły. Andrzej z Anią Walentynowicz w przypływie desperacji wzięli wózek akumulatorowy i przez most pojechali na wyspę Holm do Stoczni Remontowej. Tam spod bramy – przez blaszaną tubę – nawoływali robotników do zerwania rokowań z komunistami.

Na początku załoga nie chciała słuchać tego, co Ania i Andrzej mieli im do powiedzenia. Zdecydowała się



ANNA HERBICH
„DZIEWCZYNY
Z SOLIDARNOŚCI”
ZNAK

już bowiem pójść na ugodę – wziąć pieniądze i wrócić do pracy. Wtedy Ania zaczęła mówić im o solidarności. Solidarności robotników. Solidarności Polaków. To zrobiło na nich wrażenie. Zadziało. Strajk nie został przerwany, komisja Pyki z podkulonym ogonem wróciła do Warszawy. A od tego dnia słowo „solidarność” stało się hasłem naszego strajku. Tak, Ania była wspaniałą, dzielną kobietą.

Jej akcja otworzyła drogę do rokowań między MKS a Komisją Rządową. Komuniści nie mieli już wyboru, musieli usiąść z nami do stołu rozmów. Strajk zakończył się po dwóch tygodniach, nasze postulaty zostały przyjęte. 31 sierpnia 1980 r. zostały podpisane porozumienia sierpniowe. Władza – co wydawało się wcześniej niemożliwe – poszła na ustępstwa.

Związek – któremu nadaliśmy nazwę Solidarność – został zalegalizowany. Andrzej został jego wiceprzewodniczącym. Przewodniczącym był Lech Wałęsa. A ja znalazłam się w prezydium. Rozpoczęła się strasza harowa, wszystko trzeba było zorganizować, stworzyć struktury. Przecież nikt właściwie nie wiedział, jak taki związek ma wyglądać. A w szeregach Solidarności znalazło się wkrótce kilka milionów Polaków. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Całą opowieść Joanny Gwiazdy w książce Anny Herbach „Dziewczyny z Solidarności”

Karnawał Panny S.

Oto wybór głównych wydarzeń, które tworzyły w Polsce pod rządami komunistów okres otwartych dążeń do wolności. Nazywany bywa karnawałem Solidarności – w skrócie: Panny S.

KTO STAJE, TEN DOSTAJE.

Niezapowiedziana podwyżka cen (1 lipca) wywołała latem 1980 r. falę strajków w całym kraju, poczynając od południowo-wschodniej Polski. 8 lipca wybuchł strajk w WSK Świdnik, który jako pierwszy w PRL zakończył się potwierdzonym na piśmie ustępstwem władzy (11 lipca). Od 8 do 24 lipca w województwie lubelskim strajki objęły 150 zakładów. Robotnicy tamtejszego węzła kolejowego przyspawali nawet 16 lipca wagony do torów. 22 lipca po raz pierwszy od 1944 r.

nie obchodzono w Lublinie rocznicy Manifestu PKWN.

Dominowały żądania płacowe i socjalne, nie wysuwano natomiast postulatów zmian w systemie tzw. realnego socjalizmu ani nie zawierano porozumień w imieniu załóg czy to terytorialnie, czy to branżowo połączonych. Dlatego po dość krótkich pertraktacjach przedstawiciele władz spełniali żądania strajkujących, choć zadawało to kłam uzasadnianiu przez nich podwyżek i budziło lekceważenie wyrażone wtedy słowami: „Kto staje, ten dostaje”

SOLIDARNIE WALCZĄ DO KOŃCA.

Działacze Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża – założonych m.in. przez Andrzeja Gwiazdę, Krzysztofa Wyszowskiego i Bogdaną Borusewicza – spowodowali, że 14 sierpnia zaczęła strajkować – pod hasłem przywrócenia do pracy wyrzuconej ze względów politycznych suwnicowej Anny Walentynowicz – załoga Stoczni Gdańskiej, do której przyłączały się inne zakłady Wybrzeża. 16 sierpnia stojący na czele strajku Lech Wałęsa (dotąd nie ustalono, jak dostał się na teren stoczni) przystał na propozycję 1,5-tysięcznej podwyżki dla stoczniovców i ogłosił zakończenie strajku.

Gdyby nie oburzenie grupy kobiet z Anną Walentynowicz i Aliną Pienkowską, które zwracały kolegów od bramy wyjściowej, oraz

Młodzi robotnicy z orłem w koronie
na stoczniowym murze

FOT. LEONARDO SZMAGLIK/EUROPEJSKIE CENTRUM SOLIDARNOŚCI

Mój Sierpień



Piotr Semka

Do dziś pamiętam demonstracyjne wylewanie przez stoczniowców skonfiskowanej wódki przed bramą. Wręcz hipnotyzowało to ludzi, którzy przybywali z miasta, by oglądać, co się dzieje

Nie macie co iść na przystanki, autobusy i tramwaje nie jeżdżą – powiedział mnie i moim kolegom przypadkowo spotkany sąsiad.

Miałem 14 lat, siedziałem na przedprożach przy ul. św. Ducha i sprzedawałem płyty z Izabelą Trojanowską, plakaty wyrwane z niemieckiego magazynu „Bravo” i samochodowe prospekty.

„Stocznia stoi, jest strajk i wszyscy idą obejrzyć, co się dzieje pod bramą” – usłyszałem. O dalszym handlu nie było mowy. Gdy dotarłem na miejsce, które dzisiaj jest pl. Solidarności, pierwsze, co rzucało się w oczy, to duży portret papieża na udekorowanej flagami bramie. To było coś nowego. Socjalistyczny zakład i kościelny portret?

ORZEŁ Z KORONĄ I BEZ

O tym, że strajk wybuchł, mogli się przekonać wszyscy ci, którzy jeździli miejską kolejką. Ona, w odróżnieniu od autobusów i tramwajów, działała jak zwykle. Cały odcinek od tzw. Huciska do Wrzeszcza kolejka jechała wzdłuż muru stoczniowego. I nic dziwnego, że właśnie

ten odcinek był dla stoczniowców swoją aleją gazetek wielkich hieroglifów. Po latach dopiero dowiedziałem się o sporach dotyczących wielkiego orła ze styropianu, którego wycięto z koroną na głowie. Po paru dniach zwyciężyły opinie w kierownictwie strajku, że korona może drażnić władze PRL, i została usunięta.

To, co cechuje pierwsze dni strajku, to dziwna mieszanina fanfaronady ze strachem. Fanfaronada pozwoliła rozpocząć protest, ale przez kolejne dni można było odnieść wrażenie, jakby stoczniowcy przestraszyli się swojej odwagi. Huśtawkę nastrojów odczułem na własnej skórze, gdy drugiego dnia strajku przyciężkawym aparatem Zenit zrobiłem im zdjęcie. Dwóch z nich natychmiast zeskoczyło z płotu, wyrwało mi aparat i naświetliło całą wypełnioną świetnymi ujęciami kliszę.

Nastrój obawy przed atakiem władzy miał swoje przesilenie w sobotę 16 sierpnia. To wtedy Anna Walentynowicz i inne działaczki strajkowe udaremniły próbę zakończenia strajku przez Lecha Wałęsę. Noc z soboty 16 sierpnia na niedzielę 17 sierpnia była apogeum lęku. Właśnie w tę noc Tadeusz Szczudłowski, w czasie wojny małoletni łącznik AK, a wówczas działacz opozycyjnego ROPCiO, wykonał jednak z pomocą robotników wielki drewniany krzyż, który miał oznaczać miejsce masakry Grudnia '70. Poranna msza w niedzielę 17 sierpnia, którą odprawił ks. Henryk Jankowski, była swoistym katharsis. Lęk spłynął z robotników. Ten krzyż, który wbił Szczudłowski wraz z robotnikami pamiętajacymi Grudzień '70, był jakimś mocnym znakiem zobowiązania do odwagi.

Oni nie przeżyli. Teraz my musimy być mocni, aby uczcić ich pamięć. Pamięć o Grudniu '70 tkwiła bowiem jak drzazga gdzieś w podświadomości mieszkańców Trójmiasta. I tłum wtedy pod stoczną także czuł, że ten rachunek musi być spłacony. Władze bały się miejsca, w którym stanął krzyż. Na parę miesięcy przed wybuchem strajku zaczęto kopać fundamenty pod supersam właśnie tam, gdzie padli stoczniowcy 10 lat wcześniej. Wszystko pod perfidnym hasłem, że dyrekcja troszczy się o stoczniowców i chce im umożliwić zrobienie zakupów po wyjściu z zakładu pracy. Krzyż wbity w miejscu, które starzy stoczniowcy pamiętali jako punkt tragedii robotników, raz na zawsze zniweczył ten podły pomysł.

Ta druga część strajku, która zaczęła się 17 sierpnia, to ciągłe przybywanie do stoczni nowych delegacji kolejnych strajkujących zakładów. Tłum stojący wokół stoczni był dla strajkujących nadzieją na ochronę przed ewentualnym atakiem milicji. Tuż pod bramą przyjeżdżały samochody dostawcze rolników albo badylarzy przywożących pomidory, pieczywo czy skrzynie z wędlinami z prywatnych zakładów. Ta jawność popierania protestujących także niwelowała barierę strachu.

STOCZNIA WYLEWA WÓDKĘ

Ludzie, którzy robotników widzieli głównie w dziennikach telewizyjnych epoki Gierka, odkrywali, jak wiele ich z nimi łączy. Do dziś pamiętam momenty, gdy stoczniowcy wychodzili ze skonfiskowaną wódką i demonstracyjnie wylewali ją przed bramą. Było to coś wręcz hipnotyzującego dla tych, którzy przybywali z miasta, by oglądać, co się dzieje. Na ich oczach zadawano kłam stereotypowi „robola”, który daje się przekupić paroma kilogramami kielbasy, a jego aspiracje nie sięgają dalej niż upicie się po tygodniu ciężkiej pracy.

Ktoś powiedział wtedy, że ludzie nagle wyładnieli. Istotnie, realia życia w PRL, które zmuszały wszystkich do ciągłej walki o zdobycie najprostszych produktów, powodowały, że wszyscy mieli twarze wykrzywione złością i odreagowywaniem zmęczenia. Teraz nagle wszyscy chcieli być lepsi. W naiwny, bardzo często nieporadny sposób aspirowali do wyższych wartości. Stąd ten niezdarly orzeł z koroną ze styropianu i często naiwna strajkowa poezja wykonywana przez przypadkowych bardów. Stąd codzienne

modlitwy wieczorne i zapał we wcielaniu w życie strajkowych haseł.

Przede wszystkim panowała chęć uwieczniania tego, co się dzieje. Dziesiątki radiomagnetofonów Thomson i Grundig, na których nagrywano dziesiątki kaset z zapisem negocjacji. Te otwarte okna sali BHP, przez które stoczniovcy zaglądali do środka, by śledzić negocjacje z władzą, były spełnieniem dość nowego postulatu absolutnej jawności. I na tym tle dopiero urastali ci, którzy w czasie strajku wyrosli. Lech Wałęsa, Anna Walentynowicz, małżeństwo Gwiazdów. Już sam język, którym się posługiwali, opowiadając stoczniovcom o postępach w negocjacjach, był zaprzeczeniem partyjnej nowomowy, której nie potrafili się wyzbyć dyrektorzy stoczni ani wysłannicy rządu. A stoczniovcy w bardzo naiwny, ale skuteczny w rywalizacji z władzą sposób używali przeciwko niej dogmatów, którymi ich latami karmiono. Gdy stoczniovcy odkryli, że zakładowe powielacze zostały zamknięte w jednym z pomieszczeń na grubą kłódkę, jeden z nich przypomniał lansowaną przez PZPR zasadę, że „wszelkie środki pracy są własnością klasy robotniczej”. Skoro tak, to możemy kłódkę rozbić i zacząć używać powielaczy, bo przecież należą do nas – rzucił wtedy jeden ze strajkujących.

WAŁĘSA JAK SURFER

Ten strajk możliwy był dzięki perfekcyjnej współpracy stoczniovców

z opozycjonistami. Ci pierwsi nie dali się zastraszyć głosom mówiącym, że obecności dysydentów władze użyją do dyskredytowania protestu. Ci drudzy wiedzieli, że nie mogą pchać się na pierwszy plan. Że mogą radzić, ale nie mogą się szarogęścić. Potem, gdy przyjadą tzw. doradcy na czele z Tadeuszem Mazowieckim i Bronisławem Geremekiem, okaże się, że horyzont żądań przybyczy z Warszawy jest znacznie węższy niż to, co podpowiadała intuicja robotnikom. Dlatego hasło wolnych związków zawodowych wzbudzało np. w Mazowieckim przerażenie.

A jednak ten właśnie postulat okazał się dla robotników całkowicie logiczny i uzasadniony. Być może właśnie dlatego, że nie myśleli oni w kategoriach: „co to oznacza dla całego obozu socjalistycznego”. Robotnicy czuli swoją siłę i mieli pozytywny zawrót głowy. Już 18 sierpnia, czyli w czwartym dniu strajku, do MKS dołączyło 156 zakładów Wybrzeża. Gdy strajk był w połowie, do stoczni docierały coraz liczniejsze delegacje zachodnich związków zawodowych, a strajki solidarności ze Stoczną Gdańską wybuchały w Krakowie, Warszawie, Poznaniu, Łodzi i w innych miastach.

Nie byłoby sukcesu tego strajku, gdyby nie talent lidera – Lecha Wałęsy. Wiele lat temu opisałem fenomen jego przewodniczenia protestowi, używając metafory surfera na fali. Okoliczności rozpoczęcia strajku przez Wałęsę i próby zakończenia jego po trzech dniach czekają ciągle na

pełne zbadanie przez historyków. Faktem pozostaje jednak, że Wałęsa odnalazł się później w roli lidera, czemu sprzyjała jego osobista ambicja. Zrozumiał, że jeżeli dobrze poprowadzi strajk, to sam wyniesie się na szczyty, o których wcześniej nie mógł nawet marzyć. Jego zdolność do zmieniania frontu w czasie negocjacji z komisją rządową całkowicie zdeorientowała wysłanników Warszawy. Cały czas niepokoiła jednak kadrowych członków WZZ, którzy zastanawiali się, w jaki sposób Wałęsa chce wykorzystać swoją nagłą popularność.

30 sierpnia w całej Polsce strajkowało już 700 zakładów w 28 województwach z ówczesnych 49. Skala protestu była taka, że musiała zmieścić I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka. Ludzie, którzy jeszcze 16 sierpnia bali się pacyfikacji zakładu, kończyli ten strajk jako świadomi swej siły robotnicy.

Tak wcielało się w życie wezwanie Jana Pawła II do zstąpienia Ducha Świętego i odmienienia oblicza tej ziemi. Portret papieża na bramie stoczniowej nie był przypadkiem. Wszyscy, zarówno strajkujący, jak i tysiące ludzi stojących na placu przed bramą stoczniową, intuicyjnie doskonale to wyczuli. Defilada stoczniovców, którzy wychodzili ze strajku po jego zakończeniu, mając po obu stronach tłumy klaszczące i obsypujące ich kwiatami, to scena, której nie zapomnę do końca życia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

■ determinacja niektórych pozostawionych samym sobie strajkujących zakładów, na tym zakończyłby się Sierpień '80. Głównie dzięki Andrzejowi i Joannie Gwiazdom, Bohdanowi Lisowi i Maryli Płońskiej wieczorem z udziałem 21 zakładów powołano Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Po dwóch tygodniach liczył on już ponad 700 zakładów z całego kraju, a od 18 lipca walczył o realizację 21 postulatów, z których pierwszy i najważniejszy dotyczył zgody władz komunistycznych na wolne związki zawodowe.

W stoczni odbywała się codziennie msza święta, bramy i ogrodzenia udekorowane były kwiatami, biało-czerwonymi sztandarami i portretami Jana Pawła II, a rosnące tłumy rodaków stawały codziennie przed bramą nr 2. Wspierając strajkujących Komisję Ekspertów – m.in. z Tadeuszem Mazowieckim, Bohdanem Cywińskim i Bronisławem Geremekiem – powołano 24 sierpnia. Dwieście ekip prasy, radia i telewizji przekazywało na cały świat relacje

z tego zadziwiającego wydarzenia za żelazną kurtyną. I tak docierały one do mieszkańców Polski, bo krajowe media były zakneblowane przez cenzurę, a połączenia telefoniczne i kolejowe przerwano. Od 21 sierpnia trwały rozmowy ze stroną rządową, z wicepremierem Mieczysławem Jagielskim. Dziesięciodniowe negocjacje przerywały dramatyczne próby sił i wytrzymałości strajkujących robotników. Wytrzymali. 31 sierpnia podpisano porozumienie – wraz z punktem pierwszym!

SZCZECIN, JASTRZĘBIE, KATOWICE.

Podobne porozumienie przedstawiciele władz podpisali z międzyzakładowymi komitetami strajkowymi w Stoczni Szczecińskiej (30 sierpnia – Kazimierz Barcikowski z Marianem Jurczykiem), KWK w Jastrzębiu-Zdroju (3 września – Aleksander Kopeć z Jarosławem Sienkiewiczem) i w Hucie Katowice (11 września – Franciszek Kaim ze Zbigniewem Kupisiewiczem. Prze-

wodniczącym MKS w Hucie Katowice był od 31 sierpnia Andrzej Rozpłochowski, również sygnatariusz porozumienia – patrz: wywiad na str. 68).

NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”. Już 17 września delegaci międzyzakładowych komitetów założycielskich nowych związków z całego kraju utworzyli ogólnopolski Niezależny Samorządny Związek Zawodowy i nadali mu nazwę Solidarność. W oparciu o MKZ powstawały następnie Regiony NSZZ „Solidarność”. Owa terytorialna struktura dawała związkowi większą siłę w razie konfrontacji z władzą. Do NSZZ „Solidarność” żywiołowo wstąpiło niemal 10 mln Polaków.

GROŹBA UŻYCIA SIŁY ze strony komunistów w celu utrzymania swego monopolu politycznego istniała już od początku drugiej połowy sierpnia – po utworzeniu MKS w Gdańsku i ogłoszeniu 21 postulatów.



Jeden dzień w Stoczni Gdańskiej



Maciej Rosalak

Staram się przekazać to, co naprawdę widziałem i czułem w stoczni. I co chciałbym ocalić

Wieczorem 27 sierpnia dojechałem samochodem redakcyjnym „Tygodnika Demokratycznego” do Gdańska. Natychmiast po zakwaterowaniu w hotelu Monopol podszedłem do pobliskiej bramy nr 2 Stoczni Gdańskiej, wówczas imienia Lenina. Stał przed nią drewniany krzyż otoczony modłącymi się ludźmi, pod którym paliły się dziesiątki zniczy i świec.

– To tu zabito w siedemdziesiątym roku pierwszego stoczniovec. Jego koledzy ustawili krzyż i wrócili do stoczni. Od tej pory nie ruszają się na zewnątrz – objaśnił kolega z „Kurieru Polskiego”.

No i stoję przed tym krzyżem, patrzę, a do krzyża ktoś przyszpilił kartkę, na której zapisano strofy Byrona:

***Walka o wolność gdy się raz zaczyna
Dziedzictwem z ojca przechodzi na syna
Sto razy obcą złamana potęgą
W końcu zwycięży***

A, to o to chodzi... – pomyślałem. Ziemia się zatrzęsała pode mną i od tej pory – tak jak w znanym powiedzeniu Hitchcocka – napięcie zaczęło stopniowo narastać.

ZA BRAMĄ NR 2

Następnego ranka – 28 sierpnia – przeszedłem przez wartownię obok słynnej bramy, która tonęła w kwiatkach okalających portret Jana Pawła II i pod którą zbierały się w ciągu dnia setki, tysiące, a w końcu dziesiątki tysięcy mieszkańców Trójmiasta. Przepustkę

otrzymałem bez problemu, w przeciwieństwie do ekip „Trybuny Ludu” i TVP, których nie wpuszczono, „bo kłamią”.

Przepustka to był wąski skrawek papieru, na którym wypisano ręcznie moje nazwisko oraz tytuł mojego pisma i który podstemplowano pieczęcią Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. To było najbardziej niepozorne świadectwo akredytacji, wyjątkowo chałupniczo wykonana przepustka, jaką otrzymałem podczas pracy dziennikarskiej. Rychło przekonałem się, że dostałem do ręki niezwykłą, choć tak zwyczajną, przepustkę do historii.

Był to zarazem glej całkowitego bezpieczeństwa, gwarantujący pomoc, życzliwość i serdeczność prostych ludzi. Tych „roboli”, którym rzekomo zależało tylko na kiełbasie i rozróbie, poznałem później bliżej, zwłaszcza podczas długiej przerwy w negocjacjach. Nieśmiało pytały, czy mogą obejrzeć zdjęcia ze stoczni, byli ciekawi, jak oceniamy szanse ich protestu, częstowali wielkimi pajdami chleba przywożonego z trójmiejskich piekarni i krojonego dłońmi ich kobiet. Młody robotnik oprowadzał nas też po stoczni, skrupulatnie ostrzegając w rejonach z zakazem fotografowania.

Który skrzywdziłeś człowieka prostego... – dedykował stoczniovcem parę miesięcy potem owe słowa noblista Miłosz. Do tej pory zdobią one mur obok sławnej bramy. Kiedy je czytam, zawsze przypominam sobie moich rozmówców w granatowych, wymiętych i spłowiałych kombinezonach ze skweru przed halą BHP. Ich zmęczenie, determinację i nadzieję.

28 SIERPANIA

Akurat 28 sierpnia odbyły się najistotniejsze rozmowy z Mieczysławem Jagielskim. Wszedł wraz z towarzyszącymi do stoczni boczną bramą, kroczył obok ubranego w szary garniturek Lecha Wałęsy, w obstawie rosnących stoczniovców, w szpalerze poważnych ludzi nieokazujących ani wrogości, ani entuzjazmu. Mogłem zaglądać do salki, gdzie toczyły się negocjacje, ale wolałem stać wraz z innymi na wolnym powietrzu, słuchać każdego słowa z megafonu i dzielić odczucia strajkujących. Pilnie słuchali i nagradzali oklaskami celne wypowiedzi. Pamiętam zwłaszcza Andrzeja Gwiazdę mówiącego o wolnych związkach zawodowych i Annę Walentynowicz przypominającą nie tylko swoje krzywdy. Z Jagielskim ludzie wiąжали ostrożne nadzieje.

Po odjeździe delegacji rządzących Wałęsa wdrapał się na wysięgnik dżwigu przy bramie i przez ręczny megafon zdał krótką relację. Przed nim – 100 tys. mieszkańców Trójmiasta. Za nim – kilka tysięcy stoczniovców. A on w tym swoim niepowtarzalnym stylu, który nikogo wówczas nie raził, zapowiadał zwycięstwo. Z chłopą król, prawdziwy trybun ludowy. Tak to wtedy wyglądało.

[Nikt spośród tych, którzy oklaskiwali go ze łzami w oczach, nie domyślał się, nie śmiał nawet przypuszczać, że to „Bolek”, który donosił Służbie Bezpieczeństwa na kolegów ze stoczni w pierwszej połowie lat 70. Nie musieli się domyślać – bo wiedzieli! – zacni rodacy z Wolnych Związków Zawodowych. Ale potrzebowali znanego robotnika na czele strajku. Potem – sławnego w kraju i poza nim przewodniczącego NSZZ „Solidarność”. W stanie wojennym – dodającego sił symbolu. Podczas rozmów z komunistami – spoiwa ruchu społecznego. I tak to zostało do końca lat 90.! Ja zaś byłem wśród tych sierot po Solidarności, które – nie słysząc chichotu historii – głosowały nań w wyborach prezydenckich i w 1990, i w 1995 r., aż chichot zmienił się w obrzydliwy rechot.]

Podczas rozmów z komunistami 28 sierpnia 1980 r. wątpliwość jednak nie było. To był wóz albo przewóz. Kiedy wszystko powiedziano z obu stron, tylko wypadało czekać, jaka decyzja zapadnie

w Warszawie. Zgodzą się czy nie zgodzą na wolne związki, na ów pierwszy punkt z 21 postulatów, który miał zapalić w Polsce światelko demokracji.

URODZINY NARODU

Kto nie przeżył tego niebywałego entuzjazmu, nadziei i solidarności ogarniającej polską wspólnotę, temu trudno pojąć, jak wielki potencjał tkwi w naszym narodzie, jak potrafi być on skłonny do wyrzeczeń i ofiar w imię wspólnego dobra, jak potrafi być wielki po prostu.

*Spraw aby Polska była wielka
Synem jej ducha i jej ciała
Daj wielkość serc gdy będzie wielka
I wielkość serc gdy będzie mała.*

Fragmenty „Kwiatów polskich” Tuwima recytowali po południu aktorzy teatru Wybrzeże, którzy przyjechali do stoczniovców pod przewodnictwem Macieja Prusa. Deklamacje, tak jak wcześniej rozmowy, były nadawane z sali BHP przez głośniki na całą stocznice. Doskonale słyszeli je też mieszkańcy zgromadzeni przed bramą, a stamtąd rozchodzili się na całą Polskę i – dalej – na cały świat. A słowa, tyle razy nadużywane i bezczeszczone, odzyskiwały swoje prawdziwe znaczenie. Biało-czerwone barwy na opaskach i sztandarach strajkujących oznaczały rzeczywistą identyfikację z ojczyzną, a nie dekorację dętych manifestacji. Nastroj – jak mówili starsi – przypominał pierwsze godziny Powstania Warszawskiego. A kiedy po mszy świętej

zaśpiewano „Jeszcze Polska...”, łzy płynęły po niejednej twarzy.

Tak rodziła się nowa epoka w dziejach Polski. Tym, którzy zapomnieli, warto przypomnieć, tym, którzy nie słyszeli – powiedzieć, jak było.

*Opowiemy Ci o tych wypadkach
O tych ludziach którzy poculi
Że są wreszcie teraz u siebie
Solidarnie walczą o dzisiaj
I o jutro także dla Ciebie.*

Kiedy wracałem do Warszawy późnym wieczorem 28 sierpnia, brzmiała mi w uszach skomponowana w stoczni przez Macieja Pietrzyka do słów Krzysztofa Kasprzyka „Piosenka dla córki”. Moja córeczka miała wtedy cztery lata i nie zdążyłem się z nią pożegnać przed wyjazdem do Gdańska.

Kiedy wychodziłem przez bramę nr 2, młody chłopak ze stoczni położył mi na pożegnanie rękę na ramieniu. – Niech pan napisze, co pan tu widział i słyszał, o nic innego nam nie chodzi... – powiedział cicho. Ludzie z miasta otoczyli mnie tuż za bramą, ściskali dłonie, dziękowali. – Za co? – broniłem się. – Jestem tylko dziennikarzem, byłem tam gościem... – Ale był pan TAM, wśród NICH. Może pan jeszcze wnukom opowiadać!

Od czasu do czasu opowiadam. Czy udaje mi się przy tym uniknąć późniejszych naleciałości, strzępów cudzych świadectw i opinii, a nade wszystko „po-tępieńczych swarów” – nie wiem. Staram się.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

■ A 22 października, na polecenie szefa MON Wojciecha Jaruzelskiego, Sztab Generalny LWP rozpoczął opracowywanie planu wprowadzenia w PRL stanu wojennego. Na takie rozwiązanie nalegali „sojusznicy” ze Związkiem Sowieckim na czele.

Pod koniec 1980 r. zagrozili interwencją zbrojną. W garnizonach sowieckich w PRL i za naszymi granicami wzmacniano wojska, przeprowadzano ogromne manewry. Przed atakiem ustrzegł nas kategoriyczny protest rządu USA. Doradcą prezydenta Jimmy'ego Cartera ds. bezpieczeństwa był wtedy Zbigniew Brzeziński. Od stycznia 1981 r. prezydentem był Ronald Reagan, ale to jeszcze bardziej umocniło prosolidarnościowy kurs rządu USA. Ogromne i uzasadnione nadzieje Polacy wiązali z Janem Pawłem II. Straszanie interwencją zbrojną powtarzało się w następnym roku, zwłaszcza w marcu 1981 r. W grudniu 1981 r. kierownictwo ZSRS zrezygnowało jednak z interwencji, więc

tłumaczenie wprowadzenia stanu wojennego własnymi siłami jako zapobieżenie „większemu złu” mija się ze stanem faktycznym.

PROWOKACJE. Przygotowywaniu tajnych planów towarzyszyły jawne i celowe prowokacje. Największą było odrzucenie przez Sąd Wojewódzki w Warszawie statutu NSZZ „Solidarność”. Dopiero ogólnopolskie pogotowie strajkowe wymusiło przyjęcie tego – opartego przecież na podpisanych porozumieniach sierpniowych – dokumentu. Stało się to 10 listopada.

Warszawę wzburzyło aresztowanie matematyka i niezależnego wydawcy Jana Narożniaka, który 20 listopada 1980 r. rozpowszechnił tajną instrukcję prokuratora PRL zalecającą nowe metody walki z opozycją. Groźbą strajku w Regionie Mazowsze doprowadzono do uwolnienia Narożniaka, a także Piotra Sapęły i Leszka Moczulskiego.

Władze próbowały udaremniać powstawanie kolejnych organizacji społecznych. Wywoły-

wało to protesty, które kończyły się zwykle ustępstwem komunistów, ale celowo jątrzyły i wprowadzały chaos. Tak było z Niezależnym Zrzeszeniem Studentów (z rejestracją zwlekano od października 1980 do lutego 1981 r.) i z NSZZ „Solidarność Chłopska” (od grudnia 1980 do maja 1981 r.). W połowie lutego 1981 r. podpisano porozumienie rzeszowsko-ustrzyckie, które dla chłopów było tym, czym dla robotników porozumienia sierpniowe. Przede wszystkim PZPR uznawała prywatną własność chłopską. Stało się to wynikiem 48-dniowego strajku okupacyjnego w Rzeszowie oraz w Ustrzykach Dolnych.

TWÓRCY, HARCERZE I SD. Ruch przemian doprowadził 16 października 1980 r. do powstania Komitetu Porozumiewawczego Środowisk Twórczych i Naukowych z Klementem Szaniawskim, który dążył do ograniczenia cenzury i dominacji ideologii komunistycznej. ■

Dla Gdańska – strajk w Zajezdni

Napięcia społeczne, których kulminacją był przełomowy sierpień 1980 r., trwały w Polsce od dłuższego czasu. Już w lipcu 1980 r. po podwyżce cen mięsa rozpoczęły się masowe protesty. Najwięcej zakładów zastrajkowało na Lubelszczyźnie. Władzom udało się wówczas wyciszyć sytuację tymczasowymi ustępstwami. Wydawało się, że sytuacja wraca do normy. Najważniejsi dygnitarze udali się na wakacyjny urlop, w tym Edward Gierek pojechał odwiedzić Leonida Breżniewa na Krymie, a duża część mieszkańców Polski fascynowała się trwającymi podczas igrzysk olimpijskich w Moskwie rywalizacjami sportowymi. W pewnym stopniu jaskółką, która zwiastowała zmiany, było zachowanie Władysława Kozakiewicza po zwycięskim konkursie olimpijskim w skoku o tyczce. Gdy mimo niesportowego zachowania zawodników i publiczności ze Związku Radzieckiego Polak wygrał, bijąc rekord świata, pokazał w stronę publiczności (ale w domyśle całego ZSRS) gest przez wielu uznany za obraźliwy, ale symbolizujący, że Polacy mimo przeciwności wygrają.

Ówczesna prasa nie dostrzegając zbliżającej się nadybrzeży burzy. Usypiała czujność społeczeństwa artykułami o wakacjach, pogodzie nad morzem, odnalezionym na Majorce fortepianie Fryderyka Chopina, nowych nabytkach Ossolineum czy wchodzących do kin „Gwiazdnych wojnach”. Niewielu z nas dzisiaj pamięta, że właśnie w sierpniu 1980 r. doszło pod Bydgoszczą do największej katastrofy kolejowej w powojennej Polsce. Nawet początek sierpniowego strajku w Gdańsku dzienniki skwitowały nic niemówiącym tytułem



FOT. ARCHIWUM CENTRUM HISTORII ZAJEZDNI

„Zakłócenia w rytmie pracy”. Po dyskusjach w nocy z 17 na 18 sierpnia opublikowano w Gdańsku słynne 21 postulatów (dzisiaj wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO „Pamięć świata”). Był to początek komunikowania polskiemu społeczeństwu i światu, że robotnicy Wybrzeża walczą nie tylko o sprawy bytowe, lecz także o prawa, a mówiąc po dawnemu – wolności obywatelskie.

Ta wartość praw uniwersalnych dostrzeżona została także poza Gdańskiem. W tym i we Wrocławiu, już 19 sierpnia, redakcja „Biuletynu Dolnośląskiego”, czyli środowiska opozycyjnego skupionego

wokół Kornela Morawieckiego i Jana Waszkiewicza, wydała ulotkę wzywającą do poparcia strajkujących w Gdańsku.

Tydzień później (dokładnie 26 sierpnia) dwóch kierowców – Tomasz Surowiec i Bohdan Jetz – wspieranych przez mechanika-pilota Czesława Stawickiego rozpoczęło strajk w zajezdni autobusowej nr VII przy ul. Grabiszyńskiej (gdzie dzisiaj mieści się muzeum – Centrum Historii Zajezdni). Po latach Władysław Frasyniuk nazwie Surowca „wrocławskim Lechem Wałęsą”. Bardzo szybko do akcji protestacyjnej dołączyły inne zajezdnie, w ciągu kilku porannych godzin transport pu-

bliczny we Wrocławiu stanął. Strajk w tym zakładzie pracy był niezwykle ważny, gdyż od wczesnych godzin porannych mieszkańcy miasta, oczekując na autobusy i tramwaje, uświadamiali sobie, że coś się dzieje. W wielu wspomnieniach przywoływane jest jedno stwierdzenie kwitujące reakcję na brak przyjeżdżającego autobusu w chłodny poranek 26 sierpnia – „Zaczęło się”.

Tymczasem do Zajezdni przy ul. Grabiszyńskiej zaczęli zjeżdżać delegaci różnych zakładów pracy, którzy podjęli decyzję o przyłączeniu się do akcji strajkowej, oraz „zawodowi opozycjoniści” związani przede wszystkim z SKS oraz

Autobusowej nr VII we Wrocławiu



KSS KOR, którzy już od końca lat 70. aktywnie włączyli się w walkę o wolność. Do pierwszych należeli: Jarosław Broda, Stanisław Huskowski, Piotr Starzyński, Krzysztof Turkowski i Tomasz Wacko. Później dołączyli profesorowie Mirosława Chamcówna, Roman Duda, dr Jan Waszkiewicz i wielu innych. Dzięki nim na terenie zajezdni szybko zorganizowano sprawnie działającą drukarnię, wydawano regularnie komunikaty strajkowe, które zawierały najważniejsze informacje o przebiegu strajku, powołano biuro informacyjne, które ulokowano w jednym z autobusów, stworzono straż strajkową. Liczba przyjeż-

dżających delegatów rosła z godziny na godzinę. Już po południu 26 sierpnia była tak duża, że postanowiono powołać prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Na jego czele stanął Jerzy Piórkowski, kierowca z Grabiszyńskiej, a jednocześnie członek PZPR, cieszący się zaufaniem i autorytetem wśród pracowników. Dzięki współpracy z działaczami z Klubu Inteligencji Katolickiej, a dokładnie z Maciejem Ziębą (wówczas fizykiem, dzisiaj dominikaninem i filozofem), o strajku powiadomiony został abp Henryk Gulbinowicz, który szybko publicznie wyraził swoje poparcie dla strajku-

jących. Widocznym znakiem wsparcia ze strony Kościoła były msze święte polowe celebrowane w zajezdni przy Grabiszyńskiej 29 i 31 sierpnia, którym przewodniczył duszpasterz studentów ks. Stanisław Orzechowski. Msze organizowano również w innych zajezdniach. Tę relację między Kościołem a strajkującymi robotnikami można uznać za rys charakterystyczny dla Polski, niespotykany wśród ruchów robotniczych nigdzie indziej na świecie.

Wielu strajkujących do dziś wspomina pocucie wielkiego wsparcia ze strony mieszkańców miasta, nie tylko zrozumienia, że pojawiała się istotna niedogodność w ich życiu, lecz także aktywnego zaangażowania, przez dostarczanie żywności, potrzebnych materiałów, pomoc w transporcie i łączności w całym mieście, a nawet wrzucane przez kraty zamkniętej zajezdni pieniądze. Niezwykły gest wykonali także pracownicy z Opery Wrocławskiej, którzy 31 sierpnia zorganizowali na placu zajezdni koncert standardów operowych, m.in. fragmentów „Straszego Dworu” Stanisława Moniuszki.

W ciągu sześciu dni liczba komitetów strajkowych zrzeszonych we wrocławskim MKS przekroczyła 170, obejmując zasięgiem cały Dolny Śląsk. Do dziś nierozstrzygniętą kwestią pozostaje ustalenie, kto rzucił pomysł, by strajk wrocławski był solidarnościowy. To znaczy, by Wrocław nie formułował własnych postulatów, ale strajkował dla Gdańska. Po latach Kornel Morawicki powiedział, że strajk wrocławski zmienił wiatr znad Wybrzeża w burzę nad Polską. Chcemy myśleć, że właśnie wówczas we Wrocławiu narodziła się idea Solidarności, przez duże i małe S.

Poważnym problemem dla strajkujących we Wrocławiu był brak łączności z Gdańskiem. Kilka dni przed końcem miesiąca wysłano do Gdańska trzy delegacje, które miały się zorientować, na jakim etapie są negocjacje, i potwierdzić zawarcie porozumień. Pierwsza została zatrzymana w pociągu przez milicję, druga dotarła na Wybrzeże skodą (jej kierowcą był Bolesław Czernewcan, a wśród pasażerów jechał Bogdan Ziobrowski), a trzecia dużym fiatem (w skład tej delegacji wchodził Antoni Skinder i Hubert Hanusiak). Po dotarciu do Gdańska wrocławianami zaopiekował się Bogdan Lis. Wrocławscy delegaci byli wśród robotników na sali BHP w stoczni podczas podpisywania porozumień sierpniowych. Żeby jednak strajk we Wrocławiu się zakończył, musieli mieć uwierzytelnioną kopię tekstu porozumień. Uzyskali ją z gdańskiego MKS z podpisem Anny Walentynowicz. 1 września, ok. godz. 4, delegaci powrócili do zajezdni, gdzie w obecności wojewody wrocławskiego Janusza Owczarka odczytano treść porozumień. Kilka godzin później autobusy i tramwaje wyjechały na ulice.

Nieco ponad dwa tygodnie później delegaci z całej Polski powołali do życia jedną ogólnopolską organizację: Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”.

Dla Wrocławia, który przeżył niemal całkowitą wymianę ludności w 1945 r. i wciąż buduje swoją współczesną tożsamość, strajk w zajezdni przy ul. Grabiszyńskiej jest jednym z fundamentów i tych momentów, gdy nowi mieszkańcy w do niedawna obcym mieście poczuli się w nim jak u siebie.

Czwarte porozumienie '80



Hutę zbudowano w szczerym polu na potrzeby „bratniej współpracy” z ZSRS

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



Z Andrzejem Rozpłochowskim, w 1980 r. przywódcą strajku w Hucie Katowice

rozmawia Piotr Włoczyk

– Tylko z Huty Katowice 6 września 1980 r., 11 dni przed utworzeniem Solidarności, wyszedł apel do ludzi pracy z całej Polski, by budować jedną ogólnokrajową organizację związkową – mówi Andrzej Rozpłochowski

PIOTR WŁOCZYK: Lech Wałęsa internowany był w stanie wojennym 11 miesięcy. Tymczasem gdy komuniści zamknęli pana 13 grudnia 1981 r., wyszedł pan na wolność dopiero w sierpniu 1984 r. Więzili pana prawie trzy lata...

ANDRZEJ ROZPŁOCHOWSKI: Myślę, że nie mogli mi darować przede wszystkim obalenia podstawionego szefa strajku w Hucie Katowice (HK) w sierpniu 1980 r. i zostania nowym przywódcą strajku, który wymusił zawarcie czwartego, najbardziej antykomunistycznego porozumienia z rządem. Człowiek, którego zastąpiłem, był zaskakująco ugodowo nastawiony wobec kierownictwa zakładu... Komuniści z pewnością nie mogli mi też darować dalszej działalności powstałego na podstawie porozumienia MKZ Katowice.

HK była w końcu sztandarowym projektem komunistów.

Tak, był to największy zakład pracy w PRL. W tym potężnym kombinacie pracowało ponad 20 tys. ludzi. Leonid Breżniew posiadał legitymację partyjną nr 1 Huty Katowice. Z ZSRS został doprowadzony prosto do huty tor sowieckiej

szerokości. Dowozili nim sowiecką rudę, a wywozili wszystko, co chcieli.

Partia tyle zainwestowała w HK, a wy ją „zdradziliście” w 1980 r. Trudno się więc dziwić, że w czasie stanu wojennego władze w szczególnie sposób zainteresowały się właśnie panem.

W grudniu 1981 r. byłem członkiem Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, choć już od września 1980 r. współtworzyłem tymczasowe kierownictwo krajowe Solidarności, a do sierpnia 1981 r. dowodziłem też potężnym regionem MKZ Katowice – milion członków związku w ok. 1,2 tys. zakładach pracy – prowadząc bardzo wolnościową działalność, chyba najbardziej wówczas radykalną w kraju.

W jakich okolicznościach trafił pan do Huty Katowice?

W momencie wybuchu strajku w sierpniu 1980 r. byłem maszynistą lokomotyw spalinowych. Pracowałem na przewozach wewnętrznych w hucie w rejonie stalowni. Do HK przybyłem, tak jak tysiące innych młodych Polaków, zwabiony obietnicą otrzymania miesz-

kania. Nie dostałem jednak żadnego mieszkania, bo już wcześniej, w wojsku, robiłem komunie problemy. Odmówiłem wtedy wstąpienia do PZPR, krytykowałem inwazję na Czechosłowację i od tamtej pory ciągnął się za mną „ogon”.

W sierpniu 1980 r. zostałem przywódcą strajku w Hucie Katowice, a także byłem sygnatariuszem zawartego tam porozumienia. Było to czwarte wielkie porozumienie, po Stoczni Gdańskiej, Stoczni Szczecińskiej i kopalni Manifest Lipcowy w Jastrzębiu-Zdroju. Jednak tylko od nas 6 września 1980 r., 11 dni przed utworzeniem Solidarności, wyszedł apel do ludzi pracy z całej Polski, by budować jedną ogólnokrajową organizację związkową pod jednym przywództwem. Nic mi nie wiadomo, aby Gdańsk, Szczecin i Jastrzębie wydały podobny dokument.

Co się działo w HK latem 1980 r.? Jak pan wspomina tamtą atmosferę?

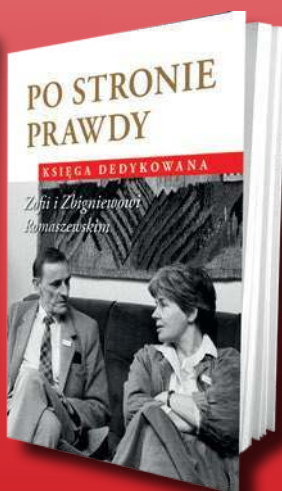
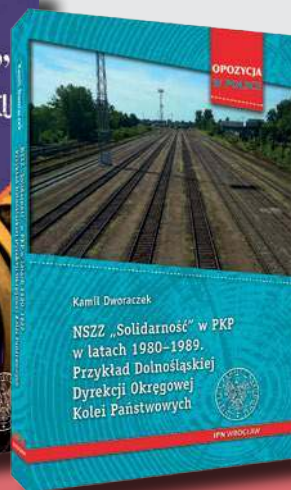
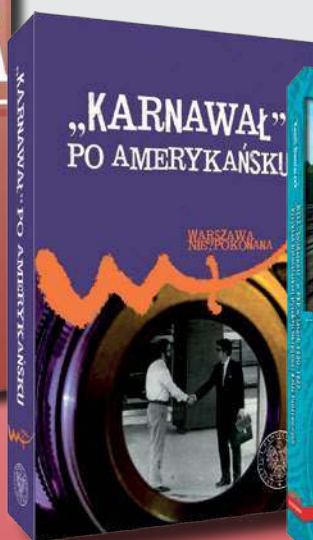
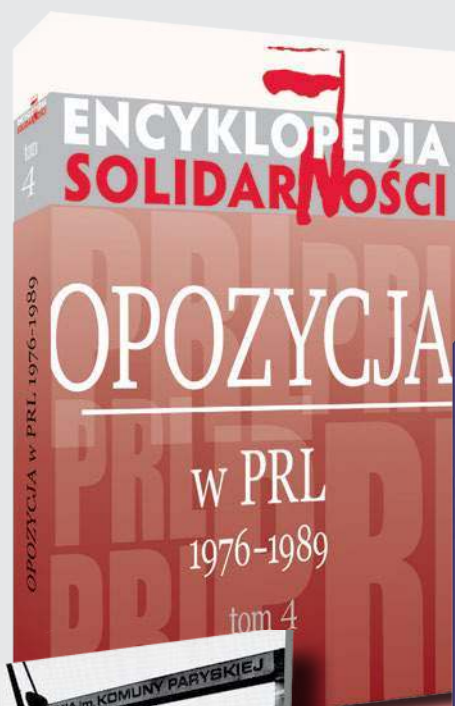
To była euforia. I to najdelikatniejszą rzecz ujmując. Trzy czwarte załogi to byli bardzo młodzi ludzie i trzy czwarte popierało Solidarność. Czuć było poczucie misji, że tworzymy historię, że dzieją się rzeczy nowe, a Polska już nie będzie taka jak wcześniej. To był czysto robotniczy strajk i potrzebni nam byli dobrze znający się na prawie doradcy, dlatego zwróciliśmy się ze stosownym apelem do kurii biskupich. Proszę pamiętać, że inaczej niż np. w Gdańsku do nas nie wpuszczano dziennikarzy. Odmienne, niż było to w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu, naszemu strajkowi i zawieraniu porozumienia nie towarzyszyły kamery ani aparaty zawodowych dziennikarzy. Nie znajdzie pan żadnego takiego materiału, a to świadczy o tym, że nasze wydarzenia, odmiennie od tamtych, od samego początku skazano na próbę wymazania ze społecznej pamięci. Ponadto Stocznia Gdańska, Stocznia Szczecińska czy kopalnia Manifest Lipcowy z Jastrzębia-Zdroju leżą w środku miast.

A wasz zakład budowany został niemal pośrodku niczego...

Tak, Huta Katowice położona jest poza miastem, wówczas jeszcze usytuowana była głęboko na terenach polnych i po wykarczowanych lasach. Nikt nie podchodził pod bramę, byliśmy odcięci od reszty społeczeństwa. A mimo to przystąpiliśmy do budowy wolnych związków zawodowych, kiedy jeszcze nikt nie myślał o Solidarności. Jako pierwsi w Polsce zaczęliśmy tworzyć

40. ROCZNICA NARODZIN „SOLIDARNOŚCI”

POLECAMY NOWOŚCI !



Szukaj w księgarniach IPN i punktach sprzedaży w całej Polsce!
#ZostańWDomu i kup na ipn.poczytaj.pl

epras.pl 6d3bd719cd

■ już w nazwie niezależny samorządny związek zawodowy z tymczasową siedzibą w HK. Myślę, że śmiało można powiedzieć, iż to, co działo się w 1980 r. w HK, miało najbardziej antykomunistyczny charakter spośród wszystkich wielkich zakładów w PRL.

Jak pan wspomina ten okres wolności, który nastąpił po zwycięstwie robotników latem 1980 r.?

Po 35 latach życia w podeptanym przez sowieckich okupantów państwie Polacy w końcu mogli się w miarę swobodnie organizować, planować własną przyszłość. Tego wiatru wiejącego w nasze żagle nigdy nie zapomnę. To było niesamowite 16 miesięcy, podczas których wierzyliśmy, że wszystko się odmieni, że w naszej ojczyźnie to my sami będziemy się rządzili. Niestety, namiestnicy sowieckich okupantów sięgnęli po czołgi, by zakończyć ten niesamowity dla nas okres. Dla nich wolność Polski to była tragedia. Żałuję, że ci ludzie w ogromnej większości w żaden sposób nie zapłacili w wolnej Polsce za zbrodnię stanu wojennego.

W czasie pańskiego długiego internowania nie brakowało smutnych i dramatycznych chwil, ale na pewno w tym wszystkim były też piękne obrazy...

Każdego trzynastego organizowaliśmy miesięcznice. Konspiracyjnym sposobem robiliśmy w puszkach po konserwach znicze z tłuszczów spożywczych. Wieczorem w świetlicy stawialiśmy

całym obozem i ustawialiśmy w kratkach te nasze znicze. Ludzie mieszkający w sąsiednich budynkach wspominali po latach, że słyszeli nasze śpiewy. Naszą najsłynniejszą pieśnią było: „My, internowani, w Zabrzu zatrzymani”... na melodię „Pierwszej Brygady”.

Co jeszcze zapadło panu w pamięć z tamtego okresu?

To był sierpień, zaraz mieliśmy drugą rocznicę porozumień, więc uszyliśmy w więzieniu w Uhercach sztandar Solidarności. Zorganizowaliśmy piękną uroczystość. Wszyscy internowani zebrali się na boisku na uroczystym apelu. Ja zostałem na bloku, ponieważ miałem wywiesić ten sztandar na zewnątrz. Tymczasem władze więzienia ściągnęły do nas ZOMO-wską atandę. ZOMO-wcy ruszyli na Solidarność, zaczęli chłopaków wywlekać z boiska do bloków więziennych.

Ja cały czas stałem w oknie ze sztandarem w ręku. To było na pierwszym piętrze. W pewnym momencie widzę, jak jakiś ZOMO-wiec zaczyna się wspinać z parteru, żeby wyrwać sztandar.

Pozwolił pan na to?

Nie. Nie wiem, jakich dokładnie słów wtedy użyłem, ale jakimś cudem przemówiłem mu do sumienia. Myślę, że mogłem powiedzieć coś w rodzaju: „My nie jesteśmy przestępcami. Chcemy tylko, żeby w Polsce była demokracja i wolność, żeby wam też było lepiej”.

Ten człowiek odpuszcił i zszedł na dół... ZOMO-wcy przez ten czas powynosili siłą ludzi z placu apelowego. Tak się skończyła nasza uroczystość. Ukryliśmy sztandar i przy najbliższej okazji przemyciliśmy go na zewnątrz.

Jakim cudem?

Dzięki pewnemu księdzu. Wywalczyliśmy już wtedy msze święte w każdą niedzielę. W świetlicy zorganizowaliśmy kaplicę. Po mszy świętej ksiądz schował sztandar pod sutanną i zawiózł go do Częstochowy.

Na Rakowieckiej był pan z kolei więziony z Marianem Jurczykiem, Sewerynem Jaworskim, Janem Rulewskim, Grzegorzem Palką, Andrzejem Gwiazdą i Karolem Modzelewskim. Wraz z wami zamknięte było kierownictwo KOR: Jacek Kuroń, Adam Michnik, Henryk Wujec i Zbigniew Romaszewski.

Ostatecznie naszą jedenastkę komuna wypuściła latem 1984 r. na mocy pseudo-amnestii. Ja wyszedłem jako jeden z ostatnich na początku sierpnia 1984 r.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Andrzej Rozpłochowski

– (ur. 1950 r.) w czasie PRL był działaczem opozycji, jednym z twórców śląskiej Solidarności. W 1980 r. kierował strajkiem w Hucie Katowice. W latach 1981–1984 był więźniem politycznym.

■ W harcerstwie powstały w tym czasie Kęgi Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego (KIHAM) działające niezależnie od ZHP. Natomiast uległy dotąd wobec PZPR Stronictwo Demokratyczne na swym burzliwym XII Kongresie demonstracyjnie wybrało w marcu 1981 r. nowe, nieuzgodnione z suwerenem władze i uchwaliło niepokojący go program.

POMNIK POLEGŁYCH STOCZNIOWCÓW

odślonięto uroczystie 16 grudnia 1980 r. – w 10. rocznicę Grudnia '70 – przed Stoczną Gdańską, w obecności setek tysięcy rodaków. Trzy wysokie maszty-krzyże połączone zostały kotwicami, symbolami nadziei i łączności z morzem. Upamiętniono również ofiary w Gdyni, Szczecinie i Elblągu. 28 czerwca 1981 r. w Poznaniu odsłonięto pomnik poległych w czerwcu 1956 r.

PROWOKACJA W BYDGOSZCZY. W końcu marca pobiło tam działaczy solidarnościowych

z Janem Rulewskim, zaproszonych na sesję miejscowej rady narodowej. Być może był to prolog stanu wojennego. Związek zagroził wtedy strajkiem powszechnym mimo trwających w kraju ćwiczeń Układu Warszawskiego. Zawarty 31 marca 1981 r. kompromis (dla wielu związkowych działaczy – zgniły) zapobiegł wtedy konfrontacji siłowej.

KARTKI NA MASŁO, MAKĘ, RYŻ I KASZE

rząd wprowadził 22 kwietnia 1981 r. Nie pierwsze i nie ostatnie. Przez kraj przechodziły od tego czasu wielotysięczne marsze głodowe. Celowo wywoływane strajki i pogarszająca się sytuacja na rynku prowadziły do zaostrenia i polaryzacji nastrojów społecznych.

ZAMACH NA PAPIEŻA I ŚMIERĆ PRYMASA.

Niemal śmiertelne postrzelenie Jana Pawła II na pl. św. Piotra (13 maja) oraz zgon (28 maja) i pogrzeb Prymasa Tysiąclecia ks. kard. Stefana Wyszyńskiego (31 maja) wywołały powszechny

żał i smutek rodaków, ale nie osłabiły ich wiary ani wolnościowych aspiracji.

IX NADZWYCAJNY ZJAZD PZPR odbył się w połowie lipca 1981 r. Nie rozwiązał żadnych problemów, w tym odchodzenia setek tysięcy członków, a na I sekretarza ponownie wybrano Stanisława Kanię. Jesienią Kania ustąpił, a stanowisko po nim objął Jaruzelski – dotychczas już szef MON, a od lutego 1981 r. premier. 13 grudnia obejmie jeszcze przewodnictwo junty wojskowej...

„ZAKAZANE PIOSENKI”, czyli I Przegląd Piosenki Prawdziwej, zorganizował Maciej Zembaty w gdańskiej Hali Olivia z udziałem wielu ciekawych wykonawców, głównie przedstawicieli „kultury alternatywnej”. Przegląd trwał od 20 do 22 sierpnia 1981 r.

I KRAJOWY ZJAZD DELEGATÓW NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” rozpoczął 5 września 1981 r. ■



ZAJEZDNIA *STRAJKUJE*

Rafał Zawierucha, Krzysztof Czeczot, Anna Próchniak i Kazimierz Kaczor

Przeżyj multimedialną
podróż w czasie!

ZAPRASZAMY OD
27.08.2020



Centrum Historii Zajezdnia

ul. Grabiszyńska 184, Wrocław

40

www.zajezdnia.org

eprasa.pl 6d3bd719cd



Strajk w gdańskiej rafinerii FOT. RG



Grzegorz Ungier, jeden z przywódców sierpniowego strajku, a później wiceprzewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”, odczytuje tekst porozumienia 1 września 1980 r. Obok Kazimierz Klęk, wiceminister przemysłu chemicznego FOT. RG

Solidarnościowa historia

Grupa LOTOS angażuje się w inicjatywy upamiętniające patriotyczne zrywy Polaków, które przyczyniły się do wielkich i historycznych zmian w naszym kraju. Spółka ma bogate tradycje walki jej niezależnego związku zawodowego Solidarność o prawa i przywileje pracownicze w trudnych czasach komunizmu. Pracownicy Gdańskich Zakładów Rafineryjnych brali aktywny udział w historycznych, sierpniowych strajkach w 1980 r.

Sierpień to miesiąc, w którym związki zawodowe Grupy LOTOS świętują wywalczoną przed laty wolność. Obchodom, organizowanym rokrocznie przy wsparciu gdańskiego koncernu, zawsze towarzyszy uroczysta msza święta z udziałem najwyższych władz państwowych. Nabożeństwo nie bez kozery odprowadzane jest w bazylice św. Brygidy w Gdańsku. To

właśnie ta świątynia, ze względu na swoje bliskie położenie przy Stoczni Gdańskiej, była bowiem związana z początkami niezależnego ruchu robotniczego.

– W roku, w którym obchodzimy tak ważną, 40. rocznicę porozumień sierpniowych, naszym obowiązkiem jest jeszcze mocniejsze przybliżanie wydarzeń tamtych dni. Solidarność to przede wszystkim ludzie,

którzy tutaj, na Pomorzu, walczyli o wolną Polskę. Pielęgnowując pamięć o Sierpniu '80, oddajemy im wszystkim hołd. Dlatego też, jako Grupa LOTOS, wspieramy w tym roku szereg inicjatyw związanych z tym jubileuszem – mówi Paweł Jan Majewski, prezes Zarządu Grupy LOTOS.

Wspominając przebieg strajków z sierpnia 1980 r. i zaangażowanie poszczególnych zakładów pracy na

Pomorzu, należy podkreślić znaczenie Gdańskich Zakładów Rafineryjnych (GZR) podczas tamtych dni. Przedstawiciele rafinerii istotnie przyczynili się do powstania Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego na terenie gdańskiej stoczni. Delegacja z rafinerii została owacyjnie powitana w sali BHP Stocznii im. Lenina. Strajkujący stocznioi wiedzieli, że załoga zajmująca się produkcją tak strategicznego produktu jak paliwo wzmocni pozycję demonstrujących przeciw komunistycznemu uciskowi.

Gdańskie Zakłady Rafineryjne w tamtym czasie były stosunkowo młodym przedsiębiorstwem, a jego załogę w dużej części stanowili pracownicy przybyli do



Wojciech Jamrozik, przewodniczący strajku w GZR FOT. RG

gdańskiej rafinerii

Gdańska z całej Polski. Wydarzenia Sierpnia '80 sprawiły, że pracownicy stworzyli zespół rozumiejących się ludzi, odpowiedzialnych za swój zakład pracy, ale przede wszystkim solidarnych. Ważne jest także, że większość pracowników zapisała się do pierwszego wolnego Związku Zawodowego „Solidarność”.

Patrząc na tamte wydarzenia, warto przypomnieć, jaka atmosfera panowała wśród mieszkańców Pomorza:

pełna wzajemnej życzliwości, entuzjazmu i poczucia jedności. Mimo zagrożenia królowała euforia podsycana poczuciem nieznaną dotąd wolności. Całe Trójmiasto żyło strajkiem, a Gdańsk przepełniały radość i nadzieja. Inaczej jednak należy

spojrzeć na to, co działo się w zakładach, bo mimo wiary w wygraną wszyscy zdawali sobie sprawę, że przez ówczesne władze strajk traktowany był jako sabotaż, co groziło więzieniem. Poza tym wszyscy obawiali się „bratniej” interwencji krajów tzw. ludowej demokracji. Tym strachem starano się sparaliżować protestujących. Nie udało się. Załoga nie dała się podzielić, bo wiedziała, że ma wsparcie społeczeństwa.

Już 14 sierpnia w różnych miejscach rafinerii rozpoczęły się dyskusje i formułowanie postulatów, które spływały z różnych wydziałów. Ostatecznie przygotowano 13 punktów, które dotyczyły podwyżki płac, dodatków płacowych, przeszerokowania,

podziału funduszu socjalnego, wolnych sobót, przydziału mieszkań itd. 16 sierpnia, dwa dni po stoczni, rozpoczął się historyczny protest w rafinerii, od wiecu w Centralnej Sterowni. Rozmowy z dyrekcją trwały z przerwami do godz. 14 i nie przyniosły żadnych ustaleń. Mimo próby zastraszenia pracowników już o godz. 16.15 zdecydowano się zatrzymać produkcję. Nie ustała jednak dystrybucja paliw dla miasta, zapewniająca funkcjonowanie służb miejskich.

Prawdziwe rozmowy z dyrekcją zaczęły się 20 sierpnia, a pracowników reprezentowała sześciuosobowa Rada Nadzorczo-Koordynująca wybrana z 36-osobowego Komitetu Przedstawicielskiego

Załogi GZR. Radzie przewodniczył Wojciech Jamrozik. Inni przywódcy strajkowi to m.in.: Grzegorz Ungier, Marek Skański, Jacek Kłys, Jan Wiśliński, Michał Marusik, Jacek Smereka, Bogdan Wyciechowski, Władysław Bielicki, Wiesław Wolski, Andrzej Zagazdon. Tadeusz Stanny został przedstawicielem GZR w Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym w Stoczni Gdańskiej, do którego rafineria przyłączyła się jako siódmy zakład wśród 350 firm reprezentowanych w MKS.

23 sierpnia rozpoczęto rozmowy z delegacją rządową, a 1 września 1980 r. (dzień po stoczni) podpisano porozumienie z Ministerstwem Przemysłu

Chemicznego, ze Zjednoczeniem Petrochemia i dyrekcją GZR, w którym wyrażono wolę realizacji wszystkich 13 postulatów. Strajk został zakończony

i w rafinerii rozpoczęły się zmiany. Płace zostały powiększone średnio o 500 zł i wprowadzono zasadę, że przeszerogowania będą odbywały się dwa

razy w roku. 15 września powołany został nowy dyrektor naczelny. Do NSZZ „Solidarność” GZR zapisało się ponad 1,6 tys. pracowników, a Jamrozik

został jej pierwszym przewodniczącym.

„Po podpisaniu porozumienia odzyskałmy część podmiotowości i rozszerzyliśmy sferę wolności w tym obcym nam systemie” – krótko i niezwykle trafnie podsumował tamte wydarzenia Grzegorz Ungier, jeden z przywódców sierpniowego strajku, a później wiceprzewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”. Dziś już wiemy, że nadzieje rozbudzone tamtym zwycięstwem zostały brutalnie zdeptane stanem wojennym wprowadzonym rok później, a na pełnię wolności Polacy musieli jeszcze długo czekać.

Niezwykle wzruszająco brzmią również słowa Jerzego Węsierskiego, członka Rady Nadzorczo-Koordynującej strajku '80. Twardo negocjował on z ówczesnymi władzami wprowadzenie 13 postulatów. Był reprezentantem rozgoryczonej załogi, która starała się polepszyć swój los i uczynić Polskę wolną. Podsumowując tamte lata, Węsierski pokusił się o taką oto refleksję: „Gdy wspominam Sierpień, nie mogę uciec od osobistych przeżyć po wprowadzeniu stanu wojennego. To, że zostałem skazany po strajku w grudniu '81, wiązało się z moją postawą w obu strajkach. Walczyliśmy wtedy o obecną rzeczywistość, którą młode pokolenia uważają za coś oczywistego. Jestem dumny, że miałem swój wkład w sierpniowe przemiany”.

Patrząc na to, jak Grupa LOTOS, również poprzez swoją fundację, z dużym zaangażowaniem wspiera wiele inicjatyw związanych z szacunkiem dla dorobku sierpniowych dokonań, można śmiało powiedzieć, że pamięć o bohaterach tamtych czasów będzie wiecznie żywa.



Strajkująca załoga w Centralnej Sterowni FOT. RG



Uroczyste złożenie podpisów członków Komitetu Przedstawicielskiego Załogi GZR FOT. RG



MACIEJ ROSALAK

Wszechogarniające poczucie wolności

Czterdzieści lat temu – w sierpniu i na początku września 1980 r. – władze komunistyczne uznały niezależny ruch związkowy, co było ewenementem w całym bloku sowieckim. 17 września 1980 r. powołano zaś ogólnokrajowy Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”. Wydarzenia te zapoczątkowały nieznany dotąd w PRL 16-miesięczny okres wolności, zwany karnawalem Solidarności...

Urodzony w niewoli, okuty w powiciu, ja tylko jeden taki sierpień miałem w życiu – często tak właśnie trawestowano w latach 80. Mickiewiczowskie strofy o wiośnie 1812 r. Tak zwany karnawał solidarnościowy porównywano też do listopada 1918 r. oraz do pierwszych dni Powstania Warszawskiego. Wielu ludzi wtedy jeszcze pamiętało początek tamtego Sierpnia '44... Owe momenty dziejowe łączyło przede

wszystkim wszechogarniające poczucie wolności.

Oto możemy nareszcie stanowić sami o sobie. Bez nadętej, nieudolnej, narzuconej z zewnątrz władzy. Bez cenzury. Bez strachu. Możemy mówić otwarcie o teraźniejszości i przyszłości, a także o przeszłości. Umacniać własną tradycję i tożsamość. Kto tego odzyskiwania ojczyzny nie przeżył, temu trudno pojąć niebywały entuzjazm panujący wówczas w społeczeństwie. Mimo braku towarów i innych codziennych uciążliwości Polacy byli dla siebie życzliwi, pomocni, solidarni właśnie, bo pełni nadziei.

Dzisiaj wiemy, że władza szykowała użycie siły dla zdławienia Solidarności od momentu jej powstania. Wtedy z goryczą, a nawet ze zdziwieniem (Dlaczego tak czynią? Przeciw Polsce?!) reagowaliśmy na ciągłą destrukcję ze strony komunistów. Opóźniali oni rejeestrację NSZZ „Solidarność”, pobili

działaczy w Bydgoszczy, prowokowali strajki itd., itp. W końcu na osiem lat zapadła noc generałów. Ocknęliśmy się z niej, to prawda, i żyjemy w wolnym kraju już tak długo, że młodzi szczęśliwie nie pamiętają poprzedniego ustroju. A także owego niebywałego entuzjazmu 16 miesięcy, którego w takim natężeniu nawet w 1989 r. już niestety wyraźnie brakowało.

Wielkim oczyszczającym przeżyciem dla narodu były ta stocznia i cały Sierpień '80. To się zdarzyło rok i kwartał po przeżyciu nie mniejszym, jakie wywołała pielgrzymka naszego papieża i słowa jego pierwszej homilii w ojczyźnie: – Niech zstąpi Duch Twój i odmieni oblicze tej ziemi... W Stoczni Gdańskiej ujrzałem właśnie, jak zstępuje.

To był przełom w naszych dziejach. Może na kilku poprzednich stronicach udało się nam przypomnieć choćby refleks owego wydarzenia. ©©

■ pierwszą turę obrad w Hali Olivia. Wśród wielu uchwał programowych najważniejszą było profetyczne „Postanie do ludzi pracy Europy Wschodniej”. Druga tura trwała od 26 września do 7 października. Wybrano na niej władze związku (Komisja Krajowa) z przewodniczącym (Lech Wałęsa – 55 proc. poparcia). Uchwalono program „Samorządna Rzeczpospolita”.

STRAJK W WARSZAWSKIEJ WOSP (Wyższa Oficerska Szkoła Pożarnicza) rozpoczęli w końcu listopada 1981 r. studenci-podchorążowie, protestując przeciw ustawie kierującej ich do tłumienia protestów społecznych. 2 grudnia antyterrorysty z bronią maszynową zaatakowali budynek natarciem z ziemi i desantem z powietrza, ujmując niestawiających oporu podchorążych. W odwodzie stały pięcioletnie oddziały ZOMO. Dziesięć dni później ruszyły do wojny z narodem. ©©

Maciej Rosalak



Wielkie tablice z 21 postulatami strajkujących na ogrodzeniu Stoczni Gdańskiej

FOT. KRZYSZTOF KORCZYŃSKI/EUROPEJSKIE CENTRUM SOLIDARNOŚCI

24x24



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Polki w kleszczach NKWD

Mały Borek znajduje się w samym sercu Puszczy Augustowskiej. 15 lipca 1945 r. pod tamtejszą gajówkę podjechał samochód ze zbirami z NKWD w środku. Leśniczy – Kazimierz Dobrowolski – był członkiem AK i wiedział, co mu grozi z rąk bolszewików. Na widok samochodu zadziałał instynktownie: wyskoczył przez okno i schronił się w lesie.

Sowietci, którym nie udało się schwycić Dobrowolskiego, wpadli we wściekłość. I w odwecie aresztowali jego żonę Kazimierę. Według jednej z relacji kobieta została zamknięta w stodole i ciężko pobita. A potem wywieziona w nieznane i zamordowana z zimną krwią. – Kazia zginęła za męża – powiedziała po latach jedna z jej sąsiadek.

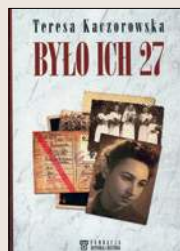
Kazimiera Dobrowolska była jedną z ofiar obławy augustowskiej, największej zbrodni przeciwko narodowi polskiemu po zakończeniu drugiej wojny światowej. Oddziały NKWD w lipcu 1945 r. w okolicach Augustowa i Suwałk aresztowały i zamordowały co najmniej 592 polskich patriotów. Sowietów w tej zbrodniczej operacji wspierali polscy

renegaci. Ubey i żołnierze ludowego wojska (nie)polskiego.

Tragiczną historię Kazimierzy Dobrowolskiej opisała w swojej książce „Było ich 27” Teresa Kaczorowska. To zbiór poruszających reportaży historycznych, które opisują losy 27 kobiet zgładzonych w ramach obławy.

Wśród nich znalazły się siostry – Celina i Wanda Dzienisiewiczówny z Filipowa. Dwie dzielne polskie dziewczyny, uprowadzone nocą przez NKWD i skrytobójczo zamordowane. Do dzisiaj, podobnie jak inne ofiary obławy, siostry nie mają mogiły. Ich bliscy nie mogą zapalić zniczy na ich grobach, zmówić modlitwy...

„Było ich 27” czytałem ze ściśniętym sercem. Warto wspomnieć, że to już kolejna książka Teresy Kaczorowskiej na temat obławy augustowskiej. Autorka pracując nad książką, wykonała benedyktyńską pracę detektywistyczną. Odwiedziła wszystkie wioski i miasteczka, z których 75 lat temu Sowietci wywieźli polskie ofiary. W ten sposób ocaliła bohaterki swojej książki przed zapomnieniem. ©©



★★★★★
TERESA
KACZOROWSKA
„BYŁO ICH 27”
FUNDACJA
HISTORIA
I KULTURA



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Mit admirała Unruga

Niewiele wiemy o tym, co działo się na stanowisku dowódcy Floty i Obrony Wybrzeża zaraz po 1 września 1939 r. Środowisko marynarskie było dość hermetyczne, zrobiono zresztą wiele, by adm. Józefa Unruga nie poddawano krytycznym ocenom. Pamiętano tylko, że idąc do niewoli, potwierdził, że czuje się Polakiem, odrzucając swoje niemieckie korzenie i pozostał w tym konsekwentny. Dlatego też w czasach PRL ogłoszono go bohaterem, a świętości nie należało szargać. Z punktu widzenia komunistów idealnie zresztą nadawał się na bohatera: nie walczył przeciwko Rosjanom i poddał się Niemcom wystarczająco szybko, by uzasadnić fakt, że gdy Polskę zaatakowali Sowietci, wojna była już przegrana.

Wrzeczywistości Unrug nie zasługiwał na miano bohatera, gdyż z powodu błędnych decyzji i zaniedbań utracił lotnictwo morskie, dwa najsilniejsze okręty nawodne i trzy podwodne (internowane w Szwecji). Być może wszystkie te błędy popełnili wyłącznie jego podwładni, jednak trudno w to raczej uwierzyć, a poza tym stawia to pod znakiem zapytania zdolności przywódcze Unruga. Istnieją szczątkowe relacje wyjaśniające dziwną bierność admirała. W pierwszych dniach września zamknął się w schronie nieopodal Jastarni, borykając się z „głębokim kryzysem psychicznym” oraz „z problemami

dermatologicznymi”. Te „problemy dermatologiczne” to łuszczycza: przewlekła, nawracająca choroba, pogłębiająca się w sytuacji stresowej, o bardzo przykrym przebiegu, a do tego utrudniająca kontakt z otoczeniem. Warto jednak pamiętać, że jego bierność w dowodzeniu wystarczyłaby do postawienia Unruga przed sądem wojennym z jedynym możliwym wyrokiem.

W Wojsku Polskim w 1939 r. było ponad 100 generałów i admirałów oraz kilkuset pułkowników dowodzących związkami taktycznymi. Trudno znaleźć jednak takiego, który dopuścił się tak wielu zaniedbań, popełnił tyle błędów i przez tak długi czas borykał się z „głębokim kryzysem psychicznym”. Atak serca, którego dostał gen. Kazimierz Fabrycy na fałszywą wieść o tym, że jego żona i córka zginęły w bombardowaniu, sprawił, że opuścił swoją armię. I to wystarczy, żeby przylgnęła do niego łatka tchórze.

Dowódcy dywizji z Armii „Łódź” odcięci od swoich wojsk, też są tchórzami. Generał Bortnowski, który rzucił Armię „Pomorze” na ratunek pozostawionym na przedpolu formacjom dawnego korpusu interwencyjnego, jest uznawany za nieudacznika. Natomiast adm. Unrug do dzisiaj pozostaje bohaterem. I jak tu nie wierzyć w skuteczność propagandy? ©©

Już 7 września w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

Doniecki

partyzant



Ołeksandr Demidow przyjęt na potrzeby partyzanckiej działalności pseudonim Sasza Wołkow
FOT. ARCHIWUM SASZY WOŁKOWA

Noc z 9 na 10 marca 2014 r. Plac Lenina w centrum Doniecka. Dwa dni wcześniej prorosyjscy aktywiści zajęli budynek administracji obwodu i rady miasta. Niebawem po przeprowadzonym pod lufami automatów „referendum” powołana do życia przez separatystów Doniecka Republika Ludowa miała ogłosić swoją suwerenność. Tej nocy losy miasta nie były jeszcze przesądzone. Na placu, wokół pomnika Lenina, powstało miasteczko namiotowe zwolenników opcji rosyjskiej.



Maciej Pieczyński

„Sasza Wołkow” zorganizował antyrosyjskie podziemie w okupowanym Doniecku. Torturowany przez separatystów, ledwo uszedł z życiem. Dołączył do radykalnego ruchu azowskiego i walczył dalej. Za ostry sprzeciw wobec idei pojednania z wrogiem trafił pod ukraiński sąd

Bronili „wodza rewolucji” przed agresją ukraińskich patriotów. W końcu Lenin to personifikacja rosyjskiej dominacji i sowieckiej przeszłości, a burzenie jego pomników (tzw. leninopad) stało się po Majdanie symboliczną praktyką odcięcia się od dominacji Moskwy.

„Okolo północy nieznani sprawcy w liczbie 15–20 osób przysli na plac i z chuligańską motywacją poprzewracali namioty” – mówił mediom przedstawiciel regionalnego oddziału MSW. „Przylecieli tutaj, zniszczyli nasz samochód, przysnęli gazem, roznieśli namioty. Widać, że byli dobrze zorganizowani. Wycofali się tak samo sprawnie i szybko, jak przysli. To wszystko trwało 5–10 minut. Wielu z nas ucierpiało od gazu pieprzowego” – relacjonował Aleksiej, komendant miasteczka namiotowego separatystów.

Grupą dywersantów dowodził Ołeksandr Demidow, który na potrzeby partyzanckiej działalności przyjął pseudonim Sasza Wołkow. O szczegółach akcji opowiedział kilka lat później dziennikarzom ukraińskiej telewizji Hromadske: „Tam stały namioty komunistów, Partii Regionów, DNR [Donieckiej Republiki Ludowej – przyp. M.P.]. Obok stały mikrobusy z ochroną. No, napadliśmy na nich nocą w 20–30 osób. Połamaliśmy wszystko, pobiliśmy (aktywistów), napadliśmy na ochronę w autobusach. Ochroniarze nawet nie zdążyli wysiąść, powybijaliśmy szyby i uciekliśmy”. Doniecki partyzant siał postrach wśród zwolenników „ruskiego świata”. Ale po kolei...

RADYKALIZM MA WE KRWI

Początek marca. Godzina 6. Pociąg z Kijowa zatrzymuje się na stacji w Doniecku. Zaspany „Sasza” budzi się i widzi skierowane w swoją stronę lufy automatów. Prorosyjscy bojownicy czekali na niego. Wiedzieli, że tym pociągiem z Majdanu będzie wracać do rodzinnego miasta grupa proukraińskich aktywistów, uczestników rewolucji. „Sasza” Demidow i jego koledzy byli obwieszani barwami żółto-błękitnymi i czarno-czerwonymi. Z daleka było widać, po której stanęli stronie w narastającym od miesięcy konflikcie. Separatyści zaprowadzili ich do budynku milicji. – Po drodze widziałem pełno flag rosyjskich czy DNR-owskich. To był szok, nawet jeśli wiedziałem, że już wcześniej Donbas był tylko de iure ukraiński, a faktycznie przejęty przez rosyjskie specsłużby – wspomina Demidow w rozmowie ze mną. Trzymali go

kilka godzin. Jak zapewnia, wtedy jeszcze nie bili, nie przesłuchiwali, po prostu przetrzymywali. Sytuacja była niepewna. W końcu, po protestach miejscowych proukraińskich aktywistów, separatyści wypuścili weterana Euromajdanu. „Sasza” postanowił walczyć.

Zebrał około 40 zaufanych osób – przyjaciół ze „środowiska futbolowego”. Demidow jest zapalonym ultrasem klubu piłkarskiego Szachtar Donieck, od lat należy do pseudokibicowskiej grupy The Club. Amatorsko ćwiczył boks. Trenował też specyficzną sztukę walki, jaką jest „walka na noże”. Fizjonomia „Saszy” też wzbudza respekt – postura strongmana, krótko ostrzyżone włosy, długa broda, złamany nos, liczne tatuaże. Wizerunek wręcz stereotypowy dla ukraińskiego nacjonalisty-radykała, krwawego banderowca, którym kremlowska propaganda od lat straszy swoich odbiorców. „Nawet na tle innych przedstawicieli ruchu azowskiego wyglądał jak prawdziwy zakapior, od stóp do głów wymalowany runami, »czarnymi słońcami« i najróżniejszymi swastykami” – taką sylwetkę Demidowa kreśli Władysław Malcew, rosyjski propagandzista. – Wytatuowałem sobie symbole pogańskie i związane z moim klubem piłkarskim. Nie jestem żadnym nazistą – zapewnia mnie Ołeksandr. Słowiańskie neopogaństwo jest powszechnym zjawiskiem w ruchu azowskim. W bazie pułku „Azow” trzy lata temu postawiony został posąg Peruna.

Jedno jest pewne: radykalizm ma we krwi. Pojechał na Majdan, by – jak mówi – „walczyć o swój kraj”. Od samego początku chciał dołączyć do skrajnie nacjonalistycznego, neobanderowskiego Prawego Sektora. Bynajmniej nie z powodu jakiejś pogłębionej refleksji ideologicznej. – To było wtedy modne. Prawy Sektor był bardzo radykalny i to mi się podobało. Nie chciałem brać udziału w żadnych pokojowych manifestacjach, chciałem się bić, rzucać koktajlami Mołotowa! – przyznaje „Sasza”.

Przed wojną pracował w fabryce produkującej lodówki, ukończył instytut architektoniczno-budowlany jako inżynier. Jednak to właśnie walka pociągała go najbardziej. Z pracy się zwolnił, by pojechać na Majdan. Po zwycięskiej rewolucji wrócił do rodzinnego Doniecka, by kontynuować walkę. Choć iza identyfikuje się jako ukraiński patriota, sam jest rosyjskojęzyczny. To jednak nie jest na Ukrainie nic dziwnego. Szczególnie w środowisku ruchu azowskiego, który powstał na wschodzie kraju. O swoich moty-

wacjach opowiada z dużym emocjonalnym zaangażowaniem. – Chciałem obronić swoją ojczyznę, swój kraj, swoją rodzinę przed kacapami. Do mojego Doniecka przyjechali ze Wschodu skurwiele z brodami, brudne, śmierdzące kreatury! – mówi mi z nienawiścią w oczach. – Wiesz co to jest rusek?! – pyta retorycznie i nie czekając na moją reakcję, odpowiada: – To suka, pies, syn prostytutki i alkoholika! Ruscy przyjechali na naszą ziemię, by zabijać i gwałcić!

Akcje dywersyjne na kontrolowanym przez prorosyjskich separatystów terenie prowadził przez blisko dwa miesiące. Władze tzw. Donieckiej Republiki Ludowej wyznaczyły nagrodę za pomoc w schwytaniu „Saszy Wołkowa”. Przez długi czas jego prawdziwa tożsamość była nieznana. Pewnej nocy, wracając do domu po kolejnej akcji, zobaczył w swojej okolicy dużą grupę uzbrojonych po zęby bojowników DNR. – Mieli przy sobie pałki, karabiny, topory, wyglądali jak żywcem wyjęci ze średniowiecza – wspomina Demidow. – Jednego z nich znałem, więc zapytałem: „Co się dzieje, Artiom?”. On na to: „Gdzieś tu jest sztab prawoszków [pogardliwie o działaczach Prawego Sektora – przyp. red.]”. Powiedziałem, że nic o tym nie wiem, życzyłem koledze powodzenia i poszedłem do domu spać. Ale wtedy zrozumiałem, że w końcu mnie dorwają – dodaje. Od razu się spakował i pojechał do innego mieszkania.

W NIEWOLI U SEPARATYSTÓW

Jakiś czas później jechał nocą na umówione spotkanie. Wiózł go znajomy. Był środek nocy. Po drodze Demidow dostał telefon, że spotkanie jest przełożone o kilka godzin. – Poprosiłem znajomego, żeby zatrzymał się na chwilę. Stanęliśmy w małej wiosce pod Donieckiem. Do spotkania zostało trochę czasu, więc chciałem pospać w samochodzie. Wtedy byłem potwornie zmęczony, nie spałem od paru dni, więc te pięć godzin snu było dla mnie zbawieniem – opowiada. Kolega poszedł po kawę, a „Sasza” zasnął. Po jakimś czasie obudził go hałas ożywionych rozmów wokół samochodu. Była jeszcze noc. Wysiadł i zobaczył swojego kolegę w otoczeniu jakichś ciemnych sylwetek nieznanymi osobami. – Podszedłem bliżej, żeby zorientować się, co się stało. Kiedy zobaczyłem jego przestraszoną twarz, zrozumiałem wszystko. Nie zdążyłem nawet rozzejrzeć się wokół, kiedy dostałem silne uderzenie w tył głowy. Upadłem na ziemię. Zaczęli mnie bić, kopać, po czym wykręcili ręce, związali i zawlekli do samochodu – wspomina.

Z niewoli u separatystów ledwo uszedł z życiem. Był torturowany. Pozbawiany snu. Bili kijami, pięściami do utraty przytomności. Gdy ją odzyskiwał, bili znów. Jak mówi „Sasza”, prawie się do tego przyzwyczaił. Jednak najgorszą torturą było duszenie workiem foliowym. – Wiążą ci ręce, zakładają reklamówkę na głowę i duszą. Na krótką chwilę przestajesz oddychać i czujesz, jakby twoje płuca rozrywały się na kawałki. To dzięki ból! Gorsze jest pewnie tylko ucinanie kończyn – wspomina.

Od kiedy go złapali, był pewien, że to już koniec. Nie wierzył, że przeżyje. Marzył tylko o tym, żeby śmierć była szybka i bezbolesna. – Bałem się, że utną mi głowę. Byliby do tego zdolni, bo Rosjanie to tchórzliwi i okrutne bydlaki! – mówi. W pewnym momencie jeden z torturujących go separatystów przystawił mu pistolet do skroni. „Chwała Bogu, wreszcie koniec” – odechnął „Sasza”. Jednak nie miał racji. Chcieli go tylko wystraszyć. DNR-owiec stwierdził, że to na pewno „Wołkow”, bo widać, że nie boi się śmierci. – Było im przykro, że „Sasza” się nie rozplakał ze strachu. Zbluzgałem ich: „Suki! Tak żeście mnie zamęczyli, że kurwa marzę o śmierci! Zabijcie mnie na chuj, byle szybciej, proszę!”. Pomilczeli, popatrzyli na siebie, potem na mnie i nic. Nie chcieli strzelać – opowiada „Wołkow”.

Demidow nie był jedynym, którego separatysty schwytali jako przywódcę donieckiej partyzantki. Oprócz niego do niewoli dostał się także inny proukraiński dywersant, Żenia. DNR-owcy nie byli pewni, który z nich to prawdziwy, owiany złą sławą „Sasza Wołkow”. Demidow nie chciał się przyznać. Jak sam zapewnia, ze strachu o swoją, wciąż mieszkającą w Doniecku, rodzinę i bliskich. – Żenia miał tego pecha, że zawsze bardzo chciał być liderem partyzantki. Wszystkim o tym opowiadał, również tym, którym nie powinien. Dlatego go złapali. Nie miałem mu za złe tych ambicji, sam bym chętnie oddał komuś swoje przywództwo, bo naprawdę lekko nie było – tłumaczy Demidow. – Separatysty mieli dużo zeznań, że „Wołkow” to Żenia. Męczyli go, aż się przyznał. Nie wiedział jednak, jakie będą konsekwencje. Wywieźli go do Słowiańska i tam rozstrzelali.

To był czas, gdy jeszcze koordynacja nie była najlepszą stroną prorosyjskich sił w Donbasie. Gdy wiadomość o egzekucji „Wołkova” dotarła do przetrzymujących go DNR-owców, byli skonsternowani. Wychodziło na to, że torturowali niewinnego

Od kiedy go złapali, był pewien, że to już koniec. Marzył tylko o tym, żeby śmierć była szybka i bezbolesna

człowieka. Przez kilkanaście minut zastanawiali się, co robić. W końcu, skruszeni, uwolnili Demidowa i odwieźli pod sam rodzinny dom. Potwornie zmęczony „Sasza” zdążył wejść do mieszkania rodziców na trzecim piętrze, zmyć krew i się przebrać, kiedy usłyszał od ciotki: „Przyjechali po ciebie!”. Nie minęła nawet godzina. Separatysty najwyraźniej już się zorientowali, że jednak zabili niewinnego człowieka, a wypuścili winnego. „Sasza” wybiegł na poddasze. Schował się w zsypie na śmieci. Kiedy przeszukiwali mieszkanie rodziców, „doniecki partyzant” przedostał się przez poddasze do innej klatki, wybiegł na zewnątrz. Zadzwoił do przyjaciela, który walczył po stronie ukraińskiej. Szybko udało się zorganizować ewakuację.

PRZED WSZYSTKIM WALKA

Chciał kontynuować walkę ramieniem z towarzyszami broni z Majdanu. Jednak oddziały Prawego Sektora dopiero się formowały. Dlatego dołączył do batalionu „Donbas”. Po jakimś czasie znalazł się w szeregach osławionego „Azowa”. Dziś identyfikuje się właśnie z radykalnie nacjonalistycznym ruchem azowskim. Polityczną emanacją ruchu jest partia Korpus Narodowy. Przywódcą azowców jest Andrij Bilecki, nazywany „białym wodzem”, w przeszłości lider kilku organizacji o profilu narodowym czy narodowo-socjalistycznym. Podobnie jak inne tego typu ugrupowania na Ukrainie ruch odwołuje się do kultu OUN-UPA, ale także – przez swój raczej wschodnio- niż zachodnioukraiński rodowód (sam Bilecki pochodzi z Charkowa) – do Kozaczyzny. Korpus Narodowy opowiada się za utworzeniem bloku państw Międzymorza, w sojuszu z Polską, a przeciwko zachodniemu liberalizmowi oraz rosyjskiemu imperializmowi. Siłą polityczną jest marginalną, ale zapisał heroiczną kartę w dziejach walk z separatystami.

Demidow nie wchodzi w niuanse historycznych czy geopolitycznych sympatii bądź antypatii ruchu azowskiego. Interesuje go przede wszystkim walka z wrogiem – im bardziej zacieka, tym lepiej. Na froncie

znalazł się w swoim żywiole. Szczególnie jako żołnierz bezkompromisowego „Azowa”. Strzelał do wrogów bez zawahania i bez wyrzutów sumienia. – Jako ludzie określonych poglądów i doświadczeń nie tylko chcieliśmy zabijać ruskich, ale wręcz rywalizowaliśmy o to, kto ich więcej zabije – mówi. Jego nienawiść ma wręcz wymiar sakralny: – Jak zabijasz kacapa, masz plus 20 do karmy. To takie uczucie, jakby Bóg się do ciebie uśmiechał, bo zbawiłeś świat od części zła. Rosjanin to nie człowiek, to diabeł, demon! Dla mnie to nie jest zwykła wojna, tylko święta wojna. Zabijając w obronie ojczyzny to był mój obowiązek. Nie zawahałem się ani przez chwilę. Nie czułem żadnych wyrzutów sumienia, tylko ogromną radość, szaloną euforię.

Na pytanie o Polaków odpowiada równie emocjonalnie jak wtedy, gdy mówi o Rosjanach. Tyle że wektor emocji zmienia się całkowicie. – Nie wiem dlaczego, ale jakoś tak intuicja podpowiada mi, że Polacy to moi bracia. Nie są wrogami ani rywalami. Co było, to było, trzeba zapomnieć i żyć dalej. To Rosja jest prawdziwym zagrożeniem dla naszych narodów! – mówi.

W marcu tego roku Serhij Siwocho, doradca szefa Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy, zaprezentował na spotkaniu z dziennikarzami plan tzw. narodowej platformy pojednania i jednoci. Jej założeniem miał być dialog między Ukraińcami żyjącymi po obu stronach frontu w Donbasie. Taka symetryzująca retoryka wywołała wściekłość weteranów ATO. Na spotkanie z Siwochą przyszło trzech działaczy tzw. ruchu azowskiego. Między innymi Demidow. „Mam moralne prawo mówić o pojednaniu albo o wojnie, a jakie ty masz prawo, watny clownie, który przez pięć lat siedział w Kijowie, kiedy toczyła się wojna, i chodził do 95. Kwartalnu?” – pytał wściekły Demidow. „Watny” odnosi się do słowa „watnik” (ten, który nosi waciak, czyli kufajkę). W potocznym języku rosyjskim oznacza ono ślepo oddanego zwolennika Władimira Putina i imperialnej Rosji. Trudno o cięższą obelgę w ustach weterana walk z prorosyjskimi separatystami. Azowcy rzucili się na urzędnika. Siwocho został popchnięty i upadł na ziemię. Na nagraniach ze zdarzenia widać, że Demidow nie brał udziału w pobiciu. Niemniej pod sąd trafiła cała trójka. Za ostry sprzeciw wobec pojednania z wrogiem bohaterowi walk o integralność terytorialną Ukrainy grozi ukraińskie więzienie.

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**Kulisy wielkiej
afery szpiegowskiej
II RP**

Piotr Zychowicz – **Z Niemcami na Moskwę?**
Stanisław Żerko – **W obronie Józefa Becka**
Charles Fishman – **Amerykanie na księżycu**
Sławomir Koper – **Erotyczne skandale Kiepur**
Arkadiusz Karbowski – **Jak zamordowano Mussoliniego**
Jacek Bartosiak – **Polacy na linii Niemna**
Sławomir Cenckiewicz – **Piłsudski i Rozwadowski**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Gianluigi Paragone, szef Italexitu, przekonuje, że uda mu się wyrwać Włochy z „klatki Unii Europejskiej i wspólnej waluty” FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Włoski Farage



Piotr Włoczyk

Włosi coraz chętniej biorą pod uwagę opuszczenie Unii Europejskiej. Nowo powstała partia Italexit chce powtórzyć wielki sukces Nigela Farage’a i powiedzieć Brukseli: „Arrivederci”

Gianluigi Paragone nie ukrywa, że jego pomysł na politykę to kalka strategii Nigela Farage’a, najsłynniejszego brytyjskiego eurosceptyka, który dorobił się miana „architekta brexitu”. Nic dziwnego więc, że najważniejszą akcją marketingową podczas inauguracji jego partii Italexit było zdjęcie uśmiechniętego od ucha do ucha Farage’a trzymającego w rękach koszulkę z napisem „Italexit”. W ten sposób 23 lipca powołany został do życia ruch

polityczny, który za zadanie stawia sobie przecięcie wszelkich więzów między Rzymem a Brukselą.

„Nie możemy być dłużej szantażowani przez kraje, które obrażają wielki prestiż Włoch. Tylko suwerenny kraj, jak Wielka Brytania, jest w stanie stawić czoło kryzysowi ekonomicznemu wywołanemu przez pandemię” – przekonywał swoich zwolenników 48-latek Paragone. Z Farage’em, oprócz szczerej niechęci do Unii Europejskiej, łączy go ogromne doświad-

czenie medialne. Przed objęciem fotela senatora Paragone był dziennikarzem telewizyjnym, m.in. prowadził polityczny talk-show „L’ultima parola”. Dziś ciężko go rozpoznać na kadrach sprzed lat – ogolony na łyso, za to z brodą, Paragone mało przypomina siebie samego z czasów kariery w telewizji.

Szef Italexitu przekonuje, że uda mu się wyrwać Włochy z „klatki Unii Europejskiej i wspólnej waluty”. Paragone czuje dziś wiatr w żaglach, bo – choć nastroje eurosceptyczne narastały we Włoszech od lat – powszechnie krytykowana reakcja Brukseli na pandemię sprawiła, że jeszcze więcej Włochów ma już serdecznie dość UE. „Inni chcą zmienić Europę, my chcemy z niej wyjść” – deklaruje jasno Paragone.

GŁOS RYBAKA

W wielkiej włoskiej polityce pojawił się w 2018 r. Podczas ostatnich wyborów

parlamentarnych we Włoszech dostał się do senatu z ramienia lewicowego, eurosceptycznego Ruchu Pięciu Gwiazd. Ta przygoda nie trwała jednak długo. Wyleciał z niego z hukiem, gdy nie zgodził się na zmianę sojusznika politycznego z Ligi Północnej Matteo Salvini'ego na prounijną, centrolewicową Partię Demokratyczną. Od stycznia tego roku jest więc senatorem niezależnym i buduje wokół siebie ruch stawiający przed sobą jeden cel. Cel, o którym inni boją się mówić wprost, nawet Matteo Salvini i jego Liga Północna (zwana też po prostu Ligi), która od blisko dwóch lat wiedzie prym we włoskich sondażach.

Liga jest zdecydowanie eurosceptyczna, ale nie bierze wyjścia z UE na sztandary. Sam Salvini umiejętnie gra na antyunijnych nastrojach Włochów, jednak nie deklaruje wprost, że chciałby wyprowadzić swój kraj z UE. Chociaż zdarzają mu się komentarze, które muszą wywoływać w Brukseli alarm.

„Albo jest się w środku, zmieniając reguły tej Europy, albo – jak powiedział mi pewien rybak – ludzie, zróbmy jak Anglicy; albo reguły się zmienia, albo nie ma sensu siedzieć w klatce, w której nie pozwalają ci być rybakiem, lekarzem czy badaczem” – powiedział Salvini w lutym tego roku.

Jak komentował to dziennik „Corriere della Sera”, szef Ligi Północnej wygłosił tę opinię tuż po tym, gdy na spotkaniu z korespondentami zagranicznymi w Rzymie podkreślał, że priorytetem dla jego partii nie jest wyjście z UE, tylko pobudzenie włoskiej gospodarki, od lat znajdującej się w kompletnej stagnacji.

Z kolei prawicowa partia Bracia Włosi (w sondażach trzecie miejsce ex aequo z Ruchem Pięciu Gwiazd – ok. 15 proc. poparcia) jest jeszcze bardziej eurosceptyczna niż Liga Północna, ale również ona nie prze na razie jednoznacznie do wyprowadzenia Italii z UE.

„Jest za wcześnie, by oszacować prawdziwy potencjał wyborczy partii Italexit” – powiedział portalowi Euronews dr Mattia Zulianello, włoski politolog wykładający na University of Birmingham. „Włoski system partyjny jest już pełen przeróżnych partii bardzo krytycznych wobec UE: Liga, Bracia Włosi i Ruch Pięciu Gwiazd. Te partie mają duże poparcie społeczne i szanse na powodzenie dla Italexitu zależą od jej zdolności do »kradzieży« ich wyborców. Istnieje wiele odcieni eurosceptycyzmu. Wzrost sprzeciwu wobec funkcjonowania UE wcale nie musi oznaczać poparcia dla Italexitu.

Z olbrzymiego euroentuzjazmu Włochów, założycieli europejskiej wspólnoty, zostało dziś bardzo niewiele.

W kwietniowym sondażu 42 proc. respondentów opowiedziało się za wyjściem z UE

Eurosceptycyzm to wielowymiarowy fenomen. Tu nic nie jest czarne czy białe” – tłumaczy dr Zulianello.

SONDAŻOWE TĄPIENIE

Teoretycznie nastroje społeczne we Włoszech sprzyjają Paragone. Jeszcze 18 lat temu tylko Luksemburg wyprzedzał Włochy na liście społeczeństw europejskich najbardziej pozytywnie patrzących na UE. Aż 79 proc. Włochów odnosiło się wówczas z ufnością do Unii.

Od tamtej pory poparcie Włochów dla UE tylko spada. Złożyło się na to wiele przyczyn: wprowadzenie wspólnej waluty i spowodowana tym stagnacja gospodarcza, liberalna polityka migracyjna unijnych elit, które nic nie robiły sobie przez lata z obaw Włochów, wreszcie poczucie kompletnego opuszczenia przez Brukselę w samym środku pandemii COVID-19. Nawet unijne elity zrozumiały w końcu, że Włosi naprawdę mają już ich dość. Widząc, jak źle to wygląda, Ursula von der Leyen zdecydowała się przeprosić Włochów za pozostawienie ich bez pomocy wobec tragedii spowodowanej przez koronawirusa.

Z olbrzymiego euroentuzjazmu Włochów, założycieli europejskiej wspólnoty, zostało dziś bardzo niewiele. W sondażu przygotowanym w kwietniu tego roku przez włoską firmę badawczą Tecne 42 proc. respondentów opowiedziało się za wyjściem z UE. 44 proc. było za pozostaniem we wspólnocie, a 14 proc. uczestników badania nie miało na ten temat zdania. W ciągu zaledwie dwóch lat dokonał się w tej kwestii przełom, skoro jeszcze w 2018 r. tylko co czwarty Włoch chciał opuścić UE.

Szczególnie ciekawie wygląda w tym kontekście sondaż przygotowany w lipcu tego roku na zamówienie Euronews. Zbadano w nim podejście Włochów,

Francuzów, Hiszpanów i Niemców do UE. Respondentów zapytano, czy byłiby bardziej skłonni opuścić Unię, gdyby za pięć lat okazało się, że brexit był gospodarczym sukcesem. 45 proc. Włochów odpowiedziało „tak”. W przypadku Francuzów i Hiszpanów odsetek ten był jednak tylko niewiele niższy i wynosił odpowiednio 38 proc. i 37 proc. Z perspektywy unijnych elit najlepiej wypadli tu Niemcy, spośród których tylko 30 proc. odpowiedziało „tak”. Co więcej, 43 proc. Włochów uważa, że brexit wyjdzie w dłuższej perspektywie Brytyjczykom na dobre. Przeciwnie uważa 25 proc. osób, a zdania w tej sprawie nie ma co trzeci Włoch.

Włosi mieli w szczycie pandemii, kiedy powszechnie stosowano niszczący gospodarkę lockdown, szczególnie za złe UE zbywanie dyskusji na temat wspólnotowych obligacji. Ostatecznie jednak taki mechanizm walki z ekonomicznymi skutkami koronawirusa został wdrożony i Włosi staną się jego głównym beneficjentem. Jak ogłosił po ostatnim szczycie przywódców państw UE zadowolony premier Giuseppe Conte, 28 proc. unijnego funduszu koronawirusowego trafi właśnie do Włoch. Szczyt, będący z perspektywy Włoch pełnym sukcesem, zakończył się 21 lipca. Tymczasem Paragone ogłosił start swojego antyunijnego projektu zaledwie dwa dni później. Jak wskazywali eksperci, był to, delikatnie rzecz ujmując, mocno nietrafiony moment na promocję Italexitu. Na razie Paragone nie ma powodów do triumfu. Jak pokazuje sondaż wykonany przez Istituto Piepoli, partia monotematyczna z italexitem na sztandarach ma szansę zdobyć poparcie co najwyżej 7 proc. wyborców. Bardzo wiele zależy tu od kondycji włoskiej gospodarki i postrzegania przez Włochów wpływu wspólnej waluty na radzenie sobie z kryzysem.

– Obawiam się, że niechęć do UE zwiększy się jesienią, kiedy prawdziwy obraz kryzysu ekonomicznego będzie już w pełni widoczny – mówi dr Zulianello. Jak prognozuje Międzynarodowy Fundusz Walutowy, włoska gospodarka skurczy się w tym roku o ponad 9 proc., a relacja długu do PKB wzrośnie o 20 punktów procentowych i osiągnie 156 proc. Można w ciemno obstawiać, że im gorzej będą wyglądały te liczby, tym głośniejsze będzie o ruchu włoskiego fana Nigela Farage’a.

ZAATAKOWANI BALONAMI

Białoruskie siły powietrzne poderwały śmigłowce Mi-24 w związku z „próbą naruszenia granicy powietrznej” tego kraju. Okazało się, że chodziło o osiem balonów z „symboliką antypaństwową”, które wypuszczono z Litwy (w rejonie oszmiąńskim). Dzielne siły Białorusi zwalczyły balony – jak zaznaczono w komunikacie – bez użycia broni. Natomiast Litwini wezwali ambasadora Białorusi, bo pilot śmigłowca tego kraju naprawdę naruszył granicę państwową Litwy podczas antybalonowej operacji.

TAK HAJLUJĄ BELGOWIE

Gdy polscy dziennikarze muszą ugańiać się po lasach, by nagrać neonazystów na tajnych spotkaniach, w Belgii wystarczy pójść na komisariat policji. Właśnie ujawniono nagrania z kamer przemysłowych sprzed dwóch lat, dotyczące zatrzymania na lotnisku obywatela Słowacji (zmarł dwa dni



PREZYDENT Z KARABINEM

Na Białorusi ostatnio nie jest śmiesznie, ale bywa groteskowo. Wyciekło bowiem do sieci nagranie prezydenta kraju, który w okresie poważnego kryzysu w państwie wysiada z helikoptera i niesie karabin kałusznikow. Co oznacza głowa państwa drepcząca w Mińsku z automatem na ramieniu i w kamizelce kuloodpornej? Że nie ma dobrej ochrony czy może że chce straszyć ludzi tym, iż sama wejdzie na barykadę z karabinem i bronić będzie sfałszowanych wyborów?

FOT. STATE TV AND RADIO COMPANY OF BELARUS/APFEST NEWS

po interwencji na atak serca). Na filmie widać, jak belgijscy policjanci obezwładniają Słowaka, a policjantka wykonuje przy tym nazistowski gest pozdrowienia i dodatkowo przykłada dwa palce mające imitować wąs Hitlera. Belgijski minister sprawiedliwości uznał zachowanie policjantów za „nieodpowiednie”.

TRUMP ROZJECHAŁ OPONY

W Ameryce awantura. Jeden z pracowników koncernu Goodyear był na szkoleniu o tolerancji itp. Nie

spodobał mu się jeden ze slajdów prezentacji. Mówił o ludziach, którzy nie są mile widziani w firmie. Mieli to być m.in. propagujący hasło „Make America Great Again” – czyli wyborcze hasło Donalda Trumpa. Prezydent USA skwitował to na Twitterze prostą zachętą: „Nie kupujcie opon Goodyear”, co spowodowało natychmiastowe odcięcie się od slajdu szefostwa oponiarskiego koncernu.

OCHRONNE OCZY NA KROWIM TYŁKU

Organizacja zajmująca się ochroną przyrody w Botswanie zainicjowała nietypowy projekt. Ponieważ rolnicy zabijali za dużo lwów, które zjadały ich bydło, zaczęto rysować farbą na zadkach krów imitację oczu. W ten sposób drapieżniki – myśląc, że ofiara je widzi – atakowały rzadziej. Czteroletnie badania terenowe wskazały, że lwy zabiły 15 sztuk bydła niepomalowanego z grupy kontrolnej i żadnego z namalowanymi oczami. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Groźne zabawy sułtana

Pierwszy bizantyński kościół Świętego Zbawiciela na Chozie, nazywany stambulskim „kościółem za murami”, rozkazem autokratycznego władcy Turcji przemienił się w meczet. XIV-wieczne freski zostaną zakryte lub zniszczone. Recep Tayyip Erdoğan kolejny raz wykorzystuje słabość tradycyjnej Europy, aby wymazać ślady cywilizacji greckiej i chrześcijańskiej, wzmocnić swą pozycję wewnętrzną – mocno osłabioną przez kryzys gospodarczy – i wykreować się na nowego islamskiego „zdobywcę”.

Niedawna przemiana w meczet słynnej Hagii Sophii odbiła się co

prawda na świecie głośnym echem, ale reakcje Zachodu, w tym Watykanu, uwiarydociły słabość wstydzających się chrześcijańskiej tożsamości Europejczyków.

Zwycięstwa w wojnie kulturowej rozzuchwiliły sułtana Turcji, który planuje już podbój gospodarczy i grozi akcją zbrojną. Według francuskiego „Le Monde” jeszcze w maju, w rocznicę zdobycia Konstantynopola, w będącej wówczas jeszcze muzeum bazylice Świętej Zofii odczytana została sura Koranu zwana „Podbój”. Tego samego dnia Turcy ogłosili, że będą poszukiwać ropy i gazu na greckich wodach terytorialnych. I kon-

sekwentnie ku temu zmierzają, wysyłając na miejsce wojsko i statki badawcze, za nic mając sprzeciw Greków czy ostrzeżenia Niemców, że taka „zabawa z ogniem” może doprowadzić do katastrofy.

Erdoğan wie, że Europie nie będzie łatwo go powstrzymać. Z chrześcijanami walczą bowiem nie tylko wybrani liderzy krajów islamu, lecz także – w samej Europie – liderzy środowisk liberalno-lewicowych. Wbijające homomonda zapominają jednak, że w kilkudziesięciu krajach muzułmańskich czeka ich więzienie, a w Iranie, Jemenie czy Arabii Saudyjskiej niestety wciąż grozi im śmierć. ©©

Forum Ekonomiczne 2020



8 - 10 WRZEŚNIA 2020, KARPACZ

Województwo Małopolskie
Główny Partner
Forum Ekonomicznego

EUROPA PO PANDEMII: SOLIDARNOŚĆ, WOLNOŚĆ, WSPÓLNOTA?



Organizowana od prawie 30 lat, najważniejsza konferencja w Europie Środkowo-Wschodniej.



Liderzy świata polityki i biznesu z Europy, Azji i USA.



Ponad 150 debat - makroekonomia, biznes i zarządzanie, energetyka, innowacje.



Najbardziej znane miejsce spotkań elit gospodarczych w tej części Europy.



Znajdź nas
na Facebooku! 

■ www.forum-ekonomiczne.pl
■ kontakt: forum@isw.org.pl

Kilka dni temu dwie historie – wspaniałej osobistej kariery, sportowych sukcesów i finansowych nagród za właściwe inwestowanie – splotły się w jedno. Finał Ligi Mistrzów wygrał Bayern Monachium, w którym błyszczy Robert Lewandowski (wygrał go z francuskim Paris Saint-Germain).

Pierwsza z tych historii jest dla Polaków niezwykła. Chyba nie mieliśmy jeszcze takiego piłkarza, który uznawany byłby za najlepszego na świecie. Dzisiaj tak jest. Robert Lewandowski zdaniem ekspertów jest obecnie numerem jeden.

Nie będzie miał jednak „formalnego” potwierdzenia tego sukcesu. Prestiżowy konkurs „Złota piłka”, w którym wcześniej nie przyznano mu głównej nagrody (znów zdaniem wielu – niesłusznie), w tym roku został bowiem odwołany. Kibice nie mogli się z tym pogodzić. Zwłaszcza kibice z Polski, którzy po finale Ligi Mistrzów odczuli, że ogromne szanse na wygraną Polaka w plebiscycie jeszcze by wzrosły. Blisko 200 tys. osób podpisało już w sieci petycję o zmianie decyzji w sprawie plebiscytu („Reverse the Decision to Cancel the 2020 Ballon d’Or”), ale stanowisko organizatora, czyli redakcji „France Football”, pozostaje nieugięte.

– Pod względem eksperckim bardzo trudno oceniać, kto jest najlepszym piłkarzem w historii, bo przez lata zmieniały się choćby przepisy czy taktyka i zadania zawodnika na boisku. Zależy więc, pod jakim kątem spojrzeć, to bardzo trudna ocena. Jeśli patrzeć na sam piłkarski talent, to za mojego życia nie widziałem lepszego niż Messi. Z kolei w drużynie narodowej on niewiele zdziałał – mówi „Do Rzeczy” Jacek Gmoch, legendarny trener piłkarski. – Robert Lewandowski jest piłkarzem polskim, który najwięcej osiągnął w historii, jeśli chodzi o grę klubową. Jeśli zaś wyliczać polskich piłkarzy najlepszych w historii w ogóle, to mam czterech faworytów po kolei: Lato, Deyna, Boniek i Lewandowski. Lato miał trzecie miejsce na mistrzostwach świata z reprezentacją oraz srebro i złoto olimpijskie. To samo Deyna, ale Lato był jeszcze królem strzelców MŚ w 1974 r. Boniek również był trzeci na MŚ i zarazem bohaterem mistrzostw w Hiszpanii. Zdobył też klubowy puchar z drużyną. Brakuje mu za to medali z olimpiady. Z kolei Lewandowski nie ma sukcesów związanych z reprezentacją Polski. Gdyby je miał, można by było rozważać, czy nie jest w ogóle najlepszym piłkarzem w naszej historii – dodaje.



Jak grać



Łukasz Zboralski

Robert Lewandowski osiągnął życiowy cel i znów podbił wartość własnej marki. A jego niemiecki klub udowodnił, że inwestować trzeba nie tylko dużo, lecz także roztropnie



Lewandowski na długo przed wygraną Ligi Mistrzów (i odebraniem tytułu Króla Strzelców LM – zdobył w tym sezonie LM aż 15 bramek i był blisko wyrównania rekordu Cristiano Ronaldo, który w sezonie 2013/2014 umieścił piłkę w bramce 17 razy) zbudował potężną markę. Jego wartość piłkarska – według szacunków z wiosny – wynosi 75,6 mln euro.

ZAINWESTOWAĆ SUKCES

Poza piłkarskim kapitałem ma jeszcze kapitał marketingowy – jego rozpoznawalność w Polsce sięga 95 proc. Dlatego jest cennym kąskiem dla marek, które chcą wypromować swój produkt. Lewandowski już dawno temu stał się twarzą reklamową chińskiego koncernu Huawei, T-Mobile czy reklamował szampon Head & Shoulders. Jego miesięczne przychody – zarówno te z boiska, jak i te z wpływów reklamowych – szacuje się na ok. 100 mln zł rocznie.

Spekuluje się, że same kontrakty reklamowe przynoszą mu 4–6 mln zł co roku.

Jego ostatni sukces może tych marketingowych zalet już nie zwiększać. Według ekspertów osiągnął już taki pułap, że coraz mniej marek będzie po prostu na niego stać. Jego powodzenie zacznie w pewnym momencie być szklanym sufitem.

Jednak Lewandowski robi wiele, by majątek, który teraz gromadzi z żoną, pomnażać. Ostatni pomysł mają na branży restauratorską. Piłkarskie małżeństwo zostanie współudziałowcami restauracji, która powstanie na jeziorze Niegocin. Inwestycja pochłonie 71 mln zł, w tym znajdzie się 41 mln dotacji z Unii Europejskiej. W tej branży Lewandowski inwestują też w stolicy – w luksusowy lokal w Browarach Warszawskich.

Z samą branżą nieruchomości „Lewy” związał się już pięć lat temu. Wszedł do firmy deweloperskiej LS Investments, budującej apartamenty na Mazowszu. Oprócz tego sam kupuje pojedyncze lokale w dobrych lokalizacjach.

Jednym z ostatnich ruchów było też wejście w branżę gier komputerowych. W sierpniu Lewandowski podpisał umowę z firmą Movie Games. Zgodnie z umową piłkarz będzie udziałowcem w spółce zależnej, która ma zająć się produkcją gier sportowych. Tutaj ma być nietypowo. – Wszystkie najpopularniejsze gry piłkarskie skupiają się na tych kluczowych 90 minutach, my chcemy przedstawić pozostałe 22 i pół godziny oczekiwania na to wydarzenie. Takich gier, luźno inspirowanych formą popularnych seriali dokumentalnych o zespołach piłkarskich i nie tylko, pokazujących historie zza kulis, jeszcze nikt nie robił, co stawia nas w bardzo uprzywilejowanej pozycji – mówił Filip Szklarzewski, prezes przyszłej spółki.

Jak wyliczył portal StrefaInwestorow.pl, Lewandowski w tym roku zainwestował też w aplikację mającą służyć do sprzedaży i kupna używanej odzieży. Jest też od dawna udziałowcem funduszu VC inwestującym w start-upy. Pieniądze Lewandowskiego pracują w laboratorium, które za pomocą sztucznej inteligencji ma pomóc zabezpieczać dzieci przed przemocą.

Robert i Anna Lewandowski wspólnie tworzą też własną osłonę PR-owską i zarazem biznes. Mają 49 proc. w domu mediowym RL Media i założyli własną agencję Stor9. Jak wylicza StrefaInwestorow.pl, spółka RL Media w pierwszym roku zarobiła 2,2 mln zł. Polski napastnik kupił też udziały w największym sklepie

piłkarskim w Polsce – Zgoda FC. Do tego należałoby dodać wszystkie biznesy fitnessowe promowane przez Annę Lewandowską.

ILE WARTO WYDAĆ NA KLUB?

Przy okazji finału LM nie sposób nie spojrzeć też szerzej na pieniądze w piłce nożnej – a te są od dawna ogromne. Jaką rolę odgrywają w kupowaniu zawodników i jak to przekłada się na sukcesy drużyn?

Po zwycięstwie Bayernu dziennikarz sportowy Michał Pol od razu na Twitterze przypomniał gorzką rozmowę Lewandowskiego z niemieckim „Der Spiegel”. Napastnik narzekał wówczas na niemiecką niechęć do wydawania nadmiernie ogromnych pieniędzy. Był rozczarowany tym, że jego klub nie wydał jeszcze na piłkarza więcej niż 40 mln euro. Oceniał, że to na rynku suma średnia. „W ostatnich latach nie rośliśmy razem z rynkiem, jak Real czy Manchester United. I teraz jest ogromna przepaść między sumami wydawanymi tutaj a tymi największymi” – stwierdził Lewandowski. I tłumaczył: „Jednym z pierwszych słów, jakie ja, jako Polak, poznałem w Niemczech, było: »Ordnung«. Ordnung musi być. Również w księgowości i finansach musi być porządek. Dlatego nie wierzę, że w Niemczech nie wypaliłby taki transfer jak ten Neymara do PSG”.

Zdanie Lewandowskiego o zakupach za mniej niż 40 mln euro lekko się zdezaktualizowało – bo Bayern kupił za 80 mln euro Lucasa Hernándeza z Athletic Bilbao – ale przed starciem w finale LM od strony pieniędzy rzeczywiście nadal wyglądało, że niemiecki średniak stanie naprzeciw francuskiego bogacza. Podstawowa jedenastka Bayernu przed meczem wyceniana była na ok. 100 mln euro. A zawodnicy drużyny PSG walczyli byli ponad 600 mln euro. Cała niemiecka drużyna warta była więc nawet nie połowę sumy wydanej przez PSG na Neymara, którego kupiono za 222 mln euro z Barcelony.

W ostatnich czterech latach Bayern wydawał na transfery praktycznie połowę mniej od francuskiego klubu. W sezonie 2018/2019 Francuzi rzucili na rynek 227 mln euro, a Niemcy – 10 mln. W obecnym sezonie Bayern zrobił zakupy za 143,5 mln euro, PSG – za 95 mln.

Widać wyraźnie, że niemiecka rozwaga w wydatkach pozwoliła bez rozrzutności sięgnąć po najwyższe trofeum. Ale czy bez setek milionów euro PSG grałoby w finale?



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kiedy egzamin na Polaka?

W odróżnieniu od niektórych komentatorów naszej rzeczywistości nie mam wątpliwości, że nie będziemy w stanie skutecznie przeciwdziałać demograficznemu kłopotowi Polski – czy raczej, nazywając rzecz po imieniu, czekającej nas demograficznej hekatombie – bez sprowadzenia wielu imigrantów. Ale to przecież w żadnym wypadku nie oznacza zgody na przyjazd do Polski każdego, kto ma na to ochotę. Wręcz przeciwnie!

No dobrze, w takim razie co to oznaczać powinno?

O to przykład reguły, które niedługo zaczną obowiązywać tych imigrantów, którzy zamierzają na dłużej przybyć do jednego z państw leżących nie aż tak znów daleko od Polski. Otóż, aby imigrant, który chce do tego państwa wjechać, mógł to uczynić legalnie, będzie musiał zawczasu znaleźć w tym państwie tzw. sponsora, który złoży obietnicę zatrudnienia go (to zapewni ubiegającemu się o prawo wjazdu 20 pkt), sprawdzi jego zawodowe kwalifikacje (kolejne 20 pkt) i znajomość języka tego państwa (10 pkt). To kryteria obowiązkowe. Nadto, jeśli sponsor zapewni mu roczną pensję w wysokości między 23 tys. a 25,6 tys. jednostek płatniczych tego państwa, to ubiegający się o prawo pobytu w nim będzie mógł sobie doliczyć 10 pkt, a jeśli zaoferuje wyższą – to 20 pkt. W przypadku uprawiania zawodu, który jest preferowany

przez władze tego państwa, starający się o prawo pobytu będzie mógł dodać do swej kolekcji następne 20 pkt. A jeśli posiada doktorat zbieżny z oferowaną pracą, to kolejne punkty; 10 za doktorat z nauk humanistycznych i 20 za doktorat z nauk ścisłych lub inżynierskich. Na odstępstwo od procedur mogą liczyć naukowcy i osoby wykształcone w zawodach, które z punktu widzenia interesów tego państwa są szczególnie poszukiwane.

Jak zapewne wielu czytelników się domyśliło, napisałem powyżej o Wielkiej Brytanii, która po opuszczeniu UE na powrót konstruuje swe prawo imigracyjne – znów jedno dla wszystkich, a więc także dla obywateli państw UE, w tym Polski. Aby zyskać prawo do pracy w tym kraju, konieczne będzie zdobycie co najmniej 70 pkt, w tym 50 w części obowiązkowej.

I właśnie na tym przykładzie jasno widać, na czym polega polityka imigracyjna państwa, którego władze traktują swój kraj poważnie. I proszę, nie zrymajmy się na to porównanie, dowodząc, że „gdzie tam Polsce do Wielkiej Brytanii”. Albowiem choć Polska dla wielu imigrantów z pewnością nie jest aż tak łakomym przedmiotem marzeń jak kraj na Wyspach, to jednak dla rosnącej ich liczby z każdym rokiem coraz bardziej łakomym. Zwłaszcza dla tych spoza UE, do których takie przepisy pewnie mogłyby się odnosić. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Redukcje – tak, ale z głową

W administracji szykują się zwolnienia. Wspaniale – można by powiedzieć. Przecież zawsze narzekano na to, że urzędników jest za dużo. Tylko że nie powinno chodzić o to, aby ich było, dajmy na to, 150, a nie 173 tys. (stan w administracji państwowej na 2018 r.), ale o to, żeby było ich tyle i żeby zarabiali tyle, aby byli jak najefektywniejsi. Wygląda niestety na to, że żadna systemowa zmiana tu nie następuje.

Redukcja w administracji jest być może możliwa, a może nie. Powinniśmy się o tym przekonać na podstawie głębokiej analizy, której nikt nie zrobił. Zapowiedź zwolnień przypomina zatem absurdalny nakaz Donalda Tuska z 2012 r., który również bez żadnych analiz zalecił zmniejszenie zatrudnienia w administracji centralnej o 10 proc. Dlaczego o 10, a nie o 8 albo 11? Ponieważ dziesiątka ładnie wyglądała. Oczywiście nie z tego ostatecznie nie wyszło, stanowiska ścięto najwyżej o 5 proc., a i to bez sensu.

Może faktycznie mamy przerost zatrudnienia w administracji, ale chciałbym się o tym przekonać na podstawie audytu. Podobnie jak chciałbym usłyszeć, że urzędnicy w końcu dostają podwyżki, bo ich wynagrodzenia są dziś w wielu przypadkach tak niskie, iż stają się czynnikiem negatywnej selekcji. Lecz znów: to nie powinny być podwyżki, „bo tak”. Dlaczego nie stworzyć systemu prawdziwej motywacji dla urzędników? Dlaczego nie uzależnić przynajmniej części ich wynagrodzeń od obiektywnych kryteriów efektywności? Dziś takie kryteria nie istnieją i żalosne premie są wypłacane na podstawie uznaniowej decyzji zwierzchnika. W praktyce oznacza to, że pani Henia dostanie premię, bo dyrektor wydziału ją lubi, a pan Wiesio już nie, choć pracuje cztery razy tyle, ale nie chce iść na rękę kolegom dyrektora, którzy w ministerstwie załatwiają sprawy swoich biznesów.

Owszem, to wszystko ambitne pomysły – i zrobienie całościowego audytu efektywności administracji, i stworzenie systemu motywacyjnego z prawdziwego zdarzenia. Ale mamy przecież podobno ambitną władzę. ©©

Transformacja energetyczna. Ale jaka?

W najnowszym numerze „Forum Polskiej Gospodarki” na warsztat wzięta została energetyka. Temat, nie ma co ukrywać, niezwykle ważny. Wiąże się z nim wiele pytań, przede wszystkim odnoszących się do zastąpienia konwencjonalnych źródeł energii odnawialnymi

Ogromny nacisk w tej kwestii wywiera na Polskę Unia Europejska. Jesteśmy w o tyle trudnej sytuacji, że trzy czwarte mocy wytwarzanych w naszych elektrowniach pochodzi z węgla. Tymczasem UE oczekuje, że Wspólnota osiągnie neutralność klimatyczną do 2050 r., co ozna-

miłardów euro w perspektywie siedmiu najbliższych lat. W porównaniu z potrzebami kwota ta wydaje się raczej ponurym żartem. Skąd więc wziąć resztę? Pewnie częściowo z kolejnych budżetów unijnych. Szanse jednak, że te środki wystarczą, są małe. Nie mówiąc o tym, że przechodzenie na zieloną energię i na niej opieranie naszej energetyki ma także inne minusy niż sam tylko koszt.

To źródła znacznie mniej stabilne. Wiele, jeśli chodzi o ich wytwarzanie, zależy od pogody. Gdy warunki atmosferyczne będą niesprzyjające, na horyzoncie może pojawiać się perspek-

Tymczasem zwolennicy europejskiego zielonego ładu, czyli dążeń do neutralności klimatycznej, o tych problemach wolą chyba nie mówić. Narracja jest taka, że OZE to znakomity substytut dla okropnego węgla i że nasz miks energetyczny czym prędzej trzeba oprzeć na źródłach odnawialnych. Najczęstszym przekazem jest to, że powinniśmy skończyć z węglem, że jego wydobycie jest nieopłacalne i szkodliwe dla środowiska. Nie ma natomiast rzeczowej dyskusji o ryzyku, jakie niesie ze sobą OZE – jakby takowego w ogóle nie było. A przecież to oczywista nieprawda. O kosztach transformacji energetycznej i zagrożeniach z nią związanych dyskutować trzeba. Bez tego mamy do czynienia z ideologią, która nie chce odnosić się do faktów, ma już bowiem ustaloną wizję świata, a jeśli coś się z nią nie zgadza, to należy to zignorować, pomijając milczeniem, albo zwalczać. W Polsce potrzebujemy rzeczowej debaty o energetyce, bez doktrynerstwa czy szantażu emocjonalnego w rodzaju „przez węgiel misie polarne nie będą miały domu”. Widać zatem, że lobbying jest nadal bardzo silny, a ci, którzy posługują się tego typu retoryką, po prostu boją się rzeczowej debaty. A jest ona niezbędna, aby móc przedstawić dwie strony medalu. W najnowszym Forum Polskiej Gospodarki jak zwykle pozwalamy na poznanie postulatów obu stron. Dowiedzą się Państwo z niego rzeczy, o których mówi się mniej, niż mówić się powinno. Zatem warto!

**Autor jest prezesem
Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa
www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl**



Piotr Hofman, prezes Rady
Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

cza, że emisja netto CO₂ na jej obszarze wynosić będzie 0. W praktyce oznacza to systematyczne i bardzo szybkie odchodzenie od węgla w rodzimej energetyce. Koszt tego procesu będzie gigantyczny, mowa jest nawet o kilkuset miliardach euro. Nikt jednak nie wie, skąd wziąć te pieniądze. Fundusz Sprawiedliwej Transformacji, który finansować ma przechodzenie na OZE, z pewnością na to nie wystarczy. Dla Polski przewidziano w nim kilka

tywa blackout. Z takim problemem zmagają się od jakiegoś czasu amerykański stan Kalifornia. Produkcję energii oparto w nim na rosnącym udziale OZE. Kiedy jednak przyroda miała inne plany (chmury, brak wiatru), okazało się, że stabilność dostaw energii jest poważnie zagrożona. W związku z tym mieszkańcom stanu zaczęto odcinać dostawy prądu. Nie mówiąc o tym, że i tak płacą oni za niego więcej niż w pozostałych częściach USA.

TEST „DO RZECZY”: EPSON ECOTANK L15150

Szybkość drukowania i skanowania, dupleks, obsługa formatu A3+ oraz stosunkowo niski koszt eksploatacji – to największe zalety nowego modelu japońskiej firmy Epson.

L15150 jest przeznaczony głównie do domowego biura lub małej firmy. Ważące 20 kg urządzenie nie należy do najmniejszych (jego wymiary to 500 x 515 x 300 mm). Choć przy wielu laserowych konkurentach i tak należy do klasy „kompakt”. Aby model L15150 mógł stanąć do walki z biurowymi modelami laserowymi, Japończycy zaproponowali system tuszów atramentowych, który – według zapewnień producenta – znacząco obniża koszt wydruku jednej strony.

Kombajn typu cztery w jednym pozwala drukować, skanować, kopiować, a nawet wysłać faksy (tej opcji nie testowałem, żeby niepotrzebnie nie zawracać głowy ludziom z muzeum techniki).

L15150 jest bardzo łatwa w konfiguracji, a pojemniki z tuszem przygotowane do obsługi nawet w takich biurach, w których pracownicy z uporem maniaka próbują sypać mieloną kawę do ekspresu z wbudowanym młynkiem. Poszczególne pojemniki mają różne wypustki, dzięki czemu po prostu nie da się wlać kolorowego tuszu do niewłaściwego zasobnika. Nie ma też zastrzeżeń do działania kolorowego panelu dotykowego, za pomocą którego obsługuje się ten model.

Podstawową zaletą testowanego urządzenia jest niezła szybkość druku w czerni (25 stron na minutę) oraz w kolorze (12 stron na minutę).

Po stronie plusów zapisać też trzeba możliwość



obsługi różnych formatów (od niewielkich kopert, poprzez B6, A6, A5 i A4 aż do A3+), a także automatyczny dupleks. Codzienną pracę ułatwia także automatyczny podajnik dokumentów (ADF) z możliwością błyskawicznego skanowania opracowań o maksymalnej pojemności do 50 stron.

Przydatne są także dwie pojemne szuflady na papier, w których można umieścić w sumie 500 stron.

Maksymalne miesięczne obciążenie sprawia, że urządzenie z powodzeniem da sobie radę w domowym biurze, wspierając jednocześnie pan-

demiczne wydruki oraz skany zadań domowych. Ten model powinien być też wystarczający dla małych firm, prywatnych przedszkoli, małych biur projektowych czy pracujących zdalnie księgowych.

Maksymalna rozdzielczość druku to 4800 x 2400 DPI. Jakość wydruków jest dobra. Urządzenie bardzo przyzwicie radzi sobie także z drukowaniem zdjęć, choć nie jest to typowa drukarka fotograficzna. Umożliwia druk poprzez wi-fi, a także drukowanie dokumentów i zdjęć bezpośrednio z poziomu smartfona lub tabletu. Można też korzystać z pomocy Siri – wystarczy powiedzieć „print photo”, żeby automatycznie wydrukować ostatnio zrobione zdjęcie. Naprawdę fajna opcja.

Wady? Po pierwsze podczas wydruków A3+ nie da się zlikwidować białej ramki dookoła obrazu. Po drugie, mobilna aplikacja Epson iPrint wciąż działa jedynie w języku angielskim. Dla większości użytkowników nie będzie to wielki problem, ale szacunek dla polskiego klienta nakazywałby ją przetłumaczyć.

Najważniejszym minusem jest jednak wysoka cena, która wynosi aż 4999 zł. To drogo, biorąc pod uwagę produkty konkurencji. Przed zakupem warto więc porównać koszty eksploatacji. Przy niewielkiej liczbie wydruków EcoTank L15150 może okazać się nieopłacalny, ale w firmach lub domowych biurach, w których drukuje się dużo, niskie koszty eksploatacji mogą zrekompensować wyższą cenę urządzenia.

© © Jacek Przybylski

ROWER DO GOGLI VR



Jazda na rowerku stacjonarnym rzadko daje taką przyjemność jak pokonywanie prawdziwych rowerowych szlaków. Kiedy skończy się lato lub – oby nie – powrócą ograniczenia związane z koronawirusem, jednoślad w salonie może się okazać jedyną okazją do treningu.

Model Blync może znacząco go uprzyjemnić. Dzięki współpracy z goglami

VR różnych producentów pozwala bowiem na jazdę w świecie wirtualnym. Do wyboru są np. ścieżki rowerowe wzdłuż egzotycznych plaż, odcinki górskie, a nawet rowerowy plac zabaw. Jeśli ktoś nie lubi gogli VR, to do treningów może wykorzystywać monitor komputera. Cena: równowartość ok. 400 zł (oczywiście samych gogli VR w zestawie nie ma).



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DESKA DO NAUKI PŁYWANIA

LeSWIM S1 to nowoczesna deska do nauki pływania. Od tradycyjnej deski używanej przez początkujących miłośników basenów różni ją głównie napęd elektryczny: LeSWIM S1 jest wyposażona w silniczek o mocy 250 W. Dzięki niemu deska rozwija prędkość do 1 m/s.

Gadżet może też przydać się tym, którzy chcą pochwalić się swoimi wyczynami w wodzie lub uwiecznić podwodne życie – ma bowiem możliwość połączenia z kamerką GoPro. Niestety elektryczna deska na jednym ładowaniu działa tylko przez 30 minut. Jest też od swojej tradycyjnej odpowiedniczki cięższa (waży 2,6 kg) oraz droższa (kosztuje ok. 999 zł). © ©

Jacek Przybylski

KONIEC systemu

WTOREK 21:30

Zapraszam
Dorota Kania



www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 6d3bd719cd



Wojciech Cejrowski

Wenecja, miasto na wodzie

Traktujemy ją jak jeden z cudów świata – coś wyjątkowego – gdy tymczasem Wenecja to miasto położone na przybrzeżnych wyspach, a nie na wodzie. Między tymi wyspami są wąskie kanały, niektóre sztucznie utworzone przez człowieka. To nie są domy postawione na palach ponad wodą ani domy pływające – weneckie kamieniczki stoją twardo na ziemi. A wyjątkowość tego miasta jest przereklamowana i bierze się z naszej niewiedzy o prawdziwych miastach na wodzie.

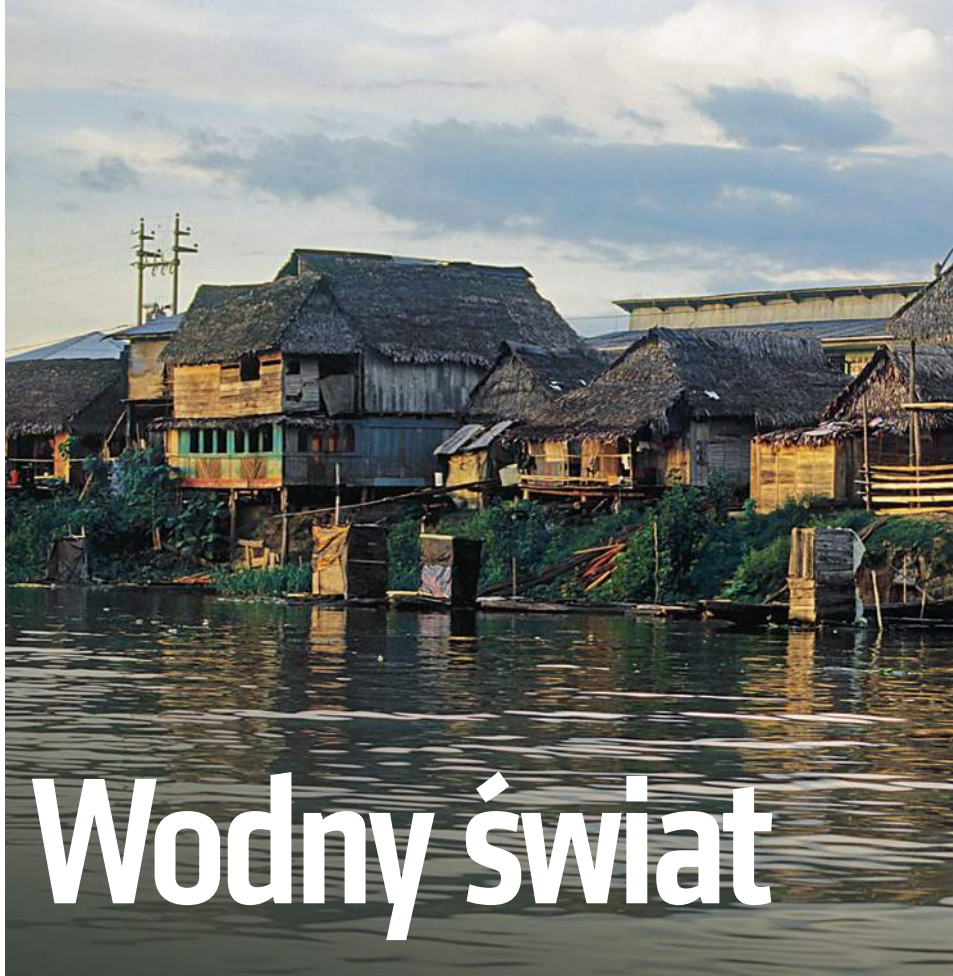
Kiedy Hernán Cortés zdobywał stolicę imperium Azteków – położone na środku ogromnego jeziora miasto Tenochtitlán (dzisiejszy Meksyk) – większość jego mieszkańców miała swoje domy na pływających wyspach, chinampas. Budowało się tratwę z wysokimi burtami, a potem wybierało muł z dna jeziora i wysypywało na tę tratwę. Muł jest bardzo żyznym podłożem do uprawy owoców i warzyw, dzięki czemu na stosunkowo niewielkim terenie mogło mieszkać ponad milion ludzi.

Tenochtitlán, miasto na wodzie. Duuużo większe od Wenecji. W roku 1521, kiedy zostało podbite przez konkwistadorów, było największym znanym białemu człowiekowi miastem na świecie (współczesne Mexico City zachowało to pierwszeństwo).

Kiedy konkwistadorzy po raz pierwszy wpłynęli do zatoki zwanej obecnie Maracaibo i zobaczyli indiańskie miasto zbudowane w tej zatoce, wybuchli śmiechem – proste drewniane domostwa ustawiono na cienkich palach, nad wodą. Jeden z marynarzy wykrzyknął pogardliwie:

– Patrzcie, jak te dzikusy mieszkają. Toż to taka mała Wenecja (hiszp. Venezuela).

Kilka lat później, kiedy tereny dzisiejszej Wenezueli opanowali Hiszpanie i kiedy w zatoce Maracaibo założyli port dla swoich okrętów, okazało się, że indiański dom na palach jest



najlepszym rozwiązaniem w tutejszym malarycznym klimacie. Ustawiony nad lustrem wody był chłodzony od spodu (woda nagrzewa się o wiele mniej niż ziemia), ażurowe ścianki z patyków, które wywoływały tyle pogardliwych komentarzy, teraz okazały się zaś przyjemnie przewiewne.

W raportach słanych do Europy napisano nawet: „Tutejsze domy są zdrowsze i bardziej przyjemne niż to, co mamy w Wenecji. Nawet w najgorętsze dni nie ma tu zaduchu i cuchnącej stęchlizny”.

Jezioro Titicaca na granicy Peru i Boliwii – legendarne miejsce narodzin Viracochy, czyli kolebka imperium Inków.

Na tym jeziorze do dziś żyją resztki ludu Uros. Mieszkają tak jak przed wiekami ich wielcy przodkowie – na pływających wyspach wyplatanych z trzciny. Kiedy spodnia warstwa wyspy-tratwy zaczyna gnić i odpadać, na wierzch kładzie się kolejną warstwę. I tak można w nieskończoność. Niektóre ze współcześnie zamieszkanych tratw pamiętają ponoć jeszcze czasy Inków.

Kilka tratw zacumowanych obok siebie tworzy wioskę. Kilkadziesiąt tworzy miasteczko na wodzie.

Iquitos, milionowe miasto położone w peruwiańskiej dżungli. Powstawało w okresie kauczukowej bonanzy, podobnie jak dużo bardziej sławne brazylijskie Manaus. Każde takie miasto, a jest ich wzdłuż Amazonki około setki, ma swoją dzielnicę wodną – duże skupisko domów pobudowanych na cienkich palach ponad lustrem wody.

Jest tych domów tyle, że tworzą niewielkie autonomiczne miasteczko. Całkiem normalne miasteczko. Wodne ulice w godzinach szczytu korkują się tak samo jak ulice na stałym lądzie (jedyną różnicę stanowią pojazdy – tutaj płynny ruch blokują łodzie). Są tu: nawodna przychodnia zdrowia z karetką-motorówką, nawodna straż pożarna wyposażona w łodzie motorowe, jest pływająca stacja benzynowa. Jest sporo sklepów – podpływa się do lady-pomostu, a sprzedawca podaje nam towar wprost do łodzi, coś jak drive in. Jest też oczywiście knajpa z tawerną – jakże by inaczej – a kiedy któryś delikwent wypije za dużo, nie ma kłopotu z wynoszeniem go do domu, po prostu układa się go na dnio łodzi i pozwala spokojnie zdryfować w pobliskie szuwały. Jest tu nawet



FOT. WOJCIECH CEJROWSKI

ziemi, żyznych ogrodach azteckiej stolicy, ale smutna proza życia ludzi bez ziemi.

Ja tu gościłem jako przechodzień. W dodatku gościłem w porze suchej, kiedy moskity nie atakują chmarami. Ja tu byłem szczęśliwy i oczarowany, bo w każdej chwili mogłem sobie wrócić do mojego dostatniego świata, po którym człowiek chodzi suchą stopą. Mieszkańcy wodnej dzielnicy Iquitos i innych wodnych dzielnic w Peru czy Brazylii nie mają dokąd odejść. Oni już odeszli, najdalej jak tylko można. A właściwie zostali zepchnięci z suchego brzegu, daleko poza marginesy społeczeństwa.

Czym są te amazońskie Wenecje? Skąd się wzięły? Kto je zamieszkuje? I dlaczego?

Wszystko zaczyna się od małej tratwy. Kto był nad Amazonką, ten widywał je wielokrotnie. Pływające domy na tratwach z balsy to najtańszy środek lokomocji i jednocześnie najtańsze mieszkanie. Obok pływającego domu biega stadko kur, jest też kojec dla świń. A w skrzyniach wysypanych ziemią zieleni się ogródek warzywny... Na tratwie z balsy można sobie zorganizować całkiem normalne obejście – takie małe pływające gospodarstwo.

Dodatkowym atutem takiego mieszkania jest to, że tratwę, nawet sporej wielkości, każdy sobie buduje sam, za darmo, wiążąc linami kilka lub kilkanaście potężnych pni. A potem cumuje ją bezpłatnie w dowolnie wybranym miejscu.

Nie masz prawa do ziemi. Nie masz działki gruntu. A mimo to masz dom z ogródkiem. I do tego pływający!

Dom na tratwie. Dom, czyli coś, co kojarzy nam się z przywiązaniem do ziemi, ze stałym miejscem; niezmiennym, czasami przez kilka pokoleń. A tu dom jest ruchomy. Pełnia wolności.

Dla nas pełnia wolności. A dla mieszkańców Amazonii?

Dla nich to bardzo smutna konieczność – takie domy mają ludzie najbiedniejsi. Nie stać ich na materiały budowlane, dlatego po prostu idą do puszczy i wycinają drzewa. Nie stać ich na zakup choćby piędzi ziemi, dlatego budują tratwy, czyli pływające parcele.

Na szczęście dla nich jeszcze w żadnym kraju Ameryki Łacińskiej władze nie wpadły na pomysł, by powierzchnia wody miała swego właściciela, który mógłby pobierać czynsz dzierżawny.

Niekiedy kilkadziesiąt domów na tratwach cumuje w jednym miejscu. Jeżeli na brzegu jest miasto i jakakolwiek praca, to tratw z każdym dniem przybywa – tworzą nawodną wioskę-ulicówkę. W miejscach, gdzie pracy jest trochę więcej, na płytkich wodach przybrzeżnych cumuje cała chmara domów-tratw. Niektóre od tak dawna, że zdążyły osiąść na dnie, a domy stanęły obok – na palach. I tak powstaje kolejna „Wenecja”.

Wodne miasta powstają w całej Amazonii. Wszędzie tam, gdzie ludzie biedni



kościół, właściwie kaplica, z nietypową chrzcielnicą – kłapa w podłodze, którą się otwiera, schodzi kilka stopni i zanurza dziecko wprost w rzece.

A najważniejszym miejscem w takim wodnym miasteczku są zawsze plac centralny oraz boisko do gry w piłkę nożną (o wodnej nikt tu nie słyszał) wiecznie zalane wodą. Chłopaki grają więc w nogę, brodząc po kolana w wodzie. W porze deszczowej woda się podnosi i sięga im po pas, ale oni nadal starają się strzelać gole nogami. Bramki też oczywiście stoją w wodzie, a kibice zamiast na trybunach siadają we własnych czółnach. Reguły gry takie jak w normalnej piłce nożnej, chociaż zawodnicy w pogoni za piłką częściej pływają, niż biegają.

Wszystko to takie malownicze, romantyczne, że postanowiłem zamieszkać w tej dzielnicy.

Co rano wstawałem zachwycony. Całymi dniami obserwowałem tutejsze życie, robiłem setki zdjęć, pisałem... Aż pewnego dnia dotarło do mnie: to nie jest Wenecja ani luksusowe osiedle na tropikalnej wyspie Pacyfiku – to bieda. Nie wolny wybór Indian z jeziora Titicaca, lecz ekonomiczny przymus. Nie raj na

nie mają za co kupić kawałka gruntu, na którym dałoby się postawić dom. Szerokie i płytkie tereny zalewowe są częścią Wielkiej Rzeki, a na rzece ma prawo przebywać każdy. Budują więc biedacy swoje domy na palach. Ich nieoficjalne „parcele” są wolne od podatków. Nie ma tu problemu z wywózką odpadków i nieczystości ani ze sprzątnięciem ulic – wszystko samo odpływa w siną dal. Prąd elektryczny ciągnie się „na dziko” z najbliższego słupa, ale żadna władza państwowa nie odważyła się nigdy w tej sprawie interweniować, bo nikt rozsądny nie chce, by rozjuszeni odcięciem światła mieszkańcy „Wenecji” ruszyli do dzielnic położonych na suchym lądzie.

Między Wenecją europejską a wszystkimi Wenecjami amazońskimi jest tylko jedna cecha wspólna – ZAPACH.



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Sławne dęby staropolskie

Wiekowe dęby, dziś pomniki przyrody, kojarzą się nam głównie z czasami pogańskimi. Były jednak spotykane w krajobrazie dawnej Polski znacznie częściej niż dzisiaj. Co więcej, w XVII i XVIII w. doczekały się opisów i wzmianek w pamiętnikach i źródłach historycznych. Barok lubował się bowiem w osobliwościach, do których zaliczano ogromne, czasem tysiącletnie drzewa.



FOT. WIKIPEDIA

Bordzie

I RZECZYPOSPOLITA

Mało kto wie, że stare, ogromne dęby rosnące od tysiącleci w nadwiślańskich puszczach wykorzystywane były w średniowieczu jako zameczki i twierdze. Tak właśnie postąpili Krzyżacy, którzy w 1231 r. przekroczyli Wisłę, a w miejscu dzisiejszej wsi Stary Toruń odbudowali warowny gródek z ogromnym dębem pośrodku, na którym wzniesiono domy dla rycerzy mnichów. Wedle legendy także bracia dobrzyńscy, którzy stali się pierwszym na ziemiach polskich zakonem rycerskim, wybudowali sobie warownię w konarach dębu na pograniczu północnego Mazowsza i pogańskich Prus.

Z czasów I Rzeczypospolitej znajdujemy liczne wzmianki o dębach pozostałych po pogańskich czasach – niestety, wiele z nich zniszczono i ścięto, inne spróchniały, uległy wichurom, podpaleniom, robactwu. Ogromny dąb, jedno z trzech świętych drzew pradawnych Prusów, przetrwał do końca XVI w. pod Welawą. Był tak wielki, że do jego dziupli można było wjechać konno i obrócić się – czego dokonali, jak podaje Gloger, książę pruski Albert Hohenzollern i jego syn Fryderyk w roku 1595. Wielki, nieistniejący dziś dąb znajdował się w Małopolsce, pomiędzy wsiami Zagórzycy i Bejsce. Zwany był przez lud w XIX w. „doktorem”, przypisywano mu bowiem cudowne właściwości lecznicze. Ogromne i rozdwojone drzewo zwane „jagiel-łońskim” rosnęło we Wróblewicach koło Drohobycza, zwane było przez miejscową ludność „dębem murowanym”. Podobny starożytny rósł jeszcze w początkach XIX w. w Lasku Bielańskim pod Warszawą, miał on ponad sześć metrów obwodu i pamiętał przynajmniej czasy Zygmunta Starego.

Jednak królem wszystkich staropolskich dębów było drzewo zwane „Baublisem” i rosnące w Bordziach w powiecie rosieńskim na Żmudzi. Jak podaje Gloger w „Encyklopedii staropolskiej”, w 1811 r. był już na wpół uschnięty, a kiedy przypadkowo podpałił go pastuch, to miejscowy dziedzic, a zarazem archeolog amator i poszukiwacz pamiątek, Dionizy Paszkiewicz nakazał to drzewo ściąć, nad czym trudziło się przez cały dzień 10 ludzi. Dąb miał prawie 4,5 m średnicy przy ziemi, dlatego właściciel wsi kazał obciąć dolną część pnia, gdzie była wielka dziupla, i wstawić do ogrodu jako altanę. We wnętrzu urządził mu-

zeum, wieszając broje i przedmioty wykopane ze żmudzkich mogił, a także portrety najznamienitszych przodków rodziny jego i sąsiadów. W środku zmieściła się jeszcze armata – szwedzka śmigownica; 10 osób mogło swobodnie stać we wnętrzu, sześć zaś siedzieć.

Zachował się szczegółowy opis tego dębu, pióra Paszkiewicza, który przekazuje, że była to pozostałość dawniejszego miejsca pogańskiego kultu Żmudzinów. „Dąb mój [...] przed ścięciem urodził się i zrósł na mojej ziemi dziedzicznej [...] na górze w litewskim języku Wiszniakałnas, a po polsku Wiszniowa Góra z dawna nazywanej i teraz tak nazywającej się. Tuż pod górą jest gaj, w którym chociaż jest kilkaset drzew dębowych dość znacznej wielkości, ale ten jeden wszystkie inne dęby obwodem swoim większym i wysokością w dwójnasób przewyższył”. A zatem nieopodal Baublisa znajdowały się pozostałości znacznie młodszego świętego gaju pogańskiego.

Paszkiewicz starał się także stwierdzić wiek dębu, licząc słoje – doliczył się ich ponad 700, z tym że w samym środku, koło rdzenia, gdzie drzewo było już bardzo spróchniałe, nie dawało się rozpoznać kolejnych. Oceniał jednak wiek Baublisa na przynajmniej 1000 lat. Dąb był tak duży, że z samych gałęzi uzyskano „kilka sążni” drewna do palenia, a trzasek powstałych przy cięciu było tyle, że musiało przewozić je „kilkadziesiąt wozów”. Po ścięciu drzewa dolna część została z trudem przetransportowana do ogrodu przy dworze.

Baublisa opisał także w „Panu Tadeuszu” Adam Mickiewicz, który mógł widzieć dąb w 1824 r., kiedy w czasie podróży zatrzymał się w pobliskich Krożach u Karola Nieławickiego. Czy widział go osobiście, czy tylko słyszał o sławnym dębie – tego już dziś nie sposób sprawdzić. ©



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO



SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

Nagroda
im. Przemysława Gintrowskiego
za wolność w kulturze

MECENAS KONCERTU:

PARTNERZY

PARTNER WSPIERAJĄCY:



eprasa.pl 6d3bd719cd

KREM CZOSNKOWY À LA SIKORA

Mówi się, że człowiek jest tym, co je. Jest w tym pewna mądrość, ponieważ moje upodobania żywieniowe doskonale odzwierciedlają charakter mojej kulinarnej tożsamości. W kuchni doceniam tylko wyraziste smaki. Nic więc dziwnego, że według moich przekonań królem kuchni jest on – czosnek. W każdej postaci, o każdej porze. Uważany za naturalny antybiotyk, przyspiesza trawienie, obniża poziom cholesterolu i ciśnienie krwi. Lista jego zasług jest dość długa, ale do meritum...

W chwili głodu i nagłej potrzeby przygotowania szybkiego posiłku zawsze mogę liczyć na swój sprawdzony przepis: krem czosnkowy à la Sikora. Gwarantuję, jest on prostszy w przyrządzeniu niż zagotowanie wody na herbatę.

Składniki:

- 2 niewielkie główki czosnku
- 6 małych ziemniaków
- 3 łyżki masła
- 1 litr wody
- natka pietruszki
- sól, pieprz
- parmezan (opcjonalnie)

Przygotowanie:

Na rozgrzanej wcześniej patelni stapiam masło. Następnie przez 5 min podsmażam na niej pokrojone w drobną

kostkę ziemniaki i przekrojone na pół ząbki czosnku. Przyprawiam szczyptą soli i pieprzu. Preferuję grubo mielony pieprz czarny. Gdy ziemniaki i czosnek się zarumienią, przekładam je do garnka i zalewam gorącą wodą. Całość gotuję 30 min. Gdy zupa lekko przestygnie, blenduję ją na gładki krem.

Zawsze podaję ją z posiekaną natką pietruszki i ze startym parmezanem. Opcjonalnie można go zastąpić żółtym serem.

Krem jest bardzo sycący i rozgrzewający. Idealny na jesienną i zimową szarugę. Smacznego! ©©

oprac. raw

Aleksander Sikora jest prezydentem telewizyjnym, współprowadzącym „Pytanie na śniadanie” w TVP.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Konfitury

W domu moich rodziców dżem ze sklepu był nie do pomyślenia. Te rzeczy robiło się w domu: konfitury, galaretki, nalewki. Było to oczywiście możliwe dla kogoś, kto – tak jak moja mama – nie pracował zawodowo, tylko całą parą zajmował się domem. W czerwcu sezon przetwórczy otwierały

truskawki. Niezbyt gruba ich warstwa ładowała na dnie gąsiora, gdzie stanowiły zaczątek rafałii. Najładniejsze sztuki, moczone pojedynczo w spirytusie, żeby zachowały kształt i kolor, szły do konfitur. Po truskawkach następowała chwila przerwy i zaraz nadchodziły maliny, porzeczki, agrest, morele, wiśnie. Rarytasem spiżarni była galaretka z porzeczek, artykuł pożądany (dla zdrowotności i do tortu kawowego), ale okupiony żmudnym skubaniem i przecieraniem przez sito. Mnie zatrudniano do drylowania wiśni: ślęczałam zbryzgana czerwonym sokiem, uzbrojona w szpilkę do włosów. W końcu sierpnia czasem udawało się zdobyć trochę leśnych jeżyn. Jeżynowe konfitury należały do największych przysmaków i podawano je do herbaty tylko na specjalne okazje.

Najbardziej intensywna część prac przetwórczych przypadała na wczesną jesień. Śliwki węgierki musiały najpierw złapać dużo wrzesniowego słońca i najlepiej, jeśli niewielki październikowy przymrozek. Powidła śliw-

kowe smażyły się w wielkim mosiężnym garze i jedliśmy je potem przez całą zimę. W grudniu przekładano nimi piernik. Dumą każdego domu, także naszego, była ratafia – nalewka ze wszystkich letnich owoców sezonowych nakładanych kolejno warstwami, zasypanych cukrem i zalewanych spirytusem. U nas robiono także smorodiniówkę, nalewkę z czarnych porzeczek. Sezon kończyły borówki i żurawiny z gruszkami – do indyka i do

sosu cumberland.

Nie muszę wyjaśniać, że do tego wszystkiego używano wyłącznie cukru. Żadnych ułatwiająco-przyspieszaczy. Inna sprawa, że świadomość szkodliwości cukru nie była kiedyś tak powszechna jak dziś, a szło go, że hej. Ale innych słodczy niż domowe po prostu było niewiele.

To wszystko brzmi archaicznie, ale okazuje się, że w roku 2020 większość tych czynności wykonuję w dalszym ciągu ja sama i zdaje się, nie ja jedna. Smażenie konfitur stało się modne i weszło w fazę eksperymentów, o czym świadczą posty na Facebooku. Morele z imbirem i kurkumą, gruszki z cynamonem, śliwki z chilli.

PS Niezapomniana scena z filmu „Panny z Wilka”: Kazia (grana przez Krystynę Zachwatowicz) z Wiktorem (Daniel Olbrychski) nad słoikami konfitur w spiżarni w Wilku. ©©



FOT. ADDBESTOCK



POD WĄS

Żabkologia

IGOR ZALEWSKI

WTajlandii funkcjonuje takie powiedzenie: „Spotkajmy się pod Seven-Eleven”. Oznacza to tyle, że się nie spotkamy. Tam jest tyle sklepów Seven-Eleven (które skądinąd uwielbiam), że umówienie się pod jednym to umówienie się nigdzie.

To powiedzonko przyszło mi do głowy, kiedy niedawno umówiłem się z kimś na spotkanie w Costa Coffee. Przy Świętokrzyskiej, w centrum Warszawy. Siedzę, czekam, niecierpliwie się, bębnię palcami po blacie stolika. Nagle dzwoni telefon. – Jak już się spóźniasz, to mógłbyś chociaż SMS-a puścić – słyszę w słuchawce beczelny tekst. – Ja się spóźniam? To ty się spóźniasz! Czekam na ciebie od 20 minut! – warczę. – To ja czekam – warczy on. – Poczekaj, to może tu jesteście razem – mówię i rozglądam się na boki, on pewnie też. Ale nie, wcale go nie ma. – Ty, a w której coście ty jesteś? – pytam, bo coś mi świta. – No... tej blisko Nowego Świata – on mówi. – To już wszystko jasne, bo ja jestem w tej przy rondzie ONZ – mówię ja. A potem kłócimy się przez pięć minut o to, kto ma przyjść do kogo. Niestety, przegrałem sprzeczkę.

Tak właśnie się dowiedziałem, że przy Świętokrzyskiej otwarto kolejną sieciową kawiarnię. Ale Costa to pikuś w porównaniu z Żabką. Przez kilka lat o Żabce tylko słyszałem, widziałem ją z daleka, a następnie oglądałem w reklamach. A potem nagle pętla żabek zaczęła się wokół mnie zacieśniać.

Pierwsza żabka pojawiła się jakieś 300 metrów od mojego bloku. Ale że sporo się u nas w okolicy buduje, błyskawicznie pojawiły się następne. 200 metrów, 150 metrów, 100 metrów, 50... Wszędzie dookoła żabki. W pewnym momencie spodziewałem się, że otworzą mi żabkę na półpiętrze w mojej klatce. W kwietniu widziałem taką scenkę: do żabki, w której robiłem klasyczne lockdownowe zakupy, weszła młoda Azjatka. Była w szlafroku, kostiumie kąpielowym i klapkach.

WŻabce – jak wiadomo – można odbierać przesyłki. I tu pojawia się problem. Już kilka razy spotkałem w moim najbliższym sklepie nieszczęśników błakających się w poszukiwaniu swoich paczek. Przy naszej ulicy są już w tej chwili trzy żabki, a trzy kolejne kumkają w okolicy. Nic dziwnego, że gdy ludzie dostają powiadomienie, iż paczka czeka na nich w żabce, idą do tej swojej, która często nie okazuje się żabką właściwą. Brałem już udział w konsyliach radzących poszukiwaczom, do której żabki powinni się udać, a raz wspierałem człowieka, który twierdził, że był we wszystkich i nigdzie nie mają jego przesyłki. Dopiero pewien niepozorny pan oświecił nas, że niedaleko otwarto jeszcze jedną żabkę, jest ukryta w podwórku i dlatego nie wszyscy wiedzieli o jej istnieniu. I że może to tam czeka paczuszka. Człowiek podziękował nam za pomoc i ruszył na poszukiwania. Nigdy więcej go nie widziałem. ©©



MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

„Słodziaki” Netflixa

Cztery dziewczynki, w obcisłych strojach, w jednoznacznych pozach przypominających teledyski hip-hopowe. Tak film pt. „Cuties” – w wolnym tłumaczeniu „Słodziaki”, „Gwiazdeczki” – zareklamował Netflix. Poprawniej byłoby jednak napisać „dzieci”, bo bohaterki mają raptem po 11 lat. Chociaż plakat po fali krytyki został przez platformę streamingową wycofany, premiera filmu zapowiedzianego na 9 września odbędzie się bez zakłóceń. Ba, środowisko filmowe czeka na niego z niecierpliwością, bo debiut reżyserski Maïmouna Doucouré został już doceniony podczas festiwalu Berlinale oraz na festiwalu kina niezależnego Sundance.

To historia o wychowywanej w muzułmańskiej rodzinie nastolatce, która dołącza do grupy tanecznej założonej przez swoje rówieśniczki. „Dzięki tańcowi zaczyna odkrywać swoją seksualność, cielesną tożsamość. A to z kolei idzie w totalnej kontrze do wyznawanych przez jej rodziców konserwatywnych wartości” – przedstawia produkcję „Gazeta Wyborcza”. Jeśli zastanawiają się państwo, dlaczego kogokolwiek oburza „tańczące” dziewczynki, to warto dodać, że nie chodzi o one na balet, ale na lekcje twerkingu. Aby być precyzyjnym, posłużę się definicją encyklopedyczną: „Twerking to rodzaj tańca o zabarwieniu erotycznym, który jest popularny głównie wśród kobiet i polega na rytmicznym potrząsaniu pośladkami”. Tyle Wikipedia.

Reszta reakcji wydaje się przewidywalna i opisywana w mediach według klasycznego schematu: konserwatywna prawica domaga się wycofania filmu, jeszcze zanim go obejrzała, znawcy kinematografii nie mogą się go doczekać, bo sztuka musi być odważna i poruszać tematy graniczne. Czasem warto sobie jednak zadać pytanie, gdzie te granice się kończą. Jednym z paradoksów „Cuties” jest to, że film został zaklasyfikowany dla publiczności powyżej 16. roku życia, zatem same aktorki, teoretycznie, nie mogłyby pójść na niego do kina.

Chociaż według zapowiedzi jego celem jest przedstawienie nadmiernej seksualizacji wśród młodych ludzi, trudno wyczytać te intencje z samego zwiastuna, który kładzie nacisk na konflikt protagonistki ze swoją matką, niegodzącą się na „twerkowanie”. I to nie jest mój wymysł – tak film przedstawiają jego twórcy.

„Początkowo odrzucona przez koleżanki Amy, która nade wszystko pragnie wyrwać się z dysfunkcyjnego rodzinnego środowiska, zaczyna odkrywać swoją rozkwitającą kobiecość. Namawia tancerki na zmysłowy układ, rozbudzając przy okazji ich nadzieje na zwycięstwo w lokalnym konkursie”. Jeśli tak wygląda krytyka seksualizacji, to będzie to dzieło zaiste przewrotne. A propos docenienia na festiwalach. Wiedzą państwo, że współtwórca Sundance, Sterling van Wagenen, od roku siedzi w więzieniu za molestowanie dziewczynek w wieku siedmiu i dziewięciu lat? Taka ciekawostka. ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Dom Gribojedowa

W PRL wszystkie najważniejsze obiekty, na czele z Pałacem Kultury, oddawano do użytku 22 lipca – w święto odrodzenia Polski. Przykładowo w 1949 r. prezydent Bierut z wielką pompą przekazał warszawiakom flagową budowę socjalizmu, Trasę W-Z, a także ukończony właśnie wielki dar ludowej władzy dla inżynierów dusz – Dom Literatury na Krakowskim Przedmieściu. Jeden z przykładów barbarzyńskiej polityki Biura Odbudowy Stolicy i jej szefa, mjr. Sigalina z armii Berlinga, posłusznego Moskwie politruka, jak nazywał go Tyrmand. Odbudowywał bowiem Warszawę przez wyburzanie jej ocalałych, przedwojennych „burżuazyjnych” resztek, zastępując je blokowiskami. Chociaż były inne metody budowy trasy, wybrał tzw. odkrywkową, wy-

inżynierów dusz oglądały więc nie tylko tłumy warszawiaków. Był punktem obowiązkowym wszystkich wycieczek, głównie ze względu na wielką wtedy sensację i cud techniki – pierwsze w Polsce sprowadzone z Moskwy ruchome schody umieszczone w dawnej kamienicy Prażmowskich, a także atrakcję kolejną – jeden z pierwszych telefonicznych automatów, z których dzwonili bohaterowie „Złego” Tyrmanda.

O równie pięknych wnętrzach – dywanach, meblach, nieczęstym jeszcze wtedy centralnym ogrzewaniu – krążyły tylko słuchy, bo podobnie jak w przypadku moskiewskiego Domu Gribojedowa z „Mistrza i Małgorzaty” Bułhakowa wejść tam mogli jedynie budzący zawieść posiadacze pisarskich legitymacji. I niczym w moskiewskim Gribojedowie i tu wszystko było pod jednym dachem. Związek Literatów był dotowany przez państwo, w piwnicy urządził więc stołówkę z tanimi (tylko 5 zł), ale niezłymi klubowymi obiadami dla literatów oraz ich rodzin. Większość przychodziła więc z menażkami. Dla posiadaczy (zniesionych później) kart wstępu – aktorów, dziennikarzy – były jeszcze lepsze i droższe obiady z karty, które jadal również zamożniejsi literaci, m.in. Cat-Mackiewicz, babcia Porazińska i Leopold Tyrmand – zawsze tylko klubowe. Na parterze były: elegancka kawiarnia, ambulatorium z lekarzem, pielęgniarką i dentystą, biblioteka z niedostępnymi wtedy prohibitami: paryską „Kulturą” i londyńskimi „Wiadomościami”, załatwionymi przez Iwaszkiewicza, który sam lubił je poczytać. W licznych pozostałych pokojach królowało Bizancjum – pokoje prezesów, wiceprezesów, armii księgowych, sekretarek, kierowników sekcji np. domów pracy twórczej, gdzie niczym w moskiewskim Gribojedowie załatwiano skierowania do

przekazanego inżynierom dusz już w 1948 r. zrabowanego Potulickim pałacu w Oborach.

Oprócz tego na drugim i trzecim piętrze zbudowano też kilka pokoi gościnnych oraz płatnych tylko za symboliczne pieniądze pięknych mieszkań z łazienkami, kuchniami, balkonami na Wisłę i kolumnę Zygmunta.

W założeniu mieszkania w Gribojedowie miały służyć najbardziej potrzebującym, w trudnej sytuacji, ale nagradzano nimi ulubieńców władzy i decydentów ZLP, m.in. „Czerwoną Nałkę, przodownicę pisarskiej zdrady”, jak pisał Lechoń o Zofii Nałkowskiej (wybitnej pisarce, która jako pierwsza zgłosiła akces do nowej władzy, zostając posłanką do Sejmu, członkiem faszadowego Komitetu Obrońców Pokoju i wielu innych gremiów, ozdobą bankietów u Bieruta). Mieszkał tu również młody krytyk z „Twórczości” prezesa Iwaszkiewicza, jego pupil – Henryk Bereza. Była też pisarka dla młodzieży oraz pierwszy sekretarz organizacji partyjnej literatów – Hanna Ożogowska, z dobrze zarabiającym mężem i synem wojskowym. Protegowani towarzysza Putramenta – młody partyjny aktyw, czołowi socrealiści. Fana-tyczny komunista, ochotnik Armii Czerwonej – Arnold Słucki z żoną (który wyemigrował w 1968 r. do Izraela, tak jak Krzysztof Gruszczyński, autor wierszy o Stalinie i ludowym wojsku polskim, tekstów pieśni „musowych”, m.in. „Tysiące rąk, miliony rąk”, dramatu o sabotażystach „Dobry człowiek”). Najdłużej zasiedział się tu Robert Stiller, jedna z najczarniejszych postaci ZLP – współautor antologii o towarzyszach z bezpieczeństwa, wierszy o gen. Walterze, tłumacz, a przede wszystkim wieloletni gorliwy współpracownik SB (TW „Kryspin”, „Wisłocki”, „Tras”) rozpracowujący emigrację i środowisko literackie. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



magającą rozbiórki znajdujących się w tym miejscu budynków, m.in. zniszczonych tylko częściowo architektonicznych perełek – rokokowych beczennych sąsiednich kamienic Johna i Prażmowskich, które rozebrano, połączono w jedną i zrekonstruowano nad gotowym już tunelem. Dom Literatury był atrapa, makietą, ale mimo to, w biednej powojennej, nadal pełnej ruin Warszawie uchodził długo za symbol luksusu znajdujący się do tego przy jednej z najpiękniejszych warszawskich ulic. Dom

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

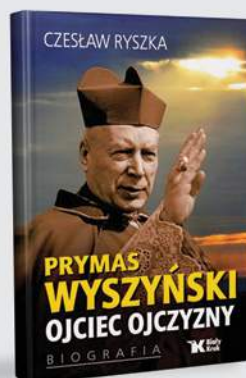
TYGODNIK LIŚCICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA



TYGODNIK „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIK
„HISTORIA DO RZECZY”

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA
I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKA:

CZESŁAW RYSZKA
„PRYMAS WYSZYŃSKI.
OJEC OJCZYZNY”

~~756~~ zł



283,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
473 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10, 539 953 631 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



ORLEN

HOLD OBROŃCOM WESTERPLATTE

81. rocznica wybuchu II wojny światowej



4

Emilewicz:

„Instrumenty wsparcia
trzeba teraz sztyt na miarę”

20

co chodzi z granicznym
podatkiem węglowym?

28

Zielony ład kontra
polskie rolnictwo

Konserwatywny magazyn ekonomiczno-społeczny



Forum Polskiej gospodarki

Nr 3 (3) sierpień 2020

24

Wodór

paliwem
przyszłości

36

Druga wojna

światowa
a parytet
złota

40

Jak polskie piwo

wspiera rozwój
turystyki

Felietony:
Gniadek SVD
Palutkiewicz
Hofman

14 Ile i jak zapłacimy za unijną politykę klimatyczną



14



22



36

04. INSTRUMENTY WSPARCIA TRZEBA TERAZ SZYĆ NA MIARĘ

O skuteczności tarcz antykryzysowych i pomysłach na odbudowę gospodarki rozmawiamy z Jadwigą Emilewicz, wicepremier i minister rozwoju.

10. ZIELONY ZWROT PGNIG

Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo zbuduje nowy segment działalności związany z odnawialnymi źródłami energii. Chce też zarabiać na sprzedaży wodoru i usług z nim związanych.

14. ILE I JAK ZAPŁACIMY ZA UNIJNĄ POLITYKĘ KLIMATYCZNĄ

Na energetykę węglową pieniędzy więcej już nie będzie. Będą za to kary (zresztą już są)...

18. BEZ PRZEMYSŁU METALI NIEŻELAZNYCH NIE BĘDZIE ZIELONEGO ŁADU

Europa stoi przed historyczną szansą na budowę strategicznej autonomii surowcowej kontynentu. Z KGHM Polska Miedź S.A. w roli głównej.

22. O CO CHODZI Z GRANICZNYM PODATKIEM WĘGLOWYM

Nowy pomysł Komisji Europejskiej, za który od 2021 roku zapłacą producenci i konsumenci. Na razie nie wiemy jeszcze, jak dużo.

24. WODÓR PALIWEM PRZYSZŁOŚCI?

W polityce energetycznej UE wodór stanowi jeden z głównych elementów pakietu, którego celem jest eliminacja emisji dwutlenku węgla.

28. UNIJNA POLITYKA KLIMATYCZNA KONTRA ROLNICTWO

Światło, ekologiczne, nowoczesne idee... A na dnie tego zielonego pudełka odnajdujemy tykającą bombę zegarową obliczoną na rok 2050.

32. NOWE TECHNOLOGIE - NOWE SZANSE

Od kilkunastu lat wiele polskich firm publikuje raporty na temat swojej działalności w obszarze CSR, czyli odpowiedzialnego biznesu i zaangażowania społecznego.

36. DRUGA WOJNA ŚWIATOWA A PARYTET ZŁOTA

Co by było, gdyby kanclerz Heinrich Brüning nie trzymał się kurczowo polityki deflacyjnej, która doprowadziła do bezrobocia 30 proc. niemieckich robotników?

40. POLSKIE PIWO WSPIERA TURYSTYKĘ

Wzrost popularności polskiego piwa doprowadził do stworzenia nowego trendu – biroturystyki, czyli podróżowania piwnym szlakiem.



Forum Polskiej
g o s p o d a r k i

Wydawca:

Forum Polskiej
Gospodarki Sp. z o.o.
ul. Srebrna 16 lok. 18
00-810 Warszawa

Redaktor zarządzający:

Krzysztof Budka

Zespół redakcyjny:

Robert Azembski,
Kamil Gorał,
Marek Kutarba,
Jarosław Mańka,
Jacek Podgórski (Instytut
Gospodarki Rolnej)

Felietoniści:

ks. Jacek Gniadek SVD
Piotr Palutkiewicz
(Związek
Przedsiębiorców
i Pracodawców)
Piotr Hofman (Rada
Gospodarcza Strefy
Wolnego Słowa)

Skład i opracowanie graficzne:

Miłosz Trukawka

Korekta:

Anna Zakrzewska

Reklama:

reklama@fpg24.pl

Partnerzy Wydania:

KGHM Polska Miedź S.A.
PGNiG S.A.
Rada Gospodarcza
Strefy Wolnego Słowa

Redakcja Forum Polskiej
Gospodarki nie ponosi
odpowiedzialności za treść
reklam i ogłoszeń.



Transformacja energetyczna bez zadęcia ideologicznego

Czy i w jakim stopniu Europejski Zielony Ład dotknie Polskę? Ile będzie kosztować naszą gospodarkę? Czy, a jeśli tak, to w imię czego, powinniśmy ponieść ten koszt? A będzie on niemały, bo wstępnie szacunki nieistniejącego już Ministerstwa Energii wskazywały, że za dojście do neutralności klimatycznej do 2050 roku zapłacimy nawet 900 mld euro. Czy nas na to stać? Czy stać nas na to, by lekką ręką rezygnować z naszego wielkiego skarbu narodowego, jakim obdarzyła nas natura, czyli węgla kamiennego i brunatnego, i ponosić koszty społeczne związane z całym sektorem wydobywczym? Co z atomem: inwestować czy nie?

Pytania związane z tzw. unijną polityką klimatyczną i transformacją energetyczną mnożą się w zawrotnym tempie. Zadają je dziennikarze, ekonomiści, ale coraz częściej zadają je także przedsiębiorcy oraz zwykli konsumenci, którzy doskonale zaczynają zdawać sobie sprawę, że cały ten zielony program, tak ładnie opakowany marketingowo przez eurokratów, może wyrzucić całą naszą gospodarkę do góry nogami.

Koszty. Mało kto o nich na razie mówi. Mamy za to narrację, według której chodzi przede wszystkim o zachęcanie przedsiębiorstw do inwestycji w nowe technologie – tak, by z jednej strony ograniczały emisje CO₂, a z drugiej stawały się innowacyjne i bardziej konkurencyjne. Bez „pomocy finansowej” te techno-

logie są obecnie zbyt kosztowne, jednak zachęcanie do postępu technologicznego – jak przekonują wyznawcy klimatyzmu – ma sens. Więc Komisja Europejska będzie do niego zachęcać.

Za ile? Jak spróbujemy sobie policzyć, to okaże się, że wizja postępu technologicznego napędzana Europejskim Zielonym Ładem przestaje już być tak zachęcająca. Wystarczy sobie uświadomić, że taka polityka doprowadzi do tego, że ceny za prawie wszystkie towary pójdą w górę dwu- albo i trzykrotnie. To jeden z kosztów „technologicznego postępu”, jaki trzeba będzie ponieść w imię europejskiej polityki klimatycznej. Ona bowiem niczym wirus zainfekowała eurokratów, którzy sprawiają wrażenie ludzi gotowych doprowadzić do dewastacji gospodarek państw członkowskich w imię walki ze zmianami klimatu. Uczciwie byłoby ludziom powiedzieć już teraz, że za chwilę będzie drożej. A koszt tej całej transformacji ponieść będziemy musieli wszyscy – jako podatnicy, przedsiębiorcy i konsumenci. Otwarte wciąż pozostaje pytanie, jak duży będzie to koszt.

Nie zmienia to faktu, że inwestowanie w odnawialne źródła energii i szukanie innowacyjnych rozwiązań na tym polu to oczywiście coś, co ma sens, co warto wspierać i do czego warto dążyć. Jednak bez żadnego zadęcia ideologicznego, podszytego pseudoreligią, w której nikt nie liczy się z kosztami.

Krzysztof Budka

Instrumenty wsparcia trzeba teraz szyc na miarę

Nie ma dziś skuteczniejszego sposobu na stymulowanie gospodarki niż poprzez dobrze sprofilowane inwestycje. Nawet jeśli będą opierać się one o zadłużenie w postaci emisji obligacji, które przecież są długiem długoterminowym. Jeśli więc te inwestycje będą trafione, szybko przyniosą wzrost naszego PKB - mówi Jadwiga Emilewicz, wicepremier i minister rozwoju.

Rozmawiał Robert Azembski

Na duże podsumowanie jeszcze przyjdzie czas, ale o mniejsze można się już pokusić. Jak z Pani perspektywy wygląda skuteczność zastosowanych tarcz antykryzysowych? Wystarczająco pomogły firmom?

Rzeczywiście, na pełną ocenę sytuacji jest jeszcze za wcześnie. Pandemia COVID-19, niestety, ciągle trwa. Póki co nie mamy jeszcze skutecznych terapii, które pomogłyby nam przezwyciężyć tego wirusa. Nie wiemy też, co się wydarzy jesienią i jak długo będziemy jeszcze musieli żyć i pracować w stanie podwyższonej gotowości – kilkanaście czy kilkadziesiąt miesięcy? Na dziś z całą pewnością możemy powiedzieć, że zarówno nastroje inwestorów, jak i optymizm przedsiębiorców poprawiły się. Te pozytywne zmiany w polskiej gospodarce znajdują swoje odbicie także w danych z rejestru CEIDG. W ostatnich miesiącach przybywa firm, które albo odwołują swoją działalność, albo rejestrują nową. To dowód na to, że ta najbardziej intensywna pomoc publiczna, której zaczęliśmy udzielać od początku kwietnia, przyniosła dobre rezultaty. Nie mamy w Polsce ani fali bankructw, ani lawinowego wzrostu bezrobocia.

Są jednak branże, które pomoc oceniają jako niewystarczającą lub źle kierowaną, przede wszystkim turystyczna i gastronomiczna. W jaki sposób będą mogły one jeszcze skorzystać z pomocy rządowej?

Dziś powinniśmy już bardziej „szyć” poszczególne instrumenty wsparcia „na miarę”. Cały czas przyglądamy

się szczególnie tym branżom, w których pomimo zdjecia obostrzeń obroty jeszcze długo nie powrócą do stanu sprzed pandemii. Jedną z nich jest branża turystyczna. W jej przypadku opóźniliśmy skuteczność odstąpienia lub rozwiązania umowy o udział w imprezie turystycznej o 180 dni oraz umożliwiliśmy organizatorom zaproponowanie podróży voucherem do realizacji na poczet przyszłych imprez turystycznych. We współpracy z Ubezpieczeniowym Funduszem Gwarancyjnym (UFG) pracujemy nad rozwiązaniami dla organizatorów turystyki. Oprócz tego chcemy przedłużyć branży turystycznej tzw. postojowe oraz zawieszenie płatności składek na ZUS. To rozwiązanie adresowane jest także do najmniejszych podmiotów z branży turystycznej, w tym dla pilotów wycieczek, przewodników turystycznych i przewodników górskich.

Chcemy uruchomić Rządowy Fundusz Inwestycji Lokalnych o łącznej wartości 12 mld zł. Te dobrze wydane na infrastrukturę lokalną pieniądze bardzo szybko pobudzą rozwój naszej gospodarki.

W odmrażaniu gospodarki była jakaś metoda? Plan, strategia, model, coś, czym kieruje się rząd, a co by pomogło firmom planować swoje strategie?

Od czasu pierwszych obostrzeń każda decyzja była podejmowana po głębszej analizie. Przypatrywaliśmy się też działaniom innych krajów. Przy zamrażaniu gospodarki komunikowaliśmy, jakiego rodzaju restrykcje będziemy wprowadzać, w zależności od tego, czy będzie to dotyczyło salonów fryzjerskich, kosmetycznych, klubów sportowych, basenów itd. Przez całą pandemię prowadziliśmy konsultacje z przedstawicielami poszczególnych branż. Nie było w tym nic przypadkowego ani spontanicznego. Prowadzimy także analizę „po”, czyli skali zachorowań, tego, jak kształtuje się ich krzywa, gdzie i jak przebiegają. Dziś można już powiedzieć, że najtrudniejsze miesiące przeszliśmy w miarę suchą stopą. Nie stanęliśmy na przykład przed zagrożeniem, że zabraknie nam łóżek szpitalnych. Nikt nie był zmuszony odmawiać pomocy, jak to miało miejsce w niektórych krajach, w których osobom od pewnego wieku nie udostępniano respiratorów. U nas wszystko zadziałało poprawnie.

Recesja. Dopadnie Polskę czy nie? A jeśli tak, to jak będzie głęboka?

Komisja Europejska prognozuje 4,6-proc. spadek PKB i ja się z tą prognozą zgadzam. Mimo to nadal najpewniej poniesiemy najmniejsze straty w Unii Europejskiej. Natomiast spodziewamy się, że przyszły rok będzie charakteryzował się mocnym odbiciem w polskiej gospodarce.



foto: PAP/Rafał Guz

Odreagowanie to jedno, ale czy przewidujecie jakieś działania, które wzmocniłyby to odbicie?

Już nie tarcza, ale miecz będzie nam potrzebny. Tym mieczem nazywam m.in. inwestycje publiczne, które muszą zostać zrealizowane. Nie ma dziś skuteczniejszego sposobu na stymulowanie gospodarki niż poprzez dobrze sprofilowane inwestycje. Nawet jeśli będą opierać się one o zadłużenie w postaci emisji obligacji, które przecież są długiem długoterminowym. Jeśli więc te inwestycje będą trafione, to szybko przyniosą wzrost naszego PKB. Mówię tu nie tylko o Centralnym Porcie Komunikacyjnym. Chcemy też uruchomić Rządowy Fundusz Inwestycji Lokalnych o łącznej wartości 12 mld zł. Te dobrze wydane na infrastrukturę lokalną pieniądze – jestem przekonana – bardzo szybko pobudzą rozwój naszej gospodarki.

Jadwiga Emilewicz
wicepremier i minister rozwoju

Wesprzecie samorządy lokalne?

Mówimy o środkach, jakie mają zasilić gminy, które już realizują u siebie inwestycje. Chodzi o to, żeby zostały one dokończone. Wspomniane już 12 mld zł pochodzi z funduszu COVID-owego. To inwestycje samorządowe, ale realizowane przez sektor małych i średnich przedsiębiorstw. Wiele z nich jest relatywnie niewielkich i są one realizowane lokalnie. To będzie znacząca dźwignia dla firm, jednak nie w postaci prostych transferów płynnościowych, ale w formie wsparcia inwestycji.

Emisję nowego długu Pani wyklucza?

Uważam, że przekroczenie reguły stabilizacyjnej ograniczającej deficyt finansów publicznych do 60 proc. nie jest niczym złym. To nie jest czas na oszczędzanie, szczególnie teraz, kiedy pieniądź jest tani, a inflacja znajduje się pod kontrolą.

Ale duże zwiększenie podaży pieniądza zadziała proinflacyjnie.

Umiejętne zadłużanie się na poczet inwestycji nie zaowocuje wyższą inflacją. Nadmiar pieniądza zostanie „zdjęty” z rynku i przyniesie szybki zwrot w postaci pozytywnych wyników przedsiębiorstw.

Przyszły rok będzie lepszy, jak zrozumieliśmy. Kiedy jednak gospodarka się „wyleczy”?

Tak jak już powiedziałam, przewiduję odbicie już w przyszłym roku. Natomiast gospodarka powinna powrócić do stanu sprzed pandemii w ciągu dwóch lat. Przy założeniu, że druga fala pandemii COVID-19 nie spowoduje kolejnych ograniczeń w aktywności społeczno-gospodarczej naszego kraju.

Sektor bankowy sygnalizuje, że w środowisku rekordowo niskich stóp procentowych, spadku zysków i wzrostu kredytów nieregularnych może nie być w stanie w dalszym stopniu udźwignąć ciężaru finansowania gospodarki. Jaki jest Pani do tego stosunek?

Mam świadomość tego, że czas pandemii to wymagający okres dla banków. Chciałabym im podziękować za to, że w tych trudnych dla nas wszystkich miesiącach i tygodniach były i są ważnym partnerem w transferze środków do gospodarki. Powszechnie chwalona Tarcza Finansowa PFR nie mogłaby zostać wdrożona tak szybko bez współpracy z sektorem bankowym. Jego rola w obecnym kryzysie jest nie do przecenienia. Przy okazji chcę przypomnieć, że podnieśliśmy limit gwarancji de minimis Banku Gospodarstwa Krajowego do 80 proc., poszerzając tym

samym pulę podmiotów, które mogą skorzystać z pomocy. Zdajemy sobie sprawę z tego, że sektor bankowy przed pandemią COVID-19 był w dobrej, a nawet bardzo dobrej kondycji. Oczekujemy na dalszą dobrą współpracę, bo im szybciej uda nam się wspólnie pomóc przedsiębiorstwom, tym prędzej także banki zaczną realizować swoje zyski.

Chyba musimy po wakacjach przygotować się na wyższe bezrobocie. Jak Pani sądzi? I czy w tym kontekście zasadna byłaby realizacja pomysłu połączenia Ministerstwa Rozwoju z Ministerstwem Pracy? Czy przyniosłoby to jakieś korzystne synergije, poza redukcją liczby urzędników?

Rekonstrukcja rządu Zjednoczonej Prawicy dopiero przed nami. Zawsze zależało nam na efektywnym rządzeniu państwem.

Gdyby Pani miała tu wiodący głos, jak rozwiązałaby Pani nadal istniejący problem mieszkaniowy w Polsce. Bo program Mieszkanie Plus

Uważam, że przekroczenie reguły stabilizacyjnej ograniczającej deficyt finansów publicznych do 60 proc. nie jest niczym złym. To nie jest czas na oszczędzanie.



– mówiąc delikatnie – nie do końca spełnił pokładane w nim nadzieje.

Mamy już przygotowane trzy pakiety ustaw. Pierwszy dotyczy szeroko rozumianego mieszkalnictwa społecznego, czyli mieszkań dostępnych przede wszystkim dla ludzi młodych, którzy nauczeni doświadczeniem pokolenia „frankowiczów” nie są zainteresowani tego rodzaju kredytami. Mieszkanie ma stanowić realizację idei wolności w praktyce. Krótko mówiąc: jeśli gminy czy miasta mają powołane spółki celowe do rozwijania mieszkalnictwa, chcemy zwiększyć dla nich pulę grantów do pozyskania z BGK do 35 proc. Z tych środków będzie realizowany program mieszkaniowy, w którym młody człowiek, który zamieszka w nowym mieszkaniu, będzie mógł z biegiem czasu przejąć je na własność. Tam, gdzie nie ma spółek celowych w gminach, wejdzie do gry Krajowy Zasób Nieruchomości (KZN), który posiada atrakcyjne, uzbrojone grunty. Dodatkowo ustawowo zostanie on wyposażony w fundusz partycypacyjny. W takiej sytuacji będzie mógł powołać spółkę nawet w małej gminie, która oprócz grantu z BGK będzie mogła ubiegać się

także o wsparcie z KZN. Wszystko po to, aby móc lokalnie zrealizować budowę mieszkań. W ramach tego pakietu chcemy przyjąć ustawy, które poprawią bazę i dostępność mieszkań komunalnych. W tej chwili miasta nie mają żadnego instrumentu finansowego, który mobilizowałby je do remontowania tych zasobów. Dlatego gminy miejskie otrzymają też dostęp do funduszu termomodernizacyjnego na sfinansowanie do 50 proc. kosztów remontów. Do wsparcia tego rodzaju budownictwa chcielibyśmy wykorzystać także środki Europejskiego Funduszu Inwestycyjnego (EBI).

Drugą nowością będzie umożliwienie osobom, które straciły pracę i są na „postojowym”, skorzystania z dopłat do czynszu do wysokości 75 proc. jego wartości (nie więcej niż 1500 zł) nawet w sytuacji, gdy mieszkanie jest wynajmowane na wolnym rynku. Dystrybutorem tej pomocy będą MOPS-y. W tzw. własnościowej części reformy mamy drugi pakiet ustaw, przy pomocy którego chcielibyśmy – w modelu „mieszkanie za grunt” – wejść w partnerskie relacje z deweloperami. Tam, gdzie z różnych powodów samorządy nie realizują właściwie

polityki mieszkaniowej, będą mogły to robić we współpracy z deweloperami. Ci z kolei udostępnią część mieszkań na zasadach komercyjnych, a część przekażą do zasobów komunalnych. Grunty z zasobów KZN chcielibyśmy też udostępniać na budownictwo wielorodzinne prywatne w modelu nowej instytucji – czyli kooperatywy, w których inwestorem budującym mieszkania staje się kilka, kilkanaście rodzin.

Ostatni pakiet ustaw będzie dotyczył spółdzielni mieszkaniowych. Dzięki niemu spółdzielnie będą mogły korzystać z grantów na budowę mieszkań na zasadzie zadań zleconych przez samorządy lokalne.

Zatrzymajmy się na inicjatywach dotyczących systemu podatkowego. Chyba taką reformą nie można nazwać pakietu zmian SLIM VAT, które przecież nie polegają na obniżeniu tego podatku, tylko na uproszczeniu procedur i wymogów formalnych wobec przedsiębiorstw. Jaki jest Pani stosunek do tego? Co z zapowiadanymi jeszcze przed epidemią przez Ministerstwo Rozwoju ulgami podatkowymi dla firm?

Cały czas pracujemy nad ustawami, które wprowadzą takie ulgi w życie. Przede wszystkim będzie to tzw. ulga robotyzacyjna. Chcemy, aby dała ona bardzo mocny impuls inwestycyjny dla gospodarki i w dość krótkim czasie znacząco poprawiła zdolność polskiego przemysłu do konkurencyjności na światowych rynkach. Jeżeli relatywnie szybko nie poprawimy stopnia robotyzacji i automatyzacji polskiego przemysłu, będzie on coraz mniej konkurencyjny w stosunku do przemysłów z innych krajów

Gospodarka powinna powrócić do stanu sprzed pandemii w ciągu dwóch lat. Przy założeniu, że druga fala pandemii nie spowoduje kolejnych ograniczeń w aktywności społeczno-gospodarczej.

Unii Europejskiej. Firmy, które już wdrożyły u siebie roboty przemysłowe, notują poprawę konkurencyjności poprzez wzrost i elastyczność produkcji, a także poprawę jej jakości. Dlatego robotyzacja procesów wytwórczych jest tyleż szansą, ileż koniecznością przedsiębiorstw przemysłowych, żeby dalej mogły się rozwijać. Jednak potrzebna zmiana technologiczna nie zajdzie w sposób dynamiczny, jeśli nie zostanie wsparta działaniami państwa, mającymi na celu przełama-

nie fundamentalnych barier absorpcji nowych technologii – w szczególności małych i średnich. Na świecie przewagę konkurencyjną zdobywają firmy, które są bardziej efektywne – co do zasady funkcjonujące już w realiach przemysłu 4.0. Zautomatyzowana produkcja, bez bezpośredniej styczności z człowiekiem, jest nie tylko tańsza, ale bezpieczniejsza, szczególnie w czasie pandemii. Robotyzacja pozwala także na szybkie reagowanie na zmianę zapotrzebowania, produkcję w krótkich seriach i elastyczność w oferowaniu produktów.

Analogicznie do ulgi na prace badawczo-rozwojowe, bardzo dobrze przyjętej przez biznes, tzw. ulga robotyzacyjna umożliwiłaby dodatkowy odpis od podstawy opodatkowania znaczącej części kosztów związanych z projektowaniem, tworzeniem i wdrażaniem nowych, cyfrowych, zintegrowanych systemów wykorzystujących rozwiązania z dziedziny automatyzacji, sztucznej inteligencji, technologii teleinformatycznych oraz komunikacji pomiędzy maszynami oraz człowiekiem a maszynami do projektowania, zarządzania, optymalizowania i monitorowania procesów produkcyjnych i związanych z nimi procesów logistycznych w przedsiębiorstwie. To znacznie szerszy zakres niż tylko kupno samych robotów. Chcemy, aby przedsiębiorcy zyskali także instrumenty, które umożliwią im zbieranie wielkiej liczby danych pozwalających na optymalizowanie procesów produkcyjnych. Ustalenia z resortem finansów są już na finiszu. Chcielibyśmy, aby nowa ulga podatkowa zaczęła obowiązywać od początku przyszłego roku.





Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com



Zielony zwrot PGNiG



Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo zbuduje nowy segment działalności związany z odnawialnymi źródłami energii. Chce też zarabiać na sprzedaży wodoru i usług z nim związanych. Zainwestuje również w produkcję i dystrybucję biometanu. Wszystkie te elementy wpisują się w zieloną transformację polskiej energetyki i znajdują się w aktualizowanej właśnie strategii PGNiG.

Na zbudowanie segmentu OZE w ciągu najbliższych kilku lat PGNiG zamierza przeznaczyć nawet do 4 mld zł. Docelowo pomoże to osiągnąć moc wytwórczą na poziomie nawet 900 MW, przez co spółka stanie się jednym z wiodących wytwórców energii z OZE w Polsce. W grę wchodzi fotowoltaika oraz farmy wiatrowe. PGNiG chce zainwestować w już istniejące projekty albo w te będące na zaawansowanym etapie rozwoju. Oprócz tego chce rozwijać projekty instalacji fotowoltaicznych na terenach należących do Grupy PGNiG. Pilotażowa instalacja PV powstanie w centrali PGNiG w Warszawie, a na innych obiektach docelowo powstaną instalacje o łącznej mocy 40 MW.

Aktywna transformacja

– Wejście na nowy obszar, jakim są odnawialne źródła energii, pozwoli nam nie tylko na budowanie wartości spółki, na wzrost i stabilizację jej przychodów, ale także na intensywniejsze włączenie się w transformację w kierunku gospodarki nisko- i zeroemisyjnej – informuje Jerzy Kwieciński, prezes PGNiG.

Z kolei na nowy wodorowy program badawczy PGNiG składa się kilka projektów. Najbardziej zaawansowany to uruchomienie stacji tankowania pojazdów wodorem, która powstanie w Warszawie w 2021 roku. Dla gazowej firmy wodor ma stać się w tym wypadku uzupełnieniem obecnej oferty paliw napędowych obejmującej gaz sprężony (CNG) i skroplony (LNG), co będzie sprzyjało

dalszemu rozwojowi gazomobilności w Polsce. Jednak PGNiG ma o wiele szersze plany wykorzystania wodoru poza sektorem motoryzacyjnym. W swoim oddziale w Odolanowie spółka zbuduje instalację do produkcji zielonego wodoru – czyli tworzono go z wykorzystaniem OZE, w tym wypadku z paneli fotowoltaicznych.

PGNiG rozpoczęło także badania nad możliwością magazynowania i transportu wodoru siecią gazową. Stworzona na potrzeby badań sztuczna zamknięta sieć gazowa pozwoli na przetestowanie zachowania infrastruktury i dopracowanie odpowiedniej mieszanki wodoru z gazem ziemnym, która docelowo w przyszłości mogłaby trafić do prawdziwej sieci. Zaś Centralne Laboratorium Pomiarowo-Badawcze PGNiG zajmie się analizą czystości wodoru i badaniami nad innymi paliwami alternatywnymi.

PGNiG rozpoczęło badania nad możliwością magazynowania i transportu wodoru siecią gazową. Stworzona na potrzeby badań sztuczna zamknięta sieć pozwoli na przetestowanie zachowania infrastruktury i dopracowanie odpowiedniej mieszanki wodoru z gazem ziemnym.

– W ciągu dwóch, trzech najbliższych lat chcemy stworzyć spójny łańcuch kompetencji wodorowych, który pozwoli na dalszy rozwój w tym obszarze – zaznacza prezes PGNiG.

W kierunku biometanu

Szukając alternatywnych źródeł energii, PGNiG chce sięgnąć po biometan, którego potencjał produkcyjny w Polsce szacuje się na 7–8 mld m sześć. rocznie. Dla porównania obecnie roczne wydobycie gazu ziemnego w Polsce to ok. 4 mld m sześć, a roczne zużycie – ok. 20 mld m sześć. PGNiG chce za 10 lat móc włączyć do sieci 4 mld m sześć biometanu. To oznaczałoby podwojenie własnej produkcji krajowej i pozwoliłoby na zmniejszenie importu gazu, a jednocześnie przyczyniłoby się do ograniczenia emisji.

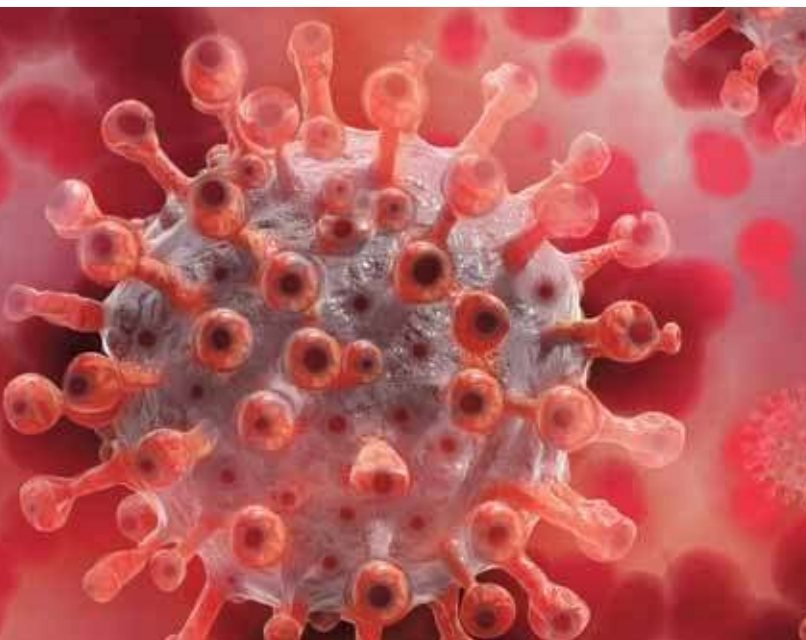
MATERIAŁ PRZYGOTOWANY
WE WSPÓŁPRACY Z PGNiG S.A.



fol. PGNiG S.A.

Polska spółka rusza z produkcją leku na COVID-19

Biomed Lublin poinformował, że pod koniec października prześle pierwszą partię leku na COVID-19 do badań klinicznych. Lek ma składać się z osocza ozdrowieńców. Nie wiadomo natomiast, jaka będzie cena, po której lek będzie sprzedawany, oraz koszty produkcji. Cenę spółka zaproponuje resortowi zdrowia po ukończeniu pierwszej serii produkcyjnej, wtedy też dokładniej zostaną oszacowane koszty.



Nowa platforma na GPW

GPW pracuje nad utworzeniem dedykowanej platformy z zastosowaniem technologii blockchain, która będzie kojarzyć ze sobą spółki na wczesnym etapie ich rozwoju z potencjalnymi inwestorami. Obecnie projekt jest realizowany równolegle na trzech płaszczyznach: inicjatywy prawne, wytwarzanie technologii platformy, działania biznesowe, tj. konsultacje z potencjalnymi uczestnikami, użytkownikami platformy. Wdrożenie platformy stanowi obecnie jeden z priorytetowych projektów dla GPW, wpisany w strategię GK GPW w perspektywie 2022 roku. Na pierwszym etapie GPW wprowadzi rozwiązanie oparte na technologii blockchain, które ma na celu umożliwienie pozyskania kapitału dla spółek. Rozpoczęcie testów platformy przewidziane jest na drugą połowę 2021 – poinformowało biuro prasowe Giełdy Papierów Wartościowych.



O 1,1 miliarda złotych

– czyli w sumie do 2,15 mld zł zwiększa się fundusz pożyczek płynnościowych dla firm finansowanych z funduszy unijnych z Programu Inteligentny Rozwój. Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej i Bank Gospodarstwa Krajowego podpisały aneks do umowy dotyczącej tego anty-kryzysowego narzędzia. Pieniądze umożliwią sfinansowanie wydatków związanych z utrzymaniem bieżącej działalności firm i pomocą im w zapewnieniu płynności finansowej. – Ta forma pomocy dla firm dotkniętych skutkami pandemii COVID-19 cieszy się ogromnym zainteresowaniem. Budżet Funduszu Pożyczkowego początkowo wynosił 400 mld zł, a teraz podnosimy go o 1,1 mld zł, by finalnie zaoferować przedsiębiorcom 2,15 mld zł – wyjaśnia Małgorzata Jarosińska-Jedynak, minister funduszy i polityki regionalnej.

fol. PAP/Rafał Guz



Koniec gotówki w Chinach?

Według chińskiego portalu „21st Century Business Herald” cztery państwowe banki: Agricultural Bank of China, Industrial and Commercial Bank of China, China Construction Bank oraz Bank of China podjęły współpracę z bankiem centralnym ChRL nad realizacją planu bezgotówkowego obrotu pieniądza. Pekin od 2014 roku pracuje nad wprowadzeniem elektronicznej waluty DCEP (Digital Cash Electronic Payment). Do współpracy nad jej wdrożeniem przystąpiły już także Tencent i Ant Financial, dwaj giganci sektora płatności mobilnych, oraz Didi Chuxing, chiński odpowiednik amerykańskiego. Elektroniczny juan docelowo ma wypierać gotówkę. Jest przede wszystkim postrzegany jako środek zaciśnięcia kontroli nad przepływem pieniądza, a także ukrócenia działalności przestępczej w Chinach.

Wyraźny wzrost zatrudnienia

Zatrudnienie w Polsce w przedsiębiorstwach zatrudniających co najmniej 10 osób zwiększyło się w lipcu i to aż o 66 tys. osób. Jednocześnie przeciętne płace tych zatrudnionych wzrosły o 3,8 proc. względem lipca 2019 roku – podał GUS. Poprawa na rynku pracy może być jednak efektem wygasania zawieranych w kwietniu na trzy miesiące porozumień o ograniczaniu wymiaru zatrudnienia. Wcześniejsze ograniczanie wymiaru zatrudnienia, zgodnie z zapisami tarcz anty kryzysowych, GUS interpretował jako spadek zatrudnienia. Zanotowany więc teraz jego wzrost nie musi oznaczać, że pracuje więcej ludzi. Może to być efekt tego, że ci sami zatrudnieni pracują dłużej, bo wymiar czasowy ich zatrudnienia wrócił do stanu sprzed pandemii.



Wielki wyciek

Wyciekły dane 235 mln użytkowników Instagrama, TikToka i YouTube'a – podał serwis internetowy magazynu „Forbes”. Informacje w niezabezpieczonej bazie danych odkryli specjaliści ds. cyberbezpieczeństwa firmy Comparitech. Na podstawie analizy próbek odnalezionych w sieci danych Comparitech stwierdził, że jeden na pięć rekordów zawierał dane takie jak numer telefonu i adres e-mail pokrzywdzonych w wyniku wycieku osób. Oprócz tego wszystkie rekordy składały się z informacji dotyczących imienia i nazwiska, nazwy profilu, zdjęcia profilowego, a także opisu konta użytkowników. Rekordy zawierały także dane o liczbie osób obserwujących dane konto, zaangażowaniu generowanym przez umieszczane na nim treści, a także tempie wzrostu popularności profilu. W bazie danych można było znaleźć również informacje na temat płci i wieku osób śledzących poszczególne profile oraz ich lokalizacji.



2,84 MILIARDA EURO

– nadwyżki miała Polska w czerwcu na rachunku obrotów bieżących z zagranicą. Czyli więcej pieniędzy do nas wpłynęło (głównie z tytułu eksportu towarów i usług) niż wypłynęło (z okazji płacenia za import). W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy ta nadwyżka to już 11,95 mld euro, co jest nowym rekordem Polski.

Ile i jak zapłacimy za unijną politykę klimatyczną?

Porażka budowy bloku węglowego w Ostrołęce i tak naprawdę nierozstrzygnięta nadal debata, co jest głównym źródłem emisji szkodliwego CO₂, pokazują, że polscy decydenci działają pod ogromną presją, przede wszystkim ze strony organów Unii Europejskiej. Naciska ona na dokonanie głębokich i jak najszybszych zmian w polityce energetycznej Polski.

Robert Azembski

Jedno wydaje się być pewne: z węglem prędzej czy później, ale się pożegnamy. Komunikat Brukseli jest tu jasny: na energetykę węglową pieniędzy więcej już nie będzie. Będą za to kary (zresztą już są). Tymczasem koronawirus w czarnydzieski sposób wyparł smog, a codzienne alerty smogowe zastąpiły doniesienia o kolejnych ofiarach COVID-19. Czyżby problem zniknął lub temat tylko wypadł z medialnej agendy? To kwestia na osobne rozważania.

taiką” i fermami wiatrowymi. Tylko uzupełnieniem miksu energetycznego dla Polski może być, i zapewne w końcu będzie, energia czerpana z atomu.

Nie taki czysty

McKinsey&Company w swoim raporcie „Neutralna emisyjnie Polska 2050” twierdzi, że doprowadzenie do neutralności klimatycznej Polski bez włączenia do miksu energetycznego atomu jest po prostu niemożliwe. Według analityków tej firmy budowa w latach 2033–

sądząc, że technologię powinno się kupić od Amerykanów, ale rozważyć należy także oferty ze strony spółek francuskich, południowokoreańskich czy nawet japońskich – o ile rzecz jasna takie się pojawiają. Nie ma też co się łudzić, że po Czarnobylu i Fukushima uda się przemknąć bez debaty nad ekologicznymi aspektami inwestycji. Do energetyki jądrowej różnie podchodzą nawet czołowe kraje europejskie. Niemcy zamierzają wyłączyć wszystkie reaktory jądrowe do 2022 roku. Hiszpania



Po wyborach parlamentarnych w ubiegłym roku likwidacji uległo Ministerstwo Energii. Jedyny spójny dokument, który podawał propozycje z kierunkami dojścia do właściwego modelu zasilania kraju w energię, czyli Polityka Energetyczna Państwa 2040 (PEP 2040), utknął w Ministerstwie Klimatu. Tam podobno ma zostać jeszcze dopracowany. Kiedy? Do końca roku. Tak twierdzi resort.

Sam rynek, nie czekając na urzędników i polityków, pokazuje, że najlepsze perspektywy rysują się przed „dużą fotowol-

2043 bloków o mocy 6–9 GW pozwoli pokryć około 14 proc. rocznego zapotrzebowania Polski na prąd w roku 2050. Lokalizacja elektrowni powinna zostać wskazana do końca przyszłego roku. Może to być Krokowa i Gniewino (lokalizacja „Żarnowiec”) oraz Choczewo (lokalizacja „Lubiatowo-Kopalino”).

Sens ekonomiczny inwestycji w elektrownię atomową należy oprzeć na najlepszej i „najbezpieczniejszej” ofercie. Jej wybór nie powinien być podyktowany politycznymi uwarunkowaniami. Nie należy więc z góry prze-

zastąpi dwa z nich elektrowniami słonecznymi i wiatrowymi. Z drugiej strony Wielka Brytania buduje elektrownię Hinkley Point C, a kolejny reaktor jądrowy ma dostawić do istniejącej elektrowni Finlandia. Dwa reaktory powstaną też na terenie EJ Mochovce na Słowacji.

Jest i nie zniknie problem dotyczący odpadów poprodukcyjnych. Budowniczy elektrowni atomowej muszą być też świadomi faktu, że do chłodzenia reaktorów potrzebne są ogromne ilości wody. Niezasolonej. Stąd lokalizacja elektrowni



musiałaby uwzględniać tani i szybki dostęp do wody z rzek, bo odsalanie wody morskiej jest bardzo drogie.

Biomasa tak, ale..

Jedna z nowelizacji ustawy o OZE wprowadziła definicję drewna energetycznego, umożliwiając tym samym spalanie w elektrowniach drewna z polskich lasów. Przeciwno były – jak zwykle zresztą – organizacje ekologiczne, niektórzy naukowcy z Polskiej Akademii Nauk oraz... słowaccy ekolodzy. Protestowali, mimo iż chodzi o spalanie drewna niepełnowartościowego, m.in. chrustu, igliwia, liści, kory, korzeni, a także tzw. drewna po-kłeskowego i z drzew zniszczonych przez korniki. Zagrożenia więc wycinkami lasów nie ma.

Biomasa to najstarsze i najszerszej współcześnie wykorzy-

stywane odnawialne źródło energii. Należą do niej zarówno odpady z gospodarstwa domowego, jak i pozostałości po przycinaniu zieleni miejskiej. To trzecie co do wielkości na świecie naturalne źródło energii. I mimo iż paliwo to jest atrakcyjne i ekologiczne, zawisto nad nim nowe niebezpieczeństwo. Grupa osób skarżących do organów UE wykorzystywanie biomasy – z Estonii, Francji, Irlandii, Rumunii, Słowacji, Szwecji i USA – uważa, że pozyskiwanie jej z lasów i spalanie do celów energetycznych nasila zmiany klimatu. Są przy tym przekonani, że powoduje to też wylesienia poza granicami Europy. Niezadowoleni z biomasy twierdzą, że spalanie drewna do celów energetycznych powoduje emisję CO₂ nawet półtora raza większą niż węgiel oraz trzy razy większą niż gaz ziemny. Jeśli unijne organy przychylią się do tego stanowiska, kraje Wspólnoty mogą zostać pozbawione tego źródła energii, stanowiącego obecnie blisko 60 proc. energii odnawialnej.

Gdy wieje, trzeba łapać

Według Międzynarodowej Agencji Energii Odnawialnej (IRENA), Polska do 2050 roku znajdzie się w gronie krajów, które najwięcej pieniędzy przeznaczą na rozwój energetyki wiatrowej. Zaczynają w nią inwestować także państwowe spółki, widząc, że właściwie zlokalizowane farmy wiatrowe, szczególnie w pasie nadmorskim i na terenach wyżynnych, dają dobre perspektywy na względnie tanie pozyskanie energii. Towarzyszą im inwestycje w magazyny energii, dzięki którym można bilansować moc pozyskaną z wiatru, podobnie jak ma to miejsce

w przypadku energii ze słońca.

Ministerstwo Rozwoju jak dotąd opiera się zliberalizowaniu tzw. ustawy wiatrakowej. Ustawa odległościowa, zwana potocznie ustawą antywiatrakową, zakłada, że wiatraki na lądzie nie mogą być lokowane w odległości bliższej niż dziesięciokrotność wysokości wiatraka od budynków mieszkalnych (10H). Jej przyjęcie nie tylko zniwelowało plany nowych inwestycji w wiatraki, ale zamroziło także te niedokończone oraz rozchwiało cały rynek. Jeśli resort się ugnie, to kolejna nowelizacja ustawy o OZE dopuści wyjątki od zasady 10H. Niemniej wszelkie inwestycje będą musiały podlegać szerokim konsultacjom i silnemu nadzorowi. Trudno wyobrazić sobie, by liberalizacja poszła na żywioł.

Gaz, fotowoltaika i wodór

Podczas gdy PKN Orlen deklaruje, że weźmie na siebie dokończenie do 2025 roku budowy tym razem gazowego bloku energetycznego w Ostrołęce tym razem gazowego o mocy 600 MW, General Electric z PGE Górnictwo i Energetyka Konwencjonalna wyposażyły Elektrownię Dolna Odra w dwie niskoemisyjne, wysokosprawne i elastyczne turbiny gazowe oraz dwie parowe o mocy do 1,4 GW. Państwowe koncerny skierowały swoją uwagę także na fotowoltaikę – jedna po drugiej ogłaszają rozpoczęcie inwestycji w duże elektrownie słoneczne. Szczególnie aktywna jest w tym obszarze Grupa PGE.

Jerzy Kwieciński, prezes PGNiG, w poprzednim numerze „Forum Polskiej Gospodarki” zapowiedział, że elementem nowej strategii spółki będzie program wodorowy. To bardzo progresywny, dobrze rokujący

kierunek rozwijania energetyki. W ciągu najbliższych czterech lat na prace badawcze związane z tym programem Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo przeznaczy co najmniej 31 mln zł. Wodór jest bardzo „zielonym” paliwem, ale jego pozyskiwanie musi być tańsze, by mógł być szerzej używany do napędu pojazdów mechanicznych. PGNiG chce być firmą, która uruchomi pierwszą stację tankowania pojazdów wodorem w Warszawie, pierwszą prototypową instalację do produkcji zielonego wodoru z OZE.

Jaki miks przyszłości?

W dyskusji nad pożądanym, optymalnym i docelowym miksem energetycznym Polski, ale i w działaniach rządu, i państwowych spółek, wyraźnie widać coraz szybsze odchodzenie od wykorzystania węgla jako podstawowego surowca energetycznego. PEP 2040 zakładała 60 proc. udziału węgla w wytwarzaniu energii elektrycznej w 2030 roku, 21 proc. OZE w finalnym zużyciu energii brutto w 2030 roku oraz wdrożenie energetyki jądrowej w 2033 roku. A także popra-

PEP 2040 zakładała 60 proc. udziału węgla w wytwarzaniu energii elektrycznej w 2030 roku, 21 proc. OZE w finalnym zużyciu energii brutto w 2030 roku oraz wdrożenie energetyki jądrowej w 2033 roku.

wę efektywności energetycznej o 23 proc. do 2030 roku w stosunku do prognoz z 2007 roku oraz ograniczenie emisji CO₂ o 30 proc. do 2030 roku (w stosunku do 1990 roku). Uaktualniona PEP 2040, którą z końcem grudnia 2019 roku resort aktywów państwowych przesłał do Komisji Europejskiej, mówi już o tylko 50–60 proc. udziału węgla w wytwarzaniu energii elektrycznej w 2030 roku, 21–23 proc. OZE w finalnym zużyciu

energii brutto w 2033 roku oraz bardzo konkretnie o wdrożeniu energetyki jądrowej w postaci sześciu reaktorów jądrowych o mocy 6–9 GW – uruchamianych sukcesywnie od 2033 roku.

Piotr Arak, dyrektor Polskiego Instytutu Ekonomicznego (PIE), w rozmowie z portalem fpg24.pl wyraził opinię, że podstawową korzyścią z modyfikacji miksu energetycznego Polski będzie ewentualna redukcja kosztów związanych z wysokoemisyjną produkcją energii. Energia wyprodukowana w Polsce stanie się tańsza, bo nie będzie dodatkowo opodatkowana w efekcie polityki Brukseli. Projekty OZE mają też o wiele łatwiejszy dostęp do kapitału inwestycyjnego. Te związane z kopalinami energetycznymi nie mogą już nawet korzystać ze środków EBI oraz innych banków.

Zasadniczą rzeczą jest jednak to, żeby zmiany dokonywały się w sposób ewolucyjny. Niewymuszony lobbieniem, naciskami politycznymi czy ekologicznym doktrynerstwem. Przeprowadzane powinny być sensownie, z zachowaniem bezpieczeństwa energetycznego kraju.



Bez europejskiego przemysłu metali nieżelaznych nie będzie Zielonego Ładu

fol. KGHM Polska Miedź S.A.

Europa stoi przed historyczną szansą na budowę strategicznej autonomii surowcowej kontynentu. Rolę jednego z jej fundamentów, z powodzeniem może pełnić KGHM Polska Miedź S.A. Bazując na swoim rodzimym potencjale, może ona zapewnić Europejskiemu Zielonemu Ładowi solidne, stabilne i zgodne z najwyższymi normami środowiskowymi podstawy rozwojowe.

Niezależnie od gospodarczych zawirowań i perturbacji spowodowanych epidemią COVID-19 działania ukierunkowane na osiągnięcie neutralności klimatycznej pozostają priorytetem Komisji Europejskiej, która utrzymała większość pierwotnie określonych terminów realizacji poszczególnych inicjatyw składających się na Europejski Zielony Ład. W zamyśle KE ma on stanowić główną siłę napędową do wyjścia z kryzysu oraz fundament, na którym zdekarbonizowana, silna i innowacyjna gospodarka naszego kontynentu ma budować swoją światową pozycję konkurencyjną.

Podstawowym założeniem Zielonego Ładu jest przechodzenie na czystą, odnawialną energię, co docelowo – w per-

spektywie kilkudziesięciu lat – ma pozwolić na zbudowanie w Europie gospodarki zeroemisyjnej. Choć tempo i zakres potrzebnych do tego zmian są i będą różne dla różnych krajów i różnych gałęzi przemysłu, to zarówno dla polskiego, jak i europejskiego sektora metali nieżelaznych proces ten oznacza zarówno ogromne koszty związane z koniecznością wdrożenia nowych technologii, jak też szansę na rozwój i zwiększenie produkcji.

Konsument i producent energii

Górnictwo i przetwórstwo metali to sektory energochłonne, czego najlepiej dowodzi fakt, że KGHM Polska Miedź S.A. jest największym odbiorcą energii elektrycznej w Polsce. Cena energii jest więc jednym z kluczowych czynników

oddziałujących na rentowność produkcji. Każdego roku koncern zużywa około 2,8 TWh energii, w większości zakupionej na rynku.

Dążąc do zmiany tej sytuacji, w latach 2011–2016, za ponad 700 mln zł KGHM Polska Miedź S.A. wybudował własne wysokosprawne bloki kogeneracyjne. Dwie gazowo-parowe jednostki zlokalizowane zostały w Polkowicach i Głogowie. Każda z nich ma moc 42 megawatów elektrycznych i 40 megawatów termicznych. Te elektrociepłownie pracują przez 11 miesięcy w roku i osiągają sprawność na poziomie 80 proc. Podczas gdy produkowana w nich energia elektryczna jest w pełni wykorzystywana na potrzeby własne KGHM, całość powstającej w blokach energii cieplnej przekazywana jest do systemów ciepłowniczych Polkowic, Lubina i Głogowa. Dzięki temu, dostarczając łącznie blisko 800 000 GJ ciepła kogeneracyjnego, lubińska spółka jest najważniejszym dostawcą ciepła użytkowego dla łącznie 165 tys. mieszkańców tych miast.

Przedstawiciele firmy nie ukrywają, że mając na względzie uwarunkowania wynikające z dążenia do ograniczenia emisji oraz kwestie bezpieczeństwa dostaw energii elektrycznej po konkurencyjnych cenach, kwestiom energetyki poświęcają szczególną uwagę. Dali temu wyraz przede wszystkim w zaprezentowanej pod koniec 2018 roku nowej strategii spółki. Zainicjowany wówczas ambitny program strategiczny rozwoju nowych źródeł energetycznych zakłada, że do końca 2030 roku nawet 50 proc. rocznego zapotrzebowania KGHM Polska Miedź S.A. (a więc oko-

ło 1,6 TWh) będzie pokrywane z własnych źródeł energii. Znaczna jej część pochodzić będzie z własnych projektów w obszarze energii słonecznej i wiatrowej.

Pierwsze tego typu inwestycje są już realizowane lub zaplanowane – to pięć farm fotowoltaicznych o łącznej mocy 107 MWp, których roczna produkcja wynosić będzie ponad 116 MWh. Szacunkowe nakłady inwestycyjne związane z tymi instalacjami to 75 mln euro, a ich uruchomienie pozwoli spółce zredukować emisje (w porównaniu do emisji powstałych w przypadku korzystania z energii z rynku) o 88 kt CO₂ rocznie.

Kluczowe zagadnienie finansowania

Aby osiągnąć zamierzony cel strategiczny, spółka rozważa różne warianty – począwszy od zwiększenia poziomu zużycia gazu, poprzez kombinację rozwiązań wykorzystujących gaz, energię słoneczną i wiatrową, aż po oparcie się przede wszystkim na źródłach odnawialnych przy jednoczesnym stopniowym wycofywaniu funkcjonujących obecnie blo-

ków gazowo-parowych. W zależności od analizowanego wariantu szacunkowe nakłady wahają się od około stu aż do – przy założeniu redukcji emisji na poziomie ok. 1 mln ton CO₂ rocznie – kilkuset milionów euro.

Widać zatem wyraźnie, że konsekwencje wynikające z polityki klimatycznej i energetycznej Unii Europejskiej są dla branży istotnym wyzwaniem, szczególnie jeśli zestawimy je z silną i stale rosnącą presją konkurencyjną ze strony nieskrępowanych podobnymi wymogami regulacyjnymi podmiotów spoza Europy, w tym przede wszystkim z Azji. Dodatkowym czynnikiem ograniczającym możliwości działania jest fakt, że oprócz ogromnych nakładów inwestycyjnych, europejski przemysł musi jednocześnie liczyć się ze statym i drastycznym wzrostem cen uprawnień do emisji CO₂ oraz ryzykiem okrojenia listy sektorów objętych systemem rekompensat kosztów pośrednich w ramach IV okresu rozliczeniowego Systemu Handlu Emisjami Unii Europejskiej na lata 2021–2030.

W nadchodzących latach przed całym europejskim przemysłem metali nieżelaznych staną zatem bardzo poważne wyzwania związane z dostosowaniem obecnych modeli biznesowych i procesów produkcyjnych do zmieniających się warunków związanych z dążeniem do neutralności klimatycznej. Nie dziwi zatem, że na ekonomiczną wykonalność tych inwestycji znaczący wpływ będą miały sposób i koszt finansowania. Ze względu na zmienność cen miedzi i potrzebę ciągłych inwestycji w proces produkcyjny, a także obecny poziom



fot. KGHM Polska Miedź S.A.



fot. KGHM Polska Miedź S.A.

zadłużenia, dla tego typu inwestycji potrzebne jest finansowanie, które pozwoliłoby uniknąć obciążania bilansu KGHM Polska Miedź S.A. W tym względzie władze spółki liczą przede wszystkim na fundusze i środki z Unii Europejskiej, zarówno te dostępne w ramach Funduszu Modernizacji, jak i pochodzące z innych źródeł i mechanizmów.

Przedstawiciele koncernu nie ukrywają, że liczą również na wsparcie regulacyjne, które pozwoliłoby obniżyć obecne koszty, w tym szczególnie te powiązane z wytwarzaniem i pozyskiwaniem energii elektrycznej, a także na szybsze i mniej skomplikowane postępowania administracyjne w odniesieniu m.in. do planów zagospodarowania przestrzennego.

Miedziany impuls europejskiej transformacji

Myliłby się jednak ten, kto uważa, że KGHM Polska Miedź S.A. oczekuje wyłącznie na wsparcie

Unii Europejskiej, która miałaby tylko dokładać się do inwestycji branży, nie oferując Wspólnocie nic w zamian. I bynajmniej nie chodzi tu tylko o to, że dzięki wsparciu finansowemu lubińska spółka będzie w stanie znacząco ograniczyć własne emisje, a tym samym w jakimś stopniu przyczynić się do osiągnięcia tego wyjątkowo ambitnego planu, jakim jest neutralność klimatyczna. Najistotniejszy wkład w budowę Zielonego Ładu wnoszą bowiem jej produkty, bez których niemożliwa będzie jakiegokolwiek transformacja energetyczna.

Już w 2017 roku Bank Światowy prognozował, że do 2050 roku rozwijająca się produkcja turbin wiatrowych potrzebować będzie o 300 proc. więcej metali. Kolejne 200 proc. więcej to zapotrzebowanie niezbędne do wytwarzania paneli słonecznych. Aż o 1000 proc. miało też wzrosnąć zużycie metali niezbędnych do produk-

cji akumulatorów. Biorąc pod uwagę, że wyliczenia te powstały jeszcze przed ogłoszeniem programu neutralności klimatycznej 2050, można z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że w rzeczywistości potrzeby te będą jeszcze większe.

Szacuje się, że w latach 2020–2050 w technologiach, które mają pozwolić na zmniejszenie emisji gazów cieplarnianych w UE o 75 proc., potrzebne będzie 22 mln ton miedzi (szacunek w oparciu m.in. o unijny scenariusz „High-RES” do 2050 roku oraz Energetyczną Mapę Drogową UE do 2050 roku).

Rola Polski w strategicznej autonomii surowcowej Europy

Bez cienia przesady można zatem stwierdzić, że odpowiednia podaż metali nieżelaznych jest warunkiem niezbędnym do osiągnięcia przez Europę neutralności klimatycznej. Tymczasem od lat mamy

do czynienia z rosnącym deficytem rodzimego wydobycia. Podczas gdy globalna produkcja miedzi wzrosła o około 50 proc., jej ilość wytwarzana w Europie pozostała praktycznie bez zmian. Stale rośnie za to udział w światowej produkcji Azji – z 27 proc. na początku lat 90. ubiegłego wieku do 61 proc. w roku 2017. Unia Europejska jest więc coraz bardziej uzależniona od importu.

Branżowe szacunki wskazują, że miedź produkowana poza Unią Europejską ma średnio dwukrotnie większą emisję jednostkową w porównaniu do miedzi pochodzącej na przykład z Polski. Różnica ta rośnie jeszcze bardziej, jeśli weźmie się pod uwagę surowiec pochodzący z Azji, a szczególnie z Chin. Doświadczenia płynące z pandemii COVID-19 oraz wojny handlowej pomiędzy USA a Chinami, jak również wzrastające w strefie Morza Południowochińskiego

napięcie militarne powodują, że Państwo Środka staje się jednak coraz mniej pewnym dostawcą. Jest to kwestia szczególnie istotna przede wszystkim w odniesieniu do metali nieżelaznych – strategicznych surowców niezbędnych do długoletniej budowy zrównoważonej gospodarki Europy.

Sytuacja ta stanowi historyczną szansę na budowę strategicznej autonomii surowcowej Europy. W odniesieniu do miedzi rolę jej fundamentu z powodzeniem pełnić mogą zlokalizowane w Polsce, jedne z największych na świecie, dolnośląskie złoża należące do KGHM. Bazując na naszym rodzimym potencjale, spółka jest w stanie kontynuować produkcję co najmniej przez 30–40 kolejnych lat i zapewnić postępującemu Zielonemu Ładowi solidne, stabilne i zgodne z najwyższymi normami środowiskowymi podstawy rozwojowe.

Ogłaszając i wprowadzając w życie ideę gospodarki neutralnej dla klimatu, Wspólnota pokazała, że nie boi się ambitnych i trudnych wyzwań, mimo że skala i tempo zmian spowodowanych koniecznością osiągnięcia kolejnych celów redukcyjnych są bezprecedensowe i nieporównywalne z dotychczasowymi wysiłkami w tym zakresie. Utrzymanie tych priorytetów także w warunkach spowolnienia gospodarczego wywołanego epidemią COVID-19 dowodzi, że w dążeniu do wytyczonych celów Komisja Europejska jest konsekwentna i zdeterminowana. Warto wierzyć, że odwagi nie zabraknie jej również wówczas, gdy dojdzie do podejmowania kluczowych decyzji dotyczących tego, jak możemy i jak powinniśmy podążać obraną już drogą.

MATERIAŁ PRZYGOTOWANY
WE WSPÓŁPRACY
Z KGHM POLSKA MIEDŹ S.A.



fot. KGHM Polska Miedź S.A.

O co chodzi z granicznym podatkiem węglowym?

W pierwszym półroczu 2021 roku Komisja Europejska ma przedstawić projekt dotyczący tzw. granicznego podatku węglowego, czyli dodatkowego cła lub opłaty nakładanej na sprowadzane do UE dobra, których produkcja wymagała dużej emisji CO₂.

Marek Kutarba

Już w 2021 roku Unia Europejska chciałaby wprowadzić tzw. podatek węglowy. W istocie jego nazwa jest dość myląca, nie jest to bowiem podatek od węgla, ale opłata od emisji CO₂. Nie jest to też podatek wewnątrzunijny, ale podatek, który miałby być pobierany na granicach Unii od importowanych na unijne rynki dóbr. Dlatego też często mówi się o granicznym podatku węglowym. Faktycznie bardziej niż do podatku nowa opłata zbliżona będzie do cła, a raczej dodatkowej opłaty celnej pobieranej w momencie wprowadzania towarów, których produkcja wiąże się z dużymi emisjami CO₂, na unijny rynek.

Wyrównać szanse?

Podatek ma wyrównać szanse unijnych firm zmuszonych

do wykupywania praw do emisji CO₂ oraz firm z krajów poza unijnych, w których opłaty takie nie obowiązują lub są dużo niższe niż w UE. Ma też zapobiegać przenoszeniu produkcji poza Wspólnotę tylko w tym celu, by obniżyć koszty związane z emisją CO₂.

Problem powstał w związku z planowanym przez Unię osiągnięciem w 2050 roku neutralności klimatycznej. Aby było to możliwe, konieczne jest odebranie przywilejów wielu przedsiębiorstwom, które korzystają dziś z bezpłatnych praw do emisji CO₂. To, że przedsiębiorstwa takie zaczęły faktycznie płacić za emisję CO₂ (co ma zmuszać je do unowocześniania produkcji i obniżania emisji CO₂), oznacza, że spadnie ich konkurencyjność w stosunku do firm za-

granicznych z krajów, gdzie opłat takich się nie wnosi. I ten właśnie problem ma rozwiązać graniczny podatek węglowy.

Jest on dopiero w fazie wyjściowego projektu. To na razie bardziej wstępna koncepcja niż zestaw gotowych rozwiązań. Te ostatnie szybko jednak możemy poznać. Komisja Europejska zapowiedziała, że gotowy projekt zostanie przedstawiony w 2021 roku. Wyliczono także, że opłata taka przyniesie nawet 14 mld euro rocznie do unijnego budżetu.

Jak to wyliczyć?

Sama konstrukcja podatku jest prosta. Natomiast jego wyliczenie nie będzie już łatwe. Podatek ma wynosić dokładnie tyle, by równoważyć koszt obowiązujących w UE praw do emisji CO₂. Jeśli zatem produkt pochodzący

spoza Wspólnoty w ogóle nie był obłożony takimi opłatami, podatek wyniesie tyle, ile praw do emisji potrzebnych byłoby do jego wytworzenia w kraju unijnym. Jeśli natomiast w kraju takim obowiązują opłaty niższe od unijnych, podatek węglowy miałby odpowiadać różnicy pomiędzy opłatami obowiązującymi w państwie wytworzenia produktu a opłatami obowiązującymi w Unii.

Kłopot polega jednak na tym, że w Unii nie ma jednolitych cen emisji CO₂. Wynika to z tego, że opłaty nie są faktycznie pobierane za tonę wyemitowanego CO₂, ale za prawa do emisji określonej ilości CO₂, a cenę tych praw wyznacza rynek. Na potrzeby poboru podatku węglowego trzeba zatem będzie znaleźć sposób na właściwe uśrednienie tych cen.

Pobieranie takiego podatku nie zawsze będzie jednak łatwe. Trudno dziś wyobrazić sobie łatwe ustalenie jego wysokości w przypadku, gdy dany towar jest wytwarzany w kilku lokalizacjach (krajach), tak jak np. komputery czy samochody, do których komponenty powstają najczęściej w innych państwach niż kraj, w którym składany jest finalny produkt. Dlatego większość ekspertów przewiduje, że początkowo podatek węglowy będzie dotyczył tylko wybranych, energochłonnych branż, takich jak np. wytwórnictwo cementu, stali czy producentów energii elektrycznej. Dopiero na podstawie doświadczeń związanych z opodatkowaniem tych branż podatek miałby być stopniowo rozszerzany na kolejne sektory i produkty.

Będą kłopoty z WTO

Eksperti zwracają uwagę na jeszcze jeden ważny aspekt

Wyliczono, że podatek węglowy przyniesie nawet 14 mld euro rocznie do unijnego budżetu.

związany z wprowadzeniem podatku węglowego. Otóż trudno będzie po jego wprowadzeniu utrzymać powszechny w UE system bezpłatnych uprawnień do emisji. Byłoby to sprzeczne z zasadami Światowej Organizacji Handlu (WTO) dotyczącymi niedyskryminacji podmiotów zagranicznych. Tymczasem dziś w ramach

Unii z bezpłatnych uprawnień do emisji korzysta liczne grono przedsiębiorstw energochłonnych. Unia nie będzie miała jednak innego wyjścia. Chcąc opodatkować import dóbr spoza Wspólnoty, będzie musiała znieść bezpłatne uprawnienia do emisji CO₂ dla unijnych przedsiębiorstw.

Rezygnacja z bezpłatnych uprawnień będzie dla nich oznaczała wzrost kosztów wytwarzanych dóbr. Mimo to eksperci przewidują, że nie będzie to miało znaczącego wpływu na poziom cen dla konsumentów. Ma to wynikać z faktu, że oscylująca wokół 30 euro za tonę wyemitowanego CO₂ opłata nie jest z perspektywy pojedynczego, wytwarzanego dobra, zbyt wysoka. Ceny jednak na pewno wzrosną. Pytanie tylko, czy i jak znaczący będzie to wzrost z perspektywy przeciętnego obywatela UE.





Wodór paliwem przyszłości?

**Kto nie słyszał
o Europejskim
Zielonym Ładzie,
musiał w ostatnim
czasie przebywać
na innej planecie.
To szlagierowe
hasło, z którym
na sztandarze szła
po przewodnictwo
w Komisji Europejskiej
Ursula von der Leyen,
może niebawem
wpłynąć m.in. na to,
czym będą napędzane
nasze samochody.**

Kamil Goral

Szanse na zastąpienie paliw ropopochodnych czy metanu ma wodór. Jeśli także o tym jeszcze ktoś nie słyszał, to zapewne usłyszy. I to niebawem. Dlaczego? Ano dlatego, że w polityce energetycznej Unii Europejskiej ten pierwiastek ma miejsce uprzywilejowane. To właśnie on stanowi jeden z głównych elementów pakietu, którego celem jest eliminacja emisji dwutlenku węgla.

Unia stawia na wodór

Na stronie Komisji Europejskiej czytamy na ten temat m.in:

„Wodór może być źródłem energii w sektorach, które nie nadają się do elektryfikacji i umożliwić magazynowanie energii w celu zrównoważenia zmiennych przepływów energii ze źródeł odnawialnych. Można to jednak osiągnąć je-

dynie dzięki skoordynowaniu działań między sektorem publicznym i prywatnym na szczeblu UE. Priorytetem jest rozwój odnawialnych źródeł wodoru produkowanego głównie z energii wiatrowej i słonecznej. Jednak w perspektywie krótko- i średnio-terminowej potrzebne są inne niskoemisyjne technologie wodorowe, aby szybko ograniczyć emisje i wspierać rozwój rentownego rynku”.

Argumentów podnoszonych przez rzeczników stawiania na wodór jest kilka. Pierwszy ma swoje źródło w polityce i wspomnianym wyżej Europejskim Zielonym Ładzie. Sam w sobie jest on paliwem nieemisyjnym. Oznacza to, że wykorzystując go np. do wprawienia w ruch samochodu, do atmosfery trafia mniej tak nieubianego i niechcianego przez

unijnych urzędników CO₂. Unia ma dokładny plan, w ramach którego powinny być realizowane kolejne etapy szerszego wykorzystania wodoru.

Znowu zajrzyjmy na strony Komisji Europejskiej, gdzie czytamy:

- „W latach 2020–2024 wesprzemy instalację w UE elektrolizerów wodorowych zasilanych energią ze źródeł odnawialnych o mocy co najmniej **6 gigawatów** – elektrolizerów, produkujących do **miliona ton odnawialnego wodoru**.”
- W latach 2025–2030 wódór musi stać się integralną częścią zintegrowanego systemu energetycznego, z elektrolizerami wodorowymi zasilanymi energią ze źródeł odnawialnych o mocy co najmniej **40 gigawatów** oraz produkcją do **10 mln ton odnawialnego wodoru** w UE.
- W latach 2030–2050 technologie produkcji odnawialnego wodoru powinny osiągnąć dojrzałość i być wdrażane na **dużą skalę** we wszystkich sektorach trudnych do dekarbonizacji”.

Komentarza wymaga kwestia związana z uzyskiwaniem wodoru. W przyrodzie nie występuje on w czystej postaci. A to oznacza, że koniecznym jest jego pozyskiwanie. Obecnie odbywa to na kilka sposobów. Wykorzystuje się do tego np. paliwa kopalne, takie jak ropa naftowa czy węgiel. Jest to tzw. wódór szary i ma on jedną zasadniczą wadę. Jego wytworzenie wiąże się bowiem z emisją dwutlenku węgla. Wobec tego znacznie bardziej pożądany jest tzw. zielony, który można uzyskać w procesie elek-

Kraj lub grupa krajów, które rozwiną najbardziej zaawansowane i efektywne metody pozyskiwania i przemysłowego zastosowania wodoru uzyskają bardzo dużą przewagę nad innymi

trolizy z wody. Wykorzystuje się do tego także odnawialne źródła energii. Jest jeszcze wódór niebieski, pozyskiwany z gazu metodą, w której do-

chodzi do eliminacji dwutlenku węgla poprzez jego oddzielenie i wychwycenie.

Metoda pozyskiwania wodoru w procesie elektrolizy z wykorzystaniem OZE jest najkosztowniejsza, co przekłada się na znacznie mniejszą atrakcyjność tak pozyskiwanego paliwa. Dlatego badacze głowią się, jak zmniejszyć te koszty i zbliżyć je chociażby do tych, które trzeba ponieść, pozyskując ów pierwiastek z paliw kopalnych. Obecnie zielony wódór jest niemal czterokrotnie droższy od szarego. Ponad 90 proc. światowej produkcji wodoru pochodzi z paliw kopalnych.

Przed nami wodorowy szok?

Drugim argumentem na rzecz wodoru jest to, że pozwala się on uniezależnić od importu surowców z zagranicy. Gdyby udało się go tanio pozyskiwać i efektywnie zastosować nie



tylko w transporcie, ale także w ciepłownictwie i przemyśle, byłby on znakomitą substytutem dla ropy czy gazu – wskazują zwolennicy tego pierwiastka. A to oznaczałoby pełną suwerenność energetyczną dla krajów, które nie dysponują zasobami paliw kopalnych. Innymi słowy, powszechne zastosowanie wodoru, przy założeniu, że uda się opracować technologię niwelującą znaczne koszty jego pozyskiwania i wykorzystywania, to droga do przełomu na światowym rynku energii.

W wypadku wodoru zielonego koniecznym komponentem jest woda. I tu problemem jest fakt, że musi to być woda słodka. A o tę także niebawem mogą toczyć się konflikty. Wiele jednak wskazuje na to, że również ta przeszkoda zostanie pokonana. Naukowcy są coraz bliżej tego, aby zastosowanie do uzyskania wodoru miała woda słona i aby ów proces był opłacalny ekonomicznie.

Do tego wszystkiego pamiętać należy także o tym, że paliwa kopalne to źródła nieodnawialne. W konsekwencji prędzej czy później ich zasoby zostaną wyczerpane. O te aktualnie dostępne toczyć się może – i w zasadzie już się toczy – zacięta rywalizacja pomiędzy państwami chcącymi je eksploatować. Uniezależnienie się od tradycyjnych nośników energii w perspektywie kilkudziesięciu lat może zatem oznaczać zmianę nie tylko technologiczną, ale także geopolityczną.

Co ważne, ten kraj lub grupa krajów, które rozwiną najbardziej zaawansowane i efektywne metody pozyskiwania i przemysłowego zastosowa-

nia wodoru uzyskają bardzo dużą przewagę nad innymi – wskazują entuzjaści wodoru. Przed nami więc swoisty przełom na miarę kolei parowej czy telegrafu. Mówiąc żargonem ekonomicznym, to pozytywny szok podażyowy dla gospodarek mających dostęp do najnowszych technologii wykorzystywania wodoru jako paliwa. Skorzystają również poszczególne przedsiębiorstwa, szczególnie te, które nabeżdżą w tym obszarze pogłębione kompetencje oraz infrastrukturę techniczną.

Polska w głównym nurcie zmian

7 lipca 2020 roku to bardzo ważna data dla rozwoju wodoru w Polsce. Tego dnia Ministerstwo Klimatu podpisało list intencyjny z 17 czołowymi spółkami energetycznymi pod znamienym tytułem „O ustanowieniu partnerstwa na rzecz budowy gospodarki wodorowej i zawarcia sektorowego porozu-

mienia wodorowego”. Sygnatariuszami są m.in.: PKN Orlen, PGNiG, Lotos, Tauron czy Grupa Azoty.

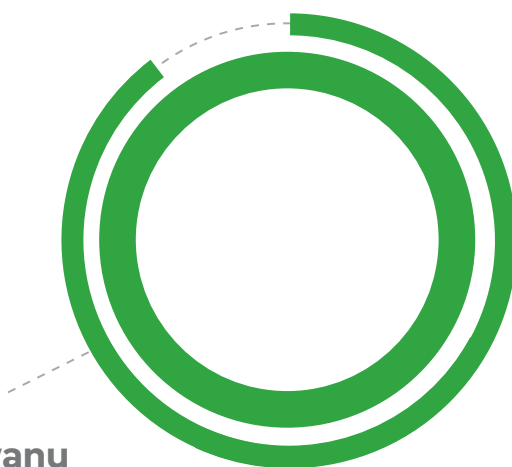
Niektóre z tych podmiotów już od jakiegoś czasu prowadzą działania zwiększające ich kompetencje w obszarze energetyki wodorowej. W liście czytamy m.in. „Sygnatariusze uznają, że rozwój technologii wodorowych jest jednym z kluczowych elementów umożliwiających przeprowadzenie procesu transformacji gospodarki w kierunku nisko- i zeroemisyjnym. Wykorzystanie krajowego potencjału naukowo-badawczego i gospodarczego, w szczególności przemysłu, przyczyni się do rozwoju nowych kompetencji, budowy nowych sektorów gospodarki, a także do wzmocnienia konkurencyjności polskich firm na rynkach międzynarodowych”.

Zatem kierunek został obrany.

Pochodzenie wodoru

ponad
90 %

**wodór
pozyskiwany
z paliw kopalnych**



Jacek **Gniadek SVD**

Życie na Maksa

Dobiega końca sierpień. Miesiąc, w którym obchodzimy liturgiczne wspomnienie św. Maksymiliana Marii Kolbego. Kiedy młody Maksymilian trafił do Niepokalanowa po I wojnie światowej, wspólnota franciszkanów liczyła tylko 19 zakonników. Przed wybuchem II wojny światowej było ich prawie 800, w tym 200 kandydatów. Bóg buduje na naturze. U św. Maksymiliana budował na jego talencie do przedsiębiorczości.

Św. Maksymilian korzystał z najnowszej wiedzy na temat zarządzania i sam był pod tym względem innowacyjny. „Rycerz Niepokalanej” w okresie międzywojennym był drukowany w nakładzie 1 mln egzemplarzy. Dziś przy współczesnej technice byłby to nie lada wyczyn.

Na pierwszy numer „Rycerza Niepokalanej” św. Maksymilian nie otrzymał finansowego wsparcia od przełożonego, który był przeciwny temu, by wydawać pieniądze na czasopismo, kiedy w powojennej i wyniszczzonej zaborami Polsce panowała bieda. Św. Maksymilian na pierwszego „Rycerza” pieniądze dostał od nieznanego ofiarodawcy. Ktoś zostawił mu je w kopercie na ołtarzu.

Wychodzi na to, że na nowe przedsiębiorstwo nie można brać pieniędzy od zakonnego ekonomy. Gdyby było to możliwe, to ekonom sam podjąłby działania i znalazł wśród zakonników menedżera, któremu zleciłby prowadzenie dzieła, gdyby był przekonany o sukcesie. Ten pomysł pojawił się w głowie św. Maksymiliana i nikt prócz niego nie miał także wiary w to, że uda się ten projekt aż tak wspaniale rozwinąć. Św. Maksymilian pokazuje, że można zacząć od zera i można zbudować ogromne przedsiębiorstwo. Podobnie zaczęło wielu wielkich założycieli zakonów w historii Kościoła.

Zakonny ekonom postąpił słusznie. Na nowe przedsiębiorstwo nie można przyznać dotacji. Ten błąd popełniają niestety współczesne rządy, które próbują dofinansowywać z pieniędzy podatników nowe przedsiębiorstwa i początkujących przedsiębiorców. Gdyby urzędnik oceniający projekt sam wiedział, jak założyć przedsiębiorstwo, to zostałby przedsiębiorcą i przestałby być pracownikiem najemnym. Brakuje mu jeszcze innego istotnego narzędzia. Niezbędnym czynnikiem kalkulacji ekonomicznej jest własność prywatna. Urzędnik nie

dysponuje własnymi pieniędzmi, a więc jego alokacja środków na projekt nie będzie nigdy trafiona i będą to przeważnie zmarnowane pieniądze.

Żyjemy dzisiaj w państwie opiekuńczym. Rząd coraz bardziej rości sobie prawo do ingerowania niemalże w każdy aspekt naszego życia. Taki system ekonomiczny ogranicza ludziom swobodne korzystanie z ich przedsiębiorczych zdolności. W świecie, w którym z języka wyeliminowaliśmy pojęcie ryzyka, nie pojawi się przedsiębiorca. Brakuje nam dziś pozytywnego spojrzenia na przedsiębiorczość. Do tego wiele osób uważa, że nie da się tego robić uczciwie.

Wróćmy do św. Maksymiliana. W 1941 roku poniósł on męczeńską śmierć w obozie zagłady Auschwitz-Birkenau. Miał zaledwie 47 lat. Św. Maksymilian żył przez całe swoje życie na... maxa. Zawsze na granicy ryzyka. Całą nadzieję pokładał w Bogu i nigdy się nie zawiodł. Dokonał rzeczy niezwykłych. Był po ludzku spełniony. Kiedy miał dokonać następnego wyboru, by oddać swoje życie za współwznieśnięcie, był na to w pełni gotowy. Korona męczeństwa była ukoronowaniem całego jego życia.

Unijna polityka klimatyczna kontra rolnictwo

Nowa unijna strategia dla rolnictwa, czyli słynny już Europejski Zielony Ład, to zagrożenie dla rodzimej gospodarki rolnej i polskiej wsi. I trzeba to powiedzieć wprost. Zagrożenie, z jakim polski gospodarz nie mierzył się od lat. Wszystko to - rzecz jasna - podawane jest nam w pięknym opakowaniu światłych, ekologicznych, nowoczesnych idei. Dopiero gdzieś na dnie zielonego pudełka odnajdziemy tykającą bombę zegarową obliczoną na rok 2050.

Jacek Podgórski

W opisie promującym nową strategię dla europejskiego rolnictwa znajdującym się na stronach Komisji Europejskiej przeczytać możemy, że degradacja środowiska to zagrożenie dla Europy i świata. Że UE potrzebuje nowej i konkurencyjnej (sic!) ścieżki rozwoju gospodarki, która do tego będzie – słowo klucz – nowoczesna.

Bez krzty rozsądku

Rzeczona nowoczesność dała się rolnikom we znaki już w ubiegłym roku, kiedy to członkowie przedstawiciele zielonego frontu ideologicznego obarczali ich winą za zmiany klimatyczne. Dowiedzieliśmy się wówczas, że Gretha Thunberg wie więcej na temat klimatu niż profesorowie najbardziej znanych światowych uczelni. Że zieloni aktywiści mają lepszy plan dla rolnictwa aniżeli sami rolnicy. Dowiedzieliśmy się wówczas, że krowy produkują tyle metanu, że ziemia nie poradzi sobie z jego nadmiarem. Negowano także istnienie obiegu wody w przyrodzie.

Wszelkie te rewelacje doprowadziły do chłopskiego popołudniowego ruszenia, które niejako w kontrze do bandyckich akcji Extinction Rebellion objęło wiele krajów Europy Zachodniej. Rolnicze protesty – na niespotykaną dotąd skalę – odbywały się m.in. w Niemczech, Francji, Holandii i w Portugalii. Dlaczego jednak rolnicy mieli czelność strajkować?

Unijna strategia wiąże się z kilkoma podstawowymi utrudnieniami, z którymi zmierzyć się będzie musiało rolnictwo na Starym Kontynencie. Chodzi tu przede wszystkim o obligatoryjne przeznaczenie 25 proc. areálu pod uprawy

ekologiczne. Ekologiczne, czyli mniej wydajne, a co za tym idzie – także mniej rentowne w czasach, gdy zapotrzebowanie na żywność na świecie ustawicznie się zwiększa. To jednak nie koniec. Kolejne 10 proc. gruntów będzie musiało być rotacyjnie wyłączane z użytkowania. Łącznie zatem 35 proc. areálu, na którym gospodarują rolnicy, będzie wykorzystywane tylko częściowo lub... w ogóle.

Mało? Zielony Ład to także ograniczenia stosowania nawozów i środków ochrony roślin o kilkadziesiąt procent (faktycz-

Łącznie zatem 35 proc. areálu, na którym gospodarują rolnicy, będzie wykorzystywane tylko częściowo lub... w ogóle.

nie w zależności od obecnego zużycia w konkretnych państwach). Może skończyć się to sporymi problemami. W ostatnich latach w UE znacznie ograniczono możliwość stosowania neonikotynoidów. Efektem tego są tegoroczne problemy francuskich rolników, którzy stracili już od 30–40 proc. krajowych upraw buraka cukrowego, którego zjadły mszyce. Nie warto byłoby szukać tu winy unijnych dygnitarzy, gdyby nie fakt, że w walce z mszycami pomóc mogą wyłącznie... neonikotynoidy. Co zdarzy się w przy-

padku wystąpienia podobnych plag w uprawach sadowniczych, na plantacjach tytoniu, na polach rzepaku, pszenicy, żyta czy jęczmienia? Najpewniej to samo, skoro UE regularnie wytrąca z rolniczej prawicy kolejny oręż, wciąż powiększając listę zakazanych środków ochrony roślin.

Na podobne zagrożenia wskazywali także rolnicy zrzeszeni w największych europejskich organizacjach branżowych i multibranżowych, na czele z Copa-Cogeca. Również największa polska organizacja – samorząd rolniczy – w postaci Krajowej Rady Izby Rolniczych nie szczędził gorzkich słów Europejskiemu Zielonemu Ładowi.

Ekologiczna żywność opłacalna?

W ostatnich pięciu latach, kiedy kraje Europy Zachodniej zwiększyły areał upraw ekologicznych o średnio 25 proc., w Polsce tendencja była dokładnie odwrotna. Ogólna powierzchnia ich areálu we Wspólnocie wynosi 12,5 mln hektarów, co stanowi około 7 proc. użytków rolnych UE. W naszym kraju średnia ekologicznych użytków rolnych wynosi natomiast niecałe 3,4 proc. Dlaczego? Ponieważ rolnictwo wysokotowarowe jest po prostu opłacalne, a przy tym wcale nie aż tak szkodliwe, jak chcieliby ekologiczni aktywiści. Dzięki tak prowadzonej gospodarce rolnej krajowi gospodarze mogli pochwalić się eksportem artykułów rolno-spożywczych, który w ubiegłym roku przekroczył 31 mld euro. Także dzięki tej strategii Polska w czasie pandemii wciąż pozostawała krajem nadwyżkowym w kwestii produkcji żywności, dbając

jednocześnie o dostępność towarów rolno-spożywczych na rynku wewnętrznym.

Także minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski, który początkowo bronił założeń unijnego planu, zauważył, że jego wprowadzenie może wiązać się z nawet 20-proc. spadkiem produkcji żywności w Polsce. Co dalej?

Standardowo Unia będzie kontynuować rozmowy z krajami Mercosur, które chętnie załatwyby Europę swoją marnej jakości tanią żywnością. No, ale jej szkodliwa dla środowiska produkcja nie odbywa się przecież w Europie, która ma być zielona. Mercosur to jednak nie jedyny kierunek, który wykorzystywała Unia. Zęby na wspólnotowy rynek ostrzą sobie USA, Chiny, Ukraina oraz szereg państw azjatyckich. O dodatnim saldzie eksportu Unia będzie mogła zapomnieć. Cóż jednak zrobić, skoro unijni rolnicy, którzy nie ustrzegą się serii bankructw, będą mogli się „przebranżowić”, jak to radzono polskim hodowcom zwierząt futerkowych czy producentom mięsa na potrzeby wspólnot religijnych, czyli branżom, które jednym cięciem próbowano usunąć z polskiej produkcji rolnej.

Zły to czas

Pandemia koronawirusa to najbardziej wymagający czas dla europejskiego rolnictwa od początku istnienia Unii Europejskiej. To także czas, który upłynąć powinien pod znakiem licznych impulsów inwestycyjnych po to, by unijna, silna gospodarka rolna nie straciła na rzecz potężnej, światowej konkurencji. Dzieje się zupełnie odwrotnie, o czym wspominał także były minister rolnictwa

15% Polska

Porównanie w poziomie rozwoju spółdzielczości rolnej



90% kraje UE np. Dania, Niemcy, Niderlandy czy Francja



Krzysztof Jurgiel, który prosił o odłożenie wejścia w życie Europejskiego Zielonego Ładu.

Eksperti jak jeden mąż zwracają również uwagę, że Polska, przy niskim poziomie rozwoju spółdzielczości rolnej, straci możliwość eksportowania towarów rolnych w dotychczasowym wolumenie – w przeciwieństwie do zachodniej konkurencji. W Polsce w formie zorganizowanej funkcjonuje zaledwie około 15 proc. gospodarstw. W Danii, Niemczech, Niderlandach czy Francji współczynnik ten wynosi znacznie ponad 90 proc. Pozwala to tamtejszym rolnikom na kształtowanie zarówno podaży, jak i popytu, ponieważ spółdzielcze środki przeznaczone na działania marketingowe wydawane są zgodnie ze ściśle określonym planem.

Ale przecież będzie zielono. Pięknie będzie....



Piotr **Palutkiewicz**

Te podwyżki im się należą! Serio

Nie milkną echa podwyżek wynagrodzeń dla osób sprawujących funkcje publiczne. Dziwne, bo Polacy z natury nie lubią rozmawiać o zarobkach. Chyba że cudzych. Wtedy nie dość, że temat jest interesujący, to dodatkowo emocjonuje nas do czerwoności.

Jak przedstawiają się zarobki w Polsce? Zarabiamy stosunkowo mało w porównaniu do innych państw Unii Europejskiej. Patrzymy na Zachód i chcemy zarabiać tak jak w Niemczech, Francji czy Wielkiej Brytanii. Mamy prawo być niezadowoleni. Siła nabywczą polskiej pensji także jest niższa niż w krajach tzw. Starej Unii. To kłuje nas w oczy. Godzi w nasze aspiracje. Chcemy dogonić najbogatszych już dziś. Na to potrzeba jednak czasu. Konieczne jest zwiększanie wydajności pracy, budowanie wzrostu gospodarczego i tworzenie nowych miejsc pracy. Nie ma drogi na skróty.

W obliczu niskich zarobków drażnią nas wynagrodzenia osób sprawujących funkcje publiczne. Politycy czy urzędnicy są w powszechnej opinii niekompletni, leniwi, nie troszczą się o dobro wspólne. Opozy-

cja każdej kadencji dodatkowo uwypukla i eksponuje wszelkie wady tych, którzy władzę sprawują. W efekcie zaufanie i szacunek dla osób na stanowiskach publicznych jest niskie. Nie powinno zatem dziwić, że Polacy nie chcą, by ich przedstawiciele zarabiali więcej.

A powinni. Wszelkie dane rynkowe czy opinie eksperckie niezależne od polityki mówią jasno. Skala odpowiedzialności i waga podejmowanych decyzji, złożoność zadań, zakres kierowania, a także konieczność zapewnienia niezależności finansowej sytuacji osoby pełniące funkcje publiczne na samym topie najważniejszych stanowisk pracy na rynku. Pomimo wagi tych stanowisk, przekraczającej o kilka poziomów członków zarządów największych spółek, najważniejsze osoby w państwie zarabiają na poziomie głównego specjalisty lub młodszego kierownika w warszawskiej korporacji. Jak tu zatem ściągnąć z rynku najlepszych do pracy w urzędach centralnych?

Nie powinno więc dziwić, że skoro nie chcemy płacić rynkowo, aby przyciągać i utrzymywać osoby o największej wiedzy i kompetencjach, to nie

będziemy mieli kompetentnych pracowników. Błędne koło.

W połowie sierpnia rządzący wreszcie się odważyli dokonać radykalnych podwyżek dla tych, którzy odpowiadają za nasze prawo, bezpieczeństwo czy jakość życia. Zrobili jednak błąd. Nie chodzi o uchwalenie tych zmian w „złym” COVID-owym i kryzysowym czasie. Nigdy nie ma dobrego momentu na podejmowanie takich decyzji. Gdy kilka lat temu władza przyznała sobie nagrody w gospodarczej hossie, krytyka nie schodziła z pierwszych stron gazet oraz ust opozycji. Problem tkwił gdzieś indziej.

Jeśli reformujemy politykę płacową, reformujemy cały system wynagradzania, nie tylko stawki. Wynagradzajmy za efekty, stwórzmy jasny system premiowania wyższych urzędników, ograniczmy ich liczbę. Zakażmy łączenia mandatu posła ze stanowiskami w rządzie. A przede wszystkim w pakiecie z racjonalnymi podwyżkami dla osób sprawujących funkcje publiczne nie zwiększajmy poziomu subwencji dla partii politycznych. Bo tak zrobiono. Takie pakietowanie jeszcze nigdy nie znalazło swoich popleczników.

Nowe technologie – nowe szanse

Od kilkunastu lat wiele polskich firm publikuje raporty na temat swojej działalności w obszarze CSR, czyli odpowiedzialnego biznesu, zrównoważonego rozwoju, ochrony środowiska i zaangażowania społecznego.

Nie inaczej jest w tym roku, choć jest to rok – nie tylko dla biznesu – zupełnie inny niż lata poprzednie. Ogromna pomoc, jaką polskie firmy włożyły w walkę z pandemią COVID-19, pokazuje, że większość z nich z troską i powagą traktuje społeczny wymiar swojej działalności. Duża część tych firm regularnie publikuje raporty z działań w obszarze CSR, pokazując m.in., jak skutecznie przeciwdziałać różnego rodzaju wykluczeniom.

TECH4ALL – wyrównać nierówności

Ważną rolę w walce z wykluczeniem – dzięki wysokiej dynamice rozwoju technologii te-

MATERIAŁ PARTNERA

lekomunikacyjnych – odgrywa Huawei. Firma od lat aktywnie stara się o włączenie wszystkich w cyfrowy świat, realizując zarówno cele zrównoważonego rozwoju określone przez ONZ, jak i autorskie projekty na rzecz walki z wykluczeniem, w tym skupioną na integracji cyfrowej inicjatywę TECH4ALL.

Każdego dnia jesteśmy świadkami tego, jak nowe technologie zmieniają chociażby współczesną edukację, jednak 50 proc. światowej populacji wciąż nie ma dostępu do Internetu, a wielu osobom brakuje podstawowych umiejętności cyfrowych. Rezultatem takiego stanu rzeczy jest wciąż rosnąca przepaść cyfrowa w dostępie do edukacji. Odpowiedzią Huawei na ten

globalny problem jest inicjatywa TECH4ALL. Wspiera ona koalicję edukacyjną UNESCO, utworzoną w celu stawienia czoła globalnym wyzwaniom dla edukacji. Poprzez to działanie, firma zapewnia lokalnym nauczycielom łączność z Internetem, urządzenia czy szkolenia cyfrowe. W ramach TECH4ALL Huawei zorganizował także DigiTruck, czyli centrum szkoleniowe na kołach, dzięki któremu przeszkolono już ponad 1500 młodych osób i nauczycieli na obszarach wiejskich.

Facing Emotions – pokazać niewidoczne

Technologie Huawei służą również do włączania do społeczeństwa grup społecznych, które z różnych względów



fot. Olimpiady Specjalne

nie mogły w pełni w nim uczestniczyć. Jednym z przykładów jest aplikacja „Facing Emotions”, która sprawia, że obiektyw znajdującego się na tylnej ścianie smartfona skanuje twarz osoby, z którą rozmawia osoba niewidoma i identyfikuje mimikę twarzy rozmówcy. Sztuczna inteligencja przetwarza zidentyfikowane emocje na określony dźwięk słyszalny w telefonie (lub w słuchawce, którą nosi osoba niewidoma). Odbywa się to w czasie rzeczywistym i w trybie offline – bez połączenia z siecią. Dzięki temu rozwiązaniu osoba niewidoma rozpoznaje siedem uniwersalnych emocji: zdziwienie, smutek, radość, strach, niesmak, pogardę i złość, gdyż każda z nich ma przypisany określony, charakterystyczny dźwięk.

Seeds for the Future – wspierać najzdolniejszych

Najbardziej znaną globalną inicjatywą, którą Huawei prowadzi także w Polsce, jest program „Seeds for the Future”. Wspiera on edukację technologiczną oraz rozwój utalentowanych studentów. Najlepsi studenci z uczelni technicznych mają szansę wziąć udział

w specjalnych kursach edukacyjnych i zdobywać wiedzę o najnowszych technologiach od międzynarodowych ekspertów z branży ICT. Wyróżniający się absolwenci mogą także liczyć na oferty staży i zatrudnienia w zaawansowanych działach Huawei w Polsce i na świecie.

#Huawei4Inclusion – włączać wykluczonych

Oprócz programów o charakterze globalnym Huawei Polska aktywnie działa na rzecz walki z wykluczeniem poprzez realizację wielu lokalnych inicjatyw. Huawei współpracuje z Funda-

cją Leżę i Pracuję przy projektach na rzecz wsparcia osób z niepełnosprawnością ruchową na rynku pracy. Firma jest także Sponsorem Głównym Olimpiad Specjalnych Polska, których celem jest promocja sportu wśród osób z niepełnosprawnością intelektualną, a także walka ze stereotypami. Dzięki przedsięwzięciom organizowanym w ramach fundacji możliwe jest lepsze poznanie osób z niepełnosprawnością intelektualną – ich talentów, pasji i sukcesów sportowych.

– Od wielu lat jedną z misji Huawei jest walka z wszelkiego rodzaju wykluczeniami, często przy wykorzystaniu najnowocześniejszych technologii. Wierzymy, że tworzone przez nas rozwiązania, pozwalają pokonywać bariery oraz ograniczenia, łącząc ze sobą ludzi na całym świecie. Wyznajemy zasadę, że nikt nie powinien pozostawać w tyle, a naszym celem jest tworzenie technologii, która zmienia świat na lepsze, odzwierciedlając przy tym wymagania i potrzeby różnych społeczności – tłumaczy Radosław Kędzia, wiceprezes Huawei w regionie Europy Środkowo-Wschodniej i krajach nordyckich.

MATERIAL PARTNERA



fot. Olimpiady Specjalne

Miasteczko Zdrowia Orlenu

Największy polski koncern pochwalił się rozpoczęciem w 2019 roku realizacji „Strategii CSR Grupy ORLEN do 2022 roku”. Obok dążenia do spójności celów biznesowych i społecznych, priorytetami tej strategii są: budowanie wizerunku PKN ORLEN jako lidera w zakresie CSR i zrównoważonego rozwoju, osiągnięcie synergii działań społecznych w Grupie ORLEN, wsparcie realizacji Celów Zrównoważonego Rozwoju oraz Programu Dostępność Plus.

Jedną z wielu godnych pochwał inicjatyw jest zaangażowanie koncernu w obszarze zdrowia. W ubiegłym roku podczas Dni Chemika w Płocku po raz pierwszy zorganizowane zostało „Miasteczko Zdrowia” – dwudniowe wydarzenie, którego celem była promocja profilaktyki zdrowotnej oraz zdrowego i aktywnego stylu życia. Uczestnicy mogli wziąć udział w bezpłatnych badaniach i konsultacjach lekarskich. Podczas pierwszej edycji w czerwcu przeprowadzono ponad 4 tys. badań i konsultacji, a podczas drugiej, zorganizowanej w październiku, ponad 6 tys. Odpowiadając na potrze-

by mieszkańców Płocka w 2019 roku PKN ORLEN podpisał umowę z Narodowym Instytutem Onkologii na pionierski w skali kraju „Program kompleksowej profilaktyki, diagnostyki i leczenia nowotworów oraz chorób układu oddechowego mieszkańców Płocka i powiatu płockiego”.

Bank dostępny dla niewidomych

Największy polski bank, czyli PKO Bank Polski, z kolei wyszedł naprzeciw potrzebom osób niewidomych i słabowidzących. Takie osoby mogą samodzielnie założyć konto w banku i wziąć kredyt. Klienci słabowidzący i niewidomi, którzy odwiedzają oddziały stacjonarne, mogą skorzystać z możliwości głosnego odczytania treści w placówce przez pracownika lub wskazaną przez siebie osobę zaufaną. Na dokumencie zostaje wówczas zamieszczona stosowna adnotacja ze wskazaniem – kto i kiedy odczytał dokument klientowi. Proces ten zazwyczaj odbywa się w oddzielnym pokoju, gwarantującym klientowi dyskrecję i komfort akustyczny.

Do dyspozycji klientów banku jest ponad 3 tys. bankoma-

tów z klawiaturą alfanumeryczną z oznaczeniami w alfabecie Braille’a. Ponad 70 proc. z tych bankomatów wyposażonych jest w moduł słuchawkowy.

Bezpieczniki TAURONA

Grupa Tauron Polska Energia od 2013 roku z powodzeniem prowadzi program edukacyjny o zasięgu ogólnopolskim skierowany do uczniów szkół podstawowych, również uczniów z niepełnosprawnością, grona nauczycielskiego oraz rodziców. Jego celem jest edukacja w zakresie bezpiecznego korzystania z urządzeń elektrycznych, a także popularyzacja zagadnień związanych z powstawaniem i dystrybucją energii. W 2017 r. nastąpiła zmiana jego formuły – lekcje prowadzone w szkołach, na terenie działania spółki, zostały zastąpione przez multimedialną platformę edukacyjną, zawierającą scenariusze zajęć oraz szereg materiałów dydaktycznych. Elementem programu są także zajęcia edukacyjne, odbywające się podczas różnych imprez plenerowych i naukowych oraz w placówkach edukacyjnych dla uczniów z niepełnosprawnością.

Wyprawki od GAZ-SYSTEM

O uczniach z najuboższych rodzin, szczególnie tych najmłodszych, dba też Operator Gazociągów Przesyłowych GAZ-SYSTEM S.A. W ubiegłym roku firma już po raz szósty przekazała wyprawki szkolne dla pierwszoklasistów. Wraz z życzeniami udanego i twórczego nowego roku szkolnego otrzymały one plecaki, piórniki oraz worki na obuwie. Łącznie do świeżo pasowanych uczniów w 54 gminach na terenie Polski trafiło 2451 wyprawek.

PARTNEREM RAPORTU
JEST HUAWEI POLSKA





Piotr Hofman

Czas na wsparcie sektorowe

Wnajwiększych polskich kurortach brakuje miejsc, a plaże są zapelnione po brzegi. Na pierwszy rzut oka nikt by nie pomyślał, że właśnie zmagamy się z jednym z najpoważniejszych kryzysów gospodarczych. Ale nie zapominajmy, że większość branż wciąż walczy o przetrwanie, a dla niektórych będzie to ostatnie lato.

Po marcowym szoku, jakim było pojawienie się w Polsce koronawirusa, nasza gospodarka zamarta. W efekcie rząd musiał uruchomić bezprecedensowe wsparcie dla przedsiębiorców. Bez niego czekałaby nas gigantyczna zapaść. Walka ze skutkami pandemii zaczęła się na szczęście ogólnodostępnie – szybko i w miarę sprawnie – teraz zatem czas na wsparcie sektorowe.

Kończą się wakacje, trudno więc nie zauważyć, że to właśnie turystyka jako pierwsza padła w Polsce ofiarą rozlewającej się po świecie pandemii. Dla części tego sektora obroty zaczęły spadać już w lutym. W większości rynek zupełnie zniknął w połowie marca, a rozwiązania pomocowe zawarte w tarczy antykryzysowej obo-

wiązywały dopiero od 1 kwietnia. W dodatku były one nikłą odpowiedzią na skalę problemu.

Polacy tłumnie ruszyli w Polskę, wielu zrezygnowało z wyjazdu zagranicznego. Popularne i często egzotyczne destynacje zamieniliśmy na mazurskie jeziora, malownicze góry czy nadbałtyckie plaże. To dobrze, że odkrywamy na nowo uroki naszego kraju. Niemniej w ostatnich latach siłą polskiej turystyki byli także goście z innych krajów, w tym roku będzie ich zapewne zdecydowanie mniej niż dotychczas. Powinno się również pomyśleć o biurach podróży – wiele z nich miało kłopoty jeszcze przed wybuchem epidemii, a obecna sytuacja to dla nich gwóźdź do trumny. Sprawy nie rozwiąże bon turystyczny – owszem, to dobry pomysł, ale czemu miałby być dostępny dla wszystkich? Przecież turyści to nie tylko osoby mające dzieci.

Cierpi też branża konferencyjna. W tym roku firmy masowo rezygnowały z wyjazdów integracyjnych i konferencji. A dla licznych hoteli i ośrodków wypoczynkowych to było główne źródło utrzymania. Wiele wskazuje na to, że ten stan rzeczy

zmieni się nieprędko, biorąc pod uwagę zapowiedzi o drugiej, jesiennej fali zakażeń.

Bardzo mocno skutki pandemii odczuła także branża transportowa, szczególnie transport osobowy. Chociaż coraz więcej z nas nie boi się już podróżować, to jednak straty z początku pandemii trudno będzie odrobić. Nie mówiąc o tym, że do pełnego odbicia droga ciągle daleka.

To wszystko oznacza, że wsparcie dla gospodarki musi mieć charakter punktowy. Trzeba się skoncentrować na konkretnych branżach, tych, w które kryzys uderzył z największą siłą. To idealny moment, aby posłuchać głosu przedsiębiorców i ustalić, jaka forma pomocy się sprawdziła, co nie wyszło i co jest najważniejsze teraz, do powolnego odmrożenia gospodarki.

Strumień wsparcia musi być dobrze przemyślany i kierowany tam, gdzie jest najbardziej potrzebny. To sprawa przetrwania dla wielu podmiotów, które swoją pozycję rynkową budowały przez lata. Gdyby nie lockdown, radziłyby sobie znakomicie. Nie można ich zostawić samym sobie. Potrzebujemy ich, następne lato bowiem już za rok!

Druga wojna światowa a parytet złota

**1 września 1939 roku
hitlerowskie Niemcy
zaatakowały Polskę.
Naprzeciw siebie stanęły
dwie armie i dwie gospodarki.
Było to przysłowiowe
starcie Dawida z Goliatem,
przy czym Goliatowi
aktywnie pomagali jeszcze:
giermek - Słowacja,
radziecki niedźwiedź
oraz... Anglia i Francja,
nie wywiązując się
z sojuszniczych
zobowiązań wobec Polski.**

Jarosław Mańka

Trzecia Rzesza i Druga Rzeczpospolita dysponowały zasadniczo różnym potencjałem gospodarczym, co odbiło się na liczebności i uzbrojeniu obu armii. Przeciwko niemieckiej, liczącej 1,85 mln żołnierzy wspomaganą przez Słowaków w sile kolejnych 50 tys., niedawno odrodzona Polska zdołała wystawić armię liczącą 950 tys. żołnierzy.

Choć wydatki II RP na cele obronne sięgnęły w 1939 roku 30 proc. budżetu, to próba dogonienia pod względem technologicznym armii europejskich kompletnie się nie powiodła. Plan modernizacji wojska podpisany przez Edwarda Rydza-Śmigłego w 1936 roku zakładał, że uda się to za sześć lat. Wielu wcześniejszych zaniedbań nie dało się zniwelować.

Co prawda dysponowaliśmy świetną i nowoczesną bronią

z najwyższej światowej półki, w dodatku rodzimej produkcji, jak karabiny przeciwpancerne Ur, czołgi 7TP czy bombowce „łoś”, jednak było tego niewiele. Wojna wybuchła w połowie realizacji planu zakładającego modernizację polskiego wojska. Nowoczesna armia niemiecka miała przeciwko sobie więc armię w miarę liczną, ale niemogącą sprostać wymogom nowoczesnego pola bitwy. Polskie lotnictwo i broń pancerna nie mogły się równać z niemiecką Luftwaffe i pancernymi załogami Guderiana.

Niemieckie triki

W tym momencie warto zadać pytanie: co władze ówczesnej Polski mogły uczynić, by przyspieszyć rozwój gospodarczy? Zdaniem części dzisiejszych ekonomistów, zbyt słaby rozwój gospodarczy

II RP spowodowany był m.in. parytetem złota. Gdy podczas Wielkiego Kryzysu większość państw decydowała się na dewaluację swojej waluty, polski rząd starał się ją umacniać. Na dewaluację własnej waluty postawili m.in. Brytyjczycy, państwa skandynawskie, Czechosłowacja, Japonia i USA. Polska zrobiła to dopiero w 1939 roku. A jak z Wielkim Kryzysem poradziły sobie Niemcy?

Nie od dziś wiadomo, że Adolf Hitler doszedł do władzy w dużej mierze dzięki obietnicy gospodarczej odbudowy Niemiec. Jeszcze w styczniu 1933 roku w ostatnich miesiącach Republiki Weimarskiej, bezrobocie sięgało aż 6 mln osób. W rok po przejściu władzy przez nazistów odtrąbiono niebywały sukces – spadek bezrobocia do 3,3 mln. Jak to się stało? Hitlerowi potrzebny był sukces, który utwierdzi Niemców w przekonaniu, iż kanclerz rodem z Austrii jest najlepszym z możliwych wyborów. W uzyskaniu tak dobrych statystyk nazistom pomogło kilka trików.

Przede wszystkim wykluczono ze statystyk bezrobotne kobiety, uznając, że miejsce kobiet jest w domu przy dzieciach. Dodatkowo, gdy tylko było to możliwe, zwalniano kobiety z pracy, zatrudniając w to miejsce mężczyzn. Statystyki „poprawiano” także poprzez usunięcie z nich Żydów, których w Niemczech mieszkało około 500 tys.

Dalszy spadek bezrobocia w kolejnych latach spowodowany był m.in. przywróceniem obowiązkowej służby wojskowej. Wiele bezrobotnych trafiło do armii, więc z miejsca przestało być bezrobotnymi (warto

W 1939 roku dług publiczny wynosił już 46 proc., ale w armii niemieckiej służyło 1,4 mln żołnierzy.

w tym miejscu dodać, że była to propozycja nie do odrzucenia: albo armia, albo obóz koncentracyjny).

Kolejnym etapem walki z bezrobociem stały się ogromne nakłady na rozwój przemysłu zbrojeniowego i rozpoczęcie dużych robót publicznych (budowa autostrad). Wszystkie te inwestycje potrzebowały tysięcy rąk do pracy.

**Baudienst
(Służba
Budowlana)
Przemarsz
robotników**

Siła przez radość

Nazistowska propaganda doskonale potrafiła rozegrać sprawę gospodarki. Wprawdzie

za rządów nazistów Niemcy nie zarabiali dużo, jednak władza rozdawała uznaniowo różne dobra po atrakcyjnych cenach. Szczególną popularnością cieszył się program „Kraft durch Freude” („Siła przez radość”), który miał zorganizować czas wolny niemieckich robotników. Ludzie pracy w ramach wspomnianego programu mogli korzystać z atrakcyjnych cenowo wycieczek, np. wyjazd na narty w bawarskie Alpy kosztował 28 marek, a wycieczka promem na Wyspy Kanaryjskie 62 marki (dla porównania miesięczne wynagrodzenie robotnika w fabryce Kruppa wynosiło 180 marek). Robotnicy byli zadowoleni, a machina propagandowa mogła pokazać, jak narodowi socjaliści dbają o niemieckich pracowników.

Dużą popularnością cieszył się też program oszczędzania na volkswagena garbusa, który okazał się... klasycznym przekretem. Na kosztujące niemal 1000 marek auto robotnik mógł wpłacać 20 marek miesięcznie. Po uzbieraniu 750



źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe. Domena publiczna

marek uczestnik programu miał się już cieszyć nowym autem, spłacając nadal systematycznie brakującą kwotę. W praktyce samochodu nie otrzymał żaden z uczestników programu, a zebrane na kontach pieniądze rząd przeznaczył na zbrojenia.

Mit sukcesu

W 1939 roku niemieccy robotnicy mogli za swoją wypłatę kupić o 1/4 mniej niż przed przejęciem władzy przez NSDAP. Skąd zatem mit sukcesu ekonomicznego Niemiec za rządów Hitlera?

Biorąc pod uwagę fakt, że podczas rządów nazistów zadłużenie Niemiec wzrosło pięciokrotnie, śmiało można mówić o niezwykłym sukcesie, ale tylko i wyłącznie propagandy Josepha Goebbelsa. Niemcy i świat usłyszeli to, co mieli usłyszeć: kwitnąca gospodarka i sukces, który mógł zagwarantować tylko narodowy socjalizm. Fakty przedstawiały się zgoła inaczej.

Hitler realizował *de facto* tylko jeden program gospodarczy: zbrojenia za wszelką cenę. Dlatego też nazisci wkrótce niebotycznie podnieśli podatki. III Rzesza zafundowała swoim obywatelom 21 różnych podatków, w tym specjalny podatek na zbrojenia. Obywateli zarabiających ponad 100 tys. marek rocznie obejmował najwyższy, 50-proc. próg podatkowy. Jedynym wyjątkiem od tej zasady był... kanclerz.

Otóż Adolf Hitler pobierając jako szef rządu 44 tys. marek rocznie (dla porównania roczna pensja nauczyciela wynosiła niecałe 5 tys. marek) zarobił dodatkowo na tantiemach autorskich bestsellera, jakim okazała się „Mein Kampf”, niebotyczną sumę 1,23 mln marek.

program oszczędzania na garbusa to klasyczny przekręt

Powinien być więc odprowadzić 600 tys. marek podatku. Nie uczynił tego na prośbę... bawarskiego urzędu podatkowego, którego szef Ludwig Mirre napisał list do kanclerza z zapytaniem, czy może go zwolnić z obowiązku podatku dochodowego oraz darować wszelkie inne zaległe podatki. Uniżona prośba została rozpatrzona pozytywnie. Hitler łaskawie przystał na propozycję bawarskiego urzędnika, a następnie mianował go szefem wszystkich urzędów podatkowych w Niemczech.

Historia ta uczy dwóch rzeczy: potwierdza orwellowską zasadę, że są równi i równiejsi, oraz przeraża popularnością idei nazistowskiej wśród Niemców w czasach III Rzeszy. Ktoś przecież tę „Mein Kampf” kupował...

Zadłużanie na potęgę

Wysokie podatki nie gwarantowały jednak takiego rozmachu zbrojeń, o jakim marzył Hitler. Dlatego nazisci coraz bardziej zadłużali państwo. W 1928 roku rząd niemiecki miał 10 mld

marek wpływów podatkowych i 12 mld marek wydatków, podczas gdy w 1939 roku stosunek ten wynosił: 15 mld marek przychodu i 30 mld marek wydatków. Cóż, socjalizm kosztuje. Również ten narodowy.

W każdym roku od objęcia władzy nazisci zwiększali zadłużenie. W efekcie dług publiczny wzrósł w ciągu czterech lat dwukrotnie – z 12 proc. w 1933 roku do 25,5 proc. PKB w 1937 roku. Prezes Reichsbanku Hjalmar Schacht w przemowie wygłoszonej 29 listopada 1938 roku stwierdził: – Żaden bank centralny w czasie pokoju nie prowadził takiej odważnej polityki kredytowej jak Reichsbank, od momentu przejęcia władzy przez narodowych socjalistów. To dzięki tej polityce kredytowej Niemcy uzbroiły się tak, że nikt nie może im dorównać.

Jak się okazało, tą odważną polityką Reichsbanku był sprytny pomysł jego dyrektora na ominięcie ustawy z 1924 roku, zgodnie z którą bezpośrednia pożyczka banku centralnego Niemiec



źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe. Domena publiczna



Hjalmar Schacht
b. prezes
Reichsbanku
i minister
gospodarki
(1934-1937)

dla rządu nie mogła przekroczyć 100 mln marek. Wtedy prezes Reichsbanku wprowadził do obiegu tzw. weksle Mefo, wystawione na firmę wydmuszkę Metallurgische Forschungsgesellschaft. Weksle te były gwarantowane przez państwo, a firmy mogły je zamienić na gotówkę w jakimkolwiek niemieckim banku. W ten sposób weksle Mefo w latach 1934–1938 pokryły około 30 proc. wydatków na zbrojenia, a w obiegu krążyło, bagatela, 12 mld marek w wekslach.

Jak uniknąć bankructwa

Wkrótce Schacht, pełniąc jednocześnie funkcję ministra ds. gospodarki, alarmował Hitlera, że taka polityka może doprowadzić Rzeszę do bankructwa. Dzięki tej operacji finansowej zadłużenie państwa było w rzeczywistości dużo większe niż oficjalne dane. Hitler na te słowa zareagował bardzo szybko. Zdymisjonował Schachta, powołując w jego miejsce ślepo oddanego Hermana Goeringa. Ten twardą ręką prowadził politykę zbrojenia za wszelką cenę. Ceny i płace zaczęły być ściśle kon-

Adolf Hitler i Heinrich Himmler
odbierają
defiladę,
Berlin, 1937
roku



źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe. Domena publiczna

trołowane przez państwo, a dywidendy firm obniżono do zaledwie 6 proc.

W 1939 roku dług publiczny wynosił już 46 proc., ale w armii niemieckiej służyło 1,4 mln żołnierzy. Wiadomo było, że Hitler prze do wojny, ale wojna

z punktu widzenia gospodarki Niemiec stawała się niemal koniecznością, bo mogła uratować III Rzeszę od bankructwa. Wyglądało to tak, jakby Hitler świadomie palił za sobą mosty. I tak było. Hitlera interesowała wojna, a jego pierwszym łupem miała stać się Polska.

Od 1 września 1939 roku III Rzesza zaczęła prowadzić nową politykę gospodarczą, polegającą na totalnej i systematycznej grabieży podbitych krajów i uczynienie z ich obywateli najtańszej siły roboczej, która zapracuje na spłatę nazistowskich długów.

Na koniec refleksja: gdyby kanclerz Heinrich Brüning nie trzymał się kurczowo polityki zaciskania pasa (polityki deflacyjnej) w standardzie złota, która doprowadziła do bezrobocia 30 proc. niemieckich robotników, być może pewien malarz z Austrii nie zastąpiłby go na kanclerskim stołku...

*Weksle Mefo
w latach 1934–1938
pokryły około
30 proc. wydatków
na zbrojenia,
a w obiegu
krążyło, bagatela,
12 mld marek
w wekslach.*



Piwo wspiera rozwój turystyki

Na terenie Polski działa ponad 300 browarów, a w ostatnich latach co roku przybywało kilkadziesiąt nowych. Czasy, kiedy Polacy rozróżniali dwa gatunki piwa: jasne i ciemne, dawno już za nami. Teraz amatorzy chmielowego trunku cieszą się bogactwem smaków i stylów - rokrocznie na rynku pojawia się ponad 2000 piwnych premier.

Wraz z rozwojem gospodarki odrodziło się w Polsce browarnictwo, a nasz kraj z roczną produkcją piwa na poziomie 40 mln hektolitrow stał się jednym z trzech największych producentów złotego trunku w Europie. Ten wzrost popularności piwa pociąga za sobą nowy trend – biroturystykę, czyli podróżowanie piwnym szlakiem.

A o tym, że jest co zwiedzać, z łatwością przekona się każdy, kto poświęci choć chwilę, aby spojrzeć na piwną mapę Polski. Spora część browarów zajmuje stare, historyczne budynki, które można zwiedzać, a wy-cieczkę połączyć z degustacją piwa na miejscu oraz posiłkiem skomponowanym w taki sposób, by jeszcze lepiej uwypuklić walory smakowe piwa. Połączenie jedzenia z degustacją piw

warzonych na miejscu to specjalność cieszących się coraz większą popularnością browarów restauracyjnych, również nierzadko umiejscowionych w zabytkowych budynkach i historycznych centrach znanych miast i miasteczek całej Polski. Z oferowanego przez siebie piwa, w wielu przypadkach warzonego w oparciu o tradycyjne, stare receptury, czynią atrakcję turystyczną.

Promowanie kultury

Birofile w ciągu roku mogą wziąć udział w licznych wydarzeniach, które promują kulturę piwną i umożliwiają skosztowanie intrygujących nowości. W Polsce najstarszą tego typu imprezą są Chmielaki Krasnostawskie. O jej popularności świadczy imponująca liczba odwiedzających – ponad 60 tys. osób z Polski i zagranicy. W tym roku to wielkie święto chmielarzy i piwowarów miało się odbyć po raz 50., ale ze względu na pandemię zostało przełożone.

Coraz większą rzeszą odwiedzających cieszą się także muzea znanych browarów, w których można poznać historię lubianych przez konsumentów marek. I tak na przykład Muzeum Browaru Żywiec przybliży 160-letnią historię browaru oraz produkowanego w nim piwa. Browarium to z kolei kolebka piwa Tyskie. Jest to jedyne miejsce w Polsce, gdzie oprócz historii piwowarstwa można zobaczyć na żywo, jak warzone jest piwo. Cierpliwi podróżnicy mogą zapisać się na dni otwarte organizowane przez Browar Dojlidy z 250-letnią tradycją warzenia piwa, czy Browar Okocim, który w tym roku obchodzi jubileusz 175-lecia działalności.

– Fakt, że Polacy tak bardzo polubili piwo, przekłada się na wzrost zainteresowania tym,

jak, gdzie i z czego jest warzone. Wycieczki do browarów czy muzeów piwnych to dziś punkt obowiązkowy na mapie wielu polskich i zagranicznych turystów. Myślimy, że po zakończeniu pandemii zjawisko biroturystyki będzie się rozwijać, a miasta, w których są zlokalizowane browary, będą czerpały dodatkowe korzyści z tytułu, że warzy się u nich piwo – mówi Bartłomiej Morzycki, dyrektor generalny ZPPP Browary Polskie. – Już teraz są takie miejsca na mapie kraju, które jednoznacznie kojarzymy z piwem, choćby poprzez zbieżność nazwy miejscowości ze znaną piwną marką. Często ta sława wykracza poza granice kraju. Mamy nadzieję, że z czasem tak jak Francja czy Włochy kojarzone są z winem, tak Polska, obok Czech czy Niemiec, będzie kojarzona z chmielowym trunkiem – dodaje.

Browary zasilają regiony

Ten specyficzny rozwój turystyki jest dodatkowym zastrzykiem dla miejscowości i regionów, w których warzy się piwo. Przybywający z tego powodu turyści nie tylko zostawiają swoje pieniądze korzystając z miejscowych usług, ale też napędzają zainteresowanie innych odwiedzających. Potencjał ten zauważyły już niektóre samorządy, które z dumą przyznają się do piwowarskiego dziedzictwa i chętnie się z nim identyfikują. Ale branża piwna nie tylko poprzez biroturystykę wspiera rozwój regionów. Browary działające poza dużymi miastami są kluczowymi pracodawcami w danej gminie, u których zatrudnienie znajdują kolejne pokolenia piwowarów. Cała branża browarnicza zatrudnia dzisiaj ok. 10 tysięcy pracowników w każdym przedziale wieko-

wym, w tym osoby o najniższych kwalifikacjach i starsze, najbardziej zagrożone bezrobociem strukturalnym.

– Wiele dużych browarów zlokalizowanych jest we wschodniej części Polski (np. browary w Braniewie, Rakszawie, Lublinie, Łęzajsku, Łomży, Jędrzejowie czy Białymstoku), która jest mniej uprzemysłowiona i z tego tytułu bardziej narażona na wykluczenie społeczne i ekonomiczne. Południowo-wschodnia część Polski to także region z plantacjami chmielu, wykorzystywanego przez polskie browary i eksportowanego do wielu piwnych krajów ceniących nasze rodzime odmiany – mówi Bartłomiej Morzycki.

Rozwój lokalnych społeczności

Co roku budżety lokalne są zasilane kwotą około 0,5 mld zł. Tyle trafia do jednostek samorządu terytorialnego z tytułu podatków dochodowych, składek ZUS i podatków lokalnych generowanych przez sektor piwowarski i branżę powiązane. Dla wielu małych gmin, gdzie znajdują się browary, to bardzo istotne źródło dochodów do lokalnego budżetu, z którego realizowane są liczne inwestycje poprawiające jakość życia mieszkańców.

Jednocześnie wiele browarów jest mocno zaangażowanych w rozwój lokalnych społeczności poprzez wspieranie polskiej kultury, sportu i edukacji. Tylko w roku 2017 największe firmy piwowarskie przeznaczyły na te cele 38,5 mln zł. W większości przypadków lokalne wydarzenia są wspierane przez lokalne marki, co pogłębia związek browaru z tamtejszą społecznością.

MATERIAŁ PRZYGOTOWANY
WE WSPÓŁPRACY
Z RADĄ GOSPODARCZĄ STREFY
WOLNEGO SŁOWA



Forum Polskiej
gospodarki

PARTNERZY WYDANIA



Konkretne wygrane padają dzień po dniu

**Mini
Lotto**

za jedyne

1,50 zł



Codziennie możesz wygrać

nawet **400 000 zł**

Dołącz do grona wygranych!



W gry liczbowe i loterie
mogą grać osoby,
które ukończyły 18 lat.

Graj w punktach



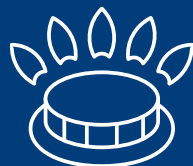
i na

lotto.pl



eprasa.pl 6d3bd719cd

Jesteśmy blisko Ciebie



Dbamy
o bezpieczeństwo
energetyczne
Polaków



Zapewniamy
niskie ceny gazu
dla gospodarstw
domowych



DOBRA ENERGIA
TANI GAZ